

Thriller psychologiczny z szokującym zakończeniem
dla fanów **Gillian Flynn** i **B.A. Paris**!

Tu każdy ma **coś do ukrycia.**

IMPREZA SĄSIEDZKA

S.E.Lynes

FILIA

S.E.Lynes

IMPREZA
SĄSIEDZKA



Przełożyła
Elżbieta Pawlik

FILIA

Dla Jackie West, z miłością.

Rozdział 1

Ava

Kiedy wracam myślami do tamtego poranka, czuję miarowe uderzenia niczym bicie naszych serc – mojego i mojej córki. Byłyśmy ze sobą tak związane, że zdawało się, że jesteśmy jednością, że moja córka jest częścią mnie – mojego ciała, moich tkanek, moich kości. Bo ona jest częścią mnie. Zawsze będzie.

Kiedy myślę o tamtym poranku, widzę siebie jakby z góry. Patrzę na siebie, tak jak ty patrzysz na swoje dzieci na boisku szkolnym albo na meczu, po cichu życząc im, by odniosły sukces, by zabłysnęły, by nie zrobiły sobie krzywdy. Obserwuję siebie, jak krwawię na skraju powoli rozwijającej się katastrofy, jak żyję bólem, o którym wiem, że nadejdzie, ale ówczesna ja nie ma jeszcze o tym pojęcia.

Robię tak każdego dnia, w każdej godzinie i każdej minucie. I robię tak już niemal od roku.

Obserwuję siebie. Jestem tam, schodzę po schodach z naręczem rzeczy do prania. Nic zza niego nie widzę. Idę powoli, stawiam obie stopy na jednym schodku, dopiero potem schodzę na kolejny stopień. I kolejny, i jeszcze jeden. Zawsze jestem taka ostrożna. Kiedyś byłam beztroska, ale teraz wszędzie dostrzegam zagrożenie – gniazdko elektryczne jest niebezpieczne, szklanka postawiona na skraju stołu – ryzykowna, schody to też zagrożenie.

Kolejny stopień. Wołam jej imię. Abi.

– Mamusia już idzie – mówię.

A potem:

– Mama tylko wstawi pranie i pójdziemy nakarmić kaczki.

I jeszcze:

– Jesteś kochaną dziewczynką, że tak grzecznie czekasz.

Zawsze coś do niej mówiłam – od chwili jej narodzin. W wieku dwóch lat uwielbia słuchać mojego paplającego do niej głosu.

Uwielbia. Uwielbiała.

– Mamusia – mówiła. Trzymała moją twarz swoimi maleńkimi rączkami.

– Co?

– Ja kocham.

– Ja ciebie też kocham, małpeczko.

Dotykałam czubka jej nosa i naśladowałam dźwięk klaksonu. Wtedy odchyłała głowę do tyłu i zanosila się śmiechem.

– Jeście – mówiła. – Jeście, mamusia.

Już nigdy. Choć może, może pewnego dnia... W końcu ona nadal może gdzieś tam być. Jest taka szansa, no jest, prawda? Najmniejsza, maleńka nadzieja. Każdego dnia szukam jej w twarzach innych dziewczynek, lecz nawet teraz jej rysy zacierają mi się w pamięci, jej zapach, jej ciepło, jej cienkie, ostre paznokcie na moich policzkach, jej ciężar na moim biodrze, dziwaczna pozycja nas obu, gdy nachylałam się, by zamieszać sos do spaghetti, niecierpliwość wypisana na jej twarzy, gdy dmuchałam na końcówkę łyżki, i jej małe ciało pogrążone w oczekiwaniu, gdy wiedziała, że za kilka sekund będzie mogła spróbować sosu, by powiedzieć mi, czy jest dobry.

Tamten poranek.

Patrzę na siebie – głowa cała schowana za stertą brudnej pościeli. Nie widzę własnych stóp.

– Abi? – mówię, nie przeczuwając jeszcze katastrofy. – Co się stało? Czemu się nie odzywasz, panienko?

Zakrzywiona rączka jej wózka. Siatka z tyłu. Nie ma tam jej głowy. Nie ma jej miękkich kędziorków, gęstniejących i zmieniających się teraz z niemowlęcych na dziecięce.

Jej tam nie ma.

Ava, nie świruj, na pewno pochyliła się do przodu.

Nie, wcale nie. Nie ma jej tam. Nie ma jej w wózku.

Abi tam nie ma.

Sekunda po sekundzie. Uderzenie serca za uderzeniem serca. Zegar. Metronom stojący na moim pianinie, który nadaje tempo. Pranie wypada mi z rąk. Potykam się i spadam z kilku ostatnich stopni.

– Abi? – wołam, kiedy wstaję i pocieram bolącą rękę. – Abi?

Kolejna sekunda. Włosy jeżą mi się na głowie.

– Abi? Kochanie?

Widzę dom naprzeciwko.

Widzę dom naprzeciwko...

Dom naprzeciwko...

Frontowe drzwi są otwarte. O Boże, zostawiłam otwarte drzwi!

– O mój Boże, Abi!

Jestem na ulicy, patrzę w prawo, w lewo i znowu w prawo. Wołam jej imię, a żelazna obręcz zaciska się wokół mojej klatki piersiowej.

– Abi? Abi? Abi!

Serce wyrywa mi się z piersi. Zostawiłam Abi w holu i weszłam na górę.

– Poczekaj tutaj, kochanie – powiedziałam. – Za chwilę wracam.

Nie zamknęłam, nie mogłam zamknąć tych przeklętych drzwi. Abi była zapięta w wózku. Nie umiała odpiąć szelek. Nie umiała. Jeszcze wczoraj nie umiała tego zrobić. Nie robiła żadnego hałasu, więc ja... ja...

Krażę po okolicy. Nie ma jej nigdzie na chodniku, z żadnej strony. Nie mam pojęcia, w jakim kierunku się udać. Jedna strona wyklucza drugą, a co, jeśli nadal jest w środku...?

Wpadam z powrotem do domu. Słyszę drzenie w moim głosie, gdy wołam jej imię. W domu panuje kompletna cisza. Zmuszam się, by stać zupełnie nieruchomo. Dźwięczy mi w uszach. Oczy mam szeroko otwarte. Dom wydaje się zupełnie pusty. Wygląda na pusty. Czuję w nim pustkę.

– Abi? – wołam w górę schodów. – Abi, skarbie? Jesteś w domu? Gdzie jesteś? Gdzie jesteś, kochanie? – Staram się nie dopuścić do tego, by panika wkradła się do mojego głosu, ale już ją słyszę.

Wchodzę do kuchni. Drzwi na taras są zamknięte. Brakuje mi powietrza.

– Abi?

Cisza.

Wpadam z powrotem do holu i otwieram małe drzwi pod schodami, które prowadzą do toalety na dole. Nie ma jej tam.

– Abi?

Cisza.

Idę do salonu. Pianino, metronom. Kanapy, telewizor, kominek. Stolik kawowy.

– Abi? Jesteś tutaj? – Odchylam zasłonę. – Abi, słoneczko?

Mocne uderzenie mojej dłoni o tafłę szkła w oknie. Mój własny urywany oddech.

Cisza.

Znowu jestem na zewnątrz. Deszcz znaczy szarymi kropkami kamienie na ścieżce prowadzącej do wejścia. Obok naszego domu jest mały skrawek

trawnika oraz żywopłot z rozmarynu. Nie mogła się tam nigdzie schować. Nie ma jej przed domem. Nie ma jej na chodniku. Nie ma jej nigdzie po naszej stronie drogi, nigdzie, gdzie sięgam wzrokiem. Po drugiej stronie ulicy domy są pozamykane, ciche. Obok, po obu stronach, zamknięte i nieruchome. Nikogo nie ma, absolutnie nikogo. Ani jednej osoby.

– Abi? Abi? Aaabiiii!

Patrzę w lewo na bliższy koniec ulicy, w prawo na jej dalszy koniec. W którą stronę? Muszę gdzieś iść. Muszę się ruszyć. Biegnę w dół, w stronę bardziej ruchliwej z dwóch łączących się dróg.

– Abi? Abi?

Wracam biegiem, przebiegam obok domu świadoma mijających sekund kumulujących się i przechodzących w minuty. Gdzie ona mogła pójść? Jak długo byłam na górze? Miałam tylko zabrać pranie i zejść na dół. Abi była spokojna, była cicho, więc rozebrałam pościel z łóżka – pomyślałam, że mogę, skoro... kiedy ją zostawiałam, była w swoim wózku i rozmawiała z Panem Leniwcem, swoją pluszową zabawką, którą dostała od Neila i Belli w prezencie, gdy się urodziła. Była cicho, więc opróżniłam kosz na pranie. Robicie tak, wszyscy rodzice tak robią – robicie takie rzeczy, kiedy tylko możecie, gdy macie małe dzieci. Kiedy są spokojne. Kiedy nie domagają się waszej uwagi ani jedzenia, ani wody, ani...

Ulica jest wyludnionym rzędem białych, strzelistych dachów skierowanych w niebo. Serce podchodzi mi do gardła. Wracam z powrotem na drugą stronę, wtykam głowę, żeby spojrzeć przez bramy, wyciągam szyję ponad żywopłotami, co kilka sekund oglądam się za siebie i wracam do domu. Nie ma jej tam. Ale przecież nadal może być w domu, za zasłoną, chichotać w szafie. W każdej chwili może wyjść. Jeśli mnie nie usłyszy, spanikuje. Nie będzie wiedziała, gdzie jestem.

Sekunda po sekundzie, uderzenie serca za uderzeniem serca... przyspieszony rytm narastającej paniki. Nie ma powodów do paniki. Gdzieś się znajdzie.

– Abi? Abi, skarbie? Abi, gdzie jesteś?

Zasycha mi w ustach.

Minęła siódma trzydzieści. O której poszłam na górę? Kiedy ona wyszła z domu? Czy w ogóle wyszła na zewnątrz?

Nie robiła żadnego zamieszania. Była zadowolona. Była spokojna. Gdyby chciała czegoś ode mnie, zawołałaby.

– Mamusiu! – krzyknęłaby. – Mamusiu! Ja ciekam!

Ale nie zrobiła tego. Była cicho. Weszłam na Facebooka tylko na kilka minut. Potrzebowałam skorzystać z kibelka, więc tylko szybko załatwiłam swoją potrzebę – też to robisz, kiedy twój maluch jest cicho, wszyscy to robią. Siedziałam na kłobie i przeglądałam Facebooka, ale nie za długo, nie tak długo. Skomentowałam tylko kilka postów. Zdjęłam pościel z łóżka, opróżniłam kosz na pranie. Każda mama robi kilka szybkich robótek, gdy jej dziecko jest ciche i spokojne, ogląda bajki, bawi się na macie albo siedzi w wysokim krzeselku i ssie sucharka. Abi była w holu. Przypięta w swoim wózku. Miała Pana Leniwca, z którym rozmawiała. Była najedzona. Było jej wygodnie. Była przypięta. Nie umiała się rozpiąć. Jeszcze wczoraj nie umiała.

Sekunda po sekundzie, uderzenie serca za uderzeniem serca.

Jakże nieznośne jest oglądanie dzisiaj samej siebie w tym przyspieszonym rytmie, oglądanie własnej narastającej rozpacz, wciąż i wciąż, zupełnie jak rozkwitająca czarna róża zapętlona na filmie: „odtwórz ponownie, odtwórz ponownie, odtwórz ponownie”. I ja, kobieta w tym chaosie; ja niepotrafiąca logicznie myśleć. Ale obserwuję to. Obserwuję ją cały czas. Czasami przyznaję się do tej chwili na toalecie przy przeglądaniu mediów społecznościowych, a czasami nie. Dziś się przyznaję. Dziś przyznaję, że siedziałam tam i myślałam: O, jak dobrze, jest cicho. Posiedzę jeszcze chwilę. Bolały mnie oczy. Abi nie była śpiochem i potrafiła dać w kość, potrafiła być trudna, uparta, kłótliwa, nawet ze swoim ograniczonym słownictwem. Zmęczenie bardzo mi ciążyło i wtedy pomyślałam: jest cicho, posiedzę sobie tutaj. Posiedzę, dopóki nie zaczniesz robić rabanu. Pozwolę sobie na tę chwilę przerwy. Potrzebuję jej.

Dziś mogę się z tym zmierzyć.

Ale nie zawsze. Nie zawsze.

Pętla. Uderzenie serca. Narastający strach. Obserwuję siebie. Jestem tam, biegnę nieco dalej w dół ulicy, obracam głowę w lewo, w prawo, patrzę za siebie, przed siebie, zero wskazówek, zero wskazówek, w którą stronę najlepiej pójść. Pamiętam o tym, że drzwi wejściowe są otwarte, że jeśli Abi ukrywa się w domu, jest tam teraz sama, może uciec, a jeżeli to zrobi, może wyjść na ulicę, żeby mnie szukać. Ma dwa lata. Nie potrafi bezpiecznie przechodzić przez ulicę.

Przychodzi mi do głowy, żeby zgłosić to na policję, oczywiście, że tak. Ale nie, myślę. Nie. Bądź rozsądna. Minęło prawdopodobnie dopiero kilka minut, odkąd opuściła dom. Musi być gdzieś niedaleko. Kiedyś uciekła

z zajęć dla maluchów w kościele; prawie odeszłam od zmysłów. Nie było jej dwadzieścia minut. Dwadzieścia. Czułam każdą sekundę. Przeszła całą drogę aż do Carluccio's na drugim końcu ruchliwej ulicy, zanim ktoś w końcu ją zatrzymał i zapytał, gdzie jest jej mamusia. Dzieci tak po prostu nie znikają. Odchodzą rozbawione, nieświadome przerażenia, które wywołują. Widzisz je czasami: maluchy z pustymi buziąmi w ciasnych objęciach swoich matek, na których twarzach nadal malują się linie przenikającego do szpiku kości strachu.

Wracam do logicznego myślenia. Mogła pójść zobaczyć się z wujkiem NeeNee i cicią Bel. Wie, że jej nie wolno, ale to mała spryziula. W najlepszym znaczeniu. W najlepszym, najznakomitszym. I, mój Boże, jak na takiego malucha, potrafi się bardzo szybko poruszać, kiedy tylko zechce.

Rzucam się w stronę domu Neila i Belli.

– Abi? – Zerkam przez bramę. – Abi! Jesteś tam?

Nic. Nie ma małych stópek. Miała na sobie czerwone, sznurowane botki. Kickersy, absurdalnie drogie jak dla szybko rosnącej dziewczynki, ale to kolejny prezent od Neila i Belli. Uwielbia te buciki. Ale nie ma tam po nich śladu. Ani śladu po kremowej, wełnianej czapeczce z daszkiem, ani po jej błękitnym płaszczku Puffa.

Pukam do drzwi Neila i Belli, szybko naciskam dzwonek. Furgonetka Neila stoi na ulicy, ale nikogo nie ma w domu, oczywiście, że nie ma. Oboje wyszli już do pracy.

Przejeżdża srebrny prius. Staram się nie wyc z rozpacz, kiedy słyszę, jak ciche jest to auto, jak ciche są te elektryczne samochody. Ona nigdy by go nie usłyszała. Nie obróciłaby się na czas i byłoby już za późno. Prius skręca w lewo, w zatłoczoną ulicę. Samochody pędzą. Jeszcze kilka minut i ruch będzie większy – ludzie dojeżdżający do pracy, do szkoły. Około jednej trzeciej aut już przejechało. Wiele z nich jest dużych, zbyt dużych – wielkie podmiejskie wozy w typie safari zaprojektowane tak, by zapewnić bezpieczeństwo bezcennym pociechom właścicieli. Ale co z dziećmi na zewnątrz? Co z tymi bezmyślnymi maluchami wbiegającymi na jezdnię?

Mój oddech przyspiesza. Biegnę z powrotem. Nowi sąsiedzi już dawno odjechali, rozwieźli po drodze potomstwo – jedno do żłobka, drugie do jakiejś prywatnej szkoły. Przynajmniej tak uznaliśmy z Mattem. Wprowadzili się jakiś miesiąc czy dwa temu. Ich młodsza córka jest mniej więcej w wieku Abi. Starsze dziecko – nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy to chłopiec czy dziewczynka.

Adrenalina sprawia, że w ustach zbiera mi się gorycz. Przebiegam przez ulicę. Jestem teraz na chodniku dokładnie naprzeciwko naszego domu. To ryzykowne. Jeśli Abi nadal jest w środku, jeśli teraz wyjdzie, może mnie zobaczyć. Może mnie ujrzeć i wybiec na ulicę, wołając: „Mamusia!”. Jeden z tych safari-busów może wyjechać z za rogu. Albo jedno z tych elektrycznych aut. Motocykl. Nie dostrzegłaby go, dopóki nie byłoby za późno. Biegnę tak daleko po tej stronie drogi, na ile starcza mi odwagi, wykrzykuję jej imię.

– Abi! Abi?

Żywopłoty, tarasy, bramy. Żadnego śladu. Nic. Gdzie są wszyscy? Wyszli do pracy. Zalewa mnie fala mdłości i żołądek podchodzi mi do gardła. Wracam na naszą stronę ulicy i idę w kierunku domu. Wciąż krążę. Marnuję cenny czas. Sekundy przechodzą w minuty, już są minutami, minuty przechodzą w... Chyba muszę zadzwonić na policję.

Moje włosy, plecy, pachy – wszystko jest pokryte potem. Abi gdzieś tu będzie – to się właśnie stało. Jest małą wędrowniczką. To dlatego zawsze zapinam ją w wózku. Myślałam, że zamknęłam drzwi wejściowe. Jestem przekonana, że to zrobiłam. Ale jestem taka zmęczona; moje myśli są jakby zamglone, bardziej niż zazwyczaj od ostatnich kilku tygodni. Pewnie klamka odskoczyła. Czasami tak się dzieje. Ale jestem ostrożna. Jestem bardzo ostrożna. Nawet kiedy chodzi, każę jej się trzymać wózka jedną ręką. Abi potrafi przejść całą Thameside Lane, całą drogę przez kładkę do Ham i z powrotem, cały czas przebierając nóżkami i trajkocząc bez ustanku. Słodkie małe kolanka, które, jak już uznała moja matka, ma po naszej rodzinie. Silne kolana, mówi moja mama. Woodsowie świetnie chodzą. Możemy chodzić przez parę dni jak wielbłądy. Abi uwielbia chodzić. Ale nie poszłaby sama na kaczki. Nie ma mowy.

– Abi?! – krzyczę, robiąc z rąk trąbkę wokół ust i obracając się dookoła.
– A-a-abi-i-i-i!

W głowie odwzorowuję sobie układ okolicy. Unoszę się nad nią. Drogi nad rzeką, równoległe połączone główną arterią, która łączy moje małe miasteczko z większym centrum handlowym Kingston upon Thames i spokojniejszą Thameside Lane, mniejszą drogą, która mija korty tenisowe w drodze nad rzekę, do Teddington Lock.

Zawsze tędy chodzimy na płytką służącą między małym sklepikiem a ścieżką prowadzącą do kładki, gdzie rzeka płynie i wznosi się, gdy jest przypływ – w tym miejscu gromadzą się kaczki w nadziei na okruszki.

Dojście tam zajmuje pięć minut, najwyżej dziesięć. Czasem idziemy przez most do Ham, do tamtejszego parku, czasem wpadamy do niemieckiej piekarni na szarlotkę, ulubiony przysmak.

Chwytam klucz i zamykam drzwi wejściowe. Jeśli jest w środku, przynajmniej nie będzie mogła teraz wyjść.

I biegnę, i wołam, wołam, wołam jej imię. Miotam się dookoła, zżerana przez biały żar ogarniającej mnie paniki.

A jednocześnie jestem tutaj, patrzę na siebie obecnie, obserwuję się w kółko i wciąż krzyczę do tej kobiety, do siebie: Biegnij do rzeki, Avo; biegnij do tej cholerniej rzeki, błagam cię.

Ale nie słyszę własnego głosu. Nie słyszę go krzyczącego do mnie z mojej samotnej, przerażającej przyszłości. Nie słyszę go.

– Abi! – To wszystko co słyszę – mój własny zaślepiony i zrozpaczony płacz.

Biegnę. Zasycha mi w ustach ze strachu. Mijam domy Parkerów i Smithów. Koleś z kamperem odjechał. Znowu jestem obok mojego domu, staję z rękami na biodrach, krążę, próbuję myśleć. Mercedes z sąsiedniego domu odjechał. Ona pracuje w Surbiton, wyjeżdża wcześniej; on pracuje w mieście, dojeżdża pociągiem. Porsche sąsiadów z domu obok odjechało; wyjeżdżają razem, dzieci siedzą z tyłu. Chyba nazywają się Lovegood. Myślę o naszym rdzewiejącym volkswagenie i dużej białej furgonetcie Neila, na boku której jest napis: Johnson's Quality Builds. I myślę sobie o tym, jak Neil, Bella i Matt są częścią tego miasta bardziej niż ktokolwiek tutaj, choć teraz wydają się być outsiderami – ich samochody, ich głosy nie pasują do siebie, i zastanawiam się, dlaczego w tej chwili przyszło mi to do głowy?

A teraz, w tej przerażającej terażniejszości, myślę sobie: Dlaczego nie biegniesz do rzeki, Avo? Dlaczego, skoro miałyście iść karmić kaczki? Dlaczego o tym nie pomyślałaś?

Ale nie biegnę do rzeki. Przez chwilę tkwię w miejscu jak zaklęta. Abi gdzieś tu będzie, tak sobie myślę. Będzie w ogrodzie albo w domu. Bawi się w chowanego. Bu!, powie. Nie widziałaś mnie, mamusiu, plawda?

– Abi!

Zbyt wiele minut uleciało już wraz z parą wrzącej we mnie paniki. Zbyt długo, zbyt długo. Powinna się już pojawić. Znowu biegnę. Do końca drogi i z powrotem, czując, że robiłam to już zbyt wiele razy, że powtarzam w kółko te same działania i oczekuję innych rezultatów. Mijam numery 76,

78, 80. Sekunda po sekundzie. Uderzenie serca za uderzeniem serca. Rytm serca staje się coraz głośniejszy, dudniący, bębniący. Moje serce. Serce mojej małej dziewczynki. Bicie serc. Tykanie zegara. Tempo wyznaczane przez metronom. Narastająca melodia. Przesypujący się piasek, nieustannie mijający czas.

Krople potu na moim czole. Musi być gdzieś niedaleko. Nie mogła dojść aż do głównej drogi. Nie ma mowy, żeby jej się to udało, niemożliwe, żeby odważyła się pójść aż nad rzekę.

Nie ma mowy.

Znowu jestem przed domem. Kiedy poszłam na górę? Pomyślmy rozsądnie. Zwolnijmy. Ósma? Za pięć? Przypięłam ją w wózku i poszłam na górę. Nie mogła rzucić się od razu do ucieczki. Gdyby się znudziła i udałoby się jej odpiąć te szelki, musiałyby to być jakieś dziesięć, piętnaście minut później. Więc prawdopodobnie zaginęła jakieś dwadzieścia pięć minut temu, może trochę wcześniej.

Płacząc rzewnymi łzami, dzwonię do Matta. Sekunda po sekundzie, uderzenie serca za uderzeniem serca. Długi dźwięk dzwonka. Cisza. Dzwonek. Cisza. Mój własny szloch wyrywający się z piersi. Dzwonek. Nie usłyszysz. Będzie już w pracy. Ma spotkanie o dziewiątej trzydzieści. Nowy projekt, przebudowa fabryki gdzieś na East End.

Nie usłyszysz telef...

– Ava?

– Matt! – Mój głos jest piskliwy i drżący, a oddech krótki. Nie mogę złapać tchu, kiedy chodzę po domu i otwieram szafki kuchenne.

– Ava? Wszystko okej?

Szafka na miotły jest pusta, spiżarnia jest pusta.

– Matt! Nie mogę znaleźć Abi!

Nie ma jej pod wyspą kuchenną. Nie ma jej pod stołkiem, który udaje lwa w klatce.

– Co to znaczy, że nie możesz jej znaleźć?

– Nie ma jej pod kanapą!

– Nie pod kanapą? Co?

– Odpięła zapięcie z wózka.

– Co? Okej, Ava. Ava, możesz...

– Zostawiłam otwarte drzwi wejściowe. Zostawiłam otwarte drzwi, Matt, i ona... O Boże, piekarnik jest pusty, dzięki Bogu.

– Ava, zwolnij. Powiedz mi spokojnie, co się dzieje.

– Abi zniknęła. Ona po prostu... zniknęła. Musiała gdzieś pójść. Wpadłam tylko na górę. Dosłownie. Weszłam tylko po telefon. Nie ma po niej śladu. Nie ma po niej śladu, Matt. – Sprawdzam tylne drzwi. Są zamknięte. Otwieram je. Jestem w ogrodzie.

– Abi? – Przyciskam nos do okna w szopie. – Abi?

To szaleństwo. Nie ma możliwości, by dostała się do ogrodu. Ale i tak przetrząsam przygraniczne krzewy, chaotyczną masę bluszczu, która pnie się po całym lewym płocie. Deszcz bębni o przesuwne drzwi tarasowe.

– Pewnie się schowała. – Głos Matta jest spokojny, to głos rozsądku. – Wiesz, jaka ona jest. Sprawdzałaś na górze?

– Jeszcze nie. – Jestem z powrotem w środku. Moje tenisówki dudnią po schodach. – Nie wiem, gdzie najpierw szukać, Matt. Nie wiem, gdzie najlepiej zacząć. Powinnam być na zewnątrz? Myślisz, że mogła pójść aż do głównej drogi?

– Byłaś na zewnątrz?

– Tak. Nigdzie jej nie było. Nie ma jej w naszej sypialni.

– Szukałaś przy śmietnikach?

– Jeszcze nie. Jestem w domu. Abi! Kochanie? Nie ma jej w naszym pokoju... i nie ma jej też w jej pokoju... Pod łóżkiem też nie. O Boże, o mój Boże, minęły już wieki. Myślisz, że powinnam zadzwonić na policję?

– Boże, nie, musi gdzieś być. Sprawdzałaś w ogrodzie?

– Tak, ale tylne wejście było zamknięte. Nie ma jej w łazience. Abi, skarbie? Nie ma jej w koszu na pranie. Nie ma jej tu. Nigdzie jej nie ma, zupełnie nigdzie, jakby wyparowała.

– Nie może być daleko.

Telefon pali mnie w ucho. Biegnę w dół po schodach i wypadam przez frontowe drzwi. Pot spływa mi po czole, po plecach. Ani śladu. Nie ma po niej śladu. Na ulicy nikogo nie ma.

– Och, Boże, Matt. Jest mi niedobrze. Zaraz zwymiotuję.

– Ava?

– Jestem na zewnątrz. – Ledwo umiem wypowiadać słowa. – Nie widzę jej. Nie widzę jej. – Boli mnie w mostku, jakby ktoś wbijał mi tam kij od miotły. Deszcz pada coraz mocniej. Osłaniam oczy dłonią. – Nie ma po niej śladu. Wyparowała. Rozpłynęła się w powietrzu. Chyba muszę zadzwonić na policję.

– Gdzieś się znajdzie. Może poszła do Neila i Belli, jak myślisz?

– Nie zrobiłaby tego. To znaczy, mogłaby, ale pukałam i nikogo nie było. A gdyby się tam pojawiła, jedno z nich już by do mnie zadzwoniło albo przyprowadziłoby ją z powrotem. Po prostu nie wydaje mi się, żeby mogła sobie pójść ot tak, nie na tak długo.

– A pamiętasz, jak zwiła z zajęć w kościele? Udało jej się przejść parę kilometrów.

– Wiem, ale nie zrobiłaby tego znowu, prawda? Byłam na nią zła. Krzyczałam na nią. Była naprawdę zdenerwowana. Myślę... to znaczy, nie wydaje mi się...

– Posłuchaj, wracam do domu – mówi Matt. – Jestem niedaleko. Złapałem gumę na ścieżce rowerowej, więc jestem po tej stronie Richmond. Szukaj dalej, dobra? Zawracam, okej? Już jadę.

Rozdział 2

Ava

Sekunda po sekundzie. Uderzenie serca za uderzeniem serca. Metronom nadaje tempo szaleńczą melodią mojego rozpadającego się życia. Spoglądam na siebie z góry. Wykrzykuję te wszystkie rzeczy, które powinnam była zrobić, miejsca, w których powinnam była szukać, porządek, zgodnie z którym powinnam była postępować. Naprawdę potrafię być dla siebie bardzo surowa, dla tej głupiej krowy, dla tej idiotki, która mnie nie słyszy, która jest ślepa, ślepa na logikę, głucha na rozsądek, ogłupiała ze strachu. Tamten poranek. Spójrz na nią. Spójrz na mnie. Deszcz wsiąka w moje włosy, w moje ubranie. Moje durne stopy dudnią na chodniku, biegną donikąd jak w kołowrotku. Dbałam o kondycję, wychodziłam z domu razem z Mattem, gdy szedł do pracy, żebym mogła chodzić z Abi na długie spacerunki. Czerstwy chleb w torbie, karmienie kaczek, przez most do Ham, do małego parku. Niemiecka piekarnia, prele wielkości jej głowy. Świeże powietrze dobrze ci robi, niezależnie od wszystkiego.

– Może opowiesz Panu Leniwcowi, co będziemy dzisiaj robić? – mówię, zapinając ją w wózku. Tak, zapinam ją. Wiem, że to robię, bo widzę nas w tym holu. Przykucam przy niej. Uśmiecham się do niej. Sadzam jej Pana Leniwca na kolanach i myślę o tym, że ta srebrna bransoletka z wygrawerowanym imieniem, którą dostała od Neila i Belli, robi się już na nią za ciasna.

– Powiedz mu, że będziemy karmić kaczki. Nie pozwól Panu Leniwcowi zjeść całego chleba, okej?

Chichocze. To ostatnia rzecz, jaką robi.

Wskoczyłam tylko na górę.

Rzeczy, które zrobiłabym inaczej. Drzwi, które sprawdziłabym przed wejściem na piętro. Dodałabym dwa do dwóch i poskładałabym to do kupy. Kaczki. Rzeka. To oczywiste. Natychmiast pobiegłabym we

właściwym kierunku. Znalazłabym ją spieszącą w stronę rzeki, z wysoko uniesionym podbródkiem, całą podekscytowaną małą trzpiotkę. Zamknęłabym te przekłete drzwi. Nie przeglądałabym Facebooka. Gdybym wiedziała, nawet nie spojrziałabym na telefon – oczywiście, że bym tego nie zrobiła. Bóg jeden wie, że gdy przeglądam się codziennie w lustrze, widzę w moim oszołomionym spojrzeniu własną ignorancję. Tamten ranek. Prawie rok temu. Widzę to jak na dłoni, że nie wiedziałam, co się stanie, co się dzieje, a co się już stało. Nie miałam najbledszego pojęcia, a jednak jakieś przeczucie nie dawało mi spokoju. Patrzę na siebie stąd, z góry. Patrzę na tę kobietę siedzącą na kibelku, gapiącą się w telefon i krzyczę do niej, do siebie: Nie rób tego! Biegnij, Avo! Biegnij do rzeki! Miałyście karmić kaczki – dlaczego o tym nie myślisz?

– Musisz przestać na siebie krzyczeć, Avo. – Tak mówi mi moja terapeutka, Barbara. – Postaraj się siebie nie karać. Spróbuj sobie wybaczyć, tak jak wybaczyłabyś komuś, kogo kochasz.

Barbara pomaga mi ograniczyć ilość kontroli drzwi wejściowych za każdym razem, gdy wchodzę do domu. Mówi mi, że nie zrobiłam tego, co powinnam, bo nie jestem jasnowidzem.

– Ale powinnam była sprawdzić drzwi – upieram się.

– Chrzanić to.

Chrzanić to, tak mówi Barbara. Nie ma żadnego „powinnam”. Siedziałam na telefonie, bo odkąd urodziła się Abi i przeszłam na niepełny etat, telefon jest moim oknem na świat. Dzięki niemu czuję, że nadal do niego należę. Są tam moi przyjaciele. Moje kontakty towarzyskie. Moi klienci – rodzice dzieci, które uczę gry na pianinie. Nie spędzałam i nie spędzam całych dni na pogaduszkach z innymi profesjonalistami w wesołym biurze; nie przesiaduję już z innymi nauczycielami w pokoju nauczycielskim, wymieniając się opiniami na temat dzieci z naszych klas lub umawiając się na piątkowego drinka. Nie ściągam butów wieczorem i nie wzdycham z ulgą, że już do końca dnia nie będę musiała z nikim rozmawiać. Często przesiaduję w domu. I tak, są chwile, gdy czuję się jak w więzieniu.

Więc tak, wchodziłam na Facebooka czy Instagrama i zapewniałam sobie dawkę śmiechu, nieco żartów, Boże, uchron, czytałam jakiś interesujący artykuł czy wyważoną opinię.

Stałam się samotna. Znudzona. Tak, tu jest pies pogrzebany. Nudziłam się, bywało, że się nudziłam, kiedy byłam z Abi. Brakowało mi kontaktu z dorosłymi. Gdy Abi jadła przekąskę albo obiad, zamiast do niej mówić,

rozmawiałam z mamą, która mieszka zbyt daleko, żeby wpaść na herbatkę. W parku też się nudziłam. Nudziło mnie dziecięce paplanie, niekończące się siedzenie w domu i programy dla dzieci. Znudziły mnie płyty CD z dziecięcymi piosenkami płynącymi z odtwarzacza w naszym aucie. Bywało, że tęskniłam za Chopinem, Springsteenem albo Björk i coraz bardziej podkręcałam głośność, żeby zagłuszyć marudzenie Abi.

– Tak. To wszystko prawda – mówi mi Barbara. – Ale to nie znaczy, że nie kochałaś albo nie kochasz swojej córeczki. To nie znaczy, że nie mogłaś albo nie możesz się nią opiekować. – Używa obu czasów. Wie, że jeśli zacznie mówić o Abi w czasie przeszłym, rozsypię się. Wie, że nie jestem jeszcze gotowa na czas przeszły.

– Problem w tym – odpowiadam – że nie zamknęłam drzwi, prawda? Wszystko się do tego sprowadza i jest to dla mnie nie do pokonania.

– Pozostawienie otwartych drzwi lub niesprawdzenie, czy są zamknięte, to zwykły ludzki błąd, który w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto nie ma żadnych negatywnych konsekwencji – tłumaczy mi Barbara.

Nie wierzę jej.

I tak obserwuję siebie w tej niekończącej się pętli. Sekunda po sekundzie. Uderzenie serca za uderzeniem serca. Tykanie zegara. Metronom. Bicie serca. Zegar staje. Gra melodia. Serce się łamie.

Tamten poranek.

Matt jest już w drodze do domu. Ta myśl mnie uspokaja. Na końcu ulicy widzę dwie matki. Idą w stronę szkoły podstawowej. Rozmawiają, a ich dzieci śmigają przed nimi na jaskrawych hulajnogach.

– Przepraszam! – wołam, ale matki nie słyszą. Zagadane, idą dalej, zakapturzone chronią się przed coraz mocniej padającym deszczem.

Przyspieszam kroku, zaglądam do ogródków, zerkam ponad żywopłotami i bramami. Gdyby ktoś ją tu gdzieś potrącił, byłaby afera. Zawyłyby syreny. Pojawiłaby się karetka, samochody w niebiesko-żółtą kratę, policja machająca do ludzi. Gdyby ktoś spotkał ją idącą bez opieki, zatrzymałby i zapytał, gdzie jest jej mamusia. A zresztą nie byłam na górze aż tak długo.

– Halo! – wołam ponownie, teraz jestem już nie dalej jak metr od nich. Odwracają się i patrzą na mnie pytającym wzrokiem z nutą rozbawienia. – Dzień dobry. Przepraszam. – Nie umiem złapać tchu, pocę się, staram się wyglądać rozsądnie. – Nie widziałyście małej dziewczynki? Kiedy szłyście w tę stronę, nie widziałyście małej dziewczynki idącej w górę? – Opuszczam dłoń na wysokość uda i staram się pozbyć paniki z mojego

głosu. – Mniej więcej tego wzrostu. – Pokazuję. – Ma dwa latka. Ubrana w niebieski płaszczyk i kremową, wełnianą czapeczkę. Czerwone buty za kostkę.

Patrzą na siebie i znowu na mnie.

– Nie, przykro mi. – Jedna z nich potrząsa głową, wyciąga z torebki parasolkę i rozkłada ją.

– Jak ma na imię? – pyta ta druga. Unosi ze zrozumieniem brwi.

– Abi. Ma na imię Abi. Posłuchajcie, jeśli ją zobaczycie, mieszkamy tuż obok na Riverside Drive. Numer osiemdziesiąt osiem – pierwszy bliźniak tuż obok tego wielkiego, wolnostojącego na końcu drogi.

Potakują i uśmiechają się – też przez to przechodziłyśmy, to właśnie mówią bez słów. Tak. Wszyscy przez to przechodzili, ale to nie sprawia, że jest to mniej przerażające.

– Nie znoszę, kiedy tak uciekają – mówi ta z parasolką. – Mam nadzieję, że szybko ją pani znajdzie.

– Na pewno. – Uśmiecham się. To wymuszona odpowiedź. Odwracam się od nich, zmieniam kierunek, teraz już biegnę w stronę rzeki. Thameside Lane jest szersza niż nasza podmiejska ulica. Ruch jest większy, choć nie za bardzo. Ale jednak. Samochody mkną w górę i w dół, wjeżdżają w luki pomiędzy innymi autami, zaparkowanymi po prawej stronie. Dzieci zaczynają dojeżdżać do szkoły. Wkrótce będzie jeszcze więcej aut, spóźnialscy. Samochody są większe niż jeszcze pięć lat temu. Nowsze. Nawet te małe wyglądają jak czołgi. Matt mieszka tu od jedenastego roku życia. Mówi, że kierowcy nie ustępują teraz miejsca jak kiedyś, gdy to było zwyczajne miejsce, a nie „miasteczko”. Te samochody są zbyt wielkie, tak uważam. Są większe niż potrzeba. Wszyscy chronimy to, co należy do nas, powiększamy to, co nasze, nasze domy, nasze rydwany. Nic spoza nich nie widać – zderzaki są tak wielkie, jak gdyby miały chronić nas przed skutkami zderzenia z potężnym dzikim zwierzem, ze zbłąkanym lwem. Często parkują przy końcu ulicy, żeby być tak blisko swojego celu podróży, jak to tylko możliwe, ale my, my w międzyczasie nic nie widzimy zza rogu, kiedy próbujemy wyjechać lub przejść pieszo na drugą stronę drogi. Musimy wyjść na środek ulicy, żeby cokolwiek dostrzec. Jeśli jesteś malutki, nie masz żadnych szans.

Mam nadzieję, że nie jeżdżą zbyt szybko. Mam nadzieję, że zwracają uwagę.

Przestań. Gdyby coś ją przejechało, przyjechałaby karetka. Ratownicy medyczni. Czująbyś to w powietrzu. Ten spokój, który następuje po szoku.

Jest za kwadrans dziewiąta. Utknęłam we wczoraj i w dziś na zawsze. Jestem tam i jestem tutaj, krzyczę na wspomnienie samej siebie, krzyczę do niej, do tej kobiety, która była mną: Zadzwoń na policję, Avo! Zadzwoń na 999[1]! Dzwon! Dzwon pół godziny temu! Wróćmy! Wróćmy do chwili, gdy miałaś przy sobie Abi! Jest! Masz ją! Jest twoja! Jest wszystkim! Nie musisz grzebać w telefonie, nie potrzebujesz swojego życia! Nie odpowiadaj na ten komentarz! Nie sprzątaj łazienki! Nie rozbieraj pościeli!

Nie ma takiej możliwości, żeby Abi dotarła aż tak daleko, dudni mi w głowie w rytm moich kroków po mokrym czarnym asfalcie. Ale ona dobrze by wiedziała, jak mnie spowolnić. I, o Boziu, ona potrafi być naprawdę szybka, jeśli tylko chce.

Są tutaj dwa puby. Jeden przy rzece, Fisherman's Arms, a drugi nieco dalej, Thames View, jakby chciał powiedzieć: „nie jesteśmy nad rzeką, ale nadal ją widzimy” – tak powiedział mi Matt, kiedy zabrał mnie tam pierwszy raz na drinka na naszej czwartej czy piątej randce, gdy wciąż jeszcze mieszkał w wynajmowanym pokoju w Twickenham. Boże, to wydaje się tak dawno temu.

Słyszę rzekę, zanim ją zobaczę. Skręcam za róg. Kaczki dryfują po wodzie, tam gdzie ścieżka schodzi w dół. Woda jest wysoka po tych wszystkich deszczach w ostatnich dniach, w połowie drogi do niebieskiej bariery. Na prawo, po drugiej stronie ścieżki, jest płot otaczający ogród należący do pubu Fisherman's Arms. Za nim plac zabaw dla dzieci, niekończące się stoły i ławki, wszystkie puste o tej porze. Deszcz się uspokoił, ale i tak jestem już przemoczona, więc nawet nie zwracam na to uwagi. Wbiegam na ścieżkę i zerkam przez płot, przez ogródek pubowy na bariery po przeciwległej stronie, na rzekę, na spienioną wodę na śluzie. Sam widok tej wzburzonej wody sprawia, że robi mi się niedobrze, ale niczego tam nie ma, zero śladów.

Podbiegam do ujścia kładki. Tutaj rzeka rozdziela się, płynie po śluzie, kieruje się w stronę Richmond, do Westminster, aż do ujścia Tamizy. Po drugiej stronie spacerowicze z psami znikają na schodach prowadzących do następnego mostu; rowerzysta jadący w moją stronę podnosi swój rower na ramię. To nie Matt.

Chcąc uniknąć spienionej wody na śluzie, skręcam w stronę luksusowych mieszkań nad rzeką, łódki kołyszących się na cumach. Brązowe gęsi

szybują w górę rzeki, w kierunku Richmond. Domek dozorczy śluzę stoi na swojej małej zielonej wysepce. Niebo jest szare i ciężkie. Nie ma śladu po mojej córce, ale wiem, że mogła dojść aż tutaj. Mogłaby już być w Ham. Chodzimy tędy codziennie, a ona jest bardzo rezolutna. To, że nigdy nie robiła tego sama, nie znaczy, że nie mogłaby. Jak powiedział Matt: uciekła z grupy maluchów i przeszła przez całą ruchliwą ulicę, zanim ktoś w końcu wpadł na to, żeby zapytać ją, gdzie jest jej mamusia.

Wtedy mnie to przeraziło.

Teraz przeraża mnie jeszcze bardziej.

Za dziesięć dziewiąta. Policja. Muszę zadzwonić na policję. To już za daleko zaszło. Muszę do nich zadzwonić. Nie ma śladu Matta, a ja nie mogę już dłużej czekać.

Biegnę ile sił w nogach, moje płuca napełniają się tlenem i szybko go wypuszczają. Mogła / nie mogła... mogłaby / nie ma mowy... jest małą wędrowniczką / nie odeszłaby tak daleko beze mnie.

Ulica jest jeszcze bardziej zatłoczona. Wycieraczki zbierają krople deszczu z przyciemnianych szyb. Bulwiaste maski lśniących samochodów wygięte w łuk, ich ogromne koła, ich pasażerowie wywyższeni jak jaśnie państwo w powozach konnych. Jedna kropelka deszczu i wszyscy odwożą swoje dzieci do szkoły. Te dzieci to orchidee. Nie mogę zapytać tych ludzi o nic przez ich zaciemnione szyby. Nie usłyszą mnie przez huk swoich stereofonicznych głośników.

Wchodzę na parking Oasis, prywatnego centrum rekreacyjnego nad rzeką. Rozglądając się po wypielegnowanych trawnikach, podbiegam do wejścia, z powrotem do głównej bramy. Ani śladu. Wracam na drogę. Abi musiała wbiec do czyjegoś ogrodu na tyłach. To jedyne wytłumaczenie. Bawi się w najlepsze na czyjejś zjeżdżalni nieświadoma niczego. Albo się schowała i teraz zaczyna się martwić, że jej nigdy nie znaję.

Bu!, zawoła, po czym odrzuci głowę do tyłu i zacznie chichotać z ulgą.

Zrobię wszystko, żeby na nią nie krzyżeć.

Matt jest przed domem. Musiał przyjechać, kiedy byłem na parkingu. Ma na sobie cienki płaszcz przeciwdeszczowy, kask, sprzęt rowerowy. Spogląda w dół, do moich nóg, gdzie powinna być Abi, jej mała rączka w mojej. Zaniepokojenie marszczy jego brew. Krople deszczu spadają na chodnik. Wiem, że czas zadzwonić na policję. Już prawie dziewiąta, mój Boże.

Zalewam się łzami i biegnę do niego.

– Matt.

– Hej. – Przyciąga mnie do siebie. – Spokojnie, gdzieś tu będzie. Nie mogła tak po prostu zniknąć.

Wyswobadzam się z jego ramion.

– A jednak. Może się po prostu zabłąkała albo... ktoś porwał ją z ulicy. Ktoś się po prostu zatrzymał i wciągnął ją do furgonetki.

– Nie mów tak. To nie... Tak się nie mogło stać, no co ty?

– Nie ma jej już tak długo. Długo, za długo! Musimy zadzwonić na policję. O mój Boże, gdzie ona jest, gdzie ona, do jasnej cholery, jest? To moja wina. Zostawiłam otwarte drzwi. Myślałam, że je zamknęłam, ale tego nie zrobiłam. Była w wózku, a nigdy wcześniej nie umiała rozpiąć tego zapięcia. O mój Boże, nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

Trzyma mnie za ramiona, pociesza mnie, kiedy szlocham mu na piersi.

– Ludzie ciągle zostawiają otwarte drzwi. Otwarte drzwi nie zabijają dziecka, nie w tej okolicy, Avo. No proszę cię, to jest naprawdę spokojna okolica, bezpieczna. Postarajmy się uspokoić i pomyśleć logicznie.

Po tym, jak cicho mówi, mogę stwierdzić, że jest zdenerwowany. Dla mojego dobra kontroluje ton swojego głosu, ale za dobrze go znam, żeby tego nie wiedzieć.

– Matt? – szepczę. – Musimy zadzwonić na policję.

Wydyma dolną wargę. Nie mówi – nie. Nie mówi – nie wygłupiaj się. Nie chcę, żeby się ze mną zgodził. Ale on kiwa głową. Zgodził się ze mną. Coś rośnie mi w gardle. Czuję mrowienie na skórze głowy.

– Jesteś pewna, że sprawdziłaś cały dom? – pyta cicho, ale już wyciąga telefon.

– Sprawdzę jeszcze raz. – Otwieram drzwi wejściowe i pędzę do góry, jednym kopnięciem usuwając sobie z drogi naręczce prania, pokonuję schody po trzy naraz, wołając jej imię, jej imię, jej imię.

– Abi? Abi, Abi, Abi.

Zaglądam pod łóżka. Zaglądam do kosza na pranie – pusty. Opróżniłam go. Do szaf. Do wanny. Do kabiny prysznicowej. Już tam sprawdzałam.

– Abi? – Zbiegam na dół, łapię się poręczy i zatrzymuję przed kilkoma ostatnimi stopniami. – Abi? Proszę, wyjdź, kochanie. Mamusia zaczyna się martwić.

Matt chodzi od pokoju do pokoju ze słuchawką przy uchu.

– Abi? – woła. – Abi, wyjdź, skarbie. Jeśli się schowałaś, czas się już pokazać, mamusia i tatuś bardzo się martwią. – A potem mówi do telefonu:

– Halo, z policją proszę.

Bum, bum, bum, dudnienie mojego serca. Wszystko robi się białe – jak po wybielaczu, dziwne. Wszystko zwalnia.

Matt wychodzi z domu, zatrzymuje się na kwadratowym ganku. Ja kulę się i szlocham w jasnym holu. Plecy mojego męża są cieniem. Jakże szczupło wygląda pochylony nad telefonem, w swoim czarnym płaszczu przeciwdeszczowym. Sekunda po sekundzie. Uderzenie serca za uderzeniem serca. Zegar. Metronom. Serce.

Porusza głową.

– Tak – mówi. – Halo, tak, chcę zgłosić zaginięcie dziecka.

Rozdział 3

Ava

Niemal rok temu, a jednocześnie jakby wczoraj. Niezależnie od tego, ile upłynie czasu, zawsze będzie wczoraj i będę musiała się z tym jakoś pogodzić. Wczoraj i to wszystko, co powinnam zrobić, co miałam zrobić inaczej, tkwi we mnie w każdej sekundzie, okrywa wszystko czarnym i długim cieniem. Walczę z wczoraj, każdą sekundą dnia dzisiejszego i jutrzejszego, i będę walczyć już zawsze. Pranie wypada mi z rąk. Lecę za nim. Wózek jest pusty. Drzwi wejściowe są otwarte. Zostawiłam je otwarte. Ja. I tak w kółko. Moja beztroska. Moja głupota. Moje samolubne, egoistyczne ja. Muszę patrzeć na siebie, na nią. Muszę patrzeć na nią z drugiej strony szklanej tafli, przyciskając mocno palce do szyby, aż bieleją mi opuszki. Ja tego ranka – beztroska, głupia, samolubna. Przyciskam dłonie do szyby i krzyczę: Avo! Zapomnij o świecie online, choć dzisiaj. Zapomnij o tym, że czujesz się samotna. Zejdź na dół. Teraz. Bądź ze swoją małą dziewczynką. Ona jest zupełnie wystarczająca.

Ale ona nie słyszy moich krzyków. Nie słyszy mojego walenia pięściami w szybę. Zamknij drzwi. Zamknij je, Avo. Proszę! Zamknij drzwi.

Łzy płyną bez końca. Jestem kobietą, która ma córkę. Jestem kobietą, która miała córkę. Oba zdania są prawdziwe. Żyję w przeszłości. Trwam w teraźniejszości. Byłam nią. Jestem mną. Moja córka żyje. Moja córka nie żyje. Zwyczajnie się zgubiła. Odeszła na zawsze. Cyk, cyk, cyk – jej serce jest cykaniem metronomu, który stoi na moim pianinie, zatrzymanego w moim cichym salonie, teraz, gdy cała muzyka ustała. Moja córka jest idealnym rytmem. Moja córka jest dysonansem w diabelskim akordzie, tą drażniącą kombinacją nut graną celowo, by wytrącić słuchacza z równowagi, by wzbudzić w nim napięcie. Tak więc zostałam, czekając na rozwiązanie, które nie nadchodzi. Jestem zawieszona – wczoraj, dzisiaj, na zawsze.

Sąsiedzi wychodzą z domów. Rozkładają bezradnie ramiona. Rozglądają się. Sekundy. Uderzenia serca. W moich wnętrznościach zalega ciężar. I staje się tam coraz cięższy. Zadomawia się.

Każdy dzień jest nowy. Jeśli dziś pójdzie coś nie tak, jutro znowu będzie nowy dzień. I tak dalej. Przez pewien czas byłam chora. To najlepsze określenie. Kiedy byłaś chora. Byłam wtedy w klinice, a mój brzuch zaokrąglął się wraz z nowym życiem rosnącym we mnie, podczas gdy ja usiłowałam ogarnąć własne. Teraz jestem w domu. Moje sesje terapeutyczne zostały zredukowane do jednego spotkania w tygodniu. Konsultacje po traumie. CBT[2]. Przestań sprawdzać drzwi. Przestań, jeśli możesz. Wczoraj jest długim, czarnym cieniem. Próbuję dostrzec moją drogę w tej ciemności.

Fred ma trzy miesiące. Trzyma mnie przy życiu; to żadna przesada. Być może jest jedynym, co trzyma mnie przy życiu. Jego siostra jest dwuletnią dziewczynką na zdjęciu w ramce. Matt mówi mi, że musimy żyć dalej. Mówi, że Fred nam w tym pomoże, bo dla niego musimy być silni. Nowe życie przynosi nową nadzieję, tak mówi Matt. Przyczepił się do tych aforyzmów, bo musi, a ja mu to wybaczam. Nie chce, żebym była taka smutna. Nikt nie chce. Ale jeśli jeszcze kiedyś ktoś powie mi, że Bóg daje nam tylko tyle, ile jesteśmy w stanie znieść, albo że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, przysięgam, że przywalę mu w szczękę. Kopniakiem wybiję mu wszystkie zęby. Napluję mu w tę durną gębę.

Nigdy wcześniej nie miewałam takich myśli.

Byłam uprzejma, dowcipna. Uprzejmość zniknęła, dowcip zamienił się w sarkazm. Gdybym spotkała teraz samą siebie, trzymałabym dystans. Jest jakaś podenerwowana, pomyślałabym. Nie jestem przekonana, czy mogę jej zaufać. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego niektórzy są wredni dla innych. Teraz rozumiem.

Fred jest mniejszy niż Abi, kiedy była w jego wieku, ale już niedługo przesiądzie się do wózka spacerowego. Jego głęboki wózek to ten sam, którego używałam dla Abi, zanim przesiadła się do spacerówki. Chciałam kupić nowy wózek dla Freda, ale są drogie, a Matt ma rację, kiedy mówi, że nie można zapomnieć o przeszłości, wyrzucając wszystko, co do niej należy. Przeszłość to wspomnienia, dobre lub złe. Zniszczenie jej oznaczałoby zniszczenie wynikających z niej lekcji. Tak mówi. Dla mnie to nie jest łatwe.

– Chodzi o to, że ja nie chcę całkiem o tym zapomnieć – mówię do Barbary, kiedy jestem w trakcie zużywania niemal całego opakowania chusteczek higienicznych. – Ja po prostu nie chcę pamiętać każdej sekundy i czuć, że to moja wina. Chcę być w stanie spojrzeć na jej zdjęcie i przestać trzymać się kurczowo nadziei, że zadzwoni dzwonek do drzwi i ktoś tam będzie stał z nią w ramionach, i powie: „Proszę, znalazłem ją. Jest bezpieczna. Nic jej nie jest. Przez cały ten czas żyła w jakiejś alternatywnej rzeczywistości wolnej od bólu”.

Nawet w chwili, gdy to mówię, pojawiają mi się przed oczami zamglone obrazy w pastelowych barwach różu i błękitu. Abi odrzuca do tyłu głowę i śmieje się – tak jak zawsze się śmiała z ciepłymi promieniami słońca we włosach. Jak wpadała z chichotem w moje ramiona. Nieskrzywdzona, nietknięta, szczęśliwa jak w dniu, w którym odeszła.

– Chcę wyobrazić ją sobie w rzeczywistości – mówię do niej, do biednej Barbary, której płacę za to, żeby wysłuchiwała tego wszystkiego. – Chcę przestać sobie wyobrazać, gdzie ona może być... bo jeśli nie umarła, to znaczy, że ktoś ją porwał. Gdybym tylko mogła pozbyć się tej myśli, mogłabym przynajmniej pograć się w żałobie.

Barbara potakuje i słucha. Wie, że pracuję nad używaniem czasu przeszłego. Kiedy mówię to samo do Matta, on również słucha. Ale potem naciska na mnie mocniej. Mówi: „Musimy zaakceptować fakty, kochanie. Musimy żyć dalej albo będziemy żyć w zawieszeniu”.

Nie odpowiadam. Nie umiem znieść takiej rozmowy. Postanawiam kupić nową spacerówkę dla Freda. Są granice.

Fred był już w drodze, gdy Abi zniknęła. Myślałam, że zamglone myśli i mdłości były spowodowane przerywanym snem i niekończącą się aktywnością tego małego, bystrego, ciekawskiego dziecka. Szerszą talię zrzucałam na to, że po ciąży trudniej jest utrzymać prawidłową wagę, że być może moje kształty się zmieniły. Ale w końcu spóźnił mi się okres i dzień przed tym, jak zniknęła Abi, to była niedziela rano, zakradłam się do łazienki, zrobiłam test i zobaczyłam je – dwie niebieskie linie. Krzyknęłam, a w żołądku mi wirowało, gdy zbiegałam na dół. W kuchni pachniało już wolno pieczoną wieprzowiną, którą Matt zaczął przyrządzać przed świtem; warzywa były już pokrojone i czekały w garnkach w zimnej wodzie, stół nakryty dla Neila i Belli, którzy mieli przyjść na późny lunch. Abi była w ogrodzie z tyłu domu i pomagała Mattowi przy naprawie roweru, który był zawieszony na stojaku rozstawionym na trawniku. Było

słonecznie, choć chłodno. Matt zaopatrzył ją w wiaderko z wodą z mydłem i szmatkę, i ze śmiertelną powagą na twarzy myła koła.

– Matt!

Nasze spojrzenia spotkały się nad głową Abi. Podniosłam test do góry i w moich oczach rozbłysnął jego uśmiech.

– Co to? – Abi wskazywała na plakietkę. Miała na sobie żółte kalosze i różowe spodenki, a przód jej pasiastego sweterka był przemoczony tam, gdzie rozlała na siebie brudną wodę. Jej twarz też była trochę brudna, pomazana smarem z koła roweru.

Wsunęłam test do kieszeni.

– Tylko szczoteczka do zębów, która mi się złamała – powiedziałam, przewracając oczami, ale ona zdążyła już wrócić do swojego zadania.

Ponownie spojrzałam na Matta i zobaczyłam w jego oczach obietnicę tego, co nastąpi później – przytulasy i pełną emocji rozmowę, kiedy Neil i Bella już wyszli, a my leżeliśmy w łóżku i zastanawialiśmy się, kiedy mogło do tego dojść, gdyż wtedy mieliśmy ku temu wiele okazji.

Ale pamiętam, że czułam radość. A skoro to pamiętam, to znaczy, że byłam zdolna do takich uczuć.

Tego dnia mieliśmy spotkać się na grilla, ale wrzesień przyniósł unoszący się w powietrzu chłód, więc Matt postanowił, że zamiast tego przygotujemy pieczeń na kolację. To on zawsze zajmował się jedzeniem. Do mnie należało nakrywanie do stołu i zmywanie naczyń. Pozwalał mi obierać i kroić, ale na tym koniec. Piliśmy drinki przy wysokim barze, a Neil i Bella skupiali całą uwagę na Abi.

– Co tu masz? – Neil wskazał na jej klatkę piersiową. Kiedy spojrzała w dół, dał jej pstryczka w nos. Roześmiała się, chociaż robił tak za każdym razem.

– Chodź, NeeNee. – Złapała go za rękę i pociągnęła za sobą do salonu. Poszedł, przewracając oczami i ociągając się, jakby był aresztowany, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że uwielbiał, gdy Abi chciała go mieć całego tylko dla siebie. Chciała, żeby zbudował jej tor kolejowy. Zawsze robił go dla niej w kształcie ósemki, a potem siedział na podłodze, pchał po torach zestaw z bajki Tomek i przyjaciele i wydawał z siebie dźwięki ciuch-ciuch. Był o wiele lepszy w zabawie z nią niż ja. Potrzebował jedynie nielimitowanego zapasu piwa.

Nie zamierzaliśmy im jeszcze o tym mówić. Ale kiedy usiedliśmy przy stole i odmówiłam kieliszka czerwonego wina, Bella zapytała:

– Nie napijesz się nawet kieliszka do posiłku?

Belli nie dało się spławić. Odmówiłam już musującego aperitif, wymawiając się słabo przespaną nocą, co po części było prawdą.

– No... nie – odpowiedziałam, czując, że oblewam się rumieńcem.

Oczy Belli zrobiły się ogromne. Zerknęła na Matta, potem na mnie i uśmiechnęła się.

– Jesteś?

Roześmiałam się.

– O mój Boże, jesteś! – Miała łzy w oczach, które wzięłam za wzruszenie.

– Gratulacje, moi drodzy – wtrącił się Neil i uniósł kieliszek. – Naprawdę cieszę się za was oboje.

Zapadła cisza. Nie umiałam zrozumieć, co się stało. Nadal nie umiem. Ale to było zdecydowanie niezręczne. Wtedy pomyślałam, że to może dlatego, że poczuli się urażeni, że musieli się domyślać, skoro byli naszymi najbliższymi przyjaciółmi.

– Chcieliśmy poczekać, aż ciąża będzie bardziej zaawansowana – powiedziałam. Brzmiało to niemal jak przeprosiny.

W końcu Neil rzucił jakiś komentarz na temat pysznego mięsa, Matt skwapliwie odpowiedział z bezsensowną informacją o tym, ile godzin spędziło w piekarniku i w jakiej temperaturze, a Bella w tym czasie opróżniła kieliszek i nalała sobie kolejny. Kiedy wracam teraz myślami do tamtego dnia, myśl o nich, że mogliby nas odwiedzić, wydaje mi się kompletnie obca. Nie byli u nas od tamtego dnia, a przynajmniej nie tak jak wtedy. Byłam chora, a potem nie miałam na to ochoty, później przyszli na krótko, kiedy urodził się Fred, ale nie byłam w stanie prowadzić uprzejmych rozmów, a teraz chyba minęło już zbyt wiele czasu.

Tragedia jest jak choroba zakaźna. Ludzie cię unikają. Nie chcą się zarazić.

Na szczęście Fred jest spokojnym dzieckiem, spokojniejszym niż była Abi. Czasem myślę, że został zesłany, żeby nas uzdrowić, jakby jakaś siła wyższa wiedziała, że będziemy go potrzebowali. I śpi, alleluja! Zupełnie jakby wiedział, że musi obchodzić się z nami jak z jajkami, bo tacy stali się jego rodzice.

Nowe życie przynosi nową nadzieję, mówi Matt. Ale to jest nadzieja, która w końcu mnie zabije.

Fred gaworzy cicho z wózka, jakby chciał zwrócić na siebie moją uwagę.

– Hej. – Matt jest na schodach. Ma na sobie swój strój rowerowy, jest gotowy do wyjścia do pracy. Wpatruje się w telefon, pisząc wiadomość. – Byłaś myślami daleko stąd.

– Och, wybacz.

– Wszystko w porządku?

– Tak, a u ciebie?

– Właśnie piszę do Neila – odpowiada. – Chcę umówić się z nim później na bieganie, jeśli będzie miał ochotę.

– Dobry pomysł.

Tak wyglądają wszystkie nasze rozmowy ostatnio – ostrożne wymiany zdań w domu bez Abi. On i Neil trenują do triathlonu – przyjaciele z dzieciństwa usiłują trzymać się blisko po pokłosiu niewypowiedzianej tragedii. Nie, Matt o tym nie mówi; o tym, że teraz ich przyjaźń wymaga obopólnych starań, podczas gdy kiedyś przychodziła im zupełnie naturalnie, byli jak rodzina.

– Co to? – dziwi się Matt.

Podążam za jego spojrzeniem na grubą kremową kopertę z czerpanego papieru leżącą na wycieraczce. Nie ma znaczka.

Państwo Atkins, jest na niej napisane eleganckim, fioletowym, odręcznym pismem.

Odkąd ją podniosłam, Matt trzyma mnie za ramię.

– Co to jest?

– Jeszcze nie wiem. Nie mam rentgena w oczach. – Jestem dla niego ostra. Nie chcę tego, nigdy taka nie byłam. Rozdzieram kopertę.

– Zaproszenie? – Dziwi się ponownie mój mąż.

– Na to wygląda.

Drodzy sąsiedzi,

zapraszamy na parapetówkę w naszym domu przy Riverside Drive 90 w sobotę, 31 sierpnia.

Będzie jedzenie, napoje i, mamy nadzieję, dobra zabawa.

Zaczynamy o 20 (bez dzieci, wybaczcie!).

Prosimy o potwierdzenie przybycia.

Pozdrawiamy,

Johnnie, Jennifer, Jasmine i Cosima Lovegood

Pod tekstem zaproszenia Jennifer dopisała tym samym odręcznym pismem co na kopercie: Mam nadzieję, że dacie radę, kochani. Jen.

– To tuż obok – Matt stwierdza oczywistość. Zgniatam papier w kulkę. – W sobotę za tydzień. Będziemy mogli zajrzeć do ich nowej kuch... Co ty robisz? Hej, nie niszczy tego!

– Co? Chyba nie zamierzasz tam iść?

– Ava. – Delikatnie łapie mnie za rękę, otwiera moje zaciśnięte palce i wyciąga zmiętą kulkę z mojej dłoni. Jego łagodne, brązowe oczy patrzą prosto w moje, tak samo jak tamtego ranka. To niczyja wina, Avo. Ludzie ciągle zostawiają otwarte drzwi. – Pójdźmy. Może być fajnie. Jakaś miła odmiana.

– Chyba nie mówisz poważnie?

Odkłada pogniecione zaproszenie na bok, po czym ponownie patrzy na mnie. Ma otwarte dłonie, ręce opuszczone wzdłuż tułowia. Przechyla lekko głowę na bok, zanim się odezwie.

– Posłuchaj – zaczyna.

– Nie zamierzam słuchać – przerywam mu. Moje drżące słowa nie pasują do sztucznie płaskiego tonu głosu.

Podnosi ręce do góry w obronnym geście.

– Nic nie mówię. Tylko... wiem, że to będzie trudne. Nie mówię, że nie. Nie mówię, że to nie będzie trudne, okej? Okej? Ale tylko przez jedną sekundę postaraj się uwierzyć, że to może być... jeśli nie dobra zabawa, to przynajmniej, że może być interesująco. Być może dzięki temu będziemy w stanie pomyśleć o czymś innym, choć przez krótką chwilę. Może nie jest to otwarcie modnego pubu w podziemiach, ale to będzie impreza roku, no wiesz, w kategoriach podmiejskich. Każdy marzy o tym, żeby zerknąć do środka. Od miesięcy cała ulica nie mówi o niczym innym, tylko o rozbudowie u Lovegoodów. Pete Shepherd pewnie dostanie zawału. Serio, odkąd tylko zaczęli budowę, non stop mi o niej nawija; wie więcej na temat ich nowej kuchni niż sam Neil. Założę się, że już się zaczął szykować, pewnie nawet zdążył założyć krawat.

Uśmiecha się, ale nawet w jego uśmiechu widzę, że jest rozczarowany, że nie rozśmieszył mnie choć trochę.

– Poważnie, skarbie. To może być dla nas dobre. Wszyscy tam będą.

– Dokładnie! Właśnie o to mi chodzi. Nie jestem w stanie stawić czoła sąsiadom pojedynczo, a co dopiero im wszystkim zgromadzonym w jednym pokoju. Co mam im, do cholery, powiedzieć? Co oni mogą, do cholery, powiedzieć mnie? Co ktokolwiek może do mnie powiedzieć? Naprawdę tego nie rozumiesz?

– Rozumiem, oczywiście, że rozumiem. Ale musimy czasami z nimi porozmawiać. Może będzie łatwiej załatwić to hurtem w jeden wieczór. W ten sposób możemy pokazać nasze twarze i następnym razem, gdy ich zobaczysz, nie będzie tak źle.

Patrzę w jego oczy, żeby sprawdzić, czy żartuje. Najwyraźniej nie.

– Ich mała kończy trzy latka w przyszłym tygodniu – mówię. – Cosima.

Gładzi mnie po ramieniu.

– Wiem.

– Abi miałyby już trzy latka.

– Przestań.

– Chodziłyby razem do szkoły. Kiedyś. – Po moich policzkach spływają gorące łzy. Wielka studnia bez dna bulgocze, przelewa się.

– To przyjęcie nie musi dotyczyć Abi – niemal szepcze. – Możemy pokazać, że żyjemy dalej, próbujemy zrobić ten krok. A ich kuchnia będzie spektakularna, gwarantuję. Coś w stylu rozkładówki w magazynie Hello!

Jestem taka zmęczona. Nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi mnie nic, co właśnie powiedział.

– Nie mogę – mówię w końcu. – Nie dam rady iść na żadne przyjęcie. Jest za wcześnie. Przykro mi. – Opieram czoło o jego pierś i czuję, że obejmuje mnie ramionami.

– Ciii. – Przyciska usta do moich włosów. – Nie płacz. Nie musimy iść, jeśli nie chcesz. Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz.

Trwam w jego ramionach, ale mur wokół mnie staje się coraz grubszy i twardszy. Nie muszę robić niczego, czego nie chcę? Każdej minuty, każdego dnia muszę robić rzeczy, których nie chcę. Nie chcę ciągle przeżywać wydarzeń tamtego poranka, ale robię to. Nie chcę w kółko oglądać przesuwających się klatek tego filmu, który powstał w mojej głowie, niczym powtarzającej się ciągłej tortury. Nie chcę musieć wkładać mojego nowego synka do wózka jego siostry, tutaj, w tym surrealistycznym braku obecności, wiedząc, że kiedyś miał siostrę, że być może nadal ma siostrę, gdzieś tam, ale że ja ją straciłam. Że zostawiłam otwarte drzwi i pozwoliłam jej wyjść, Bóg jeden wie gdzie. Nie chcę wychodzić przez te same drzwi każdego dnia i powstrzymywać się od potrójnego, poczwórnego sprawdzania, że są zamknięte, za każdym razem, gdy wracam do domu. Nie chcę zatrzymywać się na ulicy i rozmawiać z ludźmi, którzy wiedzą, co się stało, którzy czytali te straszne historie w gazetach, którzy rzucają uprzejme słowa pełne nieuchwytnych wskazówek, które jak ciemny

dym otaczają moje wątpliwe standardy, moje powolne reakcje, moją sprawność jako matki. Nie chcę tam stać, próbując nie słuchać tego, czego nie mówią, próbując nie słyszeć skrzypienia ich szyi, gdy kiwają głowami ze współczuciem, które może być lub nie być prawdziwe. Nie chcę musieć stawiać jednej stopy przed drugą. Nie chcę musieć wdychać i wydychać powietrza. Nie chcę się myć, jeść, żyć. Nie chcę myć moich pieprzonych włosów.

Jedynego czego chcę, to powiedzieć teraz o tym wszystkim Mattowi. Ale nie robię tego. To byłoby nie fair. To ja zostawiłam otwarte drzwi, nie on. I przez ten cały czas, przez te wszystkie łzy, rozpacz i zamieszanie, które potem nastąpiło, nigdy mnie o to nie obwinił.

Rozdział 4

Ava

Wyciągam rzeczy z kosza na pranie. Mam ręce pełne prześcieradeł, poszew na kołdry i poduszki. Skupiam się na tym, by trafić stopą na schodki. W zasięgu mojego wzroku pojawia się spacerówka, siatka z tyłu. Nie ma Abi. Upadam. Łąduję na stercie brudnej pościeli. Wstaję, pocieram dłonie. Wpadam do holu, wołam ją. Dom naprzeciwko. Latarnia. Widzę latarnię.

Drzwi wejściowe. Drzwi wejściowe są otwarte na oścież.

– Gdybym tylko zamknęła te drzwi – szlocham kilka godzin później do Matta.

Tuli mnie mocno. Razem się kołyszymy.

– Avo, nie możesz sobie tego robić. Nie myśl o tym. Proszę cię, Avo, doprowadzisz się do szaleństwa.

Uderzenie serca za uderzeniem serca. Czasami sekundy przeskakują. Minuty się mieszają. Matt stoi jak cień w drzwiach i wykonuje telefon. Jest taki szczupły. Odwraca się, wsuwa telefon do wewnętrznej kieszeni kurtki, jego ciało ciężko opiera się o ścianę, zwiesza głowę.

– Zaraz kogoś tu przyślą.

Widzę go. Widzę go ciągle, na okrągło. Sekunda po sekundzie, jak odsuwa telefon od ucha. Zaraz kogoś przyślą. Twarz wykrzywiona szokiem. Ciało wygięte w znak zapytania. Jego wyraz twarzy odzwierciedla mój własny. Bez końca.

– Myślałam, że trzeba poczekać, aż uznają kogoś za oficjalnie zaginionego?

Potrząsa głową i odpowiada tylko:

– Już jadą.

Później zauważam ślady ugryzienia na ręce. Może obgryzałam palce, gdy wybiegłam znowu na ulicę. Czy ja to pamiętam? Nie jestem pewna. Czy widzę siebie biegnącą ulicą i gryzącą własną rękę? Widzę, ale to może być

tylko obraz w mojej głowie stworzony na podstawie śladów – dedukcja. To, czego jestem pewna, to fakt, że kiedy tylko Matt zadzwonił na policję, pobiegłam z powrotem do Neila i Belli. Widzę siebie walącą ponownie w ich drzwi, szlochającą rozdzierającą, pełną gorzkich usprawiedliwień, dlaczego to nie może się dziać i nie może przytrafić się mnie. Zrobiłam wszystko co w mojej mocy, naprawdę wszystko. Bardzo się starałam, by tak było, nie ominęłam żadnej broszury, przeszłam szkolenie z pierwszej pomocy. Wiem, jak wykonać chwyt Heimlicha, jak zrobić usta-usta, jak ułożyć kogoś w bezpiecznej pozycji.

Ale nie zamknęłam drzwi wejściowych i żadna ilość fachowej literatury nie może tego zmienić.

Dobijam się znowu do drzwi Neila i Belli, zbliżam usta do wrzutnika na listy i uchylam go palcem.

– Neil? Bel? Tu Ava. Pomocy. Potrzebuję pomocy.

Przykładam ucho do drzwi, walę w nie pięścią. Z oddali słyszę wycie syren. Kolejna sekunda. Zdaję sobie sprawę, że te syreny są tu dla mnie. Drzwi się otwierają. Neil ma mokre włosy. Poprawia szelkę swojego białego kombinezonu roboczego, a na jego twarzy maluje się troska.

– Ava?

– Jest u was Abi?

Potrząsa głową.

– Nie, dlaczego? Czy coś się stało?

Cofam się lekko chwiejnym krokiem.

– Abi zaginęła. Pomyślałam, że mogła... Muszę iść. Policja przyjechała.

– Zaginęła? – Neil robi grymas, coś między dezorientacją a paniką. – Policja? Chryste.

Biegnie ze mną. Słyszę za sobą dudnienie jego kroków.

– Matt tam jest? – pyta bez tchu.

– Tak, tak, wrócił. Pukałam do was już wcześniej.

– Naprawdę? Wybacz, kochana, byłem pod prysznicem.

Coraz więcej sąsiadów wychodzi na ulicę. Wyglądają na zatroskanych, widać to w ich ruchach. Rozkładają ramiona w geście niezrozumienia, osłaniają oczy dłonią przed słabym słońcem, nachylają się do siebie głowami, wypytują się nawzajem o to, co się stało. Patrol policyjny parkuje przed moim domem. Niebieskie światła błyskają i przestają.

– Widzieliście Abi? – pytam sąsiadów, przebiegając obok nich. – Moją córeczkę. Gdzieś poszła.

- Nie, przykro mi.
- Widzieliście moją dziewczynkę?
- Nie, wybacz.

Co ja wiem na temat tamtego ranka? Nic. Tylko strach zacierający wszelkie spójne myśli. Upływ czasu. Zniekształcone widzenie. Byłam / jestem ślepa. Byłam / jestem głucha. Byłam / jestem bez czucia. Matt rozmawiał / Matt rozmawia z dwojgiem policjantów na ścieżce prowadzącej do naszego domu, mają na sobie odblaskowe, czarno-żółte kamizelki. Trzeszczenie radia, samochód w żółto-niebieską kratkę był / jest zaparkowany na naszej drodze. Neil był / jest ze mną. Obejmuje mnie ramieniem. Mówi mi, żebym się uspokoiła, że ją znajdziemy.

– Nie martw się, kochanie – pociesza mnie. – Nie martw się.

– To moja żona, Ava – mówi Matt teraz, wczoraj, dzisiaj, rok temu, wciąż i wciąż. Mundurowi na mojej ścieżce to kobieta i mężczyzna. Z ich radioodbiorników wydobywają się dudnienia i trzaski. Czerń i biel. Odblaskowa żółć. Powietrze się przerzedza, moja skóra się kurczy.

– Witam. – Mój głos jest cichy. Dziwny i dobiega z oddali.

– A to Neil – przedstawia go Matt. – Nasz bliski przyjaciel. Jest ojcem chrzestnym Abi.

Neil wyciąga rękę, potrząsa ich dłońmi.

– Zgadza się – odzywa się.

– Witamy.

A potem jesteśmy w kuchni – ja, Matt i dwójka policjantów. Musieliśmy przejść przez bramę garażową, bo drzwi wejściowe do domu zostały zabezpieczone taśmą, hol jest teraz potencjalnym miejscem przestępstwa. Mój hol. Nasz dom. Policjanci wezwali posiłki, ale nie jestem pewna, czy już o tym wiem. Później dowiem się, że zadzwonili po psy tropiące i po oficera dyżurnego, który nazywa się Bill Simmonds.

Ale jeszcze nie.

Teraz siedzimy przy wysokim barze. Chcę krzyknąć na nich, żeby nie siadali, jak ktokolwiek może siedzieć, gdy moja córka jest gdzieś tam. Nie mamy czasu. Straciliśmy go już zbyt wiele. Mężczyzna, posterunkowy, który nazywa się Simon Peak, wyciąga notatnik. Kładzie go sobie na kolanie. Kobieta nadal stoi. Ktoś odzywa się w jej radiu. Odbiera i wychodzi przez drzwi tarasowe do ogrodu z boku domu.

– Pani Atkins – zwraca się do mnie posterunkowy Peak. – Proszę opowiedzieć dokładnie, co się stało.

Zaczynam, najlepiej jak potrafię, ale nie zdążyłam powiedzieć zbyt dużo, bo w drzwiach tarasowych pojawia się Neil, wyciągając przed siebie rękę. Ma mokre oczy i bladą twarz.

– To leżało na drodze.

Z jego ręki zwisa bezwładnie pluszowa zabawka mojej córki. Pan Leniwiec.

– O mój Boże. – Moje słowa są piskliwe. Zatykam usta dłonią.

Matt wstaje.

– Gdzie?

– Na... na skraju trawnika. Za waszym autem, od frontu. – Neil marszczy brwi. Jego oczy to błękitne jeziora smutku. Podaje mi pluszaka. Jest mokry. Zdejmuję dwa mokre listki z jego futerka i przyciskam zabawkę do czoła, potem do nosa. Wdycham jego zapach, ale pachnie wilgocią i ziemią. Nie pachnie jak Abi.

– Będę musiał to wziąć – mówi Peak.

Nie rozumiem.

– Co się z nią stało?

– Wygląda na to, że wyszła – odzywa się Matt.

– Pani Atkins? Pani Atkins. – Peak patrzy na mnie. Wiem, że ma kamerę w klapie, bo mi o tym powiedział, chociaż nie jestem pewna kiedy.

– Przepraszam, co? – mówię, myśląc o tym, że Neil znowu musiał wyjść, bo nie ma go tutaj.

– Pytałem o jakiej godzinie zagineła – pamięta pani?

– Poszłam na górę parę minut przed ósmą. Ale ona była całkiem zadowolona, więc zajęłoby jej trochę czasu, zanim by się znudziła... była zupełnie spokojna, więc, powiedzmy, że zeszłam na dół około kwadrans po ósmej? Nie wiem dokładnie, nie co do minuty, ale zakładam, że najwcześniej mogła wyjść pięć, dziesięć po. Ale wołałaby mnie. Słyszałabym, gdyby się niecierpliwiła. No i była zapięta w wózku. Myślałam, że zamknęłam drzwi frontowe, ale klamka musiała odskoczyć, gdy je zatrzasnęłam.

– Może mi pani powiedzieć w skrócie, co się stało?

– Zeszłam na dół. Jej wózek był pusty. Drzwi wejściowe były otwarte.

Policjant notuje. Staram się nie rozpraszać odgłosem kolejnych syren na ulicy. Wydaje mi się, że słyszę głos Neila na zewnątrz – musi z kimś rozmawiać. Jego rzeczowy ton sączy się przez otwarte okno nad zlewem.

– A potem? – Policjant nadal wpatruje się we mnie. Peak, tak ma na nazwisko. – Nie spisuję oświadczenia, pani Atkins, po prostu chcę zebrać jak najwięcej informacji w jak najkrótszym czasie. Radzi sobie pani naprawdę dobrze.

Czasami te uderzenia serca występują epizodycznie. Gubią mi się sekundy. Minuty mi się mieszają. Matt pamięta wszystko inaczej. Kłócimy się o to, co wydarzyło się potem.

Teraz stoi przed nami oficer dyżurny Bill Simmonds. Jest przedpołudnie. Jego włosy są w kolorze ciemnego blondu. Nadal jesteśmy w kuchni i mam świadomość, że się powtarzam. Simmonds mówi mi, że przepytują sąsiadów. Wyjaśnia, jak zorganizują poszukiwania, jak będą je stopniowo rozszerzać – nasz dom będzie w centrum wydarzeń.

– Sierżancie – wtrąca się kobieta, ta, która była tu wcześniej. Zapomniałam, jak się nazywa. Stoi przy tylnych drzwiach. Jej brązowe włosy są zebrane w niedbały koczek. – PolSA będzie tu za pół godziny.

Patrzę to na jedno, to na drugie z nich.

– Co to jest PolSA?

– To specjalna jednostka poszukiwawcza – wyjaśnia mi Simmonds.

– Psy też już są w drodze – dodaje kobieta.

– Psy? – dziwię się. – Psy, o mój Boże.

To eskaluje. Eskaluje zbyt szybko.

Sierżant Simmonds zmienia pozycję.

– Proszę się nie niepokoić, pani Atkins. W przypadku zaginięć dzieci procedura jest taka, by korzystać z tych zasobów od razu po otrzymaniu zgłoszenia. Te psy są wyszkolone, by wytropić waszą małą córeczkę, a specjalna jednostka również robi wszystko, by ją znaleźć.

Wymyka mi się szloch. W głowie mi pulsuje, widzę gorące, białe rozbłyski.

– O mój Boże. O mój Boże.

Matt głaszcze mnie po plecach. Jeździł na rowerze, a teraz siedzi na stołku obok mnie.

– Ciii, ciii, ciii, już spokojnie. – Próbuje być dzielny, ale brzmi jak mały chłopiec.

Simmonds wydaje polecenia pani policjantce przyciszonym i szybkim głosem.

– Sprawdźcie ogrody, dobra? Garaże, szopy, no i domy. Pytajcie, czy widzieli kogoś, kto jechał zbyt szybko, jakieś obce auta, kogokolwiek, kto

według nich mógł wyglądać podejrzanie, kogoś nie stąd, czy ktokolwiek widział małą dziewczynkę w niebieskim płaszczu i kremowej czapce. Wybierzcie zdjęcie. Dajcie mi znać, jeśli ktoś nie będzie chciał współpracować.

– Wydaje mi się, że mamy już zdjęcie, sierżancie. Sprawdzę.

– Pani Atkins – zwraca się znowu do mnie. Wiem to, bo zaczął mówić głośniej. Kiedy podnoszę wzrok znad moich kolan, patrzy prosto na mnie. – Wiem, że to trudne, ale proszę spróbować przekazać nam jak najwięcej szczegółów. Chcemy, żeby nasze poszukiwania były jak najbardziej efektywne.

Opowiadam tak samo, jak przekazywałam posterunkowemu Peakowi. Mówię najlepiej, jak potrafię. Notuje, podnosi głowę i mówi do swojego radia:

– Wolfy – mówi – sprawdź monitoring, powtarzam, sprawdź monitoring.

– Tu nie ma monitoringu – mówię. – Nie sądzę, żeby tu był. Przynajmniej nie na tej ulicy. Może na Thameside. To nie ten rodzaj... – Patrzę na Matta. Na jego policzkach widać różowe ślady po kurzu ze ścieżki rowerowej. Widząc jego spięte ramiona, zdaję sobie sprawę z własnego zdenerwowania. Oboje czujemy się tak, jakbyśmy spadli z wysokości. Musimy wykazać się ogromem silnej woli, żeby utrzymać nasze ciała w pionie.

Sierżant Simmonds wstaje i zwraca się do Matta:

– A pan wrócił, tak?

– Tak. Ava zadzwoniła do mnie i wróciłem.

– Widział pan córkę przed wyjściem do pracy?

– Tak. Tak, oczywiście.

– A gdzie pan był, kiedy żona zadzwoniła?

– Chyba na Richmond Bridge. Na ścieżce rowerowej. Złapałem gumę, inaczej byłbym już w pracy.

Policjant kiwa głową.

– W porządku. Sugeruję, żebyście oboje państwo zostali tutaj, na wypadek, gdyby mała Abi wróciła albo ktoś usiłował się z państwem skontaktować.

Matt robi krok do przodu.

– Mogę pomóc w poszukiwaniach?

Ja również wstaję.

– Ja też chcę szukać. Muszę ją znaleźć. Proszę.

Matt zaciska rękę na moim ramieniu. Chce coś powiedzieć – coś o tym, że jestem w ciąży – jednak kolejna kobieta pojawia się w naszym ogrodzie, przecina trawnik, idzie w stronę przesuwanych drzwi tarasowych. Nie ma na sobie munduru. Jest wysoka i dobrze zbudowana, i jest w mojej kuchni, a ja nie mam pojęcia, kim ona jest.

– Ava Atkins? – Wyciąga do mnie rękę, kiedy potakuję. – Posterunkowa Lorraine Stephens. Jestem waszym oficerem łącznikowym. – Jej dłoń jest sucha i ciepła. Ma duże ciemnozielone oczy i krótkie siwe włosy. – Zostanę tu z wami, dobrze? Będę przy was, gdy policja będzie wykonywała swoje obowiązki i będę wam przekazywała wszystkie ustalenia.

Matt wychodzi za Simmondsem z domu. Słyszę kroki, ktoś biegnie po ścieżce. Matt pojawia się z powrotem w drzwiach tarasowych.

– Bella ma zdjęcie Abi z wczoraj, chcą je wydrukować. – Jego wzrok spoczywa na moim brzuchu. – Dasz sobie radę?

Potakuję, moje oczy ponownie zachodzą mgłą.

– Idź.

Rozdział 5

Matt

Przed wejściem do domu parkuje radiowóz. Na końcu ulicy powiewa biało-niebieska taśma policyjna. Na asfalcie stoją pachołki. Trzy policyjne furgonetki parkują na Thameside Lane, ich tylne drzwi są otwarte, a grupa policjantów prowadzi rozmowę, rozglądając się wokół.

Neil jest razem z nimi, wskazuje na wylot ulicy. Kolejna syrena obwieszcza przybycie następnego radiowozu, który parkuje na podwójnych żółtych liniach nieco dalej, migając światłami awaryjnymi. Dwóch oficerów w pełnym umundurowaniu i w kurtkach przeciwdeszczowych wychodzi z przodu i kieruje się do tylnych drzwi. Jeden z nich otwiera bagażnik, z którego wyskakują dwa owczarki niemieckie z wywalonymi różowymi jęzorami i bystrymi brązowymi oczami.

Matt zgina się wpół i łapie się za brzuch.

– O Boże.

Neil klepie go w plecy.

– Nie łam się, stary. Znajdziemy ją.

Matt zmusza się do oddychania. Na jego czole i twarzy pojawiają się kropelki potu. Kiedy upewnia się, że na pewno nie zwymiotuje, powoli się prostuje.

– Proszę pana? – Jeden z przewodników psów staje obok niego. – Nazywam się Ian Mitchell, wszystko w porządku? Muszę poprosić o jakiś fragment garderoby pańskiej córki. Coś, co miała niedawno na sobie.

Matt gapi się przez chwilę na niego. Nagle dociera do niego. Zalewa go kolejna fala mdłości.

– Oczywiście – mówi.

Neil ściska go za ramię.

– Pomogę w poszukiwaniach, dobrze?

– Jasne.

Neil biegnie z powrotem na Riverside Drive. Matt podąża za nim, prowadząc policjantów z psami w kierunku domu. Każe im poczekać na chodniku, mówiąc, że zaraz wróci. Policjanci zostają na warcie przy owiniętych taśmą drzwiach wejściowych, a on kieruje się na tyły domu, gdzie na jednej z dwóch małych sof, przy drzwiach tarasowych, tyłem do niego siedzi Ava, a naprzeciwko niej łączniczka rodzinna.

– Matt? – Słyszy płaczliwy głos. Odwróciła się do niego, jej oczy i twarz są zaczerwienione.

Wskazuje gestem na wewnątrz domu.

– Muszę tylko coś wziąć.

Ava kiwa głową i Matt wbiega po schodach. Na widok pokoju Abi znowu dopadają go mdłości, tym razem jeszcze silniejsze, wydaje się, że nie powstrzyma się przed wymiotami. Podnosi kołderkę z łóżeczka Abi i wciska twarz w miękką pościel. Pachnie nią, choć nie umiałby opisać tego zapachu. Bierze jej piżamkę. Ava schludnie złożyła ją na materacu. Abi nie ma poduszki – za pierwszym razem, kiedy jej ją dali, wyrzuciła ją z płaczem: Ne scem, ne lubiem! Piżamka jest różowa z małymi, szarymi słonikami. Jej zapach jest na niej jeszcze bardziej intensywny – zapach jej skóry, jej mydełka dla dzieci, jej nocnego potu, o Boże.

Znosi ubranie na dół. Ava jest odwrócona od niego, ale on i tak spieszy się, chowając piżamkę za plecami. Ona nie może tego zobaczyć. Żadna matka nie zniosłaby takiego widoku. Nawet on musi odwrócić wzrok, kiedy psy wachają ubranko jego córki. To jest jak napaść. Naruszenie. To nie dzieje się naprawdę. To nie może być prawda. Ian, przewodnik psa, oddaje mu piżamę i dziękuje.

Rozumiejąc, że może się oddalić, Matt wraca do domu i jakoś udaje mu się zanieść piżamkę z powrotem na górę. Kiedy wraca do kuchni, Ava płacze. Oficer łącznikowa – jak jej było? Lorraine? – usiadła teraz obok niej i trzyma ją za rękę. To dziwny obrazek. Kobieta, której nie zna, siedzi tak blisko jego żony i ściska jej dłoń.

– Potrzebujecie czegoś? – pyta, czując, że coś mu ciąży, być może ciężar własnej bezradności. – Mogę wam zrobić herbatę czy coś.

Ava potrząsa głową.

– Nie. Żadnej herbaty.

Matt się waha. Chce powiedzieć coś, co ją pocieszy. Nawet więcej, chce przyprowadzić Abi do domu, przynieść ją w swoich ramionach

i powiedzieć: „Spójrz, Avo, znalazłem ją. Znalazłem naszą małą dziewczynkę”.

Patrzy w oczy Lorraine i kiwa głową: „Idę”.

Kobieta potakuje.

– Mam przy sobie telefon – dodaje.

Na zewnątrz jeden z owczarków obwąchuje i kręci się po podjeździe Lovegoodów, a jego przewodnik się mu przygląda. Ian Mitchell jest przed domem Matta i Avy, a jego pies obwąchuje tylną oponę ich starego volkswagena. Znowu zaczyna padać deszcz. Nie żadna ulewa, ale dość mocne oberwanie chmury, jednak nikt tego nie zauważa.

– Znalazły coś? – pyta Matt.

– Tu coś wyczuły. – Ian kiwa głową w kierunku kratki odpływowej. – Pański kolega, pan Johnson, znalazł tutaj jej zabawkę, zgadza się?

Matt potakuje.

– Tak. Tak, znalazł. Przyniósł ją do domu. Jest tam. Albo może ją zabrali.

– Nie! – To głos Avy. Matt odwraca się i widzi, że jego żona wybiega z domu. Jest teraz przed głównym wejściem, przepycha się obok niego i zmierza w kierunku tego drugiego psa, który obwąchuje teraz koniec podjazdu Johnniego Lovegooda.

– Marnujecie tylko czas! – Ava krzyczy, a jej zwykle opanowanie zupełnie wyparowało. – Ona się tam przewróciła. Upadła, tam właśnie skaleczyła sobie kolanko, na chodniku była jej krew. Uwierzcie mi, marnujecie czas; proszę, proszę, marnujecie czas.

Opiekunowie psów wymieniają spojrzenia. Mattowi nie podoba się to, co widzi w ich wzroku.

– Pani Atkins, proszę wrócić do środka... – Lorraine kładzie rękę na ramieniu jego żony i delikatnie próbuje ją odsunąć. Powietrze wypełniają trzaski z krótkofalówki. Perswazja w głosie Lorraine wydaje mu się bezsensowna.

Ava się wyrywa, wymachuje rękami, zaciska dłonie w pięści. Strząsa palce Lorraine z ramienia i odwraca się do niego z rozpaczą na twarzy.

– Ale ona upadła! Matt! Powiedz im! Mogliby jej szukać, zamiast węszyć tutaj. Muszą szukać przy rzece. Powiedz im!

– Żona ma rację – przyznaje Matt. – Upadła dokładnie w tym miejscu, dziś rano. Byłem przy tym. Rozcięła sobie kolano i krwawiła tutaj. Skaleczyła też dłonie. Ale to było wcześniej. Słuchajcie, pokazać wam

drogę do służby? Myślę, że lepiej byłoby poszukać tam, gdzie najprawdopodobniej mogła pójść.

Teraz oba psy węszą przy kratce odpływowej; jeden nieco odskakuje i szczeka.

– Tam znaleźliśmy jej zabawkę, przecież wiecie. – Matt zwraca się do oficerów, starając się mówić opanowanym tonem. Wie, że nie powinien im przeszkadzać w pracy, ale oni się cofają, nie wiedzą tego, co on wie i nie słuchają, na litość boską, nie słyszą, co Ava do nich mówi. – Tu naprawdę marnujemy czas – upiera się. – Nie słyszeliście mojej żony?

Potakują, ale na odczepnego. Psy węszą wokoło, obracają się, wracają wzdłuż chodnika. Na końcu sąsiedniego podjazdu znowu się zatrzymują, węszą, krążą, węszą, szczekają. Jakaś kolejna policjantka bierze wymaz z chodnika i wkłada go do małej fiolki.

– Znajdziecie tam krew, mogę wam to już powiedzieć. To krew Abi. Z jej kolana. Upadła. Ile razy mam powtarzać? – Czując, że traci opanowanie, Matt gryzie się w język.

Psy i ich przewodnicy docierają do końca drogi. Do miejsca, gdzie ostatnio widział swoją córkę. Zatrzymują się na rogu, szczekają i obwąchują teren jak jacyś zdesperowani narkomani.

– Tam też będzie jej krew. Siedziała tam wcześniej dziś rano.

Kropla deszczu spływa z jego łuku brwiowego. Deszcz pada coraz mocniej. Jak daleko mogła pójść? Dość daleko, jeśli wystartowała z impetem, ze świadomością, że jest niegrzeczna. Na myśl o jej psotnym zachowaniu jego oczy wypełniają się łzami. Ten błysk w jej oku – widzi go, o Boże, widzi ją, jakby była tuż obok, jej wyzywający uśmiech, ten uśmiech, który zawsze mu rzucała, kiedy on udawał, że nie patrzy, a ona podgryzała jego tosta, a potem on odwracał się i udawał, że jest zaskoczony i mówił: „Hej, kto zjadł mojego tosta?”. O Boże, widzi ją, śmiejącą się do rozpuku, z pełnymi ustami i potrząsającą głową: „Ja nie, tatusiu. To nie ja”.

Bierze rower i jedzie w kierunku rzeki, a po jego twarzy spływają łzy wymieszane z deszczem. Przed szeregowką przylegającą do sklepu dwie kobiety w drogich kaloszach i płaszczach przeciwdeszczowych rozmawiają, trzymając na smyczach psy.

– Dzień dobry, witam, przepraszam, szukam mojej córeczki. Widziałyście małą dziewczynkę? Ma dwa lata. Niebieski płaszczyk. Kremowa czapeczka.

Patrzą na niego lekko zaniepokojonym wzrokiem. Dzieci ciągle uciekają, czyta w ich spojrzeniach. Znajdzie się.

– Mieszkamy na Riverside Drive, gdybyście coś zauważyły. Numer osiemdziesiąt osiem. Ma na imię Abi.

Kiwają głowami, a w ich spojrzeniach nie ma nic poza lekkim niepokojem.

– Mam nadzieję, że ją znajdziesz! – jedna z nich woła za nim, gdy odjeżdża.

U wylotu mostu brązowe kaczki wypinają kuperki, nurkując głowami pod wodą. Abi uwielbia karmić te kaczki. Woda jest wysoka, ale spokojna, nadal jest w miarę płytko. Rzeka płynie spokojnie, na pewno nie mogła... Nie. Nie.

Przejeżdża na rowerze przez kładkę, ponad butelkowitzieloną wodą, przedziera się przez tłum nadchodzących pieszych. Tak, woda jest wysoka, bardzo wysoka. Abi nie miałyby szans, ona... Nie.

Dźwięk silnika. Tu, na rzece, łódź ratunkowa pędzi w kierunku śluzy.

Ciemnieje mu w oczach. Pochyliła się i próbuje wymiotować, ale nic nie wydostaje się z jego żołądka. Spluwa pod nogi, chwytą się poręczy i próbuje pozbierać myśli.

– Przepraszam. – Jedna z kobiet, z którymi wcześniej rozmawiał, weszła na kładkę i macha do niego. – Przepraszam! Mówił pan o kremowej czapeczce?

– Tak – odpowiada, prowadząc obok siebie rower. – Tak, kremowa. Wełniana, tak. Widziała ją pani?

– Wydaje mi się, że była taka na ogrodzeniu. – Wskazuje gestem w kierunku Thameside Lane i razem wracają do tego miejsca, gdzie je wcześniej spotkał. – Była na płocie albo w Thames View, albo w Fisherman's Arms, a jeśli nie, to...

Nie słyszy reszty. Już siedzi na siodelku, już pedałuje, wykrzykując przez ramię podziękowania.

Deszcz jest teraz mniej intensywny – ledwie delikatna mżawka. Nie ma niczego na płocie żadnego z pubów. Jedzie powoli, wyteża wzrok, płytko oddycha, mija powiewającą taśmę na końcu swojej ulicy, kieruje się dalej w stronę szkoły. Jeśli zabrała się z inną rodziną, być może mogła pójść w tę stronę. Ale kiedy dociera do Kingston Bridge, zawraca. To niedorzeczne. Nie doszłaby tu, nie dałaby rady dojść tak daleko. Nie przyszłoby jej to do

głowy. Czapeczki nie ma na żadnym ogrodzeniu ani po tej, ani po drugiej stronie.

Ale była tam.

To oznacza, że Abi opuściła ulicę. To znaczy, że doszła przynajmniej tak daleko. Czapki nie wieszają się same na płotach. To znaczy, że ktoś znalazł jej czapeczkę na ziemi i położył ją w widocznym miejscu, żeby łatwo można ją było znaleźć. Okoliczni mieszkańcy tak robią. Troszczą się o siebie nawzajem. Nikt nie ukradłby czapki małej dziewczynce. Jeśli zniknęła, to znaczy, że któryś z poszukiwaczy musiał ją znaleźć. Jeśli Abi zniknęła, to znaczy, że ktoś musiał ją znaleźć. Jeśli ktoś ją znalazł, zagubioną i wystraszoną, zrobił to, co słuszne, oczywiście, że tak. Zabrał ją w bezpieczne miejsce. To okolica, której mieszkańcy zawieszają zagubione czapki i rękawiczki na płotach. To okolica, gdzie ludzie zwracają zagubione dzieci. Nawet jeśli Abi nie pamięta adresu, ktokolwiek ją znajdzie, po prostu zadzwoni na policję. Niejednokrotnie kazał jej przećwiczyć, gdzie mieszka, jest więc prawie pewien, że potrafi podać przynajmniej ulicę. Ale koordynacja działań zajmie policji trochę czasu, bo cięcia budżetowe są na każdym kroku. Tak, ktokolwiek znalazł tę czapkę, weźmie udział w poszukiwaniach. Nikt stąd nie zabrałby czapki. Nikt nie zostawiłby samotnego malucha samemu sobie. Nikt stąd nie porwałby dziecka.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi jest dobrych.

Rozdział 6

Matt

Matt podnosi Freda i opuszcza go, podnosi i opuszcza, ciesząc się gardłowymi odgłosami, które wydaje z siebie jego syn, tym, jak jego rączki uderzają w jego klatkę piersiową, jego mądrym spojrzeniem.

– Niedługo zabiorę cię na boisko piłkarskie – mówi. – Albo takie do rugby, jeśli twój wujek Neil się w to wtrąci.

Podaje dziecko z powrotem Avie i rozciąga ścięgna. Ostatnim razem, gdy tego nie zrobił, źle to się dla niego skończyło – naciągnięte ścięgna bolą jak diabli, a jego skóra z tyłu uda zrobiła się czarna.

– Do zobaczenia niedługo. – Całuje Avę w czoło, starając się nie zwracać uwagi na jej nieświeże, przetłuszczone włosy i zastanawiając się, czy zdążyła się już przebrać w piżamę czy może w ogóle się nie ubrała.

Neil czeka już przed domem, jedną ręką opiera się o swoją furgonetkę. Kiedy zauważa Matta, prostuje się i macha do niego.

Matt podbiega do niego i czeka, aż Neil zawiąże sznurówki. Jedną pulchną, nieco świńską nogę opiera o białą kamienną płytę, która wieńczy mur przed jego domem i pochyla swoje tęgie ciało. Teraz, blisko trzydziestki, zaczął się zaokrąglać. Nie ma już czasu na rugby z uwagi na godziny pracy. Nie bez wpływu na to pozostaje też trochę zbyt dużo piwa w weekend, nie wspominając już o piątkowym żarciu na wynos.

Podnosi się, klaszcze i zaciera ręce.

– Wszystko okej? – pyta Matt.

– Jestem wykończony – odpowiada Neil rzeczowo i spluwa na chodnik. – Zajebany robotą. – Ma przekrwione oczy i tak, wygląda na przemęczonego i przepracowanego.

– To zaczniemy powoli.

Po pobieżnej rozgrzewce – u Neila to kilka szybkich przysiadów, splunięcie na chodnik i lecimy, stary – zaczynają truchtać, z początku niewiele szybciej niż szybki marsz, kierują się w lewo na Main Street.

– Zlecenie w Surbiton – opowiada Neil, gdy wyrównują krok. – Loft, rozbudowa kuchni, a potem, czaisz, chcą, żeby usunąć im ściany na parterze. Wszystkie. Zero ścian, tylko schody. Żadnego holu, nic.

– Da się to zrobić? To znaczy, wiem, że ty możesz, ale czy w tym budynku?

– Inżynier budowlany się temu przygląda.

– Johnnie?

– Chryste, nie. – Ponownie splota, jakby dla podkreślenia swoich słów. – Jakiś gość z Sunbury, wydaje się dobry. Dokładny, rozumiesz?

Matt potakuje.

– I on mówi, że można to zrobić?

Neil pociąga nosem, robi zręczny ruch głową w piłkarskim stylu i znowu splota do kratki ściekowej.

– Nie widzi przeszkód. Odpowiednia ilość stali to wszystko utrzyma. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego nie chcą przedpokoju. Rozumiesz, gdzie będą trzymać te wszystkie graty, płaszcze, buty i to wszystko?

– Jak widać, można się za bardzo wkręcić w minimalizm – zauważa Matt.

– Dokładnie. To dom, a nie pieprzona galeria sztuki. I to jest Surbiton, a nie Nowy Jork, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jak dla mnie to tylko marmurowa podłoga w mieszkaniu komunalnym.

Zabudowa mieszkaniowa przy głównej ulicy się kończy; obok kilku witryn sklepowych, indyjskiego baru z jedzeniem na wynos, budki z fast foodami, jednego baru i dwóch pubów – czyli niemal całej miejsciny Hampton Wick – przejeżdża autobus. Ulica jest pusta, niemal wymarła, jedyny ślad życia wnoszą czterej staruszkowie, którzy palą papierosy przed wejściem do Woodcutter. Matt i Neil biegną dalej, bez słów zgadzają się na trasę pod mostem kolejowym i z powrotem na Thameside. Dalej musieliby przebiec przez Kingston Bridge i biec wzdłuż rzeki. Co oznaczałoby przeprawę przez służę Teddington.

A to nie wchodzi w grę.

– Musimy was zaprosić do siebie – mówi Matt z przyzwyczajenia. – Może jakieś jedzonko na wynos w piątek?

– Pogadam z Bel. To był szalony tydzień.

Czyli nie. Jak zwykle.

– No, mówiłeś.

– A jak ci idzie w robocie?

- Dobrze. Dużo pracy.
- Dalej pracujesz nad tym miejscem w Kensington?
- Prawie skończyłem. Nieźle wygląda. Wyślę ci parę zdjęć.
- Na czym stanęło?

Zainteresowanie Neila jest prawdziwe. Kiedy chodzili do szkoły, zwykł żartować, że on był dobry w praktyce, a Matt w teorii. I to się dokładnie sprawdziło – Neil pracuje jako budowlaniec, a Matt jest architektem miejskim. To coś, w czym oboje się sprawdzają. Matt cieszy się, że nie projektuje budynków mieszkalnych. Kocha Neila, naprawdę, jak brata, ale Neil nie lubi, kiedy ktokolwiek mówi mu, co ma robić, a już na pewno nie zniósłby tego od swojego najlepszego kumpla, więc gdyby pracowali razem, ich przyjaźń z pewnością by na tym ucierpiała. A tak ich życie zawodowe się nie zazębia i nie ma w tym żadnych niezręczności.

To Ava zwróciła uwagę Matta na to, że problemy Neila z autorytetem mogą wynikać z tego, że nigdy nie znał swojego ojca. Odkąd pamięta, był panem domu, gospodarzem, choć Matt nigdy z nim na ten temat nie rozmawiał. Z pewnością to właśnie ten duch niezależności, bardziej niż cokolwiek innego, popchnął go do tak ciężkiej pracy i założenia własnej firmy. Zawsze otwarcie mówił o tym, że chce być własnym szefem i zarabiać tak dużo kasy, jak tylko zdoła.

W wieku dwudziestu ośmiu lat, gdy Matt ledwo zdobył jakieś kwalifikacje, Neil przeniósł swoją matkę do nowo wybudowanego mieszkania nad rzeką, za które zapłacił gotówką, biorąc pożyczkę pod zastaw hipoteki, którą zaciągnął na dawny dom rodzinny. Za to, jakby dla kontrastu, rodzice Matta sprzedali mu swój dom po śmiesznie niskiej cenie, po czym przeprowadzili się z powrotem na północ i znacznie pomogli mu z depozytem bankowym. Wygląda na to, że żaden z nich nie mógłby sobie pozwolić na mieszkanie w tej okolicy, gdyby nie mieszkali tu od dzieciństwa.

– Z oryginału została tylko frontowa ściana. – Matt przekrzykuje warkot silników przejeżdżających aut. W urywanym oddechu przyjaciela wyczuwa zapach strawionego alkoholu. – Cały front jest wiktoriański, z londyńskiej cegły, a potem wchodzisz do środka i bum! Szkło, czyste linie, jasna paleta barw. Można by pomyśleć, że to zupełnie nowy budynek. I właściwie tak jest. Poza frontem. Ale musisz wejść do środka, żeby zorientować się, że to tylko fasada.

– Zajebicie. Brzmi niesamowicie. Myślisz, że pomoże ci to w zdobyciu kierowniczego stanowiska?

– Mam nadzieję. Pożyjemy, zobaczymy. Składam teraz ofertę na fajny projekt w East End, stary browar, więc zobaczymy, czy się uda.

Osiem kilometrów później, gdy okrążyli już Twickenham i kierują się z powrotem, wracają na Thameside Lane, mijają boiska i w końcu docierają na Riverside Drive. Na końcu drogi stoi duży dom jednorodzinny państwa Lovegood, jego świeżo położony podjazd z kamienia York jeszcze się nie zazielenił, a nowo zasadzone grządki są na razie wolne od chwastów. Wszystko jest nieskazitelne.

Jeszcze parę kroków i są już przed szeregowką Matta i Avy.

Matt ociera czoło grzbietem dłoni i kiwa głową w kierunku niesamowitego domu Lovegoodów.

– Dostałeś zaproszenie na ich parapetówkę?

Neil dyszy z rękami na biodrach. Również patrzy na dom, potem zwraca spojrzenie na Matta.

– Tak.

– Idziesz?

Marszczy nos.

– Bella suszy mi o to głowę. Chce zobaczyć tę efekciarską kuchnię i to wszystko, więc pewnie nie mam wyboru. Będę musiał powstrzymać ją przed zakradaniem się na górę, żeby tam powęszyć, choć pewnie nie będzie jedyna. – Na jego twarzy pojawia się uśmiech, ale niemal natychmiast zostaje zastąpiony grymasem. – Mógłbym się bez tego obejść, jeśli mam być szczery. Nie wiem, czy dam radę znieść to, że ten Loveśmieć będzie mnie traktował jak robotnika, wiesz, o co mi chodzi?

– Tak. Jest trochę...

– Skur...

– Trochę się wywyższa, chciałem powiedzieć. – Matt unosi dłoń i się uśmiecha.

– Spróbuj dla niego popracować. Kawał z niego skurwiela.

– Ava też nie jest zbyt chętna – wcina się Matt. Nie lubi, gdy przyjaciel robi się czepliwy, zwłaszcza teraz, gdy kariera Matta nabrała tempa. To nie pierwszy raz, kiedy powiedział za dużo na temat Johnniego Lovegooda.

– To zrozumiałe – odpowiada Neil.

– Mówi, że to za wcześnie, by mogła spotkać się ze wszystkimi sąsiadami, ale będę próbował ją przekonać. Powinna wyjść z domu.

– Racja. Choć nie przypuszczam, żeby mieli żal, jeśli się nie pojawi.

– Jasne, że nie. Ale pomyślałem, że dobrze by jej to zrobiło, wiesz? Mnie było łatwiej. W pracy nie otaczają mnie ludzie, którzy byli tu wtedy, no wiesz. Kiedy spotykam się z klientem, nic o mnie nie wie, a ja się skupiam na pracy, więc nie myślę o tych sprawach, ale dla Avy to wszystko wygląda zupełnie inaczej. Za każdym razem, gdy wychodzi z domu, widuje kogoś, kto wie, albo kto pomagał. Ja to doskonale rozumiem, ale nie może się bez końca przed wszystkimi ukrywać, bo w końcu już nigdy nie będzie w stanie wyjść z domu. Muszę jakoś przywrócić jej pewność siebie.

Obaj patrzą pod nogi. Mattowi nie umyka i jest pewien, że Neilowi też nie, że biegli przez niemal godzinę, a dopiero teraz, gdy mają się rozstać, mówi to, co miał powiedzieć, kiedy tylko się spotkali. Dla niego i Avy to zaproszenie jest ciężarem, ale dla Neila i Belli również. Minał już niemal rok od zaginięcia Abi, od kiedy przeszłość na zawsze splotła się z terażniejszością, wywierając tak potężną presję, że niewspominanie o niej jest zawsze świadomym i czasami dość wyczerpującym aktem unikania tematu.

– Jak ona sobie radzi? – Neil kopie w chwast, który wyrasta pomiędzy płyt chodnikowych. – Przykro mi, że byłem taki zajęty. W pracy jest...

– Zajob, wiem. Mówiłeś. Nie przejmuj się. Nic nie możesz zrobić. – Matt wgapia się przez chwilę w swoje tenisówki. Na palcu z prawej strony zaczyna być widoczna dziura. – To znaczy, nie chce się z nikim widywać, ale to już wiesz – dodaje po chwili. – Pomyślałem, że gdyby udało mi się ją namówić, choćby na godzinę, mogłaby... Stara się wychodzić w ciągu dnia i chyba pomyślałem, że jeśli znajdzie w sobie siłę, żeby pójść, to będzie mogła posiedzieć z Fredem w kącie, jeśli będzie tego potrzebowała, żeby nie musieć z nikim rozmawiać. Idealna wymówka, żeby nie być duszą towarzystwa. I na dodatek to niedaleko domu, gdyby chciała się ulotnić. – Zastanawia się, kogo on właściwie chce przekonać.

– Jasne, jasne.

– Czasami żałuję, że jej nie powiedziałem.

– Nie – mówi Neil. – Nic tym nie zyskasz. – Zerka w kierunku domu Lovegoodów i na jego twarzy pojawia się wyraz obrzydzenia. – Ale to kutas. Gumowy Johnnie.

Matt się śmieje.

– Nie jest taki zły. A jego żona jest naprawdę miła. Jennifer. Byłoby świetnie, gdybyście z Bel przyszli. Ava czułaby wsparcie... na tyle, by móc

przyjść na chwilę. I fajnie byłoby znowu spotkać się we czwórkę, wiesz? Minęły wieki.

Neil potakuje.

– Możemy pojawić się na godzinę, tak myślę. Pokazać się.

– Super. Zakładam, że cała ulica tam przyjdzie. Pete Shepherd powiedział mi, że wydali sześć kawałków na samo oświetlenie i widział cały asortyment dostaw przez ostatnie pół roku czy coś koło tego. Podobno potrzeba było czterech osób, żeby wnieść płaski ekran. Czterech facetów! To tak jakbyśmy mieli własne gwiazdy rocka.

Neil prycha.

– Niech cię lepiej Lovegoodowie nie usłyszą. On i tak ledwo może wystawić głowę zza drzwi wejściowych.

Matt wybucha śmiechem.

– Nie, ale wydaje mi się, że ludzie są nimi trochę zafascynowani, a przynajmniej tak to wygląda. Ona jest bardzo elegancka, nie sądzisz, jego żona? Jennifer? Szykowna, można powiedzieć. Z klasą. I przypuszczam, że wszyscy jesteście ciekawi co rok pracy i duża kasa mogła zrobić z tym miejscem. Przerobili dom niemal na pałac; zresztą, ty wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Neil wzrusza ramionami.

– Jest duży, to ci mogę powiedzieć. Nie widziałem efektu końcowego, nie widziałem metamorfozy ogrodu, ale to w końcu tylko dom. Cegły i beton.

– Też racja. – Matt wie doskonale, że Neil nie wierzy w to tak samo jak on. Dom to coś więcej niż materiały użyte do jego budowy, a ambitna przebudowa jest zawsze fascynująca. A poza tym Matt bardzo chciałby poznać swoich sąsiadów, szczególnie po tym w jak okropny sposób zostali sobie przedstawieni.

Spogląda na Neila, który wpatruje się w chodnik pod swoimi stopami. Przejdzie mu, gdy się tam pojawi, myśli Matt. Kilka piw i zapomni o swoim wstępie do Johnniego Lovegooda, nie wspominając o tym, że po raz pierwszy od tamtego dnia cała czwórka spotka się na drinku.

To wszystkim im dobrze robi.

– To co – mówi – może najpierw napijemy się u nas?

– Jasne.

Pot chłodzi skórę Matta. Drży i, biorąc to za znak, pochylają się i klepią się po plecach.

– Na razie, stary – woła Neil, gdy oddała się w stronę swojego domu.
– Na razie – odpowiada Matt, nie odwracając się i wsuwa klucz do zamka.

Ava siedzi w salonie i ogląda telewizję, Fred znajduje się przy jej piersi. Jest po wpół do dziewiątej.

– Cześć – mówi od progu, ocierając twarz brzegiem bluzki.

– Jak się biegało? – Zerka na niego z ostrożnym uśmiechem.

– Neil nie dostał zawału, więc wszystko w porządku. Obejrzymy coś razem, jak wyjdę spod prysznic?

Potrząsa głową.

– Idę do łóżka, jak tylko go położę.

Potakuje.

– To idę pod prysznic.

Kiedy wraca, Ava uspokaja Freda. Zanim dociera do łóżka, ona już śpi. Kiedy jednak jemu udaje się zasnąć, ptaki zaczynają już świergotać, niecierpliwie witając wstający świt słodkimi pieśniami, które wcale nimi nie są.

To wojenne okrzyki terytorialne; ostrzeżenia.

Rozdział 7

Ava

Jestem już niemal pod domem, po tym, jak w trybie awaryjnym musiałam wyjść na chwilę do sklepu na rogu, kiedy zauważam Lizzie z końca ulicy. Zmierza w moim kierunku. Ma na sobie swoją designerską lycrę i niesie dwie wielkie papierowe torby ze sznurkowymi uchwytami. Wiem, że jest za późno, by udawać, że jej nie widziałam, wiem to, nawet zanim woła do mnie:

– Ava! Ava, cześć!

Nie ma odwrotu. Przyspiesza, teraz już truchta do mnie. Ale i tak usiłuję dostać się do domu, zanim mnie dopadnie.

Nie udaje mi się.

– Lizzie – mówię, zatrzymując się przy bramie i grzebiąc w torbie w poszukiwaniu kluczy.

– No, cześć. – Macha torbami w przód i w tył. Jedna z nich ma napis L.K. Bennett, a druga Whistles. – Byłam w mieście po buty i kieckę.

– Jasne. – Zerkam na drzwi wejściowe i od razu zdaję sobie sprawę, że to mogło być niegrzeczne, więc ponownie zwracam uwagę na nią. Mój uśmiech jest zdawkowy, ale będzie musiał wystarczyć.

– Musiałam sobie kupić jakieś nowe ubrania na wielkie wyjście, co nie? – Mówi „wielkie wyjście” z ironią, kiwa głową w stronę domu Lovegoodów i otwiera szeroko oczy. Nie wierzę w jej ironię; wyraźnie czuć, że jest niezwykle podekscytowana. – Nie mogę się doczekać, aż zobaczę, co zrobili z domem, a ty?

– Założę się, że jest niesamowity.

Mówię tak tylko, żeby coś powiedzieć. Prawda jest taka, że nie obchodzi mnie to nawet w najmniejszym stopniu, choć wiem, że jestem w mniejszości. Trwający cały rok remont domu Lovegoodów był tematem numer jeden na naszej ulicy, podsycanym niekończącym się strumieniem robotników, którzy przychodzili i odchodzili. Sama ich widziałam

z godnego pozazdroszczenia punktu widokowego – domu obok. Całe zastępy robotników, byli jak ci dzielni majsterkowicze z programów o remontach domowych: stolarze w goglach rozpylający fontanny z trocin w ogrodzie; dekoratorzy gwizdzący na wysokich drabinach, z włosami i rzęsami pokrytymi farbą; najnowsze trendy kolorystyczne, widoczne przez otwarte okna na piętrze; dostawy mebli i oświetlenia ze sklepów, o których nigdy nie słyszałam; wszelkiego rodzaju urządzenia elektroniczne – dwumetrowa płyta indukcyjna, płaski telewizor wielkości stołu do ping-ponga, rower do ćwiczeń, fotel do gier... przynajmniej tak mi się wydaje, że to fotel. Albo to, albo prawdziwy fotel dowódcy statku kosmicznego Enterprise. Pewnie powinnam była opowiadać o tym wszystkim Mattowi, gdy wracał z pracy, ale tak jak mówię, nie mogłoby mnie to obchodzić jeszcze mniej.

– Wybieracie się z Mattem? – pyta Lizzie.

– Och, ja... nie jestem pewna.

Ma grymas na twarzy i przechyla głowę na bok.

– Oczywiście, jasne. Wybacz, to było głupie pytanie.

– Nie, wcale nie.

– Jak leci? – dodaje, marszcząc nos.

– Dobrze. – Wolałabym, żeby wyprostowała już głowę, bo dostanie skurczu szyi. – Dobrze. Pójdę już... – Podnoszę paczkę pieluch, przyczynę mojej niechcianej wycieczki. – Fred potrzebuje...

– Jasne. – Jej uśmiech jest jak grymas. Wygląda, jakby uderzyła się w mały palec u stopy. – Ten maluch tak szybko rośnie! Pamiętam, kiedy moja dwójka... – Odwraca wzrok, pewnie szukając drogi ucieczki. – W każdym razie – mówi, lekko dotykając mojego ramienia – nie będę cię już zatrzymywać. Mam nadzieję, że zobaczymy się na przyjęciu! Podobno mają być brazylijskie koktajle. Louise rozmawiała z Johnniem. Mają bar w ogrodzie. Dobra, leć, nie zatrzymuję cię.

– Tak. Tak. Na razie. Do zobaczenia.

Zanim docieram do drzwi, jestem już cała spocona i gorączkowo grzebię w torbie w poszukiwaniu kluczy, modląc się w duchu, żeby nikt więcej mnie nie zauważył i nie próbował ze mną rozmawiać. Gdy wchodzę do środka, płaczę. Kilka sekund później siedzę na podłodze pod oknem i szlocham rozpaczliwie, znikam z pola widzenia jak uciekinier. Jestem w ukryciu, tak się czuję – a właściwie tak jest. Każde spotkanie poza

domem jest napiętym i ryzykownym przedsięwzięciem w moim własnym, narzuconym programie ochrony świadków.

Lizzie nie jest jedyną osobą, której unikam, ale jest z nich wszystkich najgorsza. Nadal pamiętam, jak wpadła do mnie kilka dni po tamtym wydarzeniu pod pretekstem podrzucenia mi wegańskiego dania z makaronem, a jej pytania przypominały bardziej przesłuchanie niż troskę. Do tego czasu fakt, że zostawiłam otwarte drzwi rozprzestrzenił się jak plotka, którą w końcu się stał. Więc zostawiłaś drzwi otwarte? Czy same się otworzyły? To znaczy, nic nie mówię... każdemu mogło się zdarzyć. Powiedziałam jej, że mam mleko na kuchence, głównie po to, żeby zatrzasnąć jej drzwi przed nosem. Podejrzliwość to kolejna rzecz, do której muszę przywyknąć.

Tamtego dnia, zaledwie po kilku godzinach, już ją czułam, nadal ją czuję, jak napływa do mnie falami od Lorraine Stephens, kiedy znowu wracam do tego, jak co dzień. Lorraine siedzi przy mnie blisko tamtego dnia, trzyma mnie za rękę, a herbata, którą mi zrobiła, stygnie. Pod przykrywką troski szpieguje mnie. Chwila po chwili, uderzenie serca za uderzeniem serca, to jak szuka oznak nietypowego zachowania, jak kieruje rozmową, by odkryć jakieś dysfunkcje – depresja poporodowa, zaburzenia snu, mordercze instynkty. Jestem podejrzana, choć siedzę tam zrozpaczona. Ale ona nie daje tego po sobie poznać.

– Jesteśmy blisko – mówię jej, kiedy pyta o moje relacje z córką. – Bardzo. Jest moją małą córeczką, wiesz?

Jest moim życiem, moją miłością, częścią mnie, tak jak moje kończyny, kości i narządy. Masz dzieci, Lorraine? Zadawałabyś mi takie pytania, gdybyś miała? Co to, do cholery, znaczy, jakie mam relacje z córką? Jest moją córką. Jestem jej matką. Ma dwa lata, na litość boską... Wszystkie te myśli trzymam w sobie nawet w najmroczniejszych godzinach. To nie jest wina Lorraine Stephens, że mam ochotę przywalić jej w tę pełną współczucia twarz.

– Daje ci spać?

– Z reguły tak. – Kłamstwo. Budzi mnie przynajmniej trzy razy w ciągu nocy.

– Jesteś bardzo zmęczona, prawda?

– Wszystkie mamy są zmęczone.

Odpierdol się, Lorraine. Nie ułatwiasz. Prawda jest taka, że Abi często śpi w naszym łóżku, a wyczerpanie bierze górę nad książkowymi mądrościami.

Leżę wybudzona, zepchnięta na skraj łóżka, ciało mam napięte, by nie spaść na podłogę, a Abi i Matt śpią sobie jak aniołki. Czasami tak właśnie wygląda miłość.

– Są małymi terrorystami w wieku dwóch lat, co nie? – naciska Lorraine, usiłując brzmieć pocieszająco, ale w uszach brzęczy mi podtekst.

– Jest grzeczną dziewczynką. Nigdy nie spuszczam z niej oka, nigdy. – Załamuję się przed tą wścibską nieznajomą. Zadowolona, Lorraine? Zadowolona, że doprowadziłaś mnie do łez? – Jestem bardzo uważna – szlocham. – Poszłam na górę tylko dlatego, że była zapięta w wózku. Nie wiedziałam, że drzwi się otworzyły. Jestem dobrą mamą.

– Wiem, że jesteś, kochana. – Klepie mnie po ręce.

– Zawsze wkładałam ją do łóżeczka, gdy wychodziłam z pokoju. Nigdy nie zostawiłam jej na przewijaku. Kiedy po raz pierwszy się obróciła, byłam przy niej. Spadłaby na podłogę, gdybym ją zostawiła.

Słońce przesunęło się i świeci teraz z boku domu. Kuchnia na zmianę rozjaśnia się i ciemnieje, w miarę jak chmury przepływają po niebie, przynosząc ulewy, które kończą się tak samo szybko, jak się zaczynają. Wysoka kobieta w spodniach i lekkim czarnym płaszczu powoli przechodzi obok moich okien tarasowych. Chwilę później jest już w mojej kuchni. Mój dom – przestrzeń publiczna.

– Pani Atkins – zwraca się do mnie. – Jestem detektyw Sharon Farnham, prowadzę to śledztwo. Mogę usiąść?

Kiwam głową.

– Oczywiście.

Detektyw Farnham siada na sofie naprzeciwko. Robi przerwę, pociera kciukiem swój podbródek raz, drugi i trzeci, zanim w końcu patrzy mi w oczy. Są w kolorze orzechowym – i przepelnione sympatią. Jest starsza ode mnie. Wygląda na czterdzieści lub czterdzieści pięć lat. Mówi mi, że to musi być dla mnie bardzo trudne i że jej przykro. Mówi, że robią wszystko, co w ich mocy.

– Chciałabym dopytać o parę szczegółów – przechodzi do rzeczy. – Powiedziała pani opiekunom psów, że córka upadła na chodniku i dlatego jest tam jej krew, to prawda?

– Tak.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie wspomniała pani o tym, kiedy rozmawiała pani z moimi kolegami wcześniej tego ranka?

– Ja... powiedzieli, że nie spisują zeznań, potrzebowali tylko informacji. Chciałam mówić tylko to, co istotne. Chciałam, żeby mogli jak najszybciej zacząć.

– Rozumiem. Oczywiście. Może mi pani teraz powiedzieć dokładnie, co się zdarzyło?

– Mówiłam już sierżantowi Simmondsowi.

– Wiem, ale czy może pani opowiedzieć mi jeszcze raz? Wróćmy do chwili, gdy po raz pierwszy wyszła pani z domu, z mężem. – Wytrzymuje moje spojrzenie. To ja pierwsza się łamię. Chciałabym, żeby był tu Matt.

– Próbowałam wychodzić na spacerzy każdego ranka, gdy Matt zbierał się do pracy – zaczynam – ponieważ Abi zawsze już wtedy nie spała, a ja staram się, byśmy codziennie mogły zaczerpnąć świeżego powietrza. – Potrząsam głową, gdy zdaję sobie sprawę, że gładzę. – W każdym razie, Abi chciała wyjść z wózka i iść na nóżkach. Powiedziałam jej, żeby poczekała, aż pożegna się z tatusiem, ale ona jest uparta i próbowała wyjść w czasie jazdy. Nie zapięłam jej wtedy szelek, upadła i zdarła sobie skórę z obu kolanek oraz otarła rączki.

Detektyw Farnham skrobie w swoim notatniku i zerka na mnie.

– Była zdenerwowana? Płakała?

– Nie za bardzo. Krzyknęła, ale niezbyt głośno. Wystraszyła się, ale potem była raczej zafascynowana. Jest bardzo dzielna. Powiedziała mi: „Skaleczyłam się”, ale tak naprawdę nic jej nie było.

– Ale na chodniku była krew?

– Tak. Wyglądało to gorzej niż było w rzeczywistości.

– I zabrała ją wtedy pani do domu?

– Nie, my... to znaczy chciałam, ale ona nie była zdenerwowana ani nic, więc poszliśmy odprowadzić Matta do rogu skrzyżowania, żeby mu pomachać na do widzenia.

Zaledwie kilka godzin temu, o mój Boże. Matt całuje mnie w usta na końcu ulicy, przyciska dłoń do mojego brzucha. Przykuca, by spojrzeć w oczy Abi. Nadal czuję jej rączkę w mojej dłoni.

– Do widzenia, Panie Leniwcu. – Matt zabrał jej zabawkę z ręki, drażniąc się z nią.

– Psieściań. Psieściań, tato. – Wyciągała małe paluszki. Były zaczerwienione od krwi z kolanka. – Nie, tatusiu. Mój.

Jego uśmiech był czuły i łagodny, oddał go jej. Kocham go, pamiętam, że ta myśl zalała mnie swoją siłą. Kocham tych dwoje ludzi najbardziej na

całym świecie.

Nie dzielę się tym z detektyw Farnham. Nie opowiadam jej o tym, że kiedy wstał, by zapiąć pod brodą pasek od swojego srebrnego kasku rowerowego, zauważyłam ciemniejszy cień jego zarostu przy bokobrodach, tam, gdzie go trochę zapuszcza. Nie mówię jej, że pomyślałam o tym, jak za kilka miesięcy wyhoduje sobie wąsy na Movember i że dla nas obojga będzie to niewyczerpane źródło rozbawienia. Zapata czy kozia bródka? Podkręcone wiktoriańskie czy przystrzyżone jak u Hitlera? Nie mówię jej, że to są pytania, których już nigdy nie zadamy. Żarty, którymi się już nie podzielimy.

– No i odjechał – mówię za to tej ponurej, nieugiętej kobiecie siedzącej teraz w mojej kuchni. Ostatnie machnięcie ręki, po czym wpiął stopy w zapięcia na pedałach i odjechał w kierunku Thameside Lane. Widziałam napinające się i rozluźniające mięśnie na jego łydkach, gdy wprawiał rower w ruch. Obserwowałam go – jego szerokie ramiona unoszące się naprzemiennie w obcisłej czerwonej koszulce kolarskiej. Widziałam, jak mija po drugiej stronie ulicy Kevina, który niósł dwie puste pomarańczowe torby – z pewnością chciał zrobić poranne zakupy, zanim w sklepach zaroi się od ludzi. – Kevin nas widział – mówię do pani inspektor. – Nie znam jego nazwiska, ale mieszka naprzeciwko, więc możecie z nim porozmawiać. Matt zamienił z nim parę słów. On taki jest. Zawsze ma czas dla innych.

Detektyw Farnham niemal się uśmiecha.

– A potem zabrała pani córeczkę do domu?

– Spojrzałam na nią, a ona rozmazywała krew na chodniku paluszkami, mała paskuda. To dlatego na rogu też była krew. Chyba kiedyś zostanie chirurgiem... – Moje oczy wypełniają się łzami.

– Wiem, że to trudne, pani Atkins, ale musimy mieć pełny obraz. Powiedziała pani, że pani mąż pojechał do pracy. Która to była godzina?

– Jakoś za piętnaście ósma.

– I wtedy wróciła pani do domu?

– Tak. Zabrałam ją do domu, a potem oczyściłam jej rączki i kolana. Była zachwycona, bo krwawienie było na tyle mocne, że przykleiłam jej plaster. Uwielbia plastry. A potem poszłam na górę po telefon.

– I która to była godzina?

– Kiedy poszłam na górę? Powiedziałabym, że było tuż przed ósmą. Może za pięć czy coś koło tego.

– Więc mogła już wtedy wyjść?

Potrząsam głową.

– Nie, była spokojna. Miała swoją zabawkę i powiedziałam jej, żeby poczekała. Najwcześniej mogła się znudzić jakieś pięć, dziesięć po ósmej. I słyszałabym jej wołanie. Wołałaby mnie. – Dlaczego tego nie robiła? Zastanawiam się nad tym, a to pytanie mrozi mi krew. Dlaczego mnie nie wołała?

– A pani zeszła na dół kwadrans po ósmej?

– Mniej więcej, tak. I jej nie było.

Następuje chwila ciszy, którą w końcu przerywa detektyw Farnham.

– Mówiła pani, że wcześniej, gdy wyszła pani z mężem, zostawiła ją pani w wózku nieprzypiętą. Często zdarzało się pani nie zapinać córki w wózku, pani Atkins? – W jej tonie nie ma podejrzliwości. Jest otwarta, ma wzrok utkwiony we mnie.

Ale...

Zmuszam się, by wytrzymać jej spojrzenie.

– Nieczęsto, nie. Ale kiedy wiem, że będzie tam tylko kilka minut, czasami jej nie zapinam. Nigdy wcześniej z niego nie wychodziła, ale zawsze musi być ten pierwszy raz, jak mówi moja mama. Ona ma dwa latka. Dwulatki potrafią być bardzo... uparte. A Abi jest stanowcza. Zawsze powtarzamy, że dojdzie w życiu do czegoś. – Mówię obronnym tonem, zdaję sobie z tego sprawę. Zaczynam płakać. – Nie krzyczałam na nią, ale... nagadałam jej. I wiem, że była przypięta, kiedy wróciliśmy do domu, bo wsadziłam ją tam, żeby umyć jej kolana i przebrać ją, i nie chciałam, żeby znowu upadła. Nie wiedziałam tylko, że ona umie odpiąć te zatrzaski i nie zdawałam sobie sprawy, że nie domknęłam drzwi.

– Proszę się nie denerwować, pani Atkins. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Pobraliśmy odciski palców z wózka, więc będziemy potrzebować też odcisków pani i pani męża, ale tylko po to, abyśmy mogli je wyeliminować, a także każdego innego, kto według pani mógł go dotykać w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Musiałam tylko wyjaśnić, skąd wzięła się ta krew na chodniku. Po to, żebyśmy mogli prowadzić śledztwo we właściwym kierunku, dobrze?

Zapada chwila ciszy.

– Powiedziała pani, że zadzwoniła do męża około wpół do dziewiątej, może za piętnaście dziewiąta?

Potakuję.

– Pracuje w Chiswick – dodaje. – Jak daleko może to być? Pół godziny jazdy rowerem? Ale on jeszcze nie był w Richmond.

Nie podoba mi się jej ton. Ani trochę.

– Złapał gumę – mówię, patrząc jej w oczy. – Pewnie niełatwo było to naprawić.

Po dłuższej chwili pani detektyw pyta mnie, czy znam kogoś, kto jeździ zielonym lub ciemnoszarym sportowym BMW.

Potrząsam głową.

– Nie sądzę, dlaczego?

– Mamy dwoje świadków, którzy twierdzą, że widzieli samochód o takim opisie, jadący z dużą prędkością przez Thameside Lane około ósmej piętnaście. To może trochę za wcześnie.

Prostuję się jak strzała.

– Nie, nie mogła być jeszcze wtedy na zewnątrz. Samochód mógł wyjechać z naszej ulicy?

Potakuje.

– Zna pani kogoś, kto ma taki samochód?

Potrząsam głową, ale myśli mi galopują.

– Nie wydaje mi się, ale jeśli ktoś mi przyjdzie do głowy, na pewno dam pani znać.

– Mamy też świadka, który mówi, że widział małą dziewczynkę pasującą do opisu Abi, która zmierzała w kierunku Landmark Arts Centre. Jedna z pani sąsiadek założyła grupę na WhatsAppie. Pani przyjaciółka, pani Johnson... Bella, prawda? Wydrukowała zdjęcia do rozpowszechniania. – Wyciąga telefon, przyciska do niego kciuk i wręcza mi go. Przyglądam się zdjęciu mojej małej dziewczynki. Obraz mi się rozmywa.

– Zostało zrobione wczoraj – mówię. – Neil i Bella byli u nas na niedzielnym lunchu. Powiedzieliśmy im, że spodziewamy się kolejnego dziecka. Ja... – Nie mogę dalej mówić.

Lorraine gładzi mnie po plecach.

– W porządku – mówi łagodnie.

– Państwo Johnson są rodzicami chrzestnymi Abi – wtrąca detektyw Farnham. – Zgadza się?

Potakuję.

– Często spędzacie razem czas?

– Tak. To nasi najbliżsi przyjaciele. Neil jest najlepszym przyjacielem Matta. Często spotykamy się w weekendy jako pary, no wie pani. Oni

kochają Abi, naprawdę ją uwielbiają.

– Czy pan Johnson był w domu dziś rano, kiedy przyszła tam pani po pomoc?

– Tak. Za pierwszym razem, kiedy pukałam, był pod prysznicem, ale za drugim razem mi otworzył.

– A czy sąsiedzi z domu obok również wyjechali do pracy?

– Tak.

Słysząc wibracje – telefon jest wyciszony. Wibruje na sofie.

Lorraine wstaje, odbiera połączenie. Radio trzeszczy, dźwięk wpada przez otwarte okno. Tak, tak, okej, ale powiedz SOCO, żeby się upewnili...

– Tak – mówi Lorraine do telefonu. A potem: – Tak, tak, okej, powiem. Okej, cześć.

Cieszę się z tej przerwy. Nie jestem pewna, ile razy zdołam powtórzyć te same słowa. Chowa telefon i uśmiecha się, ale to nie jest radosny uśmiech.

– Znaleźli czapkę pasującą do pani opisu. – Wraca i siada obok mnie.

– Niedaleko. Na Thameside Lane, wisiała na płocie w pobliżu centrum rekreacyjnego.

– Oasis? O mój Boże. – Brakuje mi tchu. – Nie widziałam jej, kiedy tamtędy szłam. Miałyśmy iść karmić kaczki. To po drodze. Powinnam była pójść prosto tam. Powinnam była zadzwonić wcześniej.

– Pani Atkins, proszę. – Farnham wstaje. – Proszę się nie zadręczać. Gdyby rodzice dzwonili do nas za każdym razem, gdy tylko stracą z oczu swojego malucha, nie mielibyśmy chwili wytchnienia. Zadzwoniła pani, kiedy nie umiała jej pani znaleźć i bardzo dobrze pani zrobiła.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

– Proszę spróbować się uspokoić. Proszę dać nam robić swoje. Ale muszę uprzedzić, że musimy wprowadzić psy do domu. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko. Musimy przeszukać posesję, żeby wyeliminować panią z naszej listy. Możemy też potrzebować dostępu do domu Johnsonów, okej?

– Dobrze. Co tylko potrzebujecie.

Właśnie ma wyjść, kiedy w drzwiach pojawia się Neil. Jest spocony, choć może to deszcz. Dopiero wtedy dociera do mnie, że to Bella wydrukowała zdjęcia Abi. Oboje są tacy dobrzy, są takimi dobrymi przyjaciółmi.

– To Neil – przedstawiam go detektyw Farnham. – Najlepszy przyjaciel Matta.

– Tak. – Neil potakuje i patrzy w ziemię, tuż pod jego lewym uchem widać tatuaż jaskółki.

– Panie Johnson – zwraca się do niego pani detektyw. – Właśnie wspominałam Avie, że zamierzamy wprowadzić psy do domu. Czy ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy przeszukali z nimi także pański dom? – Żrenice Neila lekko się rozszerzają. To jest okropne, po prostu okropne.

– Żaden problem – odpowiada. – Możemy iść choćby teraz.

– Świetnie. To standardowa procedura, nie ma się o co martwić. Gdyby zechciał pan zostać tutaj, przyjdę po pana, kiedy będą gotowi.

– Jasne.

Detektyw inspektor Farnham wychodzi, zostawiając Neila i mnie w mojej nagle niegościnniej kuchni wraz z posterunkową Lorraine Stephens, moją nowo mianowaną przyzwoitką.

– Wszyscy tam są – mówi Neil. – Przeszukują wszystkie domy i ogrody – dodaje, zerkając na mój ogród. – Wszędzie, gdzie mogła się zawieruszyć. – Wciąga powietrze. Czekam. – Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógł porwać ją z własnego domu.

– Co?

Marszczy brwi. Wygląda na przerażonego.

– To znaczy, w tej okolicy, no wiesz.

– Nie, nie, chodzi mi o to, skąd wiesz, że ktoś ją porwał?

– Nie wiem. Powiedziałem, że nie mogę uwierzyć, że ktoś mógł ją porwać... nie w tej okolicy, o to tylko mi chodziło.

– Nie wiemy, co się stało, Neil. Nie wiemy, czy została porwana.

Wyrzuca w górę ręce.

– Wybacz, Avo, przepraszam, nie chciałem nic sugerować. No proszę cię, kochanie.

Ukrywam twarz w dłoniach, a on przyciąga mnie do siebie. Ma rację. Tysiąc razy przeszło mi przez myśl, że mogła zostać porwana, jasne, że tak. Ale nawet przez chwilę nie pomyślałam, że ktoś mógłby ją zabrać z domu. Mogła nigdy nie odpiąć tej klamry.

Mógł to zrobić ktoś inny.

Rozdział 8

Matt

Helikopter, który słyhać z góry, jest tu z powodu Abi. Matt instynktownie to wyczuwa i czuje niepokój w sercu. Widok radiowozów i taśmy policyjnej na końcu ulicy wywołuje w nim panikę, choć przecież już je widział. Dalej, w głębi ulicy, sąsiedzi zakrywają usta dłonią na widok czarnej i jaskrawożółtej fali policjantów. Panuje przerażający spokój. Atmosfera się zmieniła. Jakby ktoś nacisnął na pilocie przycisk wyciszania.

Neil, Ava i policjant idą w jego kierunku. Kiedy go zauważają, zatrzymują się przy podjeździe sąsiadów.

Hamuje, staje i wypina stopy z pedałów.

– Czy ktoś przekazał jej czapkę? Pewna kobieta powiedziała, że była na płocie przed pubem, ale nie znalazłem jej.

Neil kiwa ponuro głową.

– Jeden z poszukiwaczy ją przyniósł. Wygląda na to, że doszła przynajmniej aż do Thameside.

Ava wybucha płaczem.

– Co, jeśli ktoś ją potracił i uciekł? – Kładzie głowę na piersi Matta. Mąż obejmuje ją ramionami i całuje w czubek głowy, zastanawiając się, czy kiedykolwiek w życiu czuł się równie bezradny.

Neil ściera krople deszczu z twarzy.

– Wydaje mi się, że mogła dojść aż do rzeki.

Matt potrząsa głową.

– Ktoś by ją zauważył. I nie została potracona. Ulica jest zbyt ruchliwa. Ktoś musiałby być świadkiem.

– Myślisz? – Neil marszczy brwi.

– Ale ludzie potrafią być tak skupieni na własnych sprawach – mówi Ava. – Zwłaszcza rano. Rodzice są zajęci pilnowaniem własnych dzieci.

Deszcz już nie pada, teraz to ledwo mżawka. Na niebie pojawia się tęcza. Neil klepie Matta w ramię i zostawia tam swoją dłoń.

– Słuchaj, stary – mówi, wskazując kciukiem przez ramię na policjanta, którego poznali wcześniej, posterunkowego Peaka. – Idę oprowadzić tego gościa po domu Lovegoodów, dobra? Chcą sprawdzić wszystkie domy, a ja mam do nich klucz. Raczej nie powinni mieć nic przeciwko.

– Jasne, idź.

– Więc drzwi były zamknięte dziś rano? – Matt słyszy głos policjanta, gdy razem z Neilem odchodzą w kierunku domu.

– Nie byłem jeszcze w środku, ale tak musiało być. – Neil otwiera drzwi kluczem; ich głosy cichną, gdy wchodzi do środka.

Ava jęczy. Matt ponownie przyciąga ją do siebie i kładzie brodę na czubku jej głowy. Rozgląda się po ulicy i po oknach domów. Wszystkie są puste. Wszyscy są w pracy albo tutaj, pomagają w poszukiwaniach. Na przydrożnych drzewach są już rozwieszane plakaty z podobizną Abi, na jej twarzy maluje się uśmiech, niestosowny, nie na miejscu. Nie może na to patrzeć. Nie może. Ava mocno szlocha w jego ramionach. Lorraine wychodzi z bocznego wejścia do jego domu. Podchodzi do nich, wyciąga rękę.

– Ava – mówi. – Wejź do domu, kochanie. No chodź. Zmarzniesz tutaj.

Ciało Avy powoli odsuwa się od niego, pozwala się odwrócić i zaprowadzić do domu. Matt daje jej odejść, czując się, jakby ją opuszczał. Ale ona jest w ciąży i nie może brać udziału w poszukiwaniach w tym deszczu.

Już ma wsiąść na rower, ale zatrzymuje się przed wejściem do domu Lovegoodów i zerka do ich przestronnego holu. Ich dom jest dużo większy niż jego i Avy. Słyszy dobiegające z góry głosy Neila i policjanta, który wygląda na nie więcej niż osiemnaście lat.

Zanim zdąży się zastanowić nad tym, co robi, wchodzi na palcach do domu. Chwilę później zagląda przez szybę ich kuchennych drzwi. Ale na miejscu budowy nie ma nic ciekawego, poza narzędziami Neila schludnie ułożonymi pod ścianą, jego torbą ze sprzętem, kubkami po kawie, stojącymi na pralce, tuż obok niezbyt czystego czajnika i do połowy zjedzonej paczki herbatników. Ta przestrzeń będzie niesamowita – już to widzi. Z tyłu zaniedbane ogrodzenie przechodzi w ogród, a właściwie w zaniedbany, wysoki trawnik i rozpadającą się szopę. To również z pewnością będzie przebudowane, przerobione jak wszystko tutaj.

Skrada się z powrotem do drzwi wejściowych, ale natyka się na Neila i policjanta, którzy schodzą ze schodów.

– Przepraszam – mówi. – Chciałem tylko rzucić okiem.

Neil kładzie mu rękę na ramieniu i razem wychodzą na ulicę.

– Na razie – mówi do nich policjant.

– Nie przejmuj się. – Neil klepie przyjaciela w ramię.

Gliniarz przechodzi przez ulicę. Matt śledzi go wzrokiem – obserwuje, jak mężczyzna przechyla głowę na bok, jak ściska kurtkę, by przybliżyć radio do ust.

– Tak, sierzancie. – Słyszy go, gdy mówi. Reszta się rozmywa.

– Matt? Matt? – Neil wpatruje się w niego. – Mówiłem właśnie, że może powinniśmy się rozdzielić i spotkać tu z powrotem.

– Tak, wybacz, tak. Może tak będzie lepiej. Pojadę jeszcze raz na ścieżkę rowerową.

– Okej. To ja uderzę do Kingston, sprawdzę Bushy Park.

Matt chwiejnym krokiem podchodzi do roweru i wsiada na niego. Odjeżdża, jakby odpowiadał na wezwanie, w kierunku rzeki.

Do wczesnego wieczora wydaje się, że już całe miasto szuka Abi. Grupy ludzi przeczesują trawę w Ham Lands, ochotnicy sprawdzają ścieżkę rowerową i przeszukują park, tworzą długie, powolne szpalery.

W powietrzu dźwięczy jej imię. Znajomi i nieznajomi chodzą ramię w ramię, z oszołomionymi twarzami, a z upływem czasu stają się coraz bledsi. Kobiety łkają, ocierają oczy białymi chusteczkami, pocieszają się nawzajem w cierpieniu, które ich łączy.

Matt przejeżdża pośród nich, jakby przedzierał się przez rozżalone, szumiące morze. Jest dziewiętnasta trzydzieści. Pod ciemniejącym niebem dociera do domu w momencie, gdy samochód sąsiadów wjeżdża na podjazd. Przed domem Matta wciąż stoi policjantka, ta sama, co dwie godziny temu, gdy detektyw inspektor Farnham wygłaszała krótkie oświadczenie dla tłumu dziennikarzy, który na szczęście już się rozproszył.

– Dzień dobry.

Odwraca się i widzi żonę Johnniego Lovegooda wysiadającą z auta od strony pasażera. Jest wysoka, wyższa niż myślał, a jej krótkie, siwe włosy są zaczesane do tyłu.

– Tak mi przykro – mówi, podchodząc do niego. W ręce ściska chusteczkę. – Właśnie rozmawialiśmy z policjantami na końcu drogi.

– Och, dziękuję. To...

– Możemy coś zrobić? Twoja żona, czy ona... Czy mogę... Czy potrzebuje towarzystwa?

– Jest z nią oficer łącznikowa. Ale dzięki. A tak na marginesie, ma na imię Ava. A ja jestem Matt.

– Matt. Witaj. Jestem Jennifer, a mój mąż ma na imię Johnnie. Lovegood. Potrzebujecie czegoś?

– Bardzo mi przykro. – Johnnie wysiada z auta i zmierza w ich kierunku. On również jest wysoki, jego włosy są jasnopomarańczowe, jak u dawnego rudzielca. Wyciąga rękę do uścisku dłoni, ale się rozmyśla. Na nadgarstku ma grubą, srebrną bransoletę.

– Policjant powiedział, że zaginęła z samego rana.

– Tak. Zaraz po tym, jak wyszedłem do pracy. Myślą, że mogła dojść aż do rzeki, ale nadal szukają śladów.

– Czyli co, po prostu wyszła?

Matt potakuje.

– Na to wygląda.

– Racja, racja. – Johnnie potrząsa głową. – Boże, co za okropność. Bardzo mi przykro. Potrzebujecie czegoś? Mogę dostarczyć trochę plakatów z rana.

– Dzięki. Dam ci znać.

– Musisz być wykończony – wtrąca się Jennifer, a Matt dopiero wtedy zwraca uwagę na jej lekki irlandzki akcent. – Nie będziemy cię już zatrzymywać. Przykro mi, że wcześniej... no wiesz... przed tym wszystkim. Rano podrzucę wam mój numer, okej? Na wypadek, gdyby cokolwiek... cokolwiek. Proszę. Śmiało.

Uprzejmość nieznajomych, myśli Matt. Co za okoliczności na poznawanie nowych sąsiadów.

Ava siedzi zwinięta w kłębek na kanapie, a przed nią stoi talerz z nietkniętymi kanapkami z supermarketu. Matt zjada jedną i wypija kubek słodkiej herbaty, którą podała mu Lorraine – kobieta, która sięga teraz do właściwej szafki po kubek; która nie musi pytać, gdzie trzymają łyżeczki.

– Sąsiedzi właśnie wrócili – mówi do żony. – Powiedzieli, że jeśli jest coś, co mogą zrobić... Johnnie pytał, czy potrzebujemy więcej plakatów. Jego żona ma na imię Jennifer.

Ava się nie odzywa. Wygląda, jakby uleciało z niej całe życie i została tylko pusta, zewnętrzna skorupa.

O ósmej robi się ciemno. Wraca do nich detektyw Farnham. Porusza się z tym powolnym spokojem, który – jak podejrzewa Matt – ma ukryć

targający nią niepokój. Informuje ich, że poszukiwania zostają zawieszane do jutra rana.

– Dam wam znać, jeśli się czegoś dowiem – mówi. – Macie mój numer. Dzwońcie do mnie, gdyby pojawiło się coś nowego, dobrze? Posterunkowa Stephens zostanie z wami tak długo, jak będziecie jej potrzebowali.

Kiedy wychodzi, Matt idzie do kuchni i dzwoni do Neila, który odbiera po drugim dzwonku.

– Cześć, stary. Jakies nowe wiadomości?

– Nie. Odwołali poszukiwania do jutra rana.

– Gdzie jesteś?

– W domu. A ty?

– Wpadłem tylko, żeby przebrać się w coś suchego. Zamarzałem. – Przerwa. – Słuchaj, wezmę tylko kurtkę i wracam.

Matt zamyka oczy.

– Chwila – mówi skrzeczącym głosem. Jego ubranie również jest przemoczone, właśnie zdał sobie z tego sprawę i tak, jest mu zimno i mokro, a zęby mu szczękają. – Spytam Awę.

– Chcesz, żeby Bella przyszła z nią posiedzieć?

– Ma teraz przy sobie tę oficer łącznikową. Poczekaj.

Matt wchodzi do salonu. Trzyma telefon przy piersi. Ava podnosi na niego wzrok. Jej twarz jest czerwona, a oczy opuchnięte.

– Chciałbym wyjść jeszcze raz. Z Neilem. Pyta, czy chcesz, żeby Bella przyszła z tobą posiedzieć. Czy może wolisz, żebym został?

Ava zerka na Lorraine, która zapewnia ich, że zostanie tak długo, jak będą sobie tego życzyli. Może nawet spać na kanapie, jeśli będą jej potrzebowali, nie robi jej to różnicy.

– Jeśli jesteś tego pewna – mówi Ava, wydmuchując nos w chusteczkę, którą trzyma w dłoni.

– Oczywiście – odpowiada Lorraine.

Ava patrzy mu w oczy.

– Damy sobie radę z Lorraine. Podziękuj Neilowi. – Wygląda, jakby jej ktoś przyłożył. To naprawdę okropny widok. To wszystko jest okropne. Tyle razy bezmyślnie używał słowa koszmar, a tymczasem to, co się teraz dzieje, to jest właśnie koszmar. Czuje taki sam wzmożony surrealizm, ten sam paraliż, tęsknotę za stanem świadomości, niemożność obudzenia się, jakby już nigdy nie miał tego zrobić.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym został? – pyta.

– Nie, idź – odpowiada Ava, patrząc na niego błagalnie. – Znajdź ją. Po prostu... znajdź ją.

Z ciężkim sercem Matt zostawia ją z Lorraine i wraca do holu.

– Neil? Tak, podziękuj Belli, ale oficer łącznikowa zostanie z Avą, dopóki nie wrócę.

Kwadrans później, opatuleni przed chłodem wrześnieowego wieczoru, spotykają się przed domem Matta. Radiowozy już odjechały, sąsiedzi wrócili do domów. Muszą być zszokowani, wyobraża sobie Matt, pewnie ciągle o tym gadają. Z sąsiedniego domu, przez okiennice w stylu skandynawskim, sączy się bursztynowa poświata. Samochodu nie ma już na podjeździe.

Matt kiwa głową w kierunku tamtego domu.

– Przed chwilą ich poznałem. Wygląda na to, że znowu wyjechali.

– Nie. Johnnie zawsze parkuje w garażu. Tak jakby chciał pokazać wszystkim, że jest jedynym, który ma garaż.

Matt potrząsa głową.

– Taki samochód jest skazany na to, że ktoś go zniszczy wcześniej czy później.

– I tak uważam, że to kutas.

Matt nie odpowiada. Kiedy Neil raz się na kogoś uweźmie, ciężko go przekonać do zmiany zdania. Tak samo działa to w drugą stronę, kiedy zdecyduje, że kogoś lubi, tak jakby raz przyrzeczona lojalność była niezmienna – i Bóg jeden wie, że Matt przez lata był mu za to wdzięczny.

– Dokąd chcesz iść? – Neil podaje Mattowi jedną z dwóch latarek o dużej mocy.

– Rzeka – odpowiada Matt.

Neil ponuro potakuje i Matt po raz pierwszy zastanawia się, w co on wierzy. Czy sądzi, że to przegrana sprawa i tylko z powodu ich przyjaźni próbuje go jakoś pocieszać?

Idą, dyskutując na temat wydarzeń dzisiejszego dnia. Neil mówi mu, że pojechał aż do Barnes, rozdawał po drodze wydrukowane zdjęcia i przyklejał plakaty na latarniach w Strawberry Hill, Twickenham, St Margaret's i Richmond. Jest już zachrypnięty – od zadawania pytań i nawoływania imienia Abi, przypuszcza Matt. Wygląda na wyczerpanego. Jasne. Taki właśnie jest. Nikt nie tworzy interesu z niczego, czekając, aż inni zrobią to za niego. Neil zbudował swoje życie od podstaw – nie miał

bogatej rodziny, nie miał ojca ani żadnych przywilejów; na kim miałyby polegać, jeśli nie na sobie?

Przy śluzie kierują się w stronę nurtu, w górę Richmond, schodząc do koryta rzeki. Kiedy tylko mogą, rozganiają rękoma zwisające, ostro zakończone gałęzie drzew, zatrzymują się i rozdzielają, by sprawdzić zadrzewione tereny po obu stronach ścieżki. Oczy Matta co chwilę podążają w kierunku rzeki. Jeśli wpadła do wody, już po niej. Zastanawia się, czy wierzy, że to właśnie się stało, lecz jego umysł nie chce przyjąć tego do wiadomości i prowadzi go w kierunku bardziej optymistycznej perspektywy do czasu, aż będzie w stanie zaakceptować tę bardziej prawdopodobną, bardziej oczywistą możliwość.

W Ham House przeszukują parking i żywopłoty, przeskakują przez zamkniętą bramę i biegną przez zadbane ogrody, wykrzykując jej imię. Do góry i jeszcze trochę, obok drewnianego moła, aż do Marble Hill Park. I znowu w górę, z powrotem do rzeki, w dół wąwozu, który prowadzi do przedszkola w Petersham.

Zaciska palce na czarnej, żelaznej bramie, aż bieleją kostki. Myślisz, że może tam być? Nie, stary, nie sądzę. Wszystkie te miejsca zostały już przeszukane przez dziesiątki ludzi i to w świetle dnia. To, co robią, nie ma najmniejszego sensu.

– Już to wszystko przeszukałem – mówi żalonym głosem Matt, kiedy przedzierają się przez mokre ogrody u stóp Richmond Hill, pocierając krwiste zadrapania na rękach i nadgarstkach. – Przejechałem na rowerze całą tę okolicę i z powrotem po drugiej stronie aż do Twickenham.

Ale robią to ponownie, niczym odprawianie jakiejś piekielnej pokuty, a ich latarki rozświetlają mrok, sprawiając, że wszystko spowite jest dziwną, lecz niesamowitą poświatą. Łodzie na rzece są oświetlone; kilku gapiów przechadza się przesiąkniętą deszczem ścieżką obok Tide Tables, zamkniętej kawiarni pod łukami mostu.

Deszcz dopiero co przestał padać. Dwie godziny później, brudni i zabłoceni od czołgania się po podmokłych trawach, idą z powrotem w dół Cross Deep. Po prawej stronie wznosi się pub Alexander Pope. Za szybą widać oświetlonych żółtym światłem ludzi, którzy piją drinki i rozmawiają sobie beztrąsko, jakby nic, zupełnie nic się nie stało.

– Matt? – Neil przygląda mu się uważnie. Zdaje sobie sprawę, że kumpel zatrzymał się jak wryty. – Coś zobaczyłeś?

– Ludzie – odpowiada Matt. Zaciska powieki i ponownie je otwiera. – Sorry, ale to jest po prostu dziwne. Ludzie... poza domem.

Neil klepie go w plecy.

– Chodź, stary.

Wchodzą na teren naprzeciwko – wypielegnowane trawniki, na końcu ulicy plac zabaw, mała kafejka. Zabierali tu czasem Abi dla odmiany – krótka wycieczka autobusem również była częścią atrakcji. On i Ava kupowali sobie kawę i na zmianę bujali córkę w huśtawce albo wydawali okrzyki dumy, gdy udało jej się zjechać ze zjeżdżalni. Neil i Bella też tu z nimi czasami przychodzili. Czasem do Bushy Park, do Richmond Park, a raz też na Garston's Farm na zbieranie truskawek. To wydaje się teraz takie odległe, mgliste – jak wspomnienie życia, które toczyło się dawno temu, w innej rzeczywistości.

– Czułem się taki niewystarczający – mówi nagle Matt, gdy oświetlają sobie ścieżkę nad urwiskiem, prowadzącą do wody.

– Co? O czym ty mówisz?

– Kiedy przychodziliśmy do parku. Ty i Bella zawsze mieliście dla niej tyle energii. Więcej się z nią bawiliście niż my. Przynajmniej niż ja.

– Nie mów tak.

– Kiedy to prawda. Widziałem, jak rzucasz jej piłkę, jak uczysz ją łapania albo kręcisz nią samoloty i myślałem, że to ja powinienem to robić, ale byłem zbyt leniwy. Zbyt zmęczony. Czytałem gazetę i piłem kawę, myśląc tylko o tym, jak dobrze jest posiedzieć w spokoju.

– Stary. – Neil staje naprzeciwko niego. – Pieprzysz, wiesz o tym, co nie? Jesteście jej rodzicami. To się nazywa przerwa, tak? Po to właśnie jestem ja i Bel, jesteśmy jej rodzicami chrzestnymi, co nie? Daj spokój! My nie mieliśmy nieprzespanych nocy i tego wszystkiego. Przestań się tym zadreć, bo oszalejesz.

Matt kiwa głową i mruga powiekami, by powstrzymać napływające do oczu łzy. Drapie go w gardle. Za ogrodzeniem płynie ciemna rzeka.

– Myślisz, że wpadła? – mówi, zmuszając się, by spojrzeć przyjacielowi w oczy.

Neil marszczy brwi i odwraca wzrok, patrzy w kierunku rzeki.

– Nie przesądzajmy jeszcze niczego – odpowiada, ale Matt wie, co on myśli. Myśli, że tak.

Kwadrans przed północą deszcz przybiera na sile. Ubrania kleją im się do ciała, włosy zwisają z głów smętnymi, mokrymi strąkami. Duże krople

deszczu spadają na ich twarze, skapują z nosów, podbródków, z ich płaszczy przeciwdeszczowych. Dotarli do Thameside Lane i Matt zauważył, że nie umie już zapanować nad płaczem. Neil również szlocha. Matt czuje, jakby ktoś kopnął go w klatkę piersiową. Neil płacze, nawet idąc, a jego umięśnione ramiona gracza rugby drgają od niepowstrzymanych szlochów.

– O rany – powtarza w kółko. – Nie mogę w to uwierzyć. Tak mi przykro, stary.

Matt obejmuje go ramionami i stoją tak przez chwilę w milczeniu, kołysząc się w przód i w tył. Tylko raz widział, jak Neil traci nad sobą panowanie – w szkole, gdy nie zdobył decydującego punktu, przez co jego drużyna przegrała mecz. Neil nie płacze, po prostu nie zdarza mu się to. Jest oldschoolowy – kapitan drużyny rugby przez wszystkie pięć lat szkoły średniej, później czołowy zawodnik w lokalnej lidze, teraz weteran, a do tego trener drużyn poniżej dwunastego roku życia. Jego firma pochłonęła większość jego kondycji w ostatnim roku – więcej pił, mniej ćwiczył – ale w tamtych czasach był królem browaru, mistrzem kufla, potrafił wypić całą beczkę, jakby nawet w picciu piwa musiał być zwycięzcą. Kiedy Ava się z nim poznała, nazwała go Action Man, a jego dążenie do bycia najlepszym we wszystkim było dla Matta wzorem, który zamierzał naśladować. Musi być ze mnie równy gość, nadal zdarza mu się czasem myśleć. Skoro trafił mi się taki przyjaciel jak Neil.

Ale teraz cała brawura Neila zniknęła, jakby zmył ją ulewny deszcz, jakby to była tylko jego zewnętrzna warstwa, nie więcej niż ubranie.

Matt zatrzymuje się i opiera o ramię przyjaciela.

– Nie mogę iść do domu. Jak ja mam wrócić?

Przytulają się do siebie. Nie ma już żadnego udawania. Po minucie czy dwóch biorą się w garść i odrywają się od siebie, ocierają twarze.

– Może tam? – Neil macha ręką w kierunku tablicy informacyjnej na placu budowy pomiędzy Oasis a pubami: reklama sprzedaży dwu- i trzypokojowych luksusowych mieszkań nad rzeką.

– Policja już tam szukała – odpowiada Matt.

– Ale to było rano.

Matt wzdycha ciężko na tę insynuację, kręci głową na słowa, które nie chcą wyjść z jego ust – jego córka. Ciało.

Neil podciąga się, przerzuca jedną nogę przez drewniane ogrodzenie, stęka i zeskakuje.

– W porządku? – woła Matt.

– Tak. Rzuć latarki.

Matt przerzuca latarki jedna po drugiej. Niezręcznie wspina się po rozklekotanych deskach i zeskakuje, szorując po nich dłońmi i wbijając sobie drzazgi. Razem idą w kierunku szkieletu budynku, a światła ich latarek rozbłyskują w kroplach deszczu.

Jest tak kurewsko ciemno.

– Abi? Abi? Abi!

Latarka Matta omiata jakież wpatrujące się w nich oczy.

– Jezu! – Niemal wypuszcza latarkę z ręki. Ale to tylko lis, który gapi się na niego jeszcze przez chwilę, po czym pędem ucieka.

W głębi znajdują się jakież szopy. Ze stalowych słupów nad ich głowami rozlega się męczące kap, kap, kap. Omiatają światłami latarek rusztowania, do połowy postawione ściany, płytkie kałuże w wykopanych rowach.

– Nie wiem, co mam powiedzieć – odzywa się w końcu Neil. Na jego rzęsach widać kropelki deszczu. – Brak mi słów, stary.

Matt wpatruje się w mokre niebieskie oczy przyjaciela i widzi w nich całą miłość oraz lojalność ostatnich dwóch dekad. Jeśli jest na tym świecie chociaż jedna osoba, której może to powiedzieć, to jest ten facet. A on musi to komuś powiedzieć.

Rozdział 9

Ava

Północ. Mój mąż i jego przyjaciel stoją w progu domu, ich ubrania są przemoczone i brudne, ramiona pokryte czerwonymi zadrapaniami, a pomiędzy nimi ciemniejsze czerwone pręgi. Ich ręce są puste. Płaczą, szlochają tak po męsku, z głębi trzewi. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego widoku. I szokuje nas on, zwłaszcza gdy chodzi o takiego mężczyznę jak Neil – siłą fizyczną i posturą nadrabia braki we wzroście. Jest krzepkim facetem stworzonym do dźwigania ciężarów, do przyjmowania ciosów, do stawiania oporu. Matt, ten słabszy z nich dwóch, opiera swoje wysokie ciało o framugę, jego włosy są śliskie od deszczu, a usta zaciśnięte w wąską linię.

– Tak mi przykro. Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

Uderzam kolanami o drewnianą podłogę w holu. Opieram dłonie o wycieraczkę i czuję, jak mnie kłuje.

Potem, gdy Lorraine już wyszła, Matt i ja bierzemy prysznic. Ubieramy się w spodnie dresowe i T-shirty. Chcemy być gotowi na wypadek, gdyby ktoś nas wezwał. Przypuszczam, że musiałam od razu zasnąć. Pamiętam, że szlochałam, przytulona do jego pleców. Proszę, niech ona się znajdzie, pamiętam swoje szepty. Proszę, proszę, proszę.

Wrzesień. Niemal rok temu, a zarazem jakby wczoraj. Moja córka, ona odeszła. Ta niewiedza, ten ciężący akord. Rozdwojenie jaźni – ja tutaj, ja tam. Wtedy – pewność, nie w mojej głowie, ale gdzieś w sercu, że będę jej szukać do końca moich dni. Teraz – poszukiwania, ciągłe poszukiwania, do samego końca.

Dopiero następnego dnia odnaleziono płaszczyk Abi.

*

Budzę się w spodniach dresowych obok Matta. Przez krótką chwilę wszystko jest normalne. A po chwili już nie.

Lorraine przychodzi wcześniej, około ósmej trzydzieści. Robi tosty z dżemem i zjadamy je. Pijemy kawę, którą zrobiła tak, jak lubimy. Matt wyjeżdża gdzieś na rowerze, ale myślę, że nie na długo. Około dziewiątej trzydzieści przychodzi kobieta, którą już rozpoznaję.

Detektyw inspektor Sharon Farnham.

– Pani Atkins – wita się ze mną.

Pozwalam jej wejść. Taśma z drzwi wejściowych zniknęła. Zgadza się, zdjęli ją wczoraj wieczorem.

– Znaleźli BMW? – pytam.

– Możemy wejść do środka i usiąść? – Coś w wyrazie jej twarzy mówi mi, że ma nam coś ważnego do powiedzenia. Ciężar w moim wnętrzu robi się coraz większy.

– Proszę.

Matt schodzi na dół po schodach. Wpadł tylko na chwilę, by sprawdzić, co u mnie i żeby zmienić spodnie, które przemokły mu w trakcie kolejnej ulewy.

– Pani detektyw – mówi bez zaskoczenia. – Coś nowego?

– Moglibyśmy przejść na chwilę do salonu? – odpowiada.

I wtedy już każdą komórką mojego ciała czuję, że ma jakieś wiadomości i że nie są one dobre.

– Avo – mówi Farnham – myślę, że powinna pani usiąść.

Siadam na sofie obok Matta. Czuję ból w udach, kłucie w niewyspanych oczach, ciężar Freda w moim brzuchu, choć jest wielkości ziarnka ryżu. Ciepło Matta obok mnie. Miętowy zapach jego żelu pod prysznic. Skrzywienie skórzanej sofy. Mam zimne stopy. Nie założyłam kapci. Gorzka ślina wypełnia moje usta. Kiwam jej głową, by powiedziała nam to, co najwyraźniej musi.

– Muszę wam powiedzieć – zaczyna cicho, choć każde jej słowo dźwięczy w moich uszach niczym dzwon – że płaszczyk pasujący do tego z opisu Abi został znaleziony przy zaporze Richmond. Są tam teraz nurkowie, RNLI[3] też tam jest i jesteśmy w kontakcie ze strażą przybrzeżną, ale na razie niczego nie znaleziono. Muszę wam jednak powiedzieć, że woda jest wysoka i bardzo rwąca – zapewne z powodu ulewnych deszczów w Oxfordzie w ostatnich dniach. Jeśli Abi wpadła tam, gdzie karmi kaczki,

to przy jej małej masie możliwe, że jej ciało przekroczyło barierę Richmond w ciągu godziny od wejścia do wody.

Dywan zbliża się do mnie, staje się jednym odcieniem szarości. Palce Matta wbijają się w moje ramię. Słyszę swoje imię. Moja głowa opada do przodu, potem do tyłu, a następnie opiera się o miękki zagłówek kanapy.

– Ava. – Oczy Matta są brązowe, ale białka ma całe zaczerwienione. Moje ciało obróciło się w pył. Detektyw Farnham zamyka oczy. Matt przyciąga mnie do siebie i uspokaja, ale kiedy się odzywa, jego głos jest skrzekliwy i pełen strachu.

– Ale to może nie być jej płaszcz – mówi. – To nie będzie jej. Nigdy nie wskoczyłaby do wody. Nigdy nie doszłaby tak daleko. Ona... Możemy go zobaczyć?

Nie mogę patrzeć. Słyszę jedynie swój niski gardłowy skowyt. Czuję, że Matt odsuwa się ode mnie. Przykładam dłoń do oczu. Lorraine podaje mi kolejną chusteczkę i mówi mi, że muszę być silna, że nie mogę porzucić nadziei. Gładzi mnie po plecach.

Matt trzyma w ręku najnowszego iPhone'a. Na wyświetlaczu jest zdjęcie płaszcza.

– To płaszcz Abi – mówię. – To jej płaszcz. Przepraszam, ja... ja tylko...

Wstaję. Przechodzę przez hol i wchodzę do kuchni. Mój telefon ładuje się na blacie. Odłączam ładowarkę, wyciągam ramię najdalej, jak potrafię i opuszczam je, w ostatniej chwili wypuszczając z dłoni telefon. Upada na płytki, ale nie rozbija się. Otwieram szafkę, w której trzymamy odkurzacz i kilka podręcznych narzędzi. Wyciągam śrubokręt, klucz francuski, młotek. Chwilę później nachyliłam się nad moim iPhone'em. Uderzam w niego młotkiem, raz za razem. Telefon pęka, miażdży się, chrzęści.

– Ava! Ava, przestań! – Matt łapie mnie za rękę, gdy ją podnoszę i przytrzymuje, jakbym była schwytaną kryminalistką, ale już po chwili obejmuje mnie i razem zanosimy się płaczem, z nosami w swoich szyjach.

– To moja wina – szlocham. – To wszystko moja wina.

Rozdział 10

Ava

Jestem w koszuli nocnej i szlafroku, trzymam Freda na ramieniu po porannym karmieniu. Jest mniej więcej siódma czterdzieści pięć. Kiedy przechodzę przez kuchnię, moje kapcie uderzają o płytki na podłodze.

Matt stoi przy barze, pije na szybko kawę przed wyjściem do pracy. Wygląda bardzo szczupło, zbyt szczupło. Nie wydaje mi się, że to przez treningi. Treningi nie powodują cieni pod oczami. Żałoba – tak. Trauma – tak.

Pomięte zaproszenie na przyjęcie u Lovegoodów leży na blacie, tak samo jak przez trzy ostatnie dni. Kiedy odrywam od niego wzrok, widzę, że Matt mnie obserwuje, że to widzi.

– Neil powiedział, że on i Bella wybierają się tam na krótką chwilę – mówi, wyciągając do mnie rękę z kubkiem herbaty. – Powiedziałem, że być może pójdziemy z nimi. Tylko na godzinę. Z grzeczności.

Zaciskam zęby. Zastanawiam się, czy Matt widzi moją napiętą szczękę.

– Zaproponowałem, że mogą przyjść najpierw do nas – kontynuuje. – Może dobrze byłoby się z nimi zobaczyć tylko we czwórkę? Nie spotykaliśmy się, odkąd... nie widzieliśmy się z nimi od wieków, przyznasz?

Nie spotykaliśmy się z nimi od dnia poprzedzającego zniknięcie Abi. Ale w końcu Matt i ja nie widzieliśmy się z nikim.

– Właściwie to widziałam Bellę parę dni temu – mówię. To raczej oczywista próba zmiany tematu.

– Tak? Nie wspominałaś.

– Zapomniałam. – Wzdrygam się na wspomnienie krótkiej pogawędki, którą przeprowadziłyśmy na ulicy. Nie mogła się doczekać, aż wejdzie do domu.

– Była nieskazitelna jak zwykle – dodaję. – A ja wyglądałam przy niej jak matrona.

– Na pewno nie. Pogadałyście trochę?

– Nie za bardzo. Nie mogłam wypytywać ją o jej znajomych, prawda? Nie znam nawet ich imion. I przypuszczam, że ona nie mogła wypytywać o moich. – Nie widziałam żadnego z moich przyjaciół od czasu zaginięcia Abi, jeśli nie liczyć krótkich, pełnych napięcia, jednorazowych wizyt, by zobaczyć nowe dziecko, wizyt, które skróciłam, by oszczędzić im ich widocznego dyskomfortu.

– Jak jej idzie w salonie? – pyta Matt.

– Och, jej tata jest zachwycony rozszerzeniem działalności o paznokcie i solarium.

Matt się uśmiecha.

– To super.

– Powiedziała, że powinnam kiedyś wpaść. Da mi zniżkę. Nie wiem, czemu tak powiedziała, zawsze daje mi zniżki. Dobre cięcie i trochę koloru podniosą mnie na duchu, tak stwierdziła, co jest jasnym szyfrem, by powiedzieć, że wyglądam jak gówno. Bez urazy, prawie dopowiedziałam.

Matt nie odpowiada. Pewnie go zanudzam, ale c'est la vie.

– Neil pracuje całymi dniami – kontynuuję, zanudzając już teraz samą siebie. – Bella powiedziała, że już prawie wcale się nie widują. Najwyraźniej dostaje mnóstwo zleceń z polecenia Johnniego. Bella ma nadzieję, że wkrótce będzie mógł wziąć sobie ze trzy miesiące wolnego i dla odmiany popracować w ich domu. – Ostatnie sformułowanie wzięłam w przysłowiowy cudzysłów, naśladowując pasywno-agresywny ton Belli.

– Bella by się z tego ucieszyła – odpowiada beznamiętnie Matt. – A Neil na pewno zrobi dobrą robotę.

Potakuję, czując, że pokrzyżował mi szyki.

– Miała zrobione paznokcie – dodaje. – Jakaś nową metodą. Była tym podjarana, jak nie wiem co.

Matt rzuca mi zdziwione spojrzenie, a ja czuję się fatalnie. Nigdy taka nie byłam. I naprawdę mi się podobały te paznokcie Belli.

– Są cudowne – tak jej powiedziałam, choć nie wzięłam jej dłoni w swoją jak kiedyś.

– Przyjdź – odpowiedziała. – Powiem Courtney, żeby też ci takie zrobiła.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że przyjdę. Na pewno. Wkrótce.

– Miała też sztuczne rzęsy – mówię Mattowi, nie potrafiwszy się powstrzymać, a moja nikczemność idzie łeb w łeb z nienawiścią do siebie samej.

– Tak?

Nie może go to interesować, ale i tak kontynuuję.

– Zapytałam, czy ma je wszyte, a ona pomyślała, że to niezwykle zabawne. Wychodzi na to, że jakoś je przyklejają. Spytała, czy mi się podobają.

– I podobają ci się?

Wzruszam ramionami.

– No, nie wyglądała źle, czy coś.

Staram się, by nie powiedzieć czegoś krzywdzącego, naprawdę, ale czuję się, jakbym jechała rozpędzonym autem i straciła nad nim kontrolę. Prawda jest taka, że Bella nie mogła wyglądać źle i tak, być może jestem trochę zazdrosna. Jest taka... symetryczna, z tymi jej pełnymi ustami i ciemnymi włosami, grubymi, wypięłgnowanymi brwiami i pięknymi, niemal turkusowymi oczami, które, wydaje mi się, dostała w spadku po jakichś birmańskich przodkach ze strony matki. Dodatek w postaci sztucznych rzęs dodał jej urodzie wygląd jak z kreskówki. Wyglądała, jakby była ciągle zdziwiona. Czułam się, jakbym dostała kopa przez samo patrzenie na nią.

– Myślę, że byłoby co najmniej niegrzeczne, gdybyśmy nie pokazali się choć na chwilę u Lovegoodów. – Matt zmienia temat albo wraca do niego.

– A my nie chcemy być niegrzeczni, prawda?

Mój sarkazm jest jak skrobanie paznokciami po tablicy. Nawet ja się krzywię. Ale Matt jest niewzruszony.

– To byłoby interesujące zobaczyć ich nową kuchnię, nie sądzisz? Podobno samo oświetlenie kosztowało sześć kawałków.

– Sześć tysięcy funtów? Boże. Nie możemy przecież tego przepuścić.

Marszczy brwi i przekrzywia głowę na bok.

– Ava. Daj spokój.

Kiwam głową ledwo widocznie. Najbardziej na świecie chciałabym, żeby przestał mówić.

– Daj mi to przemyśleć, dobrze?

– Jasne. Zawsze możesz powiedzieć, że musisz położyć Freda, jeśli będziesz chciała wyjść.

– Powiedziałam, że to przemyślę.

– Okej. Przepraszam. Daj mi znać. – Przechodzi przez kuchnię, stawia sztywno kroki w swoich kolarskich butach. Chwyta się drzwi i czeka. Nie mogę na niego patrzeć.

To nadzieja, która nas w końcu zabije.

– To co – mówi cicho – umówiłaś się na cięcie?

Poprawiam sobie Freda na ramieniu i sięgam po herbatę.

– Bella powiedziała, że mogę umówić się na przyszły piątek, tak samo na manicure. Najwyraźniej muszę o siebie zadbać, jeśli mam być widziana w jej towarzystwie.

– Myślę, że po prostu starała się być miła.

Wzruszam ramionami. Jestem okropną osobą.

– To chyba dobrze, prawda? Nowa fryzura? Mógłbym pracować z domu albo wziąć dzień wolnego, żeby zająć się Fredem. Dobrze by nam zrobiło wyjście. Nie możemy wечно unikać sąsiadów.

– Matt. Powiedziałaś, że się nad tym zastanowię, a ty teraz... naciskasz na mnie.

Wyrzuca w górę ręce.

– Przepraszam! Wybacz. Pomyślałem tylko, że moglibyśmy unormować pewne rzeczy...

– Unormować rzeczy? – Krew mnie zalewa.

Matt otwiera szeroko oczy.

– Nie unormować, wybacz. Przepraszam! Nie to miałem na myśli. Ja tylko... O mój Boże, Ava, nie chciałem... Nie płacz. Proszę, nie płacz.

Szlocham w śpioszki Freda. Matt usiłuje mnie objąć, ale to niezręczne, kiedy mam dziecko na ramieniu i szczerze powiedziawszy, nie chcę, żeby to robił. Nienawidzę go i nienawidzę siebie, i nie zasługuję na to, by być przytulana. Ale nadal stoimy tam, tuląc się do siebie, jak tylko możemy.

– Ava – mówi łagodnie. – Nie miałem na myśli...

– Wiem. Nie wiem, dlaczego taka jestem.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Jest okej. To ja przepraszam.

Głaszczę moje włosy, tylko raz. Pewnie zauważył, że są tłuste i przeniósł dłoń na moje ramię.

– Wiem, że to trudne – mówi.

– Idź. Idź już. Spóźnisz się do pracy. – Chcę, żeby wyszedł. Naprawdę chcę, żeby już poszedł.

– Nie znoszę cię zostawiać w takim stanie. Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

Jasne, że nie.

– Nie martw się, nie będę miała kolejnego załamania.

– Ava – błaga. – Nie rób tego.

– Żart. To był żart. Dam sobie radę. Naprawdę. Mogę być smutna. Bycie smutną to prawidłowa reakcja. Po prostu muszę zostać teraz sama, okej? Idź już, idź.

– Dobrze. Przepraszam. – Bębni palcami po drewnianej framudze. Wyczuwam, że wycofuje się do holu.

– Na razie! – woła chwilę później i w jego słowach jest tyle tęsknoty, że oczy znowu zaczynają mnie piec. Robi, co może. Oboje się staramy.

Rozdział 11

Ava

Właśnie zmieniam Fredowi pieluchę w jego pokoju na górze, gdy rozlega się dzwonek do drzwi. O wpół do dziesiątej rano to musi być jakaś dostawa, o której zapomniał powiedzieć mi Matt, gdyż prawdopodobieństwo, że przyszedł jakiś przyjaciel, jest prawie zerowe.

Podnoszę Freda i podchodzę z nim do schodów, mając nadzieję, że nie obsiusia mnie, jak to często się zdarza, gdy nie ma pieluszki. To jego radosna odpowiedź na powiew świeżego powietrza.

– Idę! – wołam, po czym wracam do pokoju i szybko zakładam mu pieluszkę. Jeśli będę miała szczęście, zostawią paczkę na schodach.

Minutę później widzę przez matowe szkło, że ktokolwiek to jest, nie poszedł sobie, i mimo że jak przez mgłę rozpoznaję elegancką sylwetkę, majaczącej przed moimi drzwiami osoby, i tak czuję się zszokowana, gdy otwieram drzwi i widzę stojącą na progu Jennifer Lovegood. W piątek.

– Jennifer! Nie jesteś w pracy?

Uśmiecha się.

– Dzisiaj pracuję zdalnie. Właśnie miałam sobie zrobić kawę, kiedy pomyślałam: „Ciekawe, czy pani Atkins nie czai się gdzieś w pobliżu, a jeśli tak, może namówię ją, żeby to ona zrobiła mi kawę?”.

Ze zdumieniem zdaję sobie sprawę, że również się uśmiecham.

– Jasne, wejdz.

– Świetnie.

Idzie za mną do kuchni i siada za barem. Bez słowa wręczam jej Freda i podchodzę do ekspresu do kawy.

Mam rumieńce. Zdaję sobie sprawę, że jestem zadowolona, a nawet zachwycona tym, że ją widzę.

– Więc czemu nie jesteś w biurze? – pytam, wyciągając z szafki filiżanki.

– Musiałam czekać na dostawę mrożonek, dasz wiarę? Johnnie zamówił je na imprezę, a potem w ostatniej chwili poinformował mnie, że ma

klienta i nie może być w domu, żeby odebrać przesyłkę, co jest jego klasyczną zagrywką, jeśli mam być szczerą. W każdym razie, przyjechali pięć minut temu, więc pomyślałam, że zrobię sobie małą przerwę i spotkam się z tobą.

Uśmiecham się. Jej irlandzki akcent uspokaja mnie. Od zniknięcia Abi ona jest prawdopodobnie jedyną osobą, poza moją mamą, w towarzystwie której czuję się komfortowo, gdy jest w moim domu. Kilka dni po tym zdarzeniu wpadła do mnie na chwilę przed pracą. Pamiętam jej piękną garsonkę, miękką linię jej czerwonej, jedwabnej bluzki, świeży zapach perfum.

– Avo – powiedziała – jestem Jennifer Lovegood. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Jak sobie radzisz?

Potrząsnęłam głową i schowałam twarz w dłoniach.

Usiadła obok mnie na brzegu kanapy i wzięła moją dłoń w swoje. Nic nie mówiła, kompletnie nic. Jej palce były miękkie, paznokcie krótkie, czyste, niepomalowane, a obrączka zrobiona z białego złota i niczego więcej.

– Chcę tylko, żeby ją znaleźli. – Szlochałam.

– Oczywiście. Jasne, że chcesz. Co za okropna sprawa.

Nie znałam jej w ogóle, ale oparłam głowę na jej ramieniu i płakałam w jej piękną marynarkę.

– Posłuchaj – powiedziała w końcu. – Muszę jechać do pracy, ale zostawiam ci mój numer.

Wręczyła mi wizytówkę.

JENNIFER LOVEGOOD

LOVEGOOD & FOSKETH

SPECJALISTKA OD PRAWA RODZINNEGO

Numer z centrum Londynu, numer komórkowy.

– Dzwon na ten – powiedziała, odwracając wizytówkę. Z tyłu był kolejny numer, napisany ręcznie fioletowym atramentem. – To numer prywatny.

– Dziękuję.

Teraz zdaję sobie sprawę, że musiała zapisać go w domu, zanim do mnie przyszła, że w ten sposób dała mi zgodę na to, bym ją niepokoiła.

– Pisz do mnie, kiedy tylko chcesz – powiedziała. – Zadzwoń ze sklepu w drodze powrotnej do domu. Jeśli się nie odezwiesz, i tak muszę kupić parę rzeczy, więc pisz, gdybyś czegoś potrzebowała. I bez tego masz sporo spraw na głowie.

A potem zrobiła coś niezwykłego. W tym swoim eleganckim stroju uklękła – tak, uklękła przede mną i ponownie wzięła moje dłonie w swoje ręce.

– Muszę już iść – powiedziała, a jej ciepłe szare oczy patrzyły na mnie. – Ale jeśli będziesz potrzebowała czegokolwiek, dzwoń śmiało.

Widok jej klęczącej na podłodze w mojej kuchni był niesamowity – jakby jej drogie spodnie były dla niej bezwartościowe, jakby była kimś, kto rozumie, co jest w życiu ważne, choć sama jest otoczona bogactwem. Pamiętam ją bardzo dokładnie, klęczącą. Ale nie pamiętam tego, jak opuściła mój dom.

Od tamtej pory wypiliśmy wspólnie cztery, może pięć razy kawę, zawsze u mnie i za każdym razem bardzo łatwo było mi z nią rozmawiać, łatwiej niż z którymkolwiek z moich bliskich przyjaciół. Czasami łatwiej jest z nieznanymi. Brak oczekiwania intymności sprawia, że przychodzi ona bardziej naturalnie. Samotność nie jest tak dotkliwa.

Przynoszę naszą kawę do baru.

– Jak leci? – pyta, a jej szare oczy szukają moich.

– Och, no wiesz.

Pijemy kawę. Caffè latte – espresso i spienione mleko. Te przedmieścia stały się miejscem, w którym każdy może zrobić perfekcyjną włoską kawę w domu.

– Posłuchaj – mówi. – Chciałam tylko wpaść i dać ci znać, że nie musisz przychodzić na to przyjęcie. Oczywiście byłabym zachwycona, gdybyś zechciała, ale ważne jest, abyś zrobiła to w zgodzie ze sobą, okej? Chciałam się tylko upewnić, że o tym wiesz.

Oczy zachodzą mi łzami.

– Chyba powinnam w końcu podziękować sąsiadom za casserole z kurczakiem.

– Chcesz powiedzieć, że nie wysłałaś im kartek z podziękowaniami własnej roboty? – Unosi jedną brew. – Niegrzecznie.

Śmieję się, naprawdę się śmieję.

– Matt mówi, że powinniśmy się postarać dla Freda i że wcześniej czy później i tak będziemy musieli zmierzyć się ze wszystkimi. Wszyscy byli dla nas tacy mili. Nie czytałam nawet kartek z wyrazami współczucia, co było bardzo niewdzięczne.

– Według czyich standardów? – Prycha szyderczo. – Chryste, Avo, nie zadrećzaj się tak.

Wbrew mojej woli znowu wybucham śmiechem.

– Chyba muszę się pozbyć niewdzięczności.

– Tak, ty rozpieszczona suko.

Po raz trzeci, nie wiem jakim cudem, śmieję się do rozpuku, ale tak samo szybko moje oczy wypełniają się łzami i zanoszę się płaczem.

– Och, na litość boską – mówię. – Bardzo cię przepraszam. Moje oczy żyją własnym życiem.

– Hej, hej, w porządku. – Wstaje z krzesła. Przyciąga moją głowę do swojej piersi. – Musisz dać sobie na luz. Widujesz się nadal z terapeutką?

Potakuję.

– Ale problem w tym, że to niczego nie zmieni. Nie zmieni tego, że zostawiłam otwarte drzwi. Nie zmieni tego, że chcę moją małą dziewczynkę z powrotem. Tak bardzo chcę ją z powrotem, całą, niezmienną i gdyby tak się stało, nie interesowałoby mnie nic poza tym, i o to w tym wszystkim chodzi. Żadne casserole z kurczakiem czy inne ciasta cytrynowe. I czuję się z tym gównianie, naprawdę, ale wołałabym, żeby ludzie po prostu mówili mi zwyczajne „dzień dobry”, jak ty to robisz. Nie mogę znieść tego wyrazu współczucia na ich twarzach przez cały czas, rozumiesz, o co mi chodzi? Nie chcę słyszeć ich szeptów, gdy już minę ich na ulicy i nie chcę widzieć strachu w ich oczach, kiedy ze mną rozmawiają. Poważnie, czuję się tak, jakbym miała jakąś poważną chorobę, a im się wydaje, że jeśli będą stali w pobliżu mnie, to się nią zarazą. Jakby ich dzieci czy wnuki mogły być przeklęte za sam kontakt ze mną.

– To faktycznie gówniana sprawa – przyznaje, a akcent łagodzi jej słowa. Nadal trzyma moją głowę i chociaż ciągle płacze, dociera do mnie, że czuję ulgę, że umyłam rano włosy.

– Przepraszam – mówię, odsuwam się od niej i wycieram nos grzbietem dłoni. – Muszę zacząć widywać się z ludźmi.

– Nie musisz robić niczego, na co nie jesteś gotowa. Nie musisz potwierdzać swojej obecności na przyjęciu. Wszyscy mieszkańcy ulicy potwierdzili, co, muszę przyznać, jest dla mnie trochę niepokojące, więc to nie tak, że będę tam stała sama jak palec. Mówię ci to na wypadek, gdybyś chciała się tym zadręczać. Muszę już lecieć, mam rozmowę o jedenastej, więc powinnam się zbierać, ale wsłuchaj się w siebie, okej? I nawet jeśli zdecydujesz się w ostatniej chwili, możesz przyjść albo nie. Nie urazisz mnie, a Johnnie jest taki gruboskórny, że i tak nic nie zauważy, dopóki będzie miał kogoś, kto będzie słuchał o jego ogrzewaniu podłogowym.

– Dzięki, Jennifer. – Odrywam kawałek ręcznika papierowego i przykładam go do oczu.

– Jen – poprawia mnie, kładąc mi rękę na ramieniu. – Po piątej kawie zawsze przechodzę na Jen.

– Jen. – Śmieję się, wydmuchując nos w papier. – Dzięki.

Kiedy wychodzi, zdaję sobie sprawę, że jej przybycie nie było tak naprawdę podyktowane chęcią napicia się kawy, ale że przyszła, by mnie zapewnić, że jej przyjaźń nie jest w żaden sposób uwarunkowana moim przybyciem na jej wielkie, ważne przyjęcie. Kiedy powiedziała, że nie muszę przychodzić, uwierzyłam jej tak, jak nie potrafiłam uwierzyć Mattowi. I dzięki temu teraz myślę, że niemal mogłabym chcieć tam pójść. Że ta chęć nie jest już niemożliwa.

Rozdział 12

Ava

Podczas kąpieli Fred leży na starym, czerwonym leżaczku po Abi. W płytkiej wodzie jego rączki i nóżki machają jak oszalałe. Wygląda, jakby toczył walkę o życie z jakimś niewidzialnym wrogiem, a jednocześnie zachowuje całkowity spokój.

Później karmię go na kanapie w salonie – on ma na sobie śpioszki frotte, a ja nową lekką piżamę, którą mama przysłała mi w zeszłym tygodniu. Cały dzisiejszy dzień upłynął pod znakiem niezapowiedzianej wizyty Jennifer. Jen. Mojej przyjaciółki, tak teraz o niej myślę. Barbara powiedziała mi, że powinnam skupiać się na tych małych rzeczach – kiedy przydarza mi się coś miłego albo doświadczam jakiejś drobnej fizycznej przyjemności. Dziś jest to uczucie, że zdobyłam nową przyjaźń. Właśnie teraz, w tym momencie, czuję mrowienie na mojej skórze, gdy letni dzień przechodzi w wieczorny chłód, gdy patrzę na sieć małych fioletowych żyłek na powiekach Freda, na jego różowe usteczka. Ma usta Matta. Ten sam kształt, te same miny.

Słyszę dźwięk otwieranych drzwi frontowych. To Matt wraca z pracy. Chwilę później staje w drzwiach salonu.

– Cześć – mówi szeptem. Nigdy nie jest pewien, w jakim będę stanie w danej chwili. Moje nastroje zmieniają się jak pogoda.

– Cześć – odpowiadam.

Wzdycha ciężko, jak wilk, który zdmuchuje domek świnki i kładzie sobie ręce na biodrach, przymykając powieki. Brakuje mu tchu od jazdy na rowerze, jego ubranie jest przemoczone, to musi być pot, bo cały dzień było potwornie gorąco. Włoski na jego nogach pokryte są kurzem i wygląda, jak zwykle, na wykończonego i wychudzonego.

– Wszystko w porządku? – Unosi brwi w nadziei.

Uśmiecham się.

– Właśnie karmię tego głodomorka.

Jego ramiona opadają ledwo zauważalnie, a mnie zalewa poczucie winy. Czuje ulgę, że wszystko ze mną w porządku, albo że przynajmniej jestem w stanie udawać, żeby go nie martwić. Chcę mu powiedzieć, że tak właściwie to naprawdę czuję się dobrze; dziś był dobry dzień i w tej konkretnej sekundzie, czuję, tak, czuję się... dobrze.

– Wychodziłaś gdzieś dzisiaj? – Jego brwi nadal uniesione są wysoko. To nadzieja, która w końcu nas zabije.

– Nie, dziś nie. – Odwracam spojrzenie od jego twarzy. – Ale przez godzinę grałam na pianinie.

– To świetnie! Super! – Jest zbyt zadowolony, dużo za dużo. – Może pójdziemy później na spacer?

Och, co za dziki optymizm.

– Myślałam, że masz trening z Neilem?

– Mogę odwołać.

– Nie, w porządku. – Skupiam wzrok na miękkiej, ciemnej czuprynie Freda. – Jutro wyjdę, obiecuję. Dziś wpadła do mnie Jen.

– Jen?

– Jennifer, nasza sąsiadka. Pracowała dziś w domu, więc wpadła na kawę.

– To świetnie! Naprawdę wspaniale!

– Naprawdę ją lubię.

Ruch powietrza. Nadal stoi w drzwiach. Czuję, że pragnie coś powiedzieć. Wiem, że chce mnie zapytać, czy zmieniłam zdanie na temat przyjęcia. Prawie zmieniłam. Tak sędzę. Ale nie chcę się z tym od razu zdradzać, na wypadek gdyby znowu mi się odwiedziało.

– To pójde się tylko przebrać – mówi po chwili. – Nie mogę biegać w tych spodenkach.

– Jasne.

Słyszę jego kroki na schodach. Zamienia jeden strój sportowy na drugi. Prawie nic nie je pomiędzy powrotem z pracy a wyjściem na bieganie, mówi, że nie może trenować z pełnym żołądkiem. To, co zaczęło się jako niewinny fitness, stało się jego obsesją. Musiał stracić już z sześć kilogramów od tamtego poranka, a nigdy nie miał za bardzo co zrzucić.

Fred kończy jeść, odgina się i kładzie w błogim zadowoleniu. Podobnie jak kąpiel i świeża bawełna na czystej skórze, widok mojego synka po karmieniu wzbudza we mnie radość – jego beztroska, ciężkie powieki,

słodki, bezzębny uśmiech. Bałam się, że nie będę umiała nawiązać z nim więzi. Moja mama przyjechała do nas na dwa tygodnie, gdy się urodził.

– Zaopiekuję się tobą – powiedziała z rzeczową czułością, którą okazywała mi przez całe życie. – A ty zaopiekujesz się nim.

Była cicha, spokojna i pojawiła się tutaj. W chwilach załamania siedziałyśmy razem i rozwiązywałyśmy krzyżówki. Herbata. Rozmowy. W nieskończoność. Teraz dzwoni do mnie codziennie na telefon stacjonarny, wiedząc, że zastanie mnie w domu i to też mi pomaga, razem z terapią, za którą uparli się zapłacić rodzice Matta.

Miłość nie była problemem. Nie bez strachu, ale każda nowa matka odczuwa pewną dozę przerażenia i, dzięki Barbarze, nauczyłam się znów dostrzegać tę miłość, moją zdolność do jej odczuwania i dawania jej, jako mój triumf godny nagrody Nobla. Z jej pomocą mam nadzieję, że Fred nigdy nie pozna tej depresyjnej części mnie. Pracuję nad tym, nad nią, nad sobą. Staram się zbliżyć do tego, kim byłam wcześniej. To trudne, wręcz wyczerpujące, dążyć do czegoś, co wydaje się tak bardzo poza zasięgiem, bez poświęcenia samej siebie, kiedy się nie udaje. Ale Barbara mówi o ładowaniu moich baterii dobrymi chwilami, by kumulować energię na te gorsze. Dużo mówi o trwaniu w chwili obecnej i o byciu dobrym dla siebie. Współczucie to słowo, którego często używa. Współczucie dla samej siebie jest niezbędne, jeśli mam traktować się lepiej. Ale wydaje mi się tragedią, zarówno szczególną, jak i okrutną, że wszystkie te rzeczy, które mogą nam pomóc przetrwać te najgorsze chwile – długi spacer, starannie przygotowany posiłek, ulubiony utwór muzyczny – są w tych chwilach tym, z czym nie dajemy rady się zmierzyć, podczas gdy wszystkie rzeczy, które sprawiają, że czujemy się gorzej, o wiele gorzej – śmieciowe jedzenie, zbyt wiele kieliszków wina, przebywanie w pokoju, który wibruje nawiedzoną ciszą – wydają się niezwykle kuszące.

Dzisiejsza niespodziewana wizyta Jen naładowała moje baterie i dała mi wystarczająco dużo energii, bym mogła zagrać na pianinie po raz pierwszy od zniknięcia Abi. To było niesamowite uczucie, nie wiem, dlaczego od tak dawna nie grałam. Wiedziałam – musiałam wiedzieć – że to mnie wyciszy. Zawsze mnie wyciszało. Czekałam zbyt długo, ale dziś to zrobiłam i tylko to się liczy. W końcu tam dotarłam. I jeśli mogę usiąść przy moim od dawna zaniebawanym minigrandzie, jeśli mogę poczuć gładkie, śliskie klawisze pod palcami, jeśli mogę przymknąć oczy przy melodiach zapomnianych, znajomych i ukochanych – Chopinie, Beethovenie,

Rachmaninowie – i stwierdzić, że wracam do czegoś w rodzaju domu, to wiem, że tu jest moje uzdrowienie, a że przynajmniej może być, i że pewnego dnia świeże powietrze i ludzie też mnie uzdrowią.

Słyszę kroki Matta na schodach. Gdy wejdzie do kuchni, zauważy, że nie przygotowałam kolacji. Będzie go to niepokoiło. Nie wypowie na głos swojego zaniepokojenia, przynajmniej nie do mnie, ani nie przypomni mi, że wczoraj przyszła dostawa z supermarketu, którą sam zamówił, więc mamy w domu dużo jedzenia, choć on sam je tak niewiele. Nie musi mówić nic z tego, tak samo jak nie musi mówić mi, że muszę spróbować żyć dalej, pomimo wiszącego nad nami widma naszej zaginionej córki. Oboje musimy. Oboje zdajemy sobie sprawę, że o tym wiemy, więc jaki to ma sens?

– Chcesz omleta? – mówi, zamiast wszystkich tych rzeczy.

Zamiast: „Zajmę się tobą. Tak długo, jak będzie trzeba”.

– Ja zrobię – odpowiadam, zamiast: „Przepraszam, że ciągle taka jestem”.

– Ale to żaden problem. – Jestem zmęczony, bardzo zmęczony, ale jeśli chcesz, żebym to zrobił, nie ma sprawy.

– Nie wygłupiaj się, coś przygotowuję. – Przepraszam, że o ciebie nie dbam. Brzdęk butelek, gdy otwiera lodówkę.

– Mamy kuskus. Do tego trochę zielonej sałaty i sera? – Pieprzyć gotowanie. Ale przynajmniej coś zjedzmy.

– Idealnie. Może napiję się do tego trochę wina. – Widzisz? Wracam do siebie. Poczekać na mnie, proszę.

– Świetnie. – Och, co za ulga.

– Świetnie. – Przepraszam.

Świetnie. Świetnie. Świetnie. Świetnie. Świetnie. Świetnie. Świetnie.

Kto wie? Kto wie, co to wszystko znaczy?

Kto wie, co więcej dopowiadamy sobie w myślach?

Po kolacji, którą ja zjadam, a Matt nie, mówi mi, żebym poszła odpocząć, a sam bierze się za sprzątanie kuchni. Zachęcona moimi popołudniowymi ćwiczeniami, wyciągam zapis nut Pathétique Beethovena i ustawiam je na pianinie. Stwierdzam, że początek jest zbyt dramatyczny i zaczynam od Adagio. Błąd. Nie udaje mi się przebrnąć przez trzy pierwsze takty, kiedy oczy zachodzą mi łzami.

Rozlega się dzwonek do drzwi. To musi być Neil.

Ocieram oczy rękawami i próbuję wziąć się w garść. Z piękną muzyką i w ogóle z pięknymi rzeczami taki właśnie jest kłopot: doprowadzają cię do łez.

Dzwonek rozlega się ponownie.

Fred śpi w koszu Mojżesza u moich stóp. Nie mam ochoty widzieć się z Neilem – sprawy pomiędzy nami stały się zbyt niezręczne – ale Matt chyba poszedł na górę, a ja nie chcę, żeby dzwonek zabrzmiał ponownie, by nie obudził dziecka.

Wstaję od pianina i szybko idę do holu.

– Idę!

Przez matową szybę w drzwiach widzę przysadzistą sylwetkę Neila, zatrzymuję się i biorę głęboki wdech.

Jeszcze chwila. Otwieram drzwi.

Przez twarz Neila przemyka szok. Rumieni się, naprawdę się rumieni, kiedy mówi mi „cześć”.

– Cześć – odpowiadam, starając się, by zabrzmiało to lekko.

Patrzy w ziemię. Milczenie pomiędzy nami przeciąga się nieco za długo.

– Jak leci? – Podnosi wzrok i przez ułamek sekundy patrzy mi w oczy, po czym wraca spojrzeniem do swoich butów, wykopując mech pomiędzy płytek chodnikowych. Wydaje mi się, że przybrał na wadze. Jego twarz jest bardziej czerwona, niż pamiętam, trochę napuchnięta.

– Och – odpowiadam. – No wiesz. Trzymam się.

Słyszę z góry spuszczenie wody w toalecie.

– Chyba idziemy razem na tę imprezę do Lovegoodów – mówi. – W przyszłą sobotę.

– Och. Tak powiedział Matt?

Miota się.

– W sumie nie, powiedział, że moglibyśmy. Nie pamiętam, jeśli mam być szczerzy. Bella powiedziała, że być może będzie ci robić włosy w piątek.

– Ach, tak. Okej. Tak, napiszę do niej.

Wzrusza ramionami.

– Nie musimy decydować się już teraz, prawda? Jestem przekonany, że Pierdzący Johnnie da sobie radę bez nas.

Żadne z nas się nie śmieje. Marzę o tym, żeby Matt zszedł już na dół, ale nic nie słyszę.

Neil otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

– Ja...

– Możecie przyjść tutaj wcześniej – odzywam się w tym samym czasie. – Możemy napić się drinka i zobaczymy, co będzie dalej.

– Tak. Tak. Tak właśnie zrobimy. – Kiwa głową. Czubki jego uszu się zaróżowiły. Słyszę, że z jego nozdrzy wylatuje krótki, urywany oddech. Na tej ulicy jest tak cicho, zwłaszcza w nocy. Naprawdę, można usłyszeć, jak upada igła. Zupełnie jakby nikt tu nie mieszkał.

Słyszę dudnienie kroków Matta na schodach.

– Cześć, stary! – woła. – Sorry, nie słyszałem dzwonka.

Dzięki Bogu. Podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu. Pachnie świeżym praniem i trochę potem. Kiedy wróci, wrzuci oba komplety sportowe do pralki, a zanim położy się spać, jeszcze je rozwiesi. Nie mam pojęcia, jak udaje mu się ciągle iść naprzód.

Całuje mnie przelotnie w policzek.

– Do zobaczenia za godzinę.

I już ich nie ma. Stoję na progu domu i obserwuję ich, gdy truchtają w kierunku Thameside Lane. Nie mam pojęcia, o czym mogą rozmawiać. O przyjęciu, to pewne, na które, wygląda na to, że pójdę, czy mi się to podoba, czy nie. Być może wszystkie rozmowy Matta z Neilem są takie same jak ze mną, takie jak te, które wszyscy oprócz Jen ze mną prowadzą – świadome próby uniknięcia rozmowy „o tym”. O tym poranku, gdy sekunda po sekundzie i uderzenie serca za uderzeniem serca, rytm mojego życia się rozchwiał, o tym wczoraj, które trwa już rok, kiedy czas zwolnił i przyspieszył, i rozpiezchnął się w milion różnych kierunków, gdy opuściłam swoje ciało i nigdy tak naprawdę do niego nie wróciłam. To dlatego widzę siebie tak wyraźnie tamtego dnia, jak kogoś obcego, jak jakąś durną krowę, ponieważ unoszę się ponad tym. Barbara nazywa to dysocjacją. Mechanizmem obronnym. To jak oglądanie filmu o zjawiskach nadprzyrodzonych przez palce, żeby mniej się bać.

Ja. Tamtego ranka. Tamtego popołudnia. Bezużyteczna w domu, podczas gdy wszyscy wokół, policja, moi przyjaciele, moi sąsiedzi byli przydatni na zewnątrz, szukali jej – w parkach, w krzakach, na polach, na poboczach dróg, w alejkach, w ogrodach, na działkach, w podszyciu, na błotnistych zboczach rzeki. Te uderzenia, które odliczały czas, gdy minuty przechodziły w godziny. Helikopter nad naszymi głowami. Łodzie ratunkowe. Zielona toń wody. Ciemniejące niebo. Czas, czas, uciekający, mijający.

Przemijający.

Rozdział 13

Matt

Biegną ulicą, gdy Matt nagle czuje ucisk w piersi. Zatrzymuje się, a po chwili Neil również staje i ogląda się na niego.

– Co z tobą? – woła. Wraca i kładzie rękę na ramieniu przyjaciela. – Co jest, stary?

– Wszystko w porządku. – Bezdech powoli ustępuje, a Matt się prostuje.

– Oddychaj – zaleca mu Neil. – Powoli, to się zdarza. Szczerze mówiąc, wyglądasz na wykończonego, stary. Masz oczy jak szparki. Dobrze sypiasz?

Matt potakuje – milczące kłamstwo.

– Oddychaj. Wdech i wydech, to wszystko. Wdech i wydech. Jadłeś coś?

Ponownie milcząco potakuje. Kolejne kłamstwo. Nie pamięta już, jak to jest przespać całą noc czy zjeść pełny posiłek.

Neil odchyła gumkę swoich szortów, wyciąga z ukrytej tam kieszonki kartę płatniczą i uśmiecha się.

– Pieprzyć to. Zagrajmy w grę dla prawdziwych mężczyzn – mówi. – Chodźmy na piwo.

Matt się krzywi.

– Nie wziąłem prysznicza.

– Daj spokój. Jest ciepło, usiądziemy na zewnątrz. Chodź. Potrzebujesz piwa.

Matt idzie za Neilem do King's Head, gdzie przy stolikach wystawionych na zewnątrz siedzą małe grupki znajomych, piją piwo i rozmawiają. Głównie czterdziestolatki – ubrani w dobrze skrojone ubrania bez żadnych modnych logo, drogie okulary, dobre buty.

– Zajmij nam miejsca – poleca Neil i wchodzi do pubu.

Jest tam stół z jednym krzesłem, przy samym chodniku, nieco oddalony od pozostałych. Matt przysuwa drugie krzesło od sąsiedniego i siada. Wyciąga przed siebie nogi i próbuje rozluźnić ramiona. Wieczór jest parny i wilgotny, niebo ciemnoniebieskie, gwiazdy niewidoczne przez

światła latarni. Z chińskiej knajpki na wynos po drugiej stronie ulicy, dolatuje do niego zapach kaczki, przez co zaczyna kręcić mu się w głowie. Do ust napływa mu ślina. Odruch Pawłowa, myśli. Zaczyna się zastanawiać, czy zawsze jest taki głodny, czy w ciągu ostatniego roku jego mózg stracił połączenie z tym fragmentem, który odpowiada za apetyt. Jego żołądek jest pusty jak jaskinia – i nagle go czuje. Ostatnim razem, gdy zerknął na swoje odbicie w lustrze, zauważył wyraźny zarys żeber i przedwcześnie obwisłą skórę na piersiach, mimo tego że regularnie ćwiczy.

Chrząknięcie.

Neil trzyma w zębach dwie paczki chipsów i stawia na stole dwa kufle z ciemnoorzechową zawartością i kremową pianką.

– IPA – mówi, gdy rzucił już chipsy na stół. – Dunbar.

Siada i wypija pół kufła jednym haustem. Matt robi to samo, momentalnie przymyka powieki, gdy tylko wyczuwa smak. Piwo jest słodowe i zimne, niewiarygodnie pyszne, i kiedy odstawia kufel, wzdycha głośno jak facet z reklamy browaru.

– Dawno nie piłem porządnego piwa – mówi.

– Ja też. – Neil mruga do niego okiem. – Ostatnio dziś rano.

– Zdrówko.

– Zdrówko.

Matt bierze kolejny łyk. Minęło tak dużo czasu, od kiedy ostatnio tak sobie siedział z kimkolwiek; tak dużo czasu, że czuje się trochę nieswojo. Powstrzymuje się przed przystawieniem kufła do ust po raz trzeci, wiedząc, że spokojnie mógłby opróżnić go do dna, ale nie wziął ze sobą karty ani gotówki. Nie żeby to miał być jakiś problem.

Są przyjaciółmi od czasu, gdy Neil ocalił Matta przed podbiciem mu oka przez Robbiego Timminsa, ciężki przypadek. To był pierwszy dzień Matta w nowej szkole po tym, jak przeprowadził się wraz z rodzicami z Manchesteru. Wielkanoc – dwa pierwsze semestry już za nimi, wszyscy podzieleni na grupki przyjaciół – dla nieśmiałego kujona to była męczarnia. Dopiero w drodze do domu on i Neil zorientowali się, że mieszkają na tej samej ulicy. Kiedyś próbowali obliczyć, ile razy musieli razem pokonywać drogę do szkoły. Doszli w końcu do wniosku, że bardzo dużo.

– Przegryź chipsa. – Neil otwiera paczkę i kładzie ją na stole. – Proszę. Tapas.

Kilka sekund później Matt pochłoniął je prawie wszystkie. Tylko dobre maniery powstrzymały go przed zlizaniem słonego tłuszczu z opakowania. Ale teraz wydaje mu się, że jest jeszcze bardziej głodny, niż był chwilę temu. Bardziej głodny niż był od... no cóż, od tamtego dnia. Od Abi. Teraz aromatyczna woń kaczki torturuje jego kubki smakowe, a jego kufel jest już prawie pusty.

– Nadal jest ciężko, co? – odzywa się Neil.

– Noo. – Nie da się tego wyrazić słowami.

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, stary.

Matt pije, ale zmusza się, by zostawić łyżeczek dla zachowania formy. Przciska podstawę swojej szklanki do mokrego kręgu piwa na białych bukowych deskach blatu.

– Myślisz, że ty i Bel będziecie kiedykolwiek mieć dzieci? – pyta.

Neil odchyła się na swoim krześle.

– Jezu. Skąd ci się to wzięło?

– Sorry. – Matt się uśmiecha i unosi przepaszająco rękę. – Chyba po prostu myślałem o tym, jak świetnie zajmowaliście się Abi. Oboje.

Neil wydyma dolną wargę i potakuje.

– Pewnie kiedy już rozkręcę interes. Rok? Może dwa? – Spogląda na ulicę i uważnie studiuje zielony neon, którego litery układają się w napis China Garden. – Po prostu chcę osiągnąć stabilność finansową, przygotować dom, i żeby Bella przejęła w stu procentach firmę swojego ojca. Musi zatrudnić menadżera, któremu będzie mogła zaufać, żeby wszystko działało u niej jak w zegarku. Ale tak, chcemy mieć dzieci. – Pije, po czym oblizuje usta. – A jak Ava?

Matt potrząsa głową.

– Nie wyglądało na to, żeby wybierała się na przyjęcie, kiedy rozmawiałem z nią przed chwilą – dodaje Neil. – Mam nadzieję, że nie palnąłem gafy.

– Powiedziała, że to przemyśli. Jasne, że się boi, ale myślę, że powinniśmy wyjść. Jeśli nie będzie chciała, no to cóż, nie pójdzie. Nadal możemy napić się we czwórkę, nie?

– Szczerze mówiąc, to właśnie powiedziała.

– Ona jest teraz praktycznie odludkiem. Ale sam to wiesz.

– Przestój, co?

Matt czuje, że przytłacza go wielki ciężar. Nie jest tego taki pewien.

– Ja tylko...

– Tylko co?

Potrząsa głową.

– Coś ci wyznam, stary. Przyniosę nam jeszcze jedną kolejkę, co? Potem mi powiesz.

Neil hałaśliwie odsuwa krzesło po podłodze i znika w pubie.

Zza chmur wychodzi księżyc – niemal pełnia, jak tamtej nocy – i widzi ich stojących na tamtej opuszczonej budowie, siebie i Neila, obaj pogrążeni w głębokiej rozpaczce po ich męczących, bezowocnych poszukiwaniach. Widzi siebie patrzącego w ten księżyc i myślącego – Teraz? Teraz, na samym końcu, kiedy potrzebowaliśmy twojego światła przez te wszystkie godziny? Słyszysz siebie, jak mówi: „Stary. Muszę ci coś powiedzieć”.

Obietnica. Uścisk dłoni.

Ava mówi, że nadzieja ich zabije. Ale rok później, siedząc przed pubem i niemal mdlejąc z powodu trwającej rok głodówki, Matt myśli, że to żal będzie jego końcem. To całkiem możliwe, że umrze z tego powodu – albo z poczucia winy czy czymkolwiek to jest, to czarne coś rosnące w nim. Wie, że jego nieumiejętność przyznania się do pewnych rzeczy wynika ze strachu przed ojcem. To Ava uwolniła go od tych małych kłamstw, z których nawet nie zdawał sobie sprawy, które wypowiadał z przyzwyczajenia, bez zastanowienia. Łapała go na szukaniu wymówek, kiedy nie chciał iść na imprezę albo gdy obmyślał, jak wykręcić się z jakiegoś błędu, który popełnił w pracy. Po prostu powiedz im, że jesteś zmęczony, mówiła zdumiona. Albo: „Powiedz im, że popełniłeś błąd. To tylko praca. Jesteście dorośli, a oni to nie twój ojciec, Matt. Jeśli bierzesz za to odpowiedzialność, nikt nie będzie miał ci nic do zarzucenia, prawda? Po prostu powiedz prawdę”.

Trzeba było Avy, aby pokazać mu, że faktycznie prawda jest prawie zawsze łatwiejsza do przełknięcia.

Ale teraz siedzi tu i pije piwo, kiedy powinien biegać, bo prawda nie była łatwiejsza i teraz to czarne coś wysysa z niego całą energię, odbiera mu oddech, wypełnia mu żołądek, wpełza do jego mózgu. Neil pyta go, co się dzieje, a on nie potrafi odpowiedzieć, że ciągle to samo, ten sam żal, to samo poczucie winy. Że są dni, gdy może myśleć jedynie o niebieskim płaszczku swojej córki, wyciągniętym z rzeki i o sobie samym, stojącym przed dziennikarzami i drżącym głosem usiłującym odczytać napisane odręcznie na kartce wyrwanej z notatnika oświadczenie, a drugą ręką przytrzymującym swoją załamana żonę. Jej ramiona były takie wątle,

a szyja jakoś schowała się w obojczyk. Zupełnie jakby zapadła się w sobie. Nawet teraz, gdy czasem na nią patrzy, wydaje mu się, że jej głowa jest niżej albo jej ramiona wyżej, jakby szukała schronienia. Jego żona, Ava, która, kiedy spotkał ją po raz pierwszy, śmiała się tak bardzo, że wciągnęła piwo nosem i potem śmiała się jeszcze bardziej, aż dostała czkawki. Ten śmiech i ta optymistyczna dziewczyna zniknęły. On doskonale o tym wie. Ale tak samo zniknął ten chłopak, którym on sam był kiedyś, ten mężczyzna, którym miał nadzieję się stać. Tym właśnie są teraz, tacy się stali tamtego dnia – złamane cienie ludzi, czytające notatkę przed tłumem głodnych sensacji dziennikarzy, błagające o jakiegokolwiek informacje, o uszanowanie prywatności, z oczami wlepionymi w dziesiątki mikrofonów wycelowanych w nich. Oto kim się stali – biednymi rodzicami tej małej, zaginionej dziewczynki, prawdopodobnie utopionej.

Ukrywanie tego, co wie, nie zadziało.

– Masz. – Neil wrócił z dwoma kufkami, jedną paczką chipsów i jedną prażonych orzeszków. Stawia kufki i rzuca przekąski na stół. – Pięć porcji dziennie.

– Czy orzechy są owocami?

– Tak sądzę. – Unosi kufek do ust. – A pszenica to warzywo.

– Nieprawda, ty durniu.

Tym razem piją wolniej, jednocześnie odstawiając kufki na stół. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywa.

– No więc – mówi w końcu Neil. – Czym jest to nic, którym się nie przejmujesz?

Matt się uśmiecha.

– Niczym. Po prostu jestem zmęczony.

– Wiem, o czym mówisz. Praca jest...

– Szalona?

– Dokładnie. – Oczy Neila są małe, blade i intensywnie wpatrują się w przyjaciela. Przez chwilę wygląda, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale zamiast tego podnosi kufek i pije. Chwila i wszystko, co zawierała, przemija.

Rozdział 14

Ava

Oglądam jakąś kiepską komedię na Netflixie, a Fred śpi na moich kolanach, kiedy słyszę uderzenie najpierw jednego, a potem drugiego buta lądującego w koszu, który trzymamy w holu na obuwiu, które zawsze wala się tam w za dużej ilości, jak na dwie mieszkające tu osoby. Westchnienie. Mija kilka sekund i Matt pojawia się w drzwiach salonu, jego oczy są lekko zamglone. Wydaje mi się, że wyczuwam zapach piwa.

– Hej – mówi, bębniąc palcami w futrynę w swoim stylu. – Nie śpisz.

Mówi dość wyraźnie. Może się mylę. Może jest po prostu zmęczony.

– Jak się biegało? – pytam.

– Właściwie poszliśmy na kilka piw.

Aha.

– Z Neilem? To coś nowego.

Patrzy w jakiś odległy punkt na ścianie.

– Pogadaliśmy trochę. Pośmialiśmy się.

Nie jestem pewna, co się za tym kryje. Nic nie mówię.

Matt się odwraca i rzuca przez ramię.

– Zrobię sobie tosta. Umieram z głodu.

Wstaję z kanapy. Moje ciało jest ciężkie i nie chodzi o ciężar dziecka. Czuję to w moich ramionach, nogach, we wnętrznościach. Jeśli nie będę z tym walczyć, sama stanę się tym ciężarem i Matt nie będzie miał innego wyboru, jak tylko odciąć się ode mnie i odpłynąć na zawsze.

W kuchni zastaję go, gdy wyjada pełnymi garściami chipsy Kettle Chips o smaku soli i czarnego pieprzu, i rozgorączkowanym wzrokiem wpatruje się w toster. To pierwszy raz od... cóż, od... kiedy widzę, żeby witał perspektywę jedzenia z czymś choćby zbliżonym do entuzjazmu. Wyciągam z lodówki masło i drewniane pudełko z camembertem, które musiał zamówić Matt. Są też oliwki z ziołami w przezroczystej tubie, dwa pudełka pizzy z sieciówki z pieczonymi śródziemnomorskimi warzywami

i luksusowe opakowanie kremowych jogurtów owocowych. Kiełbaski chorizo optymistycznie gnieżdżą się na tekturowej tacce, płonąc pomarańczowym kolorem w swoich ciasnych skórkach. W szczęśliwszych, zabawniejszych czasach Matt nazywał je lisimi fiutkami. Obok nich śliskie, czerwone papryczki nadziewane serem feta pływają w oleju w zamkniętym słoiku – jak okazy w formaldehydzie. Spożywcze zamówienia Matta są pełne takiego jedzenia: francuskie sery, drogie słone przekąski, grube herbatniki w eleganckich opakowaniach sugerujących, że są ręcznie robione – zachęcające do nieustannego jedzenia, do cieszenia się jedzeniem, cieszenia się życiem, jeśli tylko możemy.

Przesuwam masło i ser po ladzie do niego, usiłując nie widzieć tego, że on już prawie nie ma tyłka. Jego szorty do biegania zwisają z niego jak spódniczka łyżwiarki.

– Neil miał coś ciekawego do powiedzenia? – pytam.

– Nie. Obaj byliśmy zbyt zmęczeni, by biegać, a wiesz, jaki on jest. Prawie musiałem trzymać go za rękę. Zapomniałem już jak szybko potrafi pić. Jest jak przyssawka do odkurzacza.

– Więc to był twój pomysł?

– Tak, jakoś tego nie czułem. Nie spałem najlepiej zeszłej nocy.

Ani żadnej nocy. Wiem to, bo ja też nie śpię. Słyszę go. Obraca się, klepie w poduszkę, poddaje się i schodzi na dół, wraca do łóżka zmarznięty i spięty. Powinnam zbliżyć się wtedy do niego, wiem o tym. Ale udaję, że śpię – zamykam oczy, reguluję oddech. Nawet udawałam chrapanie. Nigdy nie sądziłam, że mogę udawać coś takiego w łóżku, ale to niesamowite, jak łatwo być przekonującym, kiedy sytuacja cię do tego zmusza.

Rozmawialiście o Abi?

Czy Neil przeprosił cię za to, że się tak od nas zdystansował?

Czy któryś z was wpadł na jakiś nowy pomysł, gdzie ona może być?

Matt nie odpowiada. Zdaję sobie sprawę, że nie wypowiedziałam tych pytań na głos. Wciąż zadawałam mu takie pytania. Mówienie o tym tylko potęguje ból, mówi mi i ma rację – musimy znaleźć jakiś sposób, by żyć dalej, dla naszego syna.

– Słuchaj – mówię, kiedy bierze monstrualny kęs tosta. – Przemyślałam to i pójdę na to przyjęcie. – Odwracam wzrok. Wystarczy, że powiedziałam to głośno, nie muszę mierzyć się z nadzieją, która wiem to, ukaże się na jego twarzy.

Rozdział 15

Ava

To takie dziwne uczucie wyjść bez Freda. Dziwnie jest mieć umówioną wizytę u fryzjera. Dziwnie jest istnieć w jakikolwiek sposób na tym świecie, ale mnie to nie dotyczy, tak sędzę. Unoszę się nad nim. Może płynę. Tonę. Nieważne, tego ranka ledwo pamiętam, jak się chodzi. Gdy idę bez wózka, nie wiem, co zrobić z rękami. Wiszą bezwładnie jak u szmacianej lalki. Moje stopy wyglądają dziwnie, niekończące się lewo, prawo, lewo, prawo moich białych conversów jest absurdalne na szerokim, szarym chodniku. Tak samo absurdalne jest wspomnienie mnie samej, która kiedyś marzyła o tych butach, czy w ogóle o jakichkolwiek, mnie, która nie była przesadną materialistką, jak sędzę, lecz nadal czerpała przyjemność z rzeczy materialnych. Pamiętam, gdy przyniosłam te tenisówki do domu. Pamiętam ten mały impuls elektryczny, kiedy wyjęłam z torby kultowe pudełko z gwiazdą, ten dreszczyk emocji, gdy rozwijałam bibułkę w środku, westchnienie, które wymknęło mi się z ust, gdy wyciągnęłam nieskazitelnie czyste, płócienne tenisówki. Tej osoby już nie ma, wiem o tym doskonale. Ta osoba, ta obecna ja, chodzi po ziemi, choć jest nieobecna, zdezorientowana, eteryczna, stłamszona ciężarem swojego jestestwa.

Ale ta dawna radosna kobieta to też ja, wiem o tym. Tak samo jak ta zdruzgotana matka tamtego okropnego ranka również jest mną; i tak samo jak ten oszołomiony automat obecnie to również ja. I oto jestem, ze ściśniętym żołądkiem idę na umówioną do fryzjera wizytę, której nie wiem, czy sprostam, by wyszykować się na przyjęcie, na które nie chcę iść, a mój umysł wykonuje swoje codzienne, godzinne pętle: sekunda po sekundzie, uderzenie serca za uderzeniem serca, wczoraj, w zeszłym roku, dzisiaj. I tak jak dawniej, dawno, dawno temu, próbowałam opanować piekielnie trudny utwór – powiedzmy Liebestraum No. 3 Liszta, którego masywnych akordów moje dłonie nigdy nie były w stanie ogarnąć, którego pospieszne

arpeggia zapętały moje palce w supełki; albo Balladę nr 1 Chopina, przez którą płakałam z frustracji na studiach – tak teraz obecna ja, wściekła, próbuje uporać się z moją pamięcią epizodyczną, nadać sens nierozwiązanemu diabelskiemu akordowi, jakim jest zniknięcie mojej córki. Pusty wózek w holu, otwarte drzwi, opustoszała ulica, gorąca, pęczniejąca masa mojego spanikowanego serca. Twarz Matta, cisza, która zapadła, gdy powiedział mi, że policja jest w drodze, radiowozy w szachownicę, furgonetki, mundury, małe czarne kamery w klapie, szczekanie psów, sąsiedzi, helikopter, wrzawa prasy, błysk fleszy, cicha okolica pod ciemniejącym niebem. Mój mąż i jego najlepszy przyjaciel płaczący na schodach o północy.

Widok przemoczonego płaszczyka mojej córki w telefonie detektyw Farnham.

Bella czeka na mnie w salonie. Jest troskliwa i miła. Prowadzi mnie do poczekalni, jakbym była jakimś specjalnym gościem, choć – odkąd się poznałyśmy – zawsze strzygłam się tutaj, u niej. To była moja próba znalezienia wspólnej płaszczyzny dla dobra przyjaźni Neila i Matta. Moje potrzeby fryzjerskie nie są wygórowane – umycie, podcięcie, czasem dłużej, czasem krócej. Nigdy nie farbowałam włosów, nigdy ich nie kręciłam, dopóki nie poznałam Belli. To ona namówiła mnie, bym je lekko rozjaśniła po urodzeniu Abi, żeby je trochę „podnieść”. Teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, widzę srebrne nitki pomiędzy brązowymi odrostami. Ale nie mam na ich temat zdania.

– Siadaj tutaj, kochana. – Entuzjizm Belli jest nienaturalny, ale staram się stłamsić tę myśl. Nigdy nie byłyśmy na tyle pewne naszej więzi, by móc się ze sobą droczyć. – Przyniosę ci coś do picia. Kawa czy herbata? A może coś mocniejszego, skoro jest piątek? Mam baileysa, mogę ci zrobić z lodem. – Unosi brwi tak samo jak Matt.

– Dziękuję, herbata wystarczy. – Wyczuwam przeprosiny w moim uśmiechu. Nie umiem podjąć tej gry. – Dzięki, Bel. – Bel. Proszę bardzo, to moja próba zapewnienia jej, że to ciągle ja, że nadal się znamy. Nie muszę sobie wyobrazać, jak bardzo musi być zdenerwowana spotkaniem ze mną. Doświadczałam tego na własnej skórze w spojrzeniach wszystkich, z którymi spotkałam się w ciągu tego roku i widzę to również teraz w zbyt zadowolonej twarzy mojej przyjaciółki.

Siadam w poczekalni na czerwonej, skórzanej kanapie. Ręce opadają mi bezwładnie. Nie bardzo wiem, co z nimi zrobić.

– Pooglądaj zdjęcia. – Kiwa głową w kierunku czasopism, jakby czytała mi w myślach. – Może znajdziesz coś, co ci się spodoba. Tylko żadnej trwałej. – Chichocze krótko, po czym uśmiecha się życzliwie. W wyrazie jej twarzy jest ślad czegoś – jest dumna z siebie, że udało się jej mnie tutaj ściągnąć, a może z tego, że może mi pomóc swoimi kosmetycznymi czarami. Bella przywiązuje dużą wagę do wyglądu; zawsze podejrzewałam, że moja aparycja nie spełnia jej standardów i że to dlatego nigdy nie zapraszała mnie na wyjścia ze swoimi „dziewczynami” – nie robiła tego nawet wcześniej. Jej inne przyjaciółki mają specyficzny rodzaj blasku. Ich ubrania są zawsze zgodne z najnowszymi trendami mody, których ja jeszcze nie zdążyłam zauważyć i teraz już nigdy za nimi nie nadążę; ich włosy zawsze mają najmodniejszy kolor i cięcie, takie, które wygląda, jakby wynurzyły się z morza lub kilka minut wcześniej zeszyły ze szczytu wzgórza, trochę rozjaśnione i rozwiane wiatrem – być może zmierzają do tego, by wyglądać jak chwilę po stosunku, kto wie? Kobiety takie jak Bella wiedzą o rzeczach, o których ja nie mam pojęcia – linie ubrań, marki kosmetyków, nowe butiki w okolicy; jakie buty założyć do konkretnej sukienki. Ich paznokcie są zawsze idealne, ich profile na Instagramie to istne sesje fotograficzne. Nie sądzę, żeby było to złe, że dba o wygląd – publiczny wizerunek jest przydatny, czasem wręcz niezbędny. W chwili obecnej to jedyna rzecz, która chroni mnie przed rozpadem.

W głębi salonu suszarki zagłuszają komercyjne radio. Zastanawiam się, czy salon Magic ma magiczne wiadomości. W powietrzu unosi się zapach specyfików do włosów i lakierów do paznokci. Przeglądam czasopisma, staram się nie patrzeć zbyt otwarcie na wyśmiewanie ciał innych kobiet, na radosne zachwyty nad załamaniem celebrytów. Jak dziewczyny mają dorastać, nie nienawidząc się? No naprawdę, jak? W końcu zdegustowana odkładam gazetę z pozaginanymi rogami i postanawiam poprosić o zwykłe podcięcie.

Młoda kobieta w różowym fartuchu i z białym kubkiem z herbatą wskazuje mi miejsce na fotelu i stawia napój na stoliku przede mną. Moje odbicie w lustrze jest dla mnie niemałym szokiem. Brązowe odrosty są o wiele dłuższe i bardziej widoczne, niż myślałam – sięgają aż za połowę głowy, a reszta to rozczochrany blond bałagan. Policzki mi się zapadły. Pod oczami mam szare cienie, których w domu wolałam nie widzieć. Przypominam Krzyk Muncha, reszta mnie nie jest szczupła, lecz sflaczała,

mój brzuch wylewa się ze spodni jak trzęsąca się galareta – wyglądam jak wąż, który połknął ugotowane na miękko strusie jajo.

– To co robimy? – To Bella uśmiecha się do mnie z odbicia w lustrze. Ma nieskazitelny makijaż i włosy w kolorze głębokiego brązu, błyszczące jak u gwiazdy Hollywood. Jej zęby są nienaturalnie białe i widzę ją tamtego ranka, ten sam nieskazitelny wygląd ukrywający niepokój i ból na jej twarzy. Biegnie środkiem ulicy w butach do kostki na wysokim obcasie, w superobcisłych dżinsach i podkoszulku na ramiączkach, płacze.

– Ava? Matt? Abi? – Jej włosy były wtedy w kolorze bakłażana, opadały jej na jedno oko. Palcami wskazującymi podpierała rzęsy, w taki sposób płakała. Patrząc wstecz, zdaje sobie sprawę, że tak zapobiegała rozmazaniu sobie makijażu.

– O mój Boże – szlochała. – Nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę. Mała Abi.

Oboje, ona i Neil, nie wahali się tamtego dnia. Jak wszyscy. Dopiero później wszystko stało się trudniejsze, dla nas wszystkich. Kiedy ginie dziecko, szukasz. Wkraczasz do akcji. A kiedy nie udaje się go znaleźć, twoje pośrednictwo zdaje się na nic. Nie wiadomo wtedy, co robić. A jeśli nie wiadomo, co powiedzieć pogrążonemu w żalu rodzicowi, to tym bardziej nie wiadomo, co powiedzieć tym, którzy nie mogą być pogrążeni w żałobie.

Ale oto jest i uśmiecha się do mnie z lustra. Tyle mogę zrobić, mówi jej uśmiech. Mogę naprawić cię z zewnątrz.

– Zwykle podcięcie – odpowiadam, pociągamy za końcówki i pozwalam im opaść.

Przygląda mi się spod tych swoich dopracowanych rzęs.

– Myślę, że mogłybyśmy zrobić coś więcej. – Wykonuje palcami gest cięcia nożyczkami i przystawia mi je do włosów na wysokości brody. – Jeśli ciachnę je tutaj, podkreślimy twoją twarz i wyeksponujemy piękne kości policzkowe. – Aha. Tam, gdzie ja widzę zapadnięty w siebie szkielet, ona dostrzega kości policzkowe.

– Okej.

– Nałożę ci trzy odcienie, żeby odrost był mniej widoczny. Masz już parę siwych włosów na czubku, kochana.

Nie mam pojęcia, czy to za wcześnie, czy nie, by mieć siwe włosy. Pewnie tak. Uświadamiam sobie, że mam w nosie to, co ona robi z moimi

włosami i robi mi się lżej na duchu. Ona pewnie ma rację. Cięcie zdejmie ze mnie trochę ciężaru.

– Rób, jak uważasz. – Uśmiecham się, a ona oddała się, by wymieszać farby.

Pięć minut później nakłada miksturę na moje włosy i zawija je w folię. Muszę docenić, że nie wypytuje mnie, czy cieszę się na to przyjęcie. Mówi za to:

– Myślisz, że dasz radę jutro przetrwać tę godzinę?

Potakuję.

– Spróbuję.

– Świetnie. Najpierw przychodzimy do was na drinka, prawda? No i masz Matta, więc nie będziesz sama.

– Zabieram Freda. Wiem, że zapraszali bez dzieci, ale...

– Wiem, ale to przecież nie jest tak, że on zacznie biegać po tych ich duńskich posadzkach, co nie?

– Mają duńskie posadzki?

Marszczy brwi.

– Wydaje mi się, że w końcu zdecydowali się na polerowany beton. Muszę dopytać Neila. Wiem, że mają kuchnię robioną na zamówienie, bo Neil nie musiał jej montować. To był jakiś stolarz z Devon. I wiem, że wydali tysiąka na oświetlenie. Zrobili też ogród. Podobno mają pergolę i coś w rodzaju biura ogrodowego wyglądającego jak ocynkowana kostka. Nie mogę się doczekać, aż to wszystko zobaczę. Założę się, że będą mieli catering.

– Jen wpadła do mnie parę dni temu – wtrącam. – Wiem, że zamówili jakieś wykwintne dania.

– Właściwie wcale jej nie znam. Jest starsza od nas, co nie?

– Parę lat, tak sędzę. Była dla mnie bardzo miła, kiedy... kiedy Abi... – Nie jestem w stanie dokończyć. Boję się, że zabrzmie pasywno-agresywnie. Prawda jest taka, że Jen dzwoniła do mnie częściej niż Bella przez cały zeszły rok. Bo ona właściwie wcale nie dzwoniła.

– Jest prawniczką, prawda? – pyta Bella, nakładając kolejną warstwę farby na moje smutne, rozdwojone końcówki. – On jest inżynierem budowlanym, to wiem od Neila.

– Tak, chyba jest prawniczką. Chyba od rozwodów. A on ma biuro na Eel Pie, tak mi się wydaje.

– Zgadza się. Poszłam tam, kiedy... – Rumieni się i zaczyna energicznie mieszać pastę w swojej czarnej, plastikowej miseczce. – Ona pracuje w centrum, nie? Myślę, że podwożą dzieci, potem on podrzuca ją na stację i jedzie do Eel Pie.

Wzruszam ramionami. Ze wstydem przyznaję, że nigdy nie poznałam ich dzieci. Wiem tylko, że ich młodsza córka jest w podobnym wieku, w którym mogłaby być Abi – albo nadal jest – bo pamiętam, że widziałam w jakiś weekend, jak Jen pakowała ją do samochodu. Starszej nigdy nawet nie widziałam, co teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się dość niezwykle. Dopiero co się wprowadzili, kiedy Abi zaginęła, a w ciągu tego ostatniego roku tak układałam mój plan dnia, żeby na nikogo nie wpaść. Johnnie, jak większość, trzymał się na dystans, a Jen, kiedy przychodziła do mnie, była sama. Powinnam się czuć wyróżniona czy coś, że tak się postarała, żeby mnie poznać, zwłaszcza w takich okolicznościach. Mogłabym poprosić, żeby pokazała mi swój dom i pewnie z radością by się zgodziła, ale nie przyszło mi to do głowy. To niesamowite, jak materialny świat może stać się niematerialny, kiedy tracisz kogoś, kto był częścią twojego życia. I co za ironia losu, że nie będąc w ogóle zainteresowana luksusowym życiem nowej złotej pary na naszej ulicy, niezamierzenie zbliżyłam się do nich bardziej niż ktokolwiek inny. Przynajmniej bliżej połowy z nich. Z tego, co mówił mi Matt, wynika, że każdy z moich sąsiadów oddałby prawą rękę, żeby zaprzyjaźnić się z Lovegoodami. Co wyjaśnia, dlaczego wszystkie zaproszenia zostały tak skwapliwie potwierdzone.

– Podobno przywozi ich niania – trajkocze dalej Bella, a ja zdaję sobie sprawę, że nie słuchałam. – Ten volkswagen up należy do niej – no wiesz, ten mały, czarny. Kupili go dla niej. Kupili samochód niani – kto tak robi? Wydaje mi się, że się trochę wywyższają. To znaczy, wiem, że wszędzie dookoła są SUV-y, ale porsche cayenne to zwykłe pozerstwo, nie sądzisz? I jeszcze ten jaskrawy pomarańczowy kolor... Przysięgam na Boga, wiesz, co Johnnie powiedział do Nee? Powiedział: „Pomarańczowy, bo cayenne, no wiesz, jak pieprz kajeński”, tak jakby Neil nie wiedział, co to jest pieprz kajeński! – Śmieje się. – Idiota. I na dodatek protekcyjnalny. Jakbyśmy nie wiedzieli, czym jest pieprz kajeński, zarozumiały dupek. Możesz w to uwierzyć? Założę się, że gotuję lepiej niż on. W zeszłym tygodniu zrobiłam dla mnie i Nee kwiaty cukinii. Założę się, że padłby na zawał, gdyby się dowiedział. Powiedziałby: „Co wy ludzie, nie macie jajek i frytek?”. Serio, porsche, żeby przejechać kilka kilometrów? Już rozumiałam, że jesteś

bogaty jak Kardashianki. – Ponownie śmieje się i potrząsa małą plastikową miseczką nad moją głową i mówi mi, że jest wcieleniem zła, „nieprawdaż?”, i żebym poczekała, podczas gdy ona idzie po lampę do nagrzewania.

Zostawia mnie siedzącą w fotelu i starającą się nie patrzeć na mój wydłużający się w ostrym świetle lamp nos, na cienie pod moimi oczami, próbującą nie myśleć o tym, jak dużo ona wie na temat moich najbliższych sąsiadów, więcej niż ja, mimo że moja przyjaźń z Jen tak niedawno rozkwitła. Nie jesteśmy przyjaciółkami tak na serio, myślę z poczuciem winy. Gdybyśmy się przyjaźniły, wypytywałabym o nią. Chciałabym się dowiedzieć o jej dzieciach, coś więcej o jej pracy, skąd pochodzi. Zamiast tego traktuję ją jak ramię, na którym mogę się wypłakać. W pewnym sensie ją wykorzystuję. Postanawiam to naprawić.

Tymczasem fakt, że Bella uważa, iż Johnnie jest protekcjonalny, nie jest żadnym zaskoczeniem. Ale o ile pamiętam, tamtego dnia wykazał się wielką uprzejmością. To Johnnie użyczył Belli swojej biurowej drukarki, by mogła wydrukować dodatkowe ulotki i plakaty – ach, no tak, to o tym wspominała chwilę temu, dlatego się zarumieniła i szybko odeszła.

– Powinnam zaproponować, że zapłacę za tusz do drukarki – mówię do mojego odbicia w lustrze, po czym otrząsam się i sprawdzam, czy nikt nie widział, jak mówię sama do siebie.

Nikt na mnie nie patrzy. Nikogo nie obchodzę. Nikt tak naprawdę nie zauważa niczego – nawet małej dziewczynki idącej samotnie ulicą, dwulatki gadającej z kaczkami nad brzegiem rzeki, schodzącej za daleko, zbyt daleko... wpadającej do wody.

Słyszę suszarkę, ale nie wiem, czy to dlatego, że ktoś ją właśnie włączył, czy ja zwyczajnie zaczęłam na nowo słyszeć moje otoczenie. Dżingiel, zapowiedź późniejszej godziny piosenek miłosnych. Chemiczny zapach kosmetyków do włosów. Paplanina kobiet. Patrzę w lustro i widzę kobietę o mojej twarzy, ale szczuplejszą i starszą niż ja, jej włosy są całe w paskach cienkiej folii. Wygląda na wycieńczoną. Jestem za młoda, by wyglądać jak ona.

Wraca Bella z lampą nagrzewającą – szerokie ramiona z żarówkami przypominają głowy hydry. Ustawia to nad moją głową. Naprawia mój wygląd. Robi, co może.

Wszyscy robimy, co możemy.

Rozdział 16

Matt

Dzwonek rozlega się o wpół do siódmej wieczorem. Ava nadal jest na górze, szykuje się, po tym jak Fred, najwyraźniej wyczuwając niepokój matki, był niespokojny podczas karmienia. Matt chciałby, żeby była tu z nim teraz. Przytuliłby ją jeszcze raz przed wyjściem na przyjęcie, rzuciłby podtrzymujące na duchu słowo. Prawie z nim dzisiaj nie rozmawiała, ledwo na niego patrzyła.

Ale jest jak jest, Fred śpi na jego ramieniu, a on otwiera drzwi Neilowi i Belli, tak jak się spodziewał. Rok temu otwieranie im drzwi nie było niczym szczególnym – piątkowy wieczór z jedzeniem na wynos lub wieczór filmowy, może leniwy niedzielny obiad. Ale teraz na ich widok, takich wystrojonych, czuje się zbity z tropu.

Jakby dla podkreślenia formalności tego, co kiedyś było codziennością, Neil wygląda, jakby przyszedł prosto od barbera. Boki jego blond włosów zostały krótko wygolone, a pozostałe włosy, zaczesane do tyłu, są sztywne od wosku. Ma na sobie śnieżnobiałą koszulę z nadrukiem Superdry na granatowej kieszonce na piersi, pasujące granatowe spodnie chinosy i brązowe półbuty. Neil zawsze był czysty i elegancki, zawsze świeżo ogolony, nawet na budowie, ale odkąd poznał Bellę, jakieś sześć lat temu, stał się wręcz nieskazitelny. Nawet jego ubrania robocze są białe, nowy zestaw na każdy dzień. Bella postrzega Neila w taki sposób, w jaki większość ludzi tutaj postrzega swoje domy – świetna lokalizacja, solidne fundamenty, ale potrzebuje trochę dopieszczenia, by użyć ulubionego określenia agentów nieruchomości. I trzeba przyznać, że potraktowała swój obiekt do renowacji z dużą dawką troskliwej opieki.

Bella, w powiewnej sukience, sandałkach na wysokich obcasach i mocno wyperfumowana, wchodzi za Neilem do domu i wręcza Mattowi butelkę prosecco, kiedy ten nachyla się, by pocałować ją w policzek.

– Nie trzeba było – mówi. – Napijemy się tylko czegoś na szybko. Weź to ze sobą na imprezę.

– Nie, w porządku, mam drugą w torebce. – Wypina biodro, by pokazać dużą białą skórzaną torbę z charakterystycznym wybrzuszeniem w kształcie butelki. – Mam też czekoladki Hotel Chocolat. – Wypowiada słowo „chocolat” jak chockerlarr i Matt nienawidzi siebie za to, że zwrócił na to uwagę – to dokładnie ten rodzaj wyuczzonego snobizmu, którym Neil by pogardził i którym gardzi on sam.

– Dziękuję, to miłe z twojej strony. – Matt trzyma butelkę, nagle czując się nieswojo we własnej skórze, choć wie, że Bella zawsze jest przesadnie szczodra. Zdał sobie sprawę, że odwykł już od jej towarzystwa. Już dawno temu odkrył, że pod tą przykrywką hojności – obdarowywania, ubierania się, mówienia, imprezowania – kryje się brak pewności siebie. Wie to od Neila, który powiedział mu kiedyś, że Bella czuje, że ciągle musi robić więcej, żeby czuć się wystarczającą. A jednak, gdy się z nią spotykasz, wydaje ci się, że to najbardziej pewna siebie kobieta na świecie.

Bella przemyka obok niego, owijając go chmurą swoich perfum. Jej sukienka, jak podejrzewa Matt, to najnowszy krzyk mody – delikatny zwierzęcy nadruk, cienkie ramiączka, które eksponują jej tatuaż z gekonem na opalonym i wyćwiczonym na siłowni ramieniu. Przygląda się jej sandałkom na wysokim obcasie, pomalowanym paznokciom u stóp i niepokoi go to, bo nie potrafi oddzielić tego dopieszczonego wyglądu od tego, jak może się z tym czuć Ava. Ava ma inny styl, jest zupełnie innym typem osoby, ale mimo to ostatnio...

– Odłożę tylko Freda do koszyka – mówi i ucieka do salonu.

Kiedy wraca, Bella wiesza właśnie swoją skórzaną kurtkę na oparciu krzesła, narzekając na upał. Matt stara się nie zwracać uwagi na to, że zajęli te same miejsca, na których od zawsze zwykli siadać, jakby były dla nich zarezerwowane.

– Problem w tym – mówi Bella, zajmując miejsce – że kiedy słońce zachodzi, robi się chłodno, prawda? Wzięłam ze sobą kurtkę na wypadek, gdybyśmy siedzieli później w ogrodzie. Jeśli zaprosili ludzi z całej ulicy, nie wystarczy miejsca dla wszystkich w kuchni, co nie? To znaczy, ja wiem, że to wielka kuchnia, ale nie jest aż tak duża, a może zrobić się chłodno, no nie? Jest naprawdę chłodno, kiedy słońce zachodzi. Nie chcesz przecież zmarznąć, nie? Nie ma nic gorszego niż zmarznąć.

Sięga po oliwkę i wrzuca ją sobie do ust, niemal jakby mówiła sama sobie, że powinna się zamknąć. Jej długie paznokcie pomalowane są na mysi kolor. To musi być najnowszy odcień. Matt pamięta, jak kilka lat temu Bella niemal wpadła w ekstazę na punkcie różowo-beżowego koloru, który dla niego wyglądał jak płyn kalaminowy, a którym pomalowała paznokcie. On i Ava śmiali się potem z tego, czego teraz żałuje, wyciągając z szafki cztery wysokie kieliszki i stawiając je na kuchennej ladzie. Jednak fakt jest taki, że Neil i Bella różnią się od nich, ale i on, i Ava czasami muszą się z tym pogodzić, to wszystko. I to wcale nie znaczy, że oni sami nie mają swoich dziwactw.

– Miło znowu być razem – mówi Neil, kiedy zabiera się za otwieranie butelki. Podwinął rękawy i czubkami kciuków naciska na korek.

– To prawda – wtrąca się Bella. – Nie mogę się doczekać, aż zobaczę ich dom. Myślicie, że pozwolą dzieciom zejść na chwilę na dół? Nigdy nie widziałam ich dzieci. Ty widziałeś, prawda, Nee?

Neil potrząsa głową.

– Nie bardzo. To znaczy, przelotnie. Nie znam ich jakoś bardzo.

Nastrój się zmienia. Ava stoi w drzwiach kuchennych. Jedno spojrzenie wystarczy, żeby rozpoznać, że trzyma się chyba tylko siłą woli. Jej włosy są dziwnie uniesione od nasady. Błada i wycieńczona twarz wygląda, jakby była zbyt mała. Ma na sobie luźną koszulową sukienkę w kolorze dżinsu, którą przewiązała w talii brązowym, skórzanym paskiem, a na nogach ma swoje białe conversy, które wyglądają na nieco przybrudzone. Jej łydki są niebieskawo-białe.

– Ava. – Bella wstaje od stołu. – Twoje włosy wyglądają bajecznie, kochana. Świetnie je ułożyłaś, bardzo mi się podoba.

Ava unosi dłoń do głowy, a na jej policzkach pojawia się rumieniec.

– Wysuszyłam je tylko suszarką i miałam nadzieję, że to wystarczy.

Podnosi wzrok, patrzy prosto na Matta, a jej pełen wątpliwości uśmiech łamie mu serce. Musi odwrócić wzrok, skupić się na grubych, różowych paluchach Neila, na zielonej butelce, kiedy napełnia kieliszki.

– Wyglądają fantastycznie – przekonuje ją Bella. – A ta sukienka... nowa?

– Ciężowa. – Nikt nie daje się nabrać na śmiech Avy. – Po prostu przewiązałam ją paskiem. Nic innego nie pasuje.

Niezrażona Bella sięga po dwa kieliszki i wręcza jeden Avie.

– Wygląda naprawdę świetnie, kochanie. – Ścisła Avę za ramię i sący swój napój.

Matt odczuwa przyływ sympatii dla Belli. Naprawdę się stara. Ona i Ava nie mogą pokonać dzielących je różnic wspomnieniami z dzieciństwa, jak on i Neil. A od kiedy Abi zaginęła... kiedy umarła... on i Neil wynieśli swoją przyjaźń poza domy i teraz dociera do niego, że zostawili te kobiety same sobie.

– No to zdrówko – mówi.

– Na zdrowie. – Odpowiedź brzmi jak wymuszona, ale wmawia sobie, że chyba za dużo się nad tym zastanawia i w tym swoim zagubieniu wypija pół kieliszka za jednym haustem. Bąbelki dostają mu się do nosa, przez co zaczyna kichać. Bella nadal drażni Ave, nic sobie nie robiąc z mowy jej ciała.

– Chcesz, żebym ci zrobiła makijaż? To żaden problem.

– Nie – odpowiada Ava prosto z mostu. Po czym dodaje: – Już zrobiłam, dzięki.

– W zasadzie, stary – odzywa się Neil – masz piwo?

– Jasne. – Co za ulga mieć coś do zrobienia.

– Nee. – Słyszy głos Belli. – Opuść rękawy, kochanie.

Matt wyjmuje Stella Artois i chce je podać Neilowi, ale ten skupia się na prostowaniu rękawów bez słowa protestu.

– Jak leci w pracy? – pyta Bella i Matt zdaje sobie sprawę, że kieruje te słowa do niego.

– Dobrze, dzięki. – Otwiera butelkę piwa i wręcza ją Neilowi.

– Nad czym teraz pracujesz? – ciągnie Bella, mrugając szybko.

Wzdycha i wewnątrz trochę zamiera. Bella nigdy nie wypytywała go o jego pracę, robi to teraz tylko dlatego, że Ava ją zbyła. Rok temu byłyby tutaj Abi i swoją paplaniną przełamywałyby lody. Neil i Bella zawsze chętnie słuchali, co ma do powiedzenia, a później upierała się, żeby NeeNee zabrał ją na górę i poczytał jej bajkę na dobranoc, a on przewracał oczami, udając, że się ociąga.

Matt odpowiada Belli tak zwięźle, jak to tylko możliwe. Ma do zaprojektowania biurowiec; wysokiej klasy, ekscytujące.

Bella potakuje, ale widzi, że jej oczy robią się szkliste.

– A jak twój salon? – pyta, wzdrygając się. Jest tak zainteresowany jej salonem, jak irygacją jelita grubego, a przede wszystkim jest świadomy tego, że Neil i Ava siedzą w milczeniu.

Ale idealnie wyprofilowane brwi Belli unoszą się do góry.

– Dobrze, świetnie! Zawsze dużo klientów o tej porze roku – ludzie czekają na jesień albo na wakacje last minute. Robią dużo koloryzacji, dużo fajnych cięć. Dużo depilacji. – Chichocze i błyska złośliwym uśmiechem. – Woskowanie ciała jest bardzo popularne wśród naszej męskiej klienteli. Ciągle namawiam Neila, żeby sobie to zrobił.

– A ja ci ciągle powtarzam, że nie ma na to szans – wtrąca Neil. – Po moim trupie będą mi majstrować woskiem przy dupie. – Przystawia butelkę do ust i pociąga długi łyk.

– Neilu Johnsonie! – Bella zakrywa usta i potrząsa głową, jednocześnie się śmiejąc.

– A co u ciebie, Neil? – Tym razem odezwała się Ava, bez śladu rozbawienia w głosie. Pokój jakby zamarł. – Masz dużo pracy?

– Tak, interes się kręci – odpowiada Neil, a jego uszy robią się czerwone. – Wydaje mi się, że to będzie mój najlepszy rok z dotychczasowych. Dzięki Lovegoodowi dostałem parę naprawdę lukratywnych fuch w Richmond. Muszę przyznać, że nigdy bym się tego po nim nie spodziewał, jeśli mam być szczery.

Matt stara się nie zwracać uwagi na fakt, że Neil ani razu nie spojrzał na Avę. Próbuje ignorować ból, jaki wywołuje to w jego piersi. To wszystko jest tak różne od tego, jacy byli kiedyś. W różnym stopniu, oni, cała czwórka, nadal zbierają pokłosie tego, co się wydarzyło, miotają się bezradnie. Być może nadal czują się skażeni – po oświadczeniach wydawanych, bo taka jest procedura, o których doskonale wiedzieli, że są tylko po to, by sprawdzić, czy ich zeznania się pokrywają, po przekazanych numerach telefonów, po psach węszących w ich prywatnych rzeczach. Tak, oni wszyscy muszą to jeszcze czuć, jest tego pewien, bo on na pewno to czuje. Kiedy śledztwo zostało zawieszona, napięcie opadło. Powiedzieli, że spotkają się znowu wkrótce, tylko we czwórkę. Ale wkrótce przeciągnęło się do dwóch tygodni. Ava się rozchorowała. Zanim opuściła klinikę, tygodnie stały się miesiącami, jej brzuch się zaokrąglił, a krajobraz zmienił. Neil zasugerował, żeby spróbowali sił w triathlonie. Ale nigdy już nie udało im się spotkać we czwórkę.

Aż do dziś.

– Czy Neil mówił ci, że mamy nadzieję, że nasza kuchnia będzie gotowa w przyszłym roku? – mówi Bella, dolewając sobie do kieliszka szampana, którego zostawił Neil. – I loft. Neil ma w planach trzymiesięczny urlop, co nie, kochanie? – Neil przewraca oczami.

– Urlop – kpi Neil, rozśmieszając tym Matta.

Bella klepie go w kolano.

– Wiesz, co miałam na myśli. – Spogląda na Matta, a potem na Ave, jakby chciała się wytłumaczyć. – Neil wie, czego chcę lepiej niż ktokolwiek inny.

– Nadal mówisz o pracach remontowych? – żartuje Neil, wywołując wybuch śmiechu swojej żony.

– Nie no, ale na serio – niezrażona kontynuuje Bella. – Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co Lovegoodowie zrobili u siebie. Mam ze sobą notatnik, co nie, Neil? I będę robić zdjęcia! – Chichocze złośliwie i Matt zdaje sobie sprawę, że ona mówi poważnie. – Myślicie, że nie będą mieli nic przeciwko temu, żebym robiła zdjęcia?

– Och, jestem przekonany, że Gumowy Johnnie będzie zachwycony. – Neil potrząsa głową, po czym przystawia butelkę do ust i opróżnia ją.

Matt sięga do lodówki po kolejną i podaje mu. Ten bierze ją, kiwając w podziękowaniu głową i unosi do góry kciuk.

Matt marszczy brwi, przygląda mu się.

– Wszystko okej?

Neil wzrusza ramionami. Dzięki Bogu, że kobiety zaczęły ze sobą rozmawiać. Ava trzyma w dłoni palce Belli i przekrzywia głowę.

– Ciemny beż – słyszy Matt. – Neutralny zimny – dobiega go jeszcze, po czym się wyłącza.

– Nie zostaniemy długo – mówi Neil przyciszonym głosem.

– Naprawdę go nie lubisz, co?

Wzdryga się – naprawdę się wzdryga.

– Mam po prostu dość tego, że traktował mnie jak służbę, kiedy dla niego pracowałem, wiesz, o czym mówię? Powiem ci coś. Jeśli będzie zachowywał się dziś w stosunku do mnie protekcjonalnie, przysięgam, że mu przywalę.

– Protekcjonalnie znaczy traktować ludzi z góry – wiesz o tym, prawda?

Neil się śmieje.

– Wal się.

– Nikogo nie uderzysz i dobrze o tym wiesz.

– Wiem, ale...

– Ale co? Odnosisz sukcesy, jesteś świetny w tym, co robisz, masz piękną żonę, superdom. Masz wszystko to, co on. Co cię w nim tak strasznie wkurza?

Neil przechyla głowę, jakby chciał rozluźnić spięty kark.

– Nie wiem. On jest taki, że... powie ci, że chce, abyś coś zrobił w określony sposób, a kiedy odpowiesz mu, że nie ma sprawy, on i tak będzie cię pouczał, jak masz to zrobić. Takie małe sprawy. Podważające komentarze. Jak: „Och, ty tak to robisz?”. No wiesz, tego typu rzeczy, ciągle sugerowanie. Tak jak to – nie miał architekta, jego sprawa. Ale chodzi o to, jak on mówił o tym, że go nie ma. Jakby był mądrzejszy od wszystkich architektów, rozumiesz, co oni tam wiedzą?

– Wiem dokładnie, o czym mówisz.

Neil się uśmiecha.

– I tak by cię nie wykorzystał, ale... ech... to znaczy, to takie w jego stylu, rozumiesz, myśli, że może zrobić za kogoś robotę, kiedy najlepsze jest to, że nie potrafi zrobić nawet swojej własnej. Widziałem, jak rozpisywał ilości stali na odwrocie koperty – dosłownie, nie żartuję – na tyle jakiejś ulotki, a kiedy przyszła dostawa, okazało się, że wszystko jest o pół metra za krótkie.

Matt kiwa głową.

– Nie przypominam sobie, żebyś o tym wspominał.

– Nie, no wiesz, miałeś... inne zmartwienia na głowie, stary. Właśnie miałem dostawę stali, kiedy... Nie no, ten gość to palant. Była wielka kłótnia z tego powodu. Mówiłem mu, stary, to nie ja zamawiałem te pręty, co nie? To jak to może być moja wina? Wiem, że jestem dobry, ale nie zrobię cudów.

– Więc on jest niedbały?

– Niedbały? – prycha Neil. – Stary, w którym stuleciu ty żyjesz? Chujowy? To masz na myśli? To dobre określenie. Jest za szybki, wszystko w pośpiechu, niedokładnie. No bo wiesz, jak to może być moja wina, że pręty przyszły za krótkie? Idiota musiał się w końcu zadowolić wnękami funkcjonalnymi, debil. Przecież nie rozciągnę mu stali, co nie? Za to mogę przebudować mu ściany zewnętrzne. Za darmo. Większość dobudówek ma linię tam, gdzie zaczyna się nowy budynek, nie? No, a ja mu ją zburzyłem tak, że cegły wtopiły się w oryginalny dom. Czy on na to wpadł? Nie, to był mój pomysł. Podziękował? Po...

– Idziemy? – Bella wstaje. Wyciąga z torebki lusterko i imponującym, zręcznym, okrężnym ruchem przesuwając je po ustach brązową pomadką.

Matt patrzy w oczy Avie. Nie mija więcej niż sekunda, kiedy odwraca wzrok, ale i tak widział w nim głębokie wahanie. Zdradził ją – tak się

właśnie czuje. Za mocno na nią naciskał.

Ale jak mają w ogóle zacząć od nowa, jeśli nie zaczną po prostu żyć?

– Wezmę Freda – mówi Ava.

W chwili gdy opuszcza kuchnię, Matt czuje, że ciśnienie spada.

Bella chwyta go za ramię. I trzeba jej przyznać, że patrzy mu w oczy, co niewielu ludzi robi ostatnio.

– Wygląda na zmęczoną. Wszystko z nią w porządku?

Potrząsa głową.

– Chyba nie powinniśmy iść.

– Nie wygłupiaj się. To zaraz obok, a ja będę przy niej. To może jej pomóc odciągnąć ją od własnych myśli, wiesz? Godzina poza jej własną głową.

– Jasne. Dzięki.

Ściska go za ramię. Ava jest w holu, Fred śpi w nosidełku. Matt ma nadzieję, że nie słyszała jego rozmowy z Bellą.

– Nie będzie mu za gorąco? – pyta. – I czy tobie nie będzie za gorąco?

Patrzy na niego, niemal przewierca go wzrokiem na wylot.

– Nie sądzisz chyba, że zostawię go na podłodze?

– Nie, ja...

– Spójrzcie na te małe piątki – szepcze Bella, jej oczy błyszczą. – Tak bardzo urósł.

– Tak – zgadza się z nią Ava.

Następuje chwila cięższej ciszy. Hol nagle wydaje się zbyt mały dla ich piątki. To sprawka Freda, choć nie powiedział ani słowa. Przez samo to, że rosną, niemowlęta i małe dzieci pokazują upływ czasu w sposób, w jaki nie może tego zrobić żaden kalendarz. Kiedy podchodzą do drzwi, Matt zastanawia się, czy Neil i Bella dostrzegają zmiany we Fredzie tak jak on i Ava – jako ciągłe i bolesne przypomnienie o tym, jak dużo czasu minęło, odkąd stracili swoją małą córeczkę.

Rozdział 17

Ava

– Witamy! – Johnnie Lovegood stoi w drzwiach z rozpostartymi ramionami, od stóp do głów ubrany na czarno. Ma koszulę ze stójką, a w poprzek kieszeni jego czarnych dżinsów biegnie czerwony, ukośny pasek. Rozpoznaję tę markę. Była popularna, być może nadal jest, wśród miejskich trendów jakieś piętnaście lat temu. Jego gęste włosy, w większości zaczesane do tyłu za pomocą jakiegoś błyszczącego produktu, poza jednym zbuntowanym, bajronicznym lokiem, wiją mu się po szyi. Na starannie wymodelowanej brodzie pojawiają się pierwsze siwe włoski, a jego stopy... są gołe. Cały efekt jest taki, jakby za bardzo się starał, a jednocześnie próbował udawać, że wcale tak nie jest. Tak go właśnie zapamiętałam – grafitowy garnitur wyglądający na drogi, założony na czarny T-shirt. I srebrna bransoleta, którą, a jakże, również dziś ma na sobie.

– Wchodźcie, wchodźcie, kochani – mówi, a ja puszczam innych przodem. – Mamy już dla was przygotowane fantastyczne koktajle.

Trzymam się z tyłu, podczas gdy inni wymieniają z nim uściski dłoni i kiedy całuje Bellę w oba policzki. Jej bluzgi na jego temat na szczęście ustają, kiedy wchodzi w głąb domu.

– To. – Johnnie wskazuje na mój plecak i uśmiecha się ciepło. – Pozwól, że ci z tym pomogę.

– Och, nie trzeba, to tylko pieluchy, chusteczki i takie tam. Nic nie waży.

– Cóż, mogę wziąć dziecko? Fred, prawda?

– Właściwie to Ava.

– Nie, miałem na myśli... – Trochę za późno łapie mój żart. – Och, wybacz, żartowałam. Pozwól, że wezmę go od ciebie, chociaż na chwilę.

– Nie trzeba, dziękuję.

– Nie no, poważnie, daj spokój. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem na sobie nosidełko.

Nie mogę uwierzyć w absurd tej sytuacji. Czy on poważnie oczekuje, że pozwolę mu wziąć moje dziecko, w jakichkolwiek okolicznościach, i to dopiero co po stracie córki? Czy już zapomniał?

– Nie trzeba. – Patrzę mu w oczy bez uśmiechu. Ma jedno oko niebieskie, a drugie brązowe. Jak Bowie. Jezu, załóżę się, że jest z tego dumny.

Wyrzuca w górę ręce i odsuwa się o krok. Wyraz jego twarzy sugeruje, że próbował, naprawdę się starał. Neil miał rację – ten człowiek już od samego początku jest irytujący. Jestem zbyt krytyczna, zdaję sobie z tego sprawę, ale, dobry Boże, każde jego słowo, każdy gest, każda mina wydają się przesiąknięte pewnego rodzaju wyniosłością, udawaną uprzejmością, która tak naprawdę ma na celu pokazanie, jakim jest wspaniałym facetem. Pamiętam to z przeszłości, z dni, które nastąpiły po zniknięciu Abi. On może nawet nie mieć tego na myśli. To może wynikać chociażby z nieśmiałości. Zwykle dawałam ludziom kredyt zaufania. Ale nawet zanim stwardniałam jak łupina orzecha, pamiętam, że jego pytania w jakiś sposób sugerowały winę, podczas gdy miały wyrażać współczucie. I jesteś pewna, że zostawiłaś otwarte drzwi? I mówiłaś, że byłaś na górze przez dziesięć, dwadzieścia minut, tak?

Nie chciał się zamknąć na temat tych przeklętych drzwi, sprawiał, że minuty brzmiały jak dni, jakbym już sama się tym niewystarczająco torturowała. Ale jego żona była dużo bardziej taktowna. Jen, która stoi teraz przede mną w swoim przeogromnym holu.

– Przyszłaś – wita mnie z uśmiechem. Wygląda pięknie – wypielęgnowana, ale bez przesady, w ciemnoszarej, lnianej długiej sukience i designerskich kłapkach, paznokcie u stóp są pomalowane na koralowo. Siwe włosy ma zaczesane do tyłu, to elegancka, francuska fryzura.

– Jen, cześć – mówię z ulgą.

Wyciąga do mnie ręce, nie po moje dziecko czy po mój plecak, ale by sięgnąć po moją dłoń. Trzyma ją i nie puszcza, nawet gdy nachyla się, by cmoknąć mnie w policzek. Uroczo pachnie – świeży, zielony zapach, który kojarzy mi się właśnie z nią.

Po chwili puszcza moją rękę, ale jakby świadoma tego, że mogę czuć się nieswojo, kładzie mi dłoń na ramieniu i pyta, czy mam ochotę na drinka.

– Matt przyniósł butelkę szampana. – Zerkam przed siebie na coś, co wygląda jak monstrualnej wielkości otwarta kuchnia.

– No cóż, może to zabrzmieć niegrzecznie, choć to miłe z waszej strony, ale ja pytam, czego się napijesz, a nie, czy przyniosłaś swoje trunki. – Jej oschły styl mówienia i irlandzki akcent sprawiają, że brzmi nieco złośliwie. – Coś mi się wydaje, że przydałby ci się drink. – Patrzy mi prosto w oczy. W jej spojrzeniu widzę tylko tę samą uprzejmość, co przez cały zeszły rok i podczas zeszłotygodniowej wizyty. I jeszcze coś. Uznanie. Rozumiem cię i nie zostawię cię samej.

– Tak – mówię. – Drink brzmi świetnie.

– Zaufaj mi, przyniosę ci coś przepysznego i alkoholowego. – Jej dłoń nadal znajduje się na moim ramieniu. Normalnie zaczęłoby mnie to przytłaczać, ale teraz jakoś mi nie przeszkadza.

– Nadal karmię piersią.

Spogląda na dziecko i uśmiecha się.

– Ile on ma? Trzy miesiące?

– Prawie.

– Jeden słaby drink mu nie zaszkodzi, a z ciebie zdejmie napięcie. Kiedy moje były małe, codziennie piłam jednego Guinnessa. Ród Gilmartinów dałby się zabić za ten napój. – Ostatnie słowa są mocniej zabarwione irlandzkim akcentem.

– Gilmartinów?

– To moje panięskie nazwisko. Zmieniłam je, gdy wyszłam za mąż, co jest albo przestarzałe, albo postfeministyczne, nie jestem pewna, ale nie mogłam zrezygnować z Lovegooda, nieprawdaż? Wyobraź sobie to w sądzie. A dodatkowo wiedziałam, że to doprowadzi moich rodziców do szału. Nienawidzą wszystkiego, co pretensjonalne, dlatego między innymi nadaliśmy naszym córkom imiona charakterystyczne dla klasy średniej. Dobra, chodź ze mną, ulokuję cię w najwygodniejszym fotelu, jaki mam w domu. – Chwyta mnie za przedramię i prowadzi w kierunku czegoś, co zakładam, że jest salonem. – To jedyny pokój, który wolno mi było urządzić, tak na marginesie, ale szczerze mówiąc, nie mogłabyś siedzieć na niczym, co wybrał Johnnie. Obawiam się, że wybrał wygląd ponad wygodę. No ale jak Johnnie czegoś chce... – Śmieje się i przewraca oczami.

Czego chce Johnnie... ale nie wyczuwam w tym żadnego przymusu. Jen traktuje męża jak duże dziecko, które wymaga uśmiechu i dużo pobłażliwości, a ja znów mam wyrzuty sumienia, że uważam go za tak irytującego, kiedy on już taki po prostu jest.

Jen wprowadza mnie do pokoju pomalowanego na gołębioszary kolor. W kominku płonie ogień. Jest koniec sierpnia, ale w pokoju nie jest zbyt gorąco, jest przytulnie. Idealnie. Na ścianach wiszą gustowne obrazy, wszędzie porozstawiane są bursztynowe lampki w wielkich szklanych cylindrach i ciekawe przedmioty, które chyba powinnam nazwać raczej sztuką niż ozdobami.

– Usiądź tutaj. – Wskazuje mi skórzaną sofę w tyłu vintage przykrytą miękkimi wełnianymi kocami.

– Jak tu przytulnie.

– Johnnie tego nie znosi. – Śmieje się krótko. – Nie cierpi narzut, nie znosi lampek, nienawidzi kominka. Nie może znieść niczego, co nie jest prostą linią.

– Naprawdę? Och, nie! Tu jest uroczo i bardzo przytulnie. – Sofa jest miękka. Fred wydaje z siebie niemowlęcy jęk, w odpowiedzi na który moje piersi natychmiast twardnieją. Jedną z korzyści nosidełka jest to, że ukryje mokre plamy z przodu mojej sukienki.

– Wygodnie ci?

– Boże, tak, ta sofa jest boska.

Nie ma tu nikogo innego i po raz pierwszy tego wieczoru, gdy zapadam się w te poduszki, czuję, że mój zaciśnięty żołądek się rozluźnia. Mogłabym tu zostać przez cały wieczór.

– Koce są z kaszmiru – informuje mnie Jen. – O rety, co? Dobra, nie ruszaj się stąd. Wracam za dwie sekundy.

I faktycznie, wraca po krótkiej chwili, jednak bez drinków.

– Dwie caipirinha już się robią.

Uświadamiam sobie, że na moich ustach gości dziwny uśmiech.

– Nie spodziewałam się, że przyjdiesz – mówi z rozbijającą szczerością, która jest dla niej tak charakterystyczna. Siada obok mnie i zdejmuje kremowy kłaczek z sukienki. – Martwiłam się, że przez to, że wydzwaniałam i mówiłam ci, żebyś się nie przejmowała tym, że nie przyjdiesz, sprawię, że poczujesz się tym bardziej zobligowana, a domyślałam się, że taka presja jest ci potrzebna jak dziura w moście.

– Nie chciałam przyjść. – Słowa wymykają mi się z ust, zanim zdołam je ocenzurować, ale nie robią na niej wrażenia.

– Nie dziwi mnie to. Ale możesz tu zostać przez cały wieczór albo wyjść już teraz. Tak jak mówiłam, nie urazisz ani mnie, ani Johnniego, zresztą

my i tak się nie liczymy, tak samo jak cała reszta. Nie myśl o niczym innym, tylko o tym, co ty chcesz zrobić.

Brzmi jak Matt, tylko... tylko co?

Tylko że ona tak naprawdę myśli.

– Dziękuję – mówię.

– Nie zamierzam wypytywać, jak się czujesz. No, bo jak się możesz czuć? Ale jesteś tutaj i to naprawdę cudownie móc cię zobaczyć, a poza tym uwielbiam twoje włosy.

– Dzięki. Bella mi je zrobiła. I cieszę się, że przyszłam. Musimy w końcu wrócić do życia. Dla dziecka, rozumiesz? To znaczy, powinniśmy.

– Chrzanić to. – Jennifer wstaje, gdy drzwi otwierają się na oścież. Odbiera drinki od pozornie bezcielesnej osoby składającej się jedynie z rąk w białych rękawiczkach, które przywodzą mi na myśl białego królika z Alicji w Krainie Czarów. A więc zatrudnili kelnerów. Bella miała nadzieję, że to zrobią. Będzie zachwycona. Słyszałam, jak kilka minut temu Neil narzekał w naszej kuchni na to, że jest traktowany jak personel i przez jedną zabawną chwilę wyobrażam go sobie w białych rękawiczkach, dzierżącego tacę, a jego głowa aż paruje z gotującej się w nim wściekłości.

– Proszę. – Jen wręcza mi kieliszek z czymś, co wygląda jak zachmurzona woda. Dwa plasterki cytryny walczą o miejsce z licznymi kostkami lodu. – To świeży sok z limonki z cukrem i brazylijskim białym rumem o nazwie Cachaça. Johnnie nie umiał znaleźć Sagatiby, jego ulubionej marki, więc musieliśmy użyć 51, czym oczywiście był zachwycony. Bóg jeden wie, jak poradziłby sobie w czasie globalnego kryzysu. Na zdrowie.

– Chrzanić to – odpowiadam w ramach toastu.

Jen się uśmiecha.

– Chrzanić to. To mój nowy toast.

– Moja terapeutka też tak mówi. – Robię łyk, ze zdziwieniem zauważając, że nie staje mi w gardle. – Boże, jakie to pyszne.

– Mój ulubiony koktajl. – Zakłada sobie włosy za ucho. – Każ mi się zamknąć albo nie odpowiadaj, jeśli nie chcesz, ale nie miałam czasu zapytać cię w zeszłym tygodniu, do czego doszli. Policja. Zamknęli sprawę?

– Zawiesili kilka miesięcy temu. Szczerze mówiąc, myślę, że całkiem ją umorzyli po tym, jak znaleźli płaszcz Abi, ale detektyw Farnham, ta prowadząca sprawę, melduje się co miesiąc i powiedziała, żebyśmy dzwoniли do niej, jeśli mamy jakieś pytania albo jeśli pojawi się coś, co

rzuci nowe światło na sprawę. Ale ja wiem... czuję, że oni uznali... ja... Matt uważa, że powinniśmy się pożegnać. Choćby dla naszego zdrowia psychicznego. Jest zdania, że powinniśmy wyprawić ceremonię.

– Powinniśmy. Znowu to słowo. Więc nie ma żadnych podejrzanych? Żadnych tropów?

– Nie. Wygląda to na tragiczny wypadek.

Skądś dolatują łagodne dźwięki muzyki. Matt przysięgał, że mnie nie opuści, Bella tak samo, a jednak nie ma ich tutaj.

– Ta niepewność – słyszę swój szept w idealnym bursztynowym świetle.

– To jest najgorsze.

– Zgadza się.

– Nie chodzi o to, że ja chcę, żeby była martwa.

– Nawet przez chwilę tak nie pomyślałam. Ale nie masz kogo pochować. Kogo opłakiwać. A jednak opłakujesz ją każdego dnia, czując się winna, że ją opuściłaś, pozwalając sobie na odczuwanie tego żalu.

– Dokładnie o to chodzi. I zawsze będę czuła się winna, że spuściłam ją z oka. Że zostawiłam otwarte drzwi.

Jen obejmuje mnie ramieniem. Pamiętam, jak tuliła mnie do siebie w zeszłym tygodniu, jak nigdy nie unikała moich scen, których tak bardzo staram się nie robić. Po tak długim czasie, gdy czułam się, jakbym była trędowata, to wspaniałe czuć znowu dotyk drugiego człowieka, który nie jest moim mężem, synem czy matką. Czekam, aż zacznie mi mówić, żebym się nie biczowała, że poczucie winy nie przyniesie mi nic dobrego. Ale nie robi tego.

– Jak często masz spotkania z terapeutką? – O to mnie pyta.

– Raz w tygodniu. – Biorę kolejny łyk. Alkohol pali mnie w przełyku, ale to świetne uczucie. – Teraz rzadziej niż przedtem. Spotkania pomagają, ale niczego nie zmieniają, w tym cały kłopot. Mogę to wszystko roztrząsać, mogę w nieskończoność analizować to, co się stało, ale tak naprawdę chcę tylko wiedzieć, że nie została skrzywdzona. Wybacz, przestanę już o tym mówić. Już dość cię zanudziłam.

– Przestań. Mam dużą odporność, uwierz mi.

– Po prostu myśl o niej w wodzie, zastanawiającej się, gdzie jestem... albo jeszcze gorzej... że ktoś ją porwał, rozumiesz?

– Mogę sobie wyobrazić. No dobra, nie mogę. Żałuję tylko, że nie było nas tutaj tamtego dnia i nie mogliśmy pomóc. Nie mieliśmy pojęcia.

Kłoda przesuwa się w kominku, wzniecając pomarańczowe iskry. Przyglądamy się temu w milczeniu. Nie mam pojęcia dlaczego, ale czuję się w jakimś stopniu uspokojona.

– W każdym razie dosyć tego – mówię, prostując się. – To twoje przyjęcie. Chciałabym zobaczyć tę kuchnię, o której wszyscy mówią. Nie masz pojęcia, ile szumu tu było na temat waszych prac budowlanych.

– O Boziu. – Śmieje się. – Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

– Zostańmy tu jeszcze dziesięć minut, potem pójdziemy. I pamiętaj, koniecznie wspomnij Johnniemu o płynnym przejściu ze środka na zewnątrz, okej?

Śmieję się.

– Umowa stoi.

*

Na widok niemal wszystkich mieszkańców naszej ulicy zgromadzonych w jednym pomieszczeniu mam ochotę pobiec do drzwi. To miejsce przywodzi mi na myśl Glastonbury, albo to jak wyobrażałam sobie kiedyś Woodstock, albo może przystrojone świątecznymi światełkami Kew Gardens – te same magiczne okoliczności, pulsujące feerie kolorowych światełek wabiące cię do środka, gwar rozmów, miękki wokal samby, który brzmi jak Astrud Gilberto. Światła migoczą, maleńkie punkciki zmieniają się z czerwonego na pomarańczowy, niebieski i zielony, biegną po obwodzie. Muszą być też światła w podłodze, ponieważ polerowany beton wydaje się lśnić. Powierzchnie robocze są śnieżnobiałe, wypolerowane na wysoki połysk, a powietrze przesiąknięte jest słodkim aromatem koktajli, przypraw i kwiatów, które wdzierają się w nasze głowy i nozdrza. Jest tego wszystkiego za dużo, moje zmysły są przeciążone i przez chwilę obawiam się, że nie dam rady tam wejść.

Ale Jen trzyma mnie za łokieć i milcząco zachęca do wejścia. Jest mi za gorąco z Fredem przyklejonym do mojego ciała, ale nie mam wyboru. Rozpoznaję kilkoro sąsiadów. Matt rozmawia z Petem Shepherdem, Bella trzyma między palcami materiał bluzki Louise Parker, a rozmawiająca z Johnniem „Active Wear” Lizzie ma na sobie coś, co, jak przypuszczam, jest sukienką, którą kupiła – odważna czerwona kiecka z falbaniastym dekoltem na zakładkę, która przywodzi mi na myśl kostium pirata.

Wszyscy są sobą zajęci. Nikt na mnie nie patrzy, wmawiam sobie. To impreza Lovegoodów, chwalą się swoim imponującym remontem, ich wspaniałym domem, nie chodzi o mnie, która stara się na nowo stawić czoła światu. Jestem jedyną osobą, która myśli o Abi.

Z ogrodu – również oświetlonego tęczowymi barwami – wpada chłodny powiew powietrza, który owiewa pot na moim czole. Tylnej ściany domu praktycznie nie ma; goście wylewają się na taras, niektórzy siedzą na ogromnych, aksamitnych sofach w kolorze głębokiej szarości. Po lewej stronie tego, co wydaje mi się końcem domu, jest gruby grafitowy pas czegoś, co musi być zburzonymi i postawionymi na nowo, niesamowicie drogimi, szklanymi drzwiami, od podłogi do sufitu. Sama przestrzeń kuchenna jest jeszcze większa, niż sobie wyobrażałam. Większa niż zewnętrzne wymiary domu, jak się wydaje. Mówię o tym Jen, która się śmieje.

– Zalety posiadania inżyniera budowlanego za męża – mówi, po czym szybko dodaje: – I oczywiście Neil zdziałał tu cuda. Jest świetnym budowlanцем. Johnnie poleca go każdemu, kto tylko chce go słuchać.

Jak na wezwanie, gdy tylko zostało wspomniane jego imię, Johnnie materializuje się obok nas.

– Przejdźcie z wnętrza na zewnątrz – mówi, podążając za moim wzrokiem.
– Żadnych przeszkód. Drzwi warte każdego wydanego pensa. Co o nich myślisz?

Nie jestem pewna, czy uważam go za niesamowicie aroganckiego, czy może jego pytanie o to, co ja sądzę, jest przejawem jego braku pewności siebie, albo może jestem urzeczona jego szczerością. Zaprosił nas tutaj, byśmy podziwiali jego przebudowę domu – po co udawać, że jest inaczej? Patrzy teraz na mnie z oczekiwaniem w oczach o dziwnym kolorze i nie mam serca go zawieść. Jest, jak zasugerowała jego żona, dużym dzieckiem.

– Są wspaniałe – przyznaję. – I takie ogromne! Ale nie zimne, no wiesz, w sensie atmosfery. To znaczy, mam na myśli, że są takie nowoczesne. Ale przyjazne.

– To szkło – mówi, zataczając ręką łuk, jakby opisywał wizję ekspansji nowego ładu czy jakiejś osady, albo nawet królestwa. – To niesamowite, co potrafią teraz zrobić. A baza kolorystyczna bieli i szarości jest tak naprawdę zielona, co wprowadza ciepło do bladej palety barw, bez wrażenia cukierkowości. To, co nazywam wystrojem brygady Boden.

– Podoba mi się, że nie zrobiłeś wszystkiego w stali – mówię, zapamiętując wszystko, co powiedział, by przekazać to później Mattowi, a jednocześnie podziwiam wspaniałe metalowe konstrukcje na suficie. – Bardzo industrialne, świetne.

Zaciska mocno usta, usiłując powstrzymać uśmiech. Rezultat jest taki, że jest bardziej uśmiechnięty, niż gdyby się zwyczajnie uśmiechnął.

– Chcieliśmy, żeby było nowocześnie – mówi. – Nic z tego nie idzie w parze z nonsensami epoki, które ja nazywam babcinymi. Nie, chcieliśmy coś nowego, jakiś kontrast. Żeby przemówiło. Ludzie myślą, że jesteśmy szaleni, jasne, ale hej, ja zawsze byłem typem buntownika.

Potakuję. Czuję, że kręci mi się w głowie. To przez drinka albo może przez te przechwałki, którymi mnie właśnie zaatakował.

– Powinieneś pogadać z Mattem – mówię. – Jest architektem miejskim. Nie jestem pewna, czy o tym wiesz. W tej chwili pracuje nad rozbudową kilku zabytkowych budynków w Londynie.

Macha ręką.

– Nie zawracałem sobie głowy architektem. Sam rozrysowałem plany. Szkic długopisem jest łatwy, potem to już tak naprawdę tylko liczby.

– Jasne. – Prawie mnie zatyka. Czuję, jakbym zgłosiła Matta do jakiegoś konkursu, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

– No i Neil odwalił kawał dobrej roboty – dodaje. – Złota rączka. Solidny typ, rozumiesz?

– Dobrze się o tobie wyraża.

– Cóż, miło to słyszeć – mówi, nie wychwytyjąc ironii. – Pracowity. Sumienny. Zawsze punktualny i wcześniej zaczynał, nawet jeszcze przed naszym wyjściem do pracy, prawda, Jen?

Jen przytakuje.

– To prawda. Jak w zegarku. Jest inteligentny i bardzo pedantyczny. Bardzo mi się to w nim podobało. I był taki uroczy z naszymi dziewczynkami.

– Johnnie – mówi ktoś – czy to oświetlenie LED?

– Właściwie to są... – Johnnie oddala się od nas, zachwycony, że ma kolejną ofiarę.

W międzyczasie Jen została porwana przez Louise Parker, która żywo gestykuluje w kierunku ogrodu. Przez chwilę stoję jak sparaliżowana, z nogami wrośniętymi w podłogę. Wszyscy inni zdają się dobrze bawić, rozmawiać, śmiać się. A ja jestem kompletnie sama. Nie mam pojęcia, jak

wbić się w ten tłum. Wszelkie zachowania społeczne, które kiedykolwiek posiadałam, dawno mnie opuściły. Rozglądam się po wielkim pomieszczeniu. Wszędzie stoją butelki szampanów, duże srebrne wiaderka wypełnione niebieskim lodem, w których piętrzą się butelki z piwami marek, o których nigdy nie słyszałam. Przytłumione światło miarowo pulsuje. W tle słychać teraz muzykę instrumentalną – chyba kubańską, sądząc po wolnych sekwencjach akordów i rytmie salsy. Błądzą wzrokiem po jasnoszarych, ręcznie robionych meblach, artystycznie wyglądających przekąskach ułożonych na małych, czarnych, kwadratowych talerzach na barze, aż do otwartej tylnej części domu, gdzie przez morze głów dostrzegam Neila stojącego pod wierzwą płaczącą, która stanowi centralny punkt ogrodu, nadając trawnikowi wygląd japońskiego jeziora. Popija piwo z butelki i rozgląda się wokół siebie. Widać, że jest spięty i zdecydowanie wolałby być gdziekolwiek indziej niż tutaj.

Nie jest jedyny.

Nagle zdaję sobie sprawę, że nigdy nie poświęciłam czasu na to, by zastanowić się nad jego uczuciami. Dopiero teraz, obserwując go z oddali, jestem w stanie zobaczyć, że on, tak samo jak ja, jest pogrążony w żalu. Pije szybko, raczej z obowiązku niż dla przyjemności. W tym chwilowym przebłysku zapominam na sekundę o moim własnym sercu i z druzgocącą jasnością dociera do mnie, że on tamtego dnia też był załamany – oczywiście, że tak. Jemu, a także Belli, spotkanie z nami po raz pierwszy od tamtego czasu również przyniosło bolesne wspomnienia, dokładnie tak samo jak nam. Uwielbiał Abi, a Abi uwielbiała jego. Rozpieszczał ją do granic możliwości, często podrzucał do góry i sprawiał, że piszczała z radości, śmiała się tak mocno, że musiałam kazać mu przestać, bo bałam się, że nie będzie mogła złapać oddechu. Nie zastanawiałam się nad tym, jak ciężki musiał być tamten poranek, tamten dzień, noc i wszystkie kolejne dla tego silnego mężczyzny. Zmierzenie się z własną niemocą w tak straszliwej katastrofie musiało co najmniej urazić jego męską dumę. To musiało być destrukcyjne. Nadal pamiętam jego minę, gdy pytaliśmy jego i Bellę czy zostaną rodzicami chrzestnymi dla Abi. Z trudem udało mu się nie rozsypać. Jego oczy błyszczały i ledwo wykrztusił z siebie podziękowanie. To był przywilej, powiedział. Zaszczyt. To było zadanie, do którego przyłożył się niemal zbyt poważnie, zasypując ją prezentami i uwagą, jakby była jego własną córką.

Mój Boże. W ogóle nie myślałam o Neilu, ale teraz mu się przyglądam i widzę, że jest samotny, zupełnie jak ja, w tej zatłoczonej przestrzeni. Widzę tę torturę na jego twarzy tamtego dnia, te łzy, które musiały go dużo kosztować, by je pokazać. Policzki zaczynają mnie palić ze wstydu. On też jest pogrążony w żalu. W tych ponurych, strasznych godzinach, dwóch załamanych mężczyzn stało na progu mojego domu – Matt, ojciec i Neil, ojciec chrzestny. Zarówno dla Matta, jak i dla mnie to było dużo gorsze doświadczenie. Jasne, że dla Neila też musiało to być okropne. I dla Belli, która już nie wie, jak się zachować w moim towarzystwie, nerwowo papla przy drinku, jakbyśmy byli dla niej obcy, która próbuje mnie naprawić nową fryzurą i kolorem, kolejną warstwą makijażu, manicure'em.

Ale ja tego nie udźwignę. Nie dam rady wziąć na siebie ich żalu. Mam dosyć swojego.

Moja szklanka jest pusta. Wiem, że nie powinnam więcej pić. Powinnam pozostać trzeźwa.

Chrzanić to.

Rozdział 18

Ava

Jest nieco po wpół do dziesiątej wieczorem. Jestem tu już zbyt długo, rozmawiałam może z pięcioma osobami, poza tymi, z którymi tu przyszłam. Wszyscy są pogrążeni w pogawędkach, podzieleni na małe grupki, pojedyncze słowa rozplywają się w ogólnym rozgardiaszu. Nikt nie zapytał mnie o nic innego niż o to, jak się czuję. Chodzi im o to, jak sobie radzę, i to jest miłe. Mają rację, definiuje mnie to, co się wydarzyło. Sama myśl o tym, że miałabym rozmawiać tu na ten temat sprawia, że w środku zamieram. Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to dać publiczny pokaz łez. Ale nie jestem w stanie mówić o niczym innym i dlatego nie mam nic, zupełnie nic, do powiedzenia.

Znajduję Bellę w ogrodzie, obok baru stylizowanego na brazylijski, kołyszącą się do muzyki.

– Cześć – mówię, nadal nią onieśmielona, pomimo wczorajszej wizyty w salonie i naszego wcześniejszego spotkania u nas.

– Kochanie! – Bella obejmuje mnie, tworząc dziwną konfigurację z Fredem pomiędzy nami i zupełnie nagle zaczyna płakać. – Bardzo cię przepraszam – mówi, wypuszczając mnie ze swoich spoconych ramion.

– Za co?

– Za wszystko. – Jej oczy są czerwone, makijaż rozmył się czarnymi smugami. Przez te wszystkie lata, odkąd ją znam, przez te wszystkie imprezy, na których byliśmy razem, nigdy nie widziałam jej z rozmazanym makijażem. – Wiem, że nie byliśmy przy tobie i przepraszam cię za to. Bardzo cię przepraszam, kochanie.

O nie, to nie jest czas i miejsce. Ale Bella przyłgnęła do mojego ramienia, patrzy na mnie spod tych swoich rzęs wielkimi, smutnymi oczami i jest, bez dwóch zdań, kompletnie pijana. Staram się zdusić w sobie irytację. Wcześniejszy widok Neila sprawił, że zmiękłam, otrzeźwił mnie z zaabsorbowania sobą, wstrząsnął mną do głębi. Tak, dla Belli też musiało

to być trudne. Była matką chrzestną Abi i podejrzewam, że to ona była odpowiedzialna za te wszystkie drogie prezenty.

– Nie przejmuj się tym – mówię. – Serio. Dla was też to było trudne. Tylko dlatego, że dla nas było to gorsze, nie znaczy, że...

– Neil zrobił wszystko, co w jego mocy – szłocha żałośnie Bella. – Szukał wszędzie. Był załamany, Avo, kompletnie zdruzgotany, wiesz o tym, prawda?

– Wiem.

– Nadal nie jest sobą. To go załamało. Nadal nie doszedł do siebie.

Spoglądam w kierunku kuchni. Rozpaczliwie chcę od niej uciec, ale nie mogę jej urazić, nie teraz, kiedy zrobiliśmy ten wielki krok.

– Mam na myśli – powtarza, klepiąc mnie w ramię – że on naprawdę szukał wszędzie tamtej nocy.

– Wiem. – Próbuję podnieść ją na duchu. – Naprawdę, oboje zrobiliście wszystko, co mogliście.

– Szukał całą noc, Avo. Całą noc szukał. Był załamany, nigdy go takiego nie widziałam. My... mamy teraz ciężki okres. Trochę za dużo pije, wiesz, o czym mówię? – Wpycha sobie palce do oczu i jęczy.

Wiem, że powinnam ją pocieszyć, ale zamiast tego się odsuwam. To straszne, ale muszę przyznać, że czuję, jakbym się dusiła. Jestem przytłoczona. Szczerze mówiąc, chciałabym, żeby się zamknęła, i boję się, że mogę jej to właśnie powiedzieć.

– Powinniśmy byli przychodzić częściej – kontynuuje. – Jest mi z tym bardzo źle, ale to było za trudne.

– Bella, posłuchaj. – Zdejmuję jej rękę z mojego ramienia i chwilę ją przytrzymuję, po czym puszczam. – To ciężkie nie móc naprawić pewnych spraw. Ciężko patrzeć na ból swoich przyjaciół, rozumiem to. Ale dajemy radę, nie martw się. Postarajmy się... spróbujmy po prostu żyć dalej, dobrze? Wszyscy potrzebujemy czasu, który nas uleczy. Ja się nie wyleczę, nie całkiem, i muszę sobie z tym wszystkim radzić.

Pociąga głósno nosem. Zastanawiam się, czy w ogóle słyszała, co do niej mówiłam.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że Neil zrobił wszystko, naprawdę wszystko. Kochał Abi, naprawdę, bez względu na wszystko.

– Wiem o tym.

– Oboje ją kochaliśmy. To znaczy, my też chcemy mieć dzieci, wiesz?

– Wiem. Słuchaj, wrócimy jeszcze do tego, co? Teraz chcę już iść do domu, więc zobaczymy się jutro, okej?

– Okej, kochana. Przepraszam, trochę poniosły mnie emocje. Zrobiłam się uczuciowa, wiesz? Jestem uczuciową osobą.

– Wiem. W porządku. Do zobaczenia później, okej? Cześć.

W kuchni gwar rozmów i muzyka robią się coraz głośniejsze – teraz leci modny remiks bossa nova, tak sądzę, choć nie mogę być całkowicie pewna. Bez znaczenia, niektórzy z sąsiadów, będąc już pod wpływem mocnych drinków, kołyszą się w rytm muzyki. Chcą tańczyć. Ale jesteśmy na przedmieściach i wątpię, żeby się odważyli.

– Ava. – To Johnnie. Jest zarumieniony i trochę się błyszczy.

– Cześć. – Rozglądam się dookoła w poszukiwaniu Matta. Pomocy.

– Cieszę się, że przyszedłeś – mówi. – Musiało cię to dużo kosztować.

Spoglądam na niego. Moje policzki płoną. Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Gdyby powiedziała to Jen, nie byłoby sprawy, ale Johnnie to nie Jen.

– Jen powiedziała mi, że zawiesili śledztwo parę miesięcy temu. Myślisz, że całkiem je zamkną po upływie roku? To już niemal rok, prawda?

– T-tak. – Zakrywam usta dłonią.

– To znaczy – dodaje, zupełnie niezrażony – nie wiem, jak to wszystko działa, ale można sobie wyobrazić, że rok to dość długo przy tych wszystkich cięciach budżetowych i tak dalej. Nie wydaje mi się, żeby mogli coś tu jeszcze zdziałać.

Moja skóra jest rozpalona. Pokój wiruje. Mam wrażenie, że unoszę się w powietrzu i że tylko mówienie zdoła utrzymać mnie na ziemi.

– Dla nas to ma znaczenie – udaje mi się z siebie wydusić. – Dla nas to może oznaczać wszystko.

Macha jedną ręką.

– Oczywiście, tak, nie o to mi chodziło, miałem bardziej na myśli to, że nie mogę sobie wyobrazić, że są w stanie znaleźć jeszcze jakieś dowody, nie po tak długim czasie. Nie ma żadnych nowych tropów, co nie? Nie mają nikogo na celowniku?

Czekam. Czekam, by zobaczyć, jak głęboko się dokopie, zanim natknie się na skałę i złamie łopatę. Przestań, chcę powiedzieć, po prostu przestań mówić.

– Nie ma żadnych nowych tropów w tej chwili – mówię zamiast tego. – I nie, nie mają podejrzanego, jeśli o to pytasz. Ale nie zamykają jeszcze

sprawy. Jeśli pojawi się coś nowego, szybko do niej wróć.

Potakuje gwałtownie głową, wypycha dolną wargę do góry tak mocno, że zachodzi na górną, chowa podbródek pod wypięłgnowanym zarostem.

– Tak, tak – mówi, zadzierając do góry głowę zamyślony jak krytyk sztuki. – Tak, ja to rozumiem, rozumiem... Tylko że to zostało uznane za tragiczny wypadek, prawda? Tak myślę, bo nie było nic podejrzanego. I przeszukali wszystkie domy i ogrody. Psy były też w domu Neila, zgadza się?

– To tylko procedura. To nasi najbliżsi przyjaciele. – Ostatnie dwa słowa brzmią jak: „Odpieprz. Się”.

– Oczywiście, oczywiście. Ale nie zabrali psów do innych domów, prawda?

Mrużę oczy. Jeśli zauważył moje zniecierpliwienie, nie okazuje tego po sobie.

– Nie mogą traktować wszystkich jak podejrzanych, Johnnie – wyduszam z siebie. – Muszą znaleźć niepodważalne dowody, muszą mieć dobry powód, żeby uzasadnić tego rodzaju... naruszenie.

– Więc mieli jakiś dobry powód? Wydawało mi się, że mówiłaś, że to procedura.

Oddycham głęboko. Unoszę ramiona.

– Powiedziałaś. Tak było. To znaczy...

– Hej. – Pojawia się Matt, podaje mi drinka. To mój trzeci. Nie powinnam. Ale ręce mi się trzęsą i czuję taką ulgę, że go widzę, że wychylał trunek niemal od razu.

– Ava właśnie przekazywała mi najnowsze informacje o... wszystkim – przekazuje mu Johnnie.

Matt przygląda mu się nieufnie.

– Okej. – Odwraca się do mnie. Musiał coś zobaczyć w mojej twarzy, bo widzę w jego oczach niepokój. – Chcesz już wracać do domu?

– Pogadamy później, dzieciaki – odzywa się Johnnie, ściska mnie za ramię, jakbyśmy podczas tej pogawędki nawiązali ze sobą jakąś więź, po czym odchodzi. Mój Boże, myślę, co, na litość boską, Jen w nim widzi?

– Neil się nie mylił – mówi pod nosem Matt, kiedy Johnnie znajduje się już poza zasięgiem naszych głosów. – Nie. Nie mylił się.

Muzyka cichnie.

Oboje patrzymy na drugi koniec kuchni. Z lekkim zdumieniem Matt mówi:

– Co, do diabła?

Rozdział 19

Ava

Na drugim końcu kuchni, z jeszcze bardziej zaróżowionymi policzkami i patrząc na świat jak podstarzały cherubin, Johnnie unosi w górę ręce. Nic nie mówi, po prostu stoi z wyciągniętymi ramionami, pewny tego, że za chwilę zapadnie cisza. Wygląda jak Mojżesz rozstępujący Morze Czerwone. I, zgodnie z jego oczekiwaniami, gwar rozmów cichnie. Jen stoi obok niego i wygląda na trochę zawstydzoną. W kolejnej sekundzie zauważam, że trzyma za rękę dziewczynę, która wygląda na jakieś dwanaście czy trzynaście lat.

Kiedy w pomieszczeniu zapadła już zadowolająca Johnniego cisza, mężczyzna opuszcza ręce.

– Witajcie – mówi. – Chcieliśmy wam tylko podziękować za przybycie w nasze skromne progi. – Uśmiecha się. Nikt się nie śmieje. – Bardzo się cieszymy, że możemy w końcu poznać naszych sąsiadów, więc cześć, witamy, willkommen, bienvenue. Jak pewnie już wszyscy wiecie, ja jestem Johnnie, to jest Jennifer, a to nasze córeczki, Jasmine i Cosima, które już dawno powinny leżeć w łóżkach.

– Powinny leżeć w łóżkach, powinny leżeć w łóżkach, powinny leżeć w łóżkach – mówi starsza z nich, robiąc krok do przodu i wymachując przed sobą rękami. Jej uśmiech jest tak szeroki, że jest na granicy śmiechu, co zresztą zaraz następuje. Wycofuje się i spogląda na matkę, szukając aprobaty. Jen chwyta ją za obie ręce i kołysze nimi w przód i w tył, uśmiecha się do niej przez cały czas i w tym momencie dociera do mnie, jakby mnie ktoś kopnął w splot słoneczny, że jej córka cierpi na jakąś chorobę.

– To jest Jasmine – Jen informuje gości. – Powiedz „dobranoc”, Jasmine.

– Powiedz „dobranoc”, Jasmine! – woła dziewczyna, znowu się śmiejąc.

– Powiedz „dobranoc”, Jasmine, powiedz „dobranoc”, Jasmine.

Zalewa mnie przeogromna fala wstydu, kiedy goście odpowiadają zgodnym chórem. Założyłam, że ich starsza córka uczęszcza do jakiejś elitarnej szkoły. Ani przez chwilę nie rozważałam żadnej innej możliwości, dlaczego każdego ranka jest wożona ich wielkim, eleganckim autem. Nigdy nie spytałam.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że ich starsza córka jest niepełnosprawna
– szepcze jakaś kobieta za mną, jednak na tyle głośno, że mogę to usłyszeć.
– Kto by pomyślał?

Ledwo mam czas zastanowić się nad tym, co to może oznaczać, ponieważ w tej samej chwili Jasmine wskazuje na Kevina, który mieszka naprzeciwko i mówi bardzo głośnym i podekscytowanym tonem:

– Rower! Rower, rower.

Jen i Johnnie cieszą się jak wariaci. Ich duma mnie porusza. Ostro oceniłam Johnniego, ale może nie jest aż tak zły.

– Rower, rower! – woła ponownie ze śmiechem Jasmine.

– Nie myli się. – Kevin podnosi swój kieliszek i kiwa głową w stronę sali.
– Jeżdżę na rowerze do pracy.

W pokoju rozbrzmiewa zbiorowy pomruk sympatii.

Nie mogę przestać myśleć o tym, że nigdy nie zapytałam Jen o jej córki. Żal potrafi być egoistyczny. Stałam się samolubna, a także wredna i sarkastyczna. Kiedyś zadawałam ludziom pytania. Troszczyłam się o nich. Byłam dowcipna. Nie twarda. Nie zapatrzona w siebie. Nie taka jak teraz.

– Nie ma mocnych na Jasmine – mówi Jen, śmiejąc się i gestykulując w stronę zebranych gości. – Wszystkich was przejrzała.

A Jasmine kontynuuje i wskazuje teraz na Louise Parker. Pokazuje gestem słuchawki w uszach i biegnie w miejscu z zaciśniętymi pięściami.

Louise się rumieni.

– Zgadza się. Jestem biegaczką. – Unosi swój koktajl, pozdrawia ją. Jej oczy są szkliste i wygląda na trochę pijaną.

Jen rozkłada dłonie, wyraźnie zachwycona.

– A nie mówiłam?

Jasmine przeskakuje z nogi na nogę. Jak szalona klaszcze w dłonie. Nagle bierze głośny wdech i wskazuje na tył kuchni.

– Kieszenie! – krzyczy głośno i radośnie. – Kieszenie, kieszenie, kieszenie, kieszenie.

Podążam za jej wzrokiem i widzę, że wskazuje na Neila, ukrytego gdzieś w kącie na tyłach. Zauważyła go, mimo że jest niemal w ogrodzie.

– Kieszenie – mówi ponownie, niemalże wbrew sobie. – Kieszenie!
Kieszenie!

Johnnie obejmuje ją ramieniem.

– Okej, Jazzy, wystarczy tej ekscytacji jak na jeden wieczór. Czas do łóżka.

Jasmine nadal stoi z wyciągniętym przed siebie palcem.

– Kieszenie – mówi. – Kieszenie, kieszenie.

Johnnie spogląda na Neila. Jest coś w wyrazie jego twarzy, czego nie umiem odczytać. Neil pochyla głowę. Czubki jego uszu płoną. Wracam spojrzeniem do Johnniego.

– Zastanawia się, gdzie jest twój kombinezon, Neil! – woła do niego Johnnie ponad głowami tłumu, po czym zwraca się do gości. – Jasmine miała obsesję na punkcie jego ubrań roboczych, gdy pracował u nas przy remoncie, prawda, kochanie?

– Prawda, kochanie? – Dziewczyna rozbrzmiewa jak echo. – Prawda, kochanie? Prawda, kochanie?

– O cholera – odzywa się Matt i odchodzi od mojego boku.

Twarz mi płonie. Zakładam, że Matt poszedł poszukać Neila, ale nie ośmielam się rozejrzeć wokół. Mam dość tego, że traktuje mnie jak personel. Te słowa powiedział dziś wieczorem Neil w naszej kuchni. Z ust kogokolwiek innego słowa Johnniego zabrzmiałyby niewinnie, ale zwrócenie uwagi na rolę Neila jako robotnika w domu Johnniego, pod jego profesjonalnym kierownictwem, ze wskazaniem na jego klasę i hierarchię, jest rażące. Możliwe, że jestem przewrażliwiona i wiele nadinterpretuję, ale jeśli faktycznie tak jest, to Matt robi tak samo.

Wyglądam na ogród, w którym grupa około ośmiu osób stoi obok baru. Nieco dalej w głębi, znowu pod wierzbą, stoi Neil, a obok niego Matt. Neil potrząsa głową. Matt kładzie mu rękę na ramieniu, którą Neil strząsa i nagle, zupełnie znikąd, dopada mnie wrażenie, że stało się coś większego, coś poważniejszego niż bycie potraktowanym protekcjonalnie przed grupą sąsiadów. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale martwi mnie to z powodów, których nie potrafię nazwać. Powodów, które mają coś wspólnego z Abi. Barbara mówi mi, że wszystko będzie sprowadzało się do Abi przez długi czas, więc zgłębiam tajniki mojej terapii i przekonuję samą siebie, że nie, to nie może chodzić o nią. Jedynie moja reakcja jest związana z nią i moją żalobą.

– No już, wystarczy. Pomachaj na pożegnanie, Jazzy.

Zwracam ponownie uwagę na Johnniego, który wyprowadza swoją córkę z pomieszczenia, a w powietrzu unosi się jej głos jak echo: „pomachaj na pożegnanie, Jazzy, pomachaj na pożegnanie, Jazzy, pomachaj na pożegnanie, Jazzy”. Wygląda na to, że Johnnie przekazuje ją komuś, kto stoi ukryty w głębi holu. Gdy wraca, schyla się, znika na chwilę z oczu zebranych, po czym pojawia się ponownie z piękną, małą dziewczynką w ramionach. Cosima. Wygląda jak Jen, bardzo urosła przez ostatni rok, już nie jest dzidziusiem, wygląda bardziej jak mała dziewczynka. Tak, jak powinna wyglądać Abi. Jak może wyglądać Abi. Gdzieś. Siedzi na jego biodrze i uśmiecha się nieśmiało – zachwycona, mała dziewczynka, której pozwolono zostać do późna, żeby przysłała i przywitała się z dorosłymi. Ścisza mnie w sercu. Oczy mnie szczypią. Przygryzam mocno dolną wargę.

To nie wystarcza.

Moje serce przyspiesza. Wzrok staje się mglisty. Patrzę na swoje buty i skupiam się na oddychaniu.

– To jest Cosima – słyszę głos Johnniego.

Matt mnie opuścił. Zostawił mnie samą.

– Powiedz „dobranoc”, Cozzie – mówi Johnnie.

Zmuszam się, by się wyprostować, staję niemal prosto i patrzę. Cosima chichocze i chowa głowę w ramionach taty. Chwilę później podnosi ją i puszcza zebranych buziaka, mówiąc „dobranoc” słodkim, dziewczęcym głosem, który przeszywa mnie niczym miecz, po czym znowu zanosi się zawstydzonym chichotem, dokładnie tak jak kiedyś Abi. Gapię się w podłogę, powstrzymując łzy, całe ciało mi płonie, a serce galopuje. Biorę głębokie wdechy, usiłując zachować nad sobą panowanie. Utknęłam, utknęłam tu sama i samotna w tym gorącym, dudniącym wnętrzu, podczas gdy tłum wykrzykuje „dobranoc”, ich głosy są łagodne i miękkie od alkoholu i czułości, od wspomnień o ich własnych dzieciach, być może w tym samym wieku, lub o dzieciach, które są już dorosłe, a które wciąż tu są.

Johnnie przekazuje Cosimę kobiecie w średnim wieku, która stoi tuż za nimi z wyprostowanymi rękami. Bierze dziecko w ramiona ze skinieniem głowy i uprzejmym uśmiechem. Domyślam się, że to niania. Ta, której kupili samochód. Cosima siedzi jej na biodrze, Jasmine trzyma ją za rękę i we trzy znikają w cieniu. Drapie mnie w gardle.

W powietrzu ponownie rozbrzmiewa modna bossa nova. Jennifer trzyma w ręce telefon, jej oczy zwrócone są na dyskretne okrągłe głośniki sufitowe.

Dźwięk się wzmaga. Moi sąsiedzi zaczynają tańczyć. Są czerwoni i radosni, rozbawieni i rozgadani. Impreza teraz dopiero się zaczyna.

Muszę iść. Muszę stąd wyjść. Natychmiast.

Rozdział 20

Matt

Neil się piekli.

– Widziałeś to? – Zaczyna chodzić w kółko, choć widać, że chciałby z tym walczyć, jednak zwyczajnie nie może ustać w miejscu. – Słyszałeś go? Nie mógł sobie darować, no nie? – Jego głos jest pół szeptem, pół wściekłym sykiem. – Nie mógł się powstrzymać, żeby nie pokazać, kto tu rządzi w tym cholernym pałacu, który dla niego sam wybudowałem. Dupek. – Potem leci więcej inwektyw, wściekła tyrada, która staje się coraz głośniejsza i istnieje ryzyko, że zostanie usłyszana. Jego twarz jest różowa, a obwódki wokół oczu się zaczerwieniły. Skóra głowy prześwituje przez jego wygolone włosy.

– Stary – Matt jest świadomy tego, że ludzie na nich patrzą – spróbuj się uspokoić. On nie miał nic złego na myśli.

– Oczywiście, że miał. Jasne, że miał, Matt. Ten koleś to protekcyjnalny kutas. Zachowywał się tak codziennie, gdy pracowałem nad jego kuchnią. Każdego pieprzonego dnia. – Neil zaciska dłonie w pięści po bokach.

– Stary. To była jego córka. Ona nie ma nad tym kontroli. Ona nie... nie mówi zdaniem, to nie jej wina. Johnnie starał się tylko... no nie wiem... wziąć ją pod uwagę.

– Dobra. – Neil unosi dłoń w obietnicy zaprzestania robienia scen. – Rzecz w tym, że mnie to śmieszy, bo gdyby nie ja, jego kuchnia wyglądałaby jak gówno. To on źle wymierzył pręty, ja i moja ekipa musieliśmy to rozpracować i poprawić jego chujowe obliczenia. Byłbym w stanie to policzyć w głowie.

Matt czeka. To nie jest najlepszy czas, by przypominać przyjacielowi, że już to słyszał.

– Obliczyłem to od razu, kiedy tylko pokazał mi dom! – Neil spogląda w kierunku kuchni i przygryza dolną wargę z obrzydzeniem, robi z palców pistolet i przykłada je sobie do głowy. – Ja to już zbudowałem w głowie.

Tu! Ten kutas każe ci myśleć, że to jakaś filozofia, a to są podstawy... podstawy budownictwa. Myślą, że tylko dlatego, że spędzili kilka lat na uniwerku, są lepsi. Myślą, że wiedzą więcej, ale prawda jest taka, że połowa z tego jest kompletnie bezużyteczna. Mówię ci, jemu się wydaje, że skoro ma jakiś pieprzony papierek, nikt nie będzie umiał wymyślić tego, co on. Wyeksponowanie stali, żeby nadać industrialny wygląd? – Macha rozcapierzonymi rękami po obu stronach głowy. – Och, wielkie mi co. Widziałem to w Peckham już jakieś pięć lat temu. Wydaje mu się, że jest taki zajebisty z tą swoją pieprzoną ekspozycją stali i szkła. On jest... jest... ten koleś jest... – Bierze głęboki wdech i zdaje się, że się uspokoił. Kiedy spogląda na Matta, w jego wzroku można wyczytać przeprosiny. – Nie miałem ciebie na myśli.

– Wiem.

– Naprawdę. Wiem, że ciężko pracowałeś na studiach. To znaczy, szanuję twoje wykształcenie i kwalifikacje. Nie lekceważę tego ani nic.

– Wiem. – Matt zastanawia się, czemu Neil czuje, że musi to powiedzieć, przecież nigdy wcześniej czegoś takiego nie mówił.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie jestem zazdrosny w stosunku do ciebie, żebyś sobie nie pomyślał. Jestem tylko wkurwiony, to wszystko. Na niego. Założę się, że nie dostał się na architekturę. Pewnie dlatego nie zatrudnił architekta.

– Jestem przekonany, że był w stanie zrobić szkice. Pewnie po prostu był pewny tego, czego chciał.

– W porządku. Wiem. Ja tylko... ja wiem, że dzięki niemu mam te wszystkie zlecenia i dał mi wielki napiwek na koniec, mówiłem ci o tym kiedyś? – Neil potrząsa głową i kontynuuje, nie czekając na odpowiedź. – Chyba nie, to było... pewnie nigdy o tym nie wspominałem, ale to był... ciężki czas, ale tak, dał mi pięć stów napiwku. Pięć pieprzonych kawałków – kto tak robi? Nie chciałem wziąć, ale naciskał, powiedział, że wykonałem kawał dobrej roboty, że zasłużyłem na to i takie tam pierdoły, więc w końcu je wziąłem. Wziąłem je, ponieważ uznałem, że należy mi się za to jego protekcyjne pieprzenie, wiesz, o czym mówię? Masz, robolu. – Robi długi wydech i jeszcze bardziej się uspokaja. – Sam nie wiem, on chyba po prostu taki jest. Jego sposób bycia działa mi na nerwy. Ale ty zawsze byłeś megamózgiem. Wiesz, że tak uważam, prawda?

– Tak. Pewnie. Nie czuję się urażony.

– Dlatego byłeś taki gówniany w piłkę nożną. – Niemal się uśmiecha, biorąc duży łyk piwa.

– Zabawne. – Matt czuje, że ucisk w piersi się rozluźnia, jak wtedy, gdy znajdzie i poprawi w ostatniej chwili jakiś błąd w pracy.

– I ty przynajmniej nie łązisz wokół swoich robotników i nie mówisz im, jak mają wykonywać swoją pracę.

– Nie widuję się już z robotnikami. Jestem zbyt ważny.

Neil otwiera szeroko oczy, jakby dostał plaskacza w twarz, ale szybko się rozchmurza. Śmieje się.

– Dupek.

– Daj spokój. – Matt wyciąga z rąk Neila pustą butelkę po piwie. – Chodź, powkurzamy się nad organicznym piwem Johnniego Lovegooda, co?

Już ma odejść w stronę brazylijskiego baru, który został ustawiony na podwyższeniu przed ogrodowym biurem, ale ku jego zdziwieniu Neil potrząsa głową.

– Nie, stary. – Skupia wzrok na swoich butach. Kopie w coś niewidzialnego w polerowanym cemencie. – Nie mogę tu zostać. Po prostu... po prostu nie mogę. – Klepie Matta w ramię i wchodzi do domu ze zwieszoną głową, jak człowiek pogrążony w żałobie.

Po chwili już go nie ma.

Rozdział 21

Ava

Będąc już na podjeździe Lovegoodów, piszę SMS-a do Matta:

Poszłam do domu. Wszystko OK. Baw się dobrze. Do zobaczenia rano. Xx

Powietrze jest chłodne. Niebo – granatowe, bezgwiazdne. Chmury utrzymały ciepło dnia. Rozciągam ramiona i wciągam głęboko nocne powietrze.

– Ava? Ava.

Głos Neila. Drzę, odwracam się, podczas gdy on podbiega kilka kroków, by do mnie dołączyć.

– Przepraszam – mówię. – Musiałam stamtąd wyjść. Po prostu...

– Tak. Było ostro.

Stoimy przez chwilę, czując się nieswojo w swoim towarzystwie, po czym idziemy w stronę ulicy. Po kolejnych trzech czy czterech krokach stoję przed własnym domem. Żadne z nas się nie odezwało.

– To miłe, że mnie odprowadziłeś – mówię.

Wzrusza ramionami.

– Znasz mnie.

Nie, nie znam, już nie, chcę powiedzieć. Ale oczywiście nic takiego nie mówię.

– Czy to tylko moje odczucie, czy dzisiejszy wieczór faktycznie był totalną torturą? – pytam zamiast tego.

Potakuje, a jego wzrok wędruje w stronę wejścia do domu Lovegoodów, potem na chodnik, wszędzie, byle nie na mnie.

– Słyszałaś go? Jak nadawał o moich ubraniach roboczych? Dupek.

Trochę bełkocze. Tylko trochę, ale znam go tak samo długo jak Matta. Wiem, jak brzmi, kiedy wypije za dużo i ile alkoholu do tego potrzeba.

– Nie wydaje mi się, żeby mówił to złośliwie – uspokajam go.

Potrząsa głową.

– Mówisz tak, bo go nie znasz.

– Wydaje mi się, że jest po prostu niezdarny. Za mocno się stara, to wszystko. To może wynikać z ukrytego braku pewności siebie. Często tak bywa.

– Nie wpadłbym na to. Nie jestem taki mądry.

– Nie mów tak.

– Jak?

– Nie udawaj, że nie jesteś inteligentny albo że się taki nie czujesz. Jesteś mądrym facetem. Doskonale o tym wiesz. W głębi siebie to na pewno czujesz. – Rumienię się. Koktajle rozwiązały mi język. Pewnie taka ich rola.

Neil spogląda w dół ulicy, po czym wraca do obserwowania własnych butów. Czuję, że robi mi się ciepło, a moje serce rośnie.

– Neil. – Mam nadzieję, że gdy wypowiem jego imię, odwaga do mówienia wprost mnie nie opuści. Niezależnie od koktajli, trudno jest mówić najbliższym przyjaciołom, że nas skrzywdzili. Zawsze istnieje obawa, że będą mieli nam to za złe, że nic już nie będzie takie samo. Ale mam nadzieję, że my jesteśmy ponad to. – Wiem, że nie lubisz się z nami widywać – zaczynam. – To znaczy, wiem, że trudno ci się widywać ze mną.

– Miałem szalony okres w pracy. – Kopie czubkiem buta w ziemię, ale nie podnosi wzroku.

– Wiem. Wiem o tym. Ale... – Teraz ja rozglądam się dookoła, na drzewa rosnące przy naszej ulicy, na których kiedyś wisiały plakaty pytające CZY WIDZIAŁEŚ TĘ DZIEWCZYNKĘ? – Wiem, jakie to trudne, tylko to chciałam powiedzieć. Wiem, że ty też jesteś pogrążony w żalu i myślę, że dopiero dziś to do mnie tak naprawdę dotarło. Wiem, że ty też ją kochałeś. Tylko tyle chciałam powiedzieć.

Jakoś udaje mu się oderwać wzrok od swoich butów. Kiedy spogląda na mnie, patrzy mi prosto w oczy i wydaje mi się, że w jego spojrzeniu widzę ból – jego oczy, moje oczy. Nagle zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy od tamtego dnia tak naprawdę spojrział na mnie.

– Kochałem ją – mówi, a jego dolna warga drży. To szokujący widok u takiego mężczyzny. – Kochałem – powtarza, odwracając ponownie wzrok. – Musisz o tym wiedzieć. – Przytłoczony zasłania oczy dłonią i bierze głęboki wdech.

Wyciągam rękę i kładę mu ją na ramieniu. Robi się chłodno. Zaczynam się trząść. Fred śpi w swoim nosidełku przytulony do mojej piersi.

– Wiem, że ją kochałeś – mówię miękko. – Dobrze to wiem, oczywiście, że tak. A ona cię uwielbiała. Ja po prostu nie miałam siły na... na nic

więcej. Na nikogo. I jeśli mam być szczerą, czułam się zraniona przez to, że oddaliliście się od nas, ale rozumiałam to. I nie obwiniam cię za to.

Wyrywa mu się szloch.

– O Boże, Ava – mówi. – Tak mi przykro. Zawiodłem was. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Neil, daj spokój. To nie była twoja wina. To ja zostawiłam otwarte drzwi. To moja wina. To wszystko moja wina. – Łzy spływają mi po twarzy. Ocieram je, wcieram we włosy i pociągam nosem.

– I kto teraz pieprzy trzy po trzy? To nie była twoja wina, okej? Musisz przestać się tym zadreć. To cię zabija, widzę to.

Wyciąga rękę. Zbliżam się do niego. Przyciąga mnie do siebie i trwamy w takim półprzytuleniu. Moja głowa opada na jego pierś, a pomiędzy nami jest Fred. Neil jest sporo cięższy od Matta i dobrze się przy nim czuję. Jest taki solidny. Uścisk trwa dłużej niż każde z nas zamierzało. Kiedy się od siebie odsuwamy, ociera oczy grzbietem dłoni i wygląda, jakby chciał odejść, ale chwilę później, sama nie wiem jak, ale przyciska czoło do mojego i trzyma mnie ręką za tył głowy.

– Żałuję, że nie mogłem ci jej przyprowadzić z powrotem – szepcze. – Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś – odpowiadam również szeptem. – To ja sobie nigdy nie wybaczę.

To jest chwila i tylko chwila, kiedy pocałunek wydaje się możliwy, nie taki przyjacielski, ani nie taki, gdy dwoje ludzi zaczyna pałać do siebie nagłą żądzą. To byłby inny rodzaj pocałunku, głębokie połączenie dusz, chwila zbyt intymna jak na to, kim mamy być dla siebie. Jestem pewna, że on też to czuje.

Odsuwa się, ciężko dysząc i wypuszczając z ust drżący oddech.

– Byłam tak tym wszystkim... przytłoczona – mówię w pośpiechu. – Zapomniałam o tym, że ty i Bella również cierpicie. W ogóle o was nie myślałam, naprawdę, i za to też przepraszam. Ale to było wszystko, co mogłam zrobić, żeby przetrwać. Nadal żyję z dnia na dzień. Nie wiedziałam nawet, że córka Lovegoodów jest niepełnosprawna. Jen jest moją najbliższą sąsiadką, jest moją przyjaciółką, na litość boską, i była dla mnie taka miła, a ja nawet nie... Jak to o mnie świadczy? Jestem... jestem potworem.

Oczy wypełniają mi się łzami. Muszę przestać mówić.

– Nie jesteś potworem. – Bierze mnie za rękę i pociera jej grzbiet swoim kciukiem. Jego skóra jest bardziej szorstka niż Matta, w tej pieszczocie jest rysa i to też jest niebezpieczne. – Świetnie sobie radzisz, Avo. Musisz żyć z dnia na dzień. I przepraszam, że nie było mnie w pobliżu. Praca nie jest żadną wymówką.

– Ale widywałeś się z Mattem, prawda? – Zabieram mu moją rękę. – Wiem, że docenia to, że namówiłeś go na ten triathlon i to wszystko. Przypuszczam, że to bardzo ciężkie, widywać się z nami jak kiedyś, tylko bez Abi w pobliżu. To tak, jakby była tam dziura, której nie można wypełnić i żadne z nas nie umie się z tym pogodzić. Chciałabym wiedzieć, co się zdarzyło, wiesz? To jest w tym wszystkim najgorsze, ta niewiedza, która wciąż nad nami wisi. Wiem, że dowody w przeważającej większości wskazują na jej utonięcie, ale bez ciała... Sama myśl o tym, że mogła zostać porwana, że jest tam gdzieś... że cierpi. – Cierpi. Wszystko, co zawiera się w tym słowie, jest nie do opisanego. – I że ja jestem za to odpowiedzialna. Nikt inny. Ja. Czy jakkolwiek matka może sobie z tym poradzić?

– Ava, proszę cię. – Ponownie próbuje chwycić mnie za dłoń, ale odsuwam ją.

– Nie, Neil, taka jest prawda. Wolałabym nigdy nie mieć Freda. Wolałabym nie być w ciąży. Nigdy nie chciałabym mieć drugiego dziecka, nigdy. I nikomu nie mogę powiedzieć tego, co czuję, bo to jest zbyt straszne. Nie powiedziałam tego nawet mojej terapeutce, ale prawda jest taka, że nie zasługuję na dziecko. Nie jestem wystarczająco dobrą matką. Nie jestem ostoją bezpieczeństwa. – Płaczę i ten fakt mnie szokuje. Spędziłam rok, unikając Neila, ledwo z nim rozmawiając, a teraz, teraz nie umiem powstrzymać powodzi słów, łez, zalewam go nimi – rzeczami, których nigdy nie wypowiedziałam na głos, o których ledwo odważałam się myśleć. Jesteśmy przyjaciółmi, którzy stali się dla siebie obcy, a potem znowu się zaprzyjaźnili, i to niemal bardziej niż zaprzyjaźnili, a teraz stoimy razem na ulicy i płaczemy. To jest to, czego potrzebowaliśmy przez ten cały czas. Oboje o tym wiedzieliśmy. Ale to było zbyt przerażające.

– Byłaś silna – mówi w końcu. – Naprawdę. Wiem, że myślisz inaczej, ale naprawdę byłaś. I potrafię zrozumieć, że chcesz wierzyć, że Abi nadal żyje, ale...

– Matt jest tym silnym – mówię, nie zwracając uwagi na to, dokąd on zmierza, co wszyscy chcą, żebym zaakceptowała. – Ja nie umiem się nawet

przyznać do zużycia ostatniej torebki herbaty i nigdy nie sądziłam, że on będzie opoką dla nas obojga.

– Jesteś dla niego całym światem, wiesz o tym, prawda? Nigdy by cię nie opuścił. Mam na myśli, że zrobiłby wszystko, aby cię zatrzymać. – Teraz, kiedy Matt jest w centrum naszej rozmowy, czuję, że niebezpieczeństwo mija, nie jestem już nawet pewna, czy faktycznie tam było.

– Nie wiem, Nee. Jestem dla niego okropna, po prostu straszna przez większość czasu. Na jego miejscu już dawno bym ode mnie odeszła. Bóg jeden wie, że jestem chodzącym nieszczęściem. Nieszczęściem, któremu nie można ufać.

Neil wydyma policzki i głośno wypuszcza powietrze.

– Dobijasz mnie, Avo. Nie możesz mówić takich rzeczy. To nie jest tak, jak myślisz. To nie jest twoja wina, uwierz mi, ja wiem, że tak nie było.

– Co? – Ocieram twarz i patrzę w jego bladoniebieskie oczy. Mój żołądek znowu się skurczył. – Co masz na myśli? Co wiesz?

Potrząsa głową.

– Nic. Zapomnij, że to powiedziałem.

– Neil. Co wiesz? Jeśli coś wiesz, musisz mi powiedzieć. Jesteś mi to winien. Proszę cię, Neil. Skąd wiesz, że to nie moja wina?

– Ty... – Wykrzywia twarz.

– Neil! Proszę! Będę cię błagać, jeśli będę musiała. Padnę na kolana.

– Dobra. – Unosi dłonie, patrzy w dal, na dom Lovegoodów, potem znowu na mnie. – Ale musisz wiedzieć, że on to zrobił dla ciebie, dobrze?

– Co? Kto?

– Matt. On cię kocha. Przeszedłby dla ciebie po rozżarzonych węglach, wiesz o tym, prawda? Ale to był on, kochanie.

– On?

– To on zostawił otwarte drzwi. To nie byłaś ty. To był on.

Rozdział 22

Matt

– Gdzie się podział Nee? – Bella zmateriałizowała się znikąd i rozgląda się wokół siebie. – Widziałam go tu dosłownie pięć sekund temu.

– Bella – wita ją Matt. – Gdzieś ty się ukrywała?

– Kto wie? Ale gdzie jest Nee, Matt?

– On... – Wskazuje w kierunku kuchni, ale nic więcej nie mówi. – Szukałem Avy, ale też nie mogę jej znaleźć.

– Poszukajmy tutaj – odpowiada na to Bella, jakby miejsce pobytu jej męża nie było już priorytetem. Przez czarną papierową słomkę bierze łyk ze swojego wysokiego kieliszka z różowym drinkiem, po czym rzuca Mattowi niemal flirtujące spojrzenie. Wypuszcza słomkę i zagryza usta.

– Nigdy nie byłam na imprezie w domu z prawdziwymi kelnerami. Ten koleś przy barze jest jak prawdziwy mikser. Dosłownie, powiedziałam mu, co chcę, a on zmiksował drinka specjalnie dla mnie. – Podnosi swój kieliszek i patrzy na niego. – To jest Pink Gin, Bello! Jest pyszny! Spróbuj!

Matt potrząsa głową.

– Och, daj spokój. Nie bądź nudziarzem. – Przystawia słomkę do jego ust i Matt niechętnie pociąga łyk.

– Dobrze – mówi, chociaż w ogóle tak nie uważa.

– Czujesz rabarbar? – pyta Bella z błyszczącymi oczami. – Jest tam rabarbar. – Unosi brwi. – A może to był agrest? Nie pamiętam. W każdym razie piję już czwarty, ha, ha. – Jakby na udowodnienie swoich słów przymyka powieki i lekko się zatacza. – Johnnie powiedział, że za chwilę włączy muzykę. Poprosił mnie, żebym zaczęła tańce.

– Super – mówi Matt, a jego wzrok ponownie wędruje w stronę kuchni. Nie ma śladu ani po Neilu, ani po Avie. Zostawił Avę samą, choć obiecał, że tego nie zrobi. Poszedł sprawdzić, co z Neilem, a kiedy się rozejrzył, już jej nie było. Potem Neil wyszedł, a on poszedł porozmawiać z Petem

Shepherdem, tym emerytem z ich ulicy. Chciał szukać Avey, naprawdę. Ale jakoś udało mu się o niej zapomnieć.

Poczucie winy potęguje się w obliczu kolejnej sprawy, którą sobie uświadomił. Poczuł ulgę, gdy o niej zapomniał.

– Widziałaś Awe? – pyta Belle.

Potrząsa głową.

– Jakiś czas temu. Przed przemowami, no dobra, nie przemowami – no wiesz, o czym mówię.

– Idę jej poszukać, okej?

– Jasne, skarbie. – Bella unosi swój kieliszek. Przymyka oczy, gdy najpierw nie trafia, a potem odnajduje ustami słomkę.

W kuchni muzyka jest głośniejsza. W tak dużej przestrzeni głosy również wydają się wzmożone. Ta kuchnia jest za duża, myśli. Garaż. Hangar lotniczy. Twarde powierzchnie, wysoki połysk i brak jakichkolwiek zasłon czy miękkich mebli sprawiają, że kakofonia dźwięków pulsuje wokół. Wydaje się, że jest tam setka ludzi, gdy tak naprawdę jest ich o połowę mniej. Do jego nozdrzy dolatuje ciepły zapach przypraw. Gorące przekąski na kwadratowych czarnych talerzach są ustawione wzdłuż śnieżnobiałego baru. Jest prawie dwudziesta druga i wszyscy są już nieźle wstawieni. Szybko do tego doszło, pewnie to przez te mocne koktajle, a może dlatego, że wszyscy są tacy podekscytowani tym, że mogli zajrzeć do Lovegoodów – jak choćby Pete Shepherd, który ledwie mógł opanować swoje niezdrowe podniecenie. Wytrzeszczał oczy, gdy starał się to wszystko ogarnąć wzrokiem, a mózg chyba mu eksplodował od jego własnych dzikich szacunków dotyczących skandalicznych kosztów.

Zatrzymując się, by wziąć sobie kolejne piwo z artystycznej kolekcji ułożonej na niebieskim lodzie w jakimś futurystycznym metalowym korycie, Matt korzysta z okazji, by spróbować czegoś, co okazuje się być kulką ryżową z roztopionym serem – mozzarellą? – w środku, delikatnie przyprawioną... kminkiem? Koprem włoskim? Zdecydowanie chili i solą. Mój Boże, ale to dobre.

– Matt – odzywa się ktoś.

Odwraca się i widzi, że stoi przed nim Jennifer Lovegood. Rysy jej twarzy są delikatniejsze przez wypity alkohol i przez wczesną czterdziestkę, jak zgaduje.

– To takie dobre – mamrocze, trzymając przed sobą... to coś.

– Suppli, tak, są świetne, prawda? Z Angelo's, włoskich delikatesów w Barnes, znasz je? W każdym razie cieszę się, że przyszlście z Avą. Jak się masz?

– Ekhm, dobrze – odpowiada rozproszony. – Właściwie to szukam Avy.

Jen rozgląda się wokoło, a jej wzrost pozwala objąć wzrokiem całe pomieszczenie.

– Pewnie jest w salonie. Zaprowadziłam ją tam wcześniej, w razie gdyby potrzebowała w spokoju nakarmić Freda.

Nie mogąc się powstrzymać, rozgląda się w poszukiwaniu żony i widzi kobietę, którą kojarzy jak przez mgłę. Ma białe włosy, a w ręce ściska laskę i prowadzi ożywioną rozmowę z wysokim mężczyzną w okularach i z szarą brodą jak Gandalf, podczas gdy Shirley, żona Pete'a, przysłuchuje się ich pogawędce.

– Dobrze mi się rozmawiało z Avą – mówi Jennifer, odrywając go od jego myśli. – Siedziałyśmy w salonie, dopóki się nie uspokoiła. I dała radę. Świetnie sobie poradziła.

Patrzy jej w oczy. Jej miękki irlandzki akcent go uspokaja, sprawia, że chce wierzyć we wszystko, co mówi, choć nie ma pojęcia, dlaczego tak jest. Ma w sobie taki spokój, a w jej szarych oczach widać inteligencję, która stanowi wyraźny kontrast do raczej rubasznego sposobu bycia jej męża. Jeśli mamy szczęście, znajdziemy osobę, której potrzebujemy, myśli. Tym właśnie jest Jennifer dla Johnniego, Bella dla Neila i Ava dla niego. Nie może o tym zapomnieć. Musi tylko sprawić, żeby znowu stała się tą osobą. Musi ją naprawić, sprawić, by znowu stała się sobą. Być może dziś będzie dobrym początkiem.

– Ava powiedziała, że policja zawiesiła śledztwo – odzywa się Jennifer z bezpośredniością, która go zaskakuje, ale nie działa mu na nerwy tak jak słowa Johnniego. Nikt poza Lovegoodami nie wspomniał dziś o Abi. Nikt nigdy tego nie robi, chyba że on sam podejmie ten temat, czego nie robi. Nigdy.

– Och, to było kilka miesięcy temu. – Zmusza się, by spojrzeć Jennifer w oczy. – Nie zamknęli jeszcze sprawy, ale na tę chwilę nie mają żadnych nowych tropów. – Ależ to dziwne wypowiedzieć to na głos. – Podejrzewam, że już zawsze będziemy szukać nowych tropów. Próbuje przekonać Avę, byśmy zaczęli wszystko od nowa, ale...

Jennifer kiwa głową z powagą, ale nie wyczuwa w niej chęci napawania się otwartą, krwawiącą raną jego życia.

– To musi być bardzo trudne.

To takie proste stwierdzenie.

– Właściwie to jest piekło – odpowiada. Kolejne proste słowa. A co to może być innego? To piekło. Albo może czyściec – poczekalnia, ponury przedsionek. Być może wieczny. Chce powiedzieć coś więcej, dodać, że wierzy, że jego córka utonęła tamtego dnia, że to był wypadek, a nie, że ktoś porzucił jej ciało po zrobieniu jej jakiejś krzywdy, że postanowił w to wierzyć dla własnego zdrowia fizycznego i psychicznego, ale nie robi tego. – Policja sądzi, że utonęła – mówi zamiast tego. – Uważają, że karmiła kaczki i była tym tak podekscytowana, że może próbowała którąś pogłaskać i straciła równowagę. Tak powiedzieli. – Fakt, że policja to powiedziała, sprawia, że nie brzmi to tak, jakby spisywał Abi na straty w jednym wielkim lekceważącym akcie bezduszności. Tak, czuł się bezduszny. Czuje się bezduszny. Jakby chciał śmierci swojej córki. Co oczywiście jest nieprawdą. Ale jeśli musiała już mieć jakiś wypadek, tak byłoby lepiej. Lepiej niż...

– Twoje córki są urocze – mówi. Brzmi głupio nawet dla samego siebie.

– Dziękuję. A twój chłopiec jest absolutnie cudowny. Podoba mi się jego imię. Fred. Po dziadku?

– Po Chopinie.

– Ach, no tak. Rzeczywiście. Ava uczy gry na pianinie, prawda? Chciałabym się nauczyć grać. Kiedyś grałam, ale porzuciłam to – typowe idiotyczne posunięcie nastolatki. – Ma wrażenie, że Jennifer wyczuwa jego chęć zmiany tematu, a nie, jak to często bywa w takiej sytuacji, że zwyczajnie czeka, aż będzie mogła porozmawiać o własnych dzieciach. Była z nim taka bezpośrednia. Zakłada, że może się jej odwdzięczyć.

– Twoja starsza córka, Jasmine... – zaczyna, ale nie ma odwagi dokończyć.

– Ma zespół Angelmana – odpowiada Jennifer z rozbrajającą szczerością. Kiwa głową.

– Wydaje się niesamowicie szczęśliwa. Rozświetliła to pomieszczenie. Jennifer się uśmiecha.

– Często tak robi. To część jej choroby. Dużo się uśmiecha, dużo się śmieje. Klaszcze w dłonie. Posiada cechy, których nigdy byś nie zauważył, jak na przykład obsesja na punkcie wody i butów. Teraz, kiedy jest nastolatką, już jej trochę przeszło, ale kiedy była mała, często nalewała mi

wodę do kapci. Właściwie nam wszystkim, ale z jakichś przyczyn najczęściej do moich. – Śmieje się.

– Och. Nigdy o tym nie słyszałem.

– Ma też echolalię.

Matt przekrzywia głowę pytająco.

– Wybacz, już przywykliśmy do tych terminów. Powtarza to, co ludzie powiedzą. Jak echo. Echolalia. Ma ograniczone słownictwo, ale potrafi łączyć słowa z rzeczami lub ludźmi. Pyta o różne rzeczy na swój sposób. Wcześniej powiedziała „rower”, bo często jej go pokazujemy, a wiele razy widziała jadącego Kevina.

– I nazwała Neila „kieszenie”.

Jen robi grymas.

– Wydawał się przez to trochę wkurzony.

Matt macha ręką.

– Och, nie przejmuj się, nic mu nie będzie. Neil to świetny facet, ale jest trochę... przewrażliwiony w pewnym sensie. Jest jednym z najzdolniejszych, najmądrzejszych ludzi, jakich znam, ale nie jest... nie jest...

– Nie jest wykształcony?

– Dokładnie. Jest dyslektykiem, ale jest bardzo mądry. Mądrzejszy niż ja pod wieloma względami. I bardzo ambitny, wiesz? Do wszystkiego doszedł sam. Czasami mam wrażenie, że ja zostałem przepuszczony przez tryby maszyny zwanej szkolnictwem wyższym, podczas gdy Neil po prostu wyszedł na świat i zaczął działać. Nie potrzebował żadnych uczelni. Cała ta sprawa z wykształceniem może być dla niego trochę jak policzki, zwłaszcza tutaj. Kiedy byłem dzieckiem, nigdy tak nie było. Teraz odnoszę wrażenie, że dla świata studia są jedyną słuszną ścieżką rozwoju. Sam nie jestem pewien, co chcę przez to powiedzieć, jeśli mam być szczery. Przypuszczam, że wszyscy, w taki czy inny sposób, tak to odbieramy.

– Jesteś z niego najwyraźniej bardzo dumny. – Jennifer bierze łyk swojego drinka. Jest przezroczysty i gazowany. Matt podejrzewa, że to woda mineralna. Ona nie jest typem osoby, która się upija, myśli. Nie pozwala sobie na to, by stracić kontrolę. – Wydajecie się być blisko – kontynuuje.

– Jesteśmy przyjaciółmi od jedenastego roku życia. Byliśmy świadkami na swoich ślubach i tak dalej.

– To dobry facet. Bardzo pracowity i odpowiedzialny. W sprawach domu ufałam mu w stu procentach, co jest ważniejsze, niż można się spodziewać, zwłaszcza jeśli masz dziecko niepełnosprawne. Wiele osób nie pamięta, że są w czyimś domu, to dla nich tylko praca, ale Neil bez dyskusji spełniał wszystkie moje życzenia. I Jasmine go uwielbiała.

– Poważnie?

– Kieszenie – odpowiada Jennifer, znowu się uśmiechając. – Chował jej zabawki w jednej ze swoich kieszeni w ubraniu roboczym, a kiedy ją zobaczył, wyciągał misia czy lalkę, czy co tam schował i mówił: „A co to robi w mojej kieszeni?”. A ona śmiała się jak szalona i powtarzała, no wiesz, kieszenie, kieszenie, kieszenie. – Kręci z rozrzewnieniem głową. – Czasami dawała mu zabawkę i łączyła dwa wyrazy – kieszonka lalki albo kieszonka misia. A on rozumiał, o co prosiła i powtarzał dla niej całą zabawę od początku – to było takie słodkie.

To brzmi jak typowe zachowanie Neila, w podobny sposób droczył się też z Abi. Matt bierze łyk piwa w tej samej chwili, gdy jeden z sąsiadów z końca ulicy zaczyna rozmawiać z Jennifer i zdaje sobie sprawę, że ona tylko czekała na jakąś przerwę w rozmowie. Złożyła ręce na piersi i wygląda, jakby stała w kolejce na spotkanie ze swoim ulubionym aktorem. Lovegoodowie potrafią robić wrażenie na ludziach. Mają w sobie coś zbliżonego do gwiazd filmowych. Podmiejscy celebryci. Zastanawia się, czy w jakimkolwiek świecie byśmy nie żyli, zawsze znajdą się jacyś celebryci, czy to tylko kwestia skali.

Klepie Jennifer w ramię na do widzenia i przepycha się przez tłum, który mimo późnej pory wydaje się gęstnieć. Spodziewałby się, że około dwudziestej drugiej towarzystwo powinno już uciekać do domów i kłaść się do łóżek, bez żadnych szaleństw.

Avy nie ma w ogrodzie. Nie widać również Belli. Wraca ponownie do domu. Nie ma Avy, nie ma Belli, nie ma Neila. Rzucają mu się w oczy walcowane stalowe belki – musi przyznać, że wyglądają całkiem fajnie przez to, że nie zostały obudowane płytami gipsowo-kartonowymi, a są za to pomalowane na szaro, by wyróżniać się na tle bladoszarych ścian. Krawędzie i śruby nadają im modny, miejski wygląd. Lovegoodowie trochę wyprzedzają trendy i podejrzewa, że wielu z obecnych tu dziś ludzi skrytykuje to, co zobaczy, tylko po to, by w następnych latach skopiować niektóre z tych pomysłów.

Opiera dłoń o belkę i czuje jej potęgę. I jeszcze coś innego, choć to może być tylko jego wyobraźnia. Rytm muzyki wydaje się przenikać przez jego dłoń aż po nadgarstek. Żywy puls domu. Budynki mają dusze, on w to wierzy. Przekazują uczucia niemal natychmiast. Wie, że ma to związek zarówno z projektem, układem, kolorem, jak i z ludźmi, którzy w nich mieszkają, z tym, czy goście są naprawdę mile widziani, czy gospodarze nie pokłócili się pięć minut wcześniej. Jednak czasami to wywołuje uczucie tajemniczości, jakby same fundamenty, cegły i ściany były w rzeczywistości żywym ciałem hydraulika – układem trawiennym, elektryka – żyłami i tętnicami. Spogląda w górę i dopiero wtedy zauważa industrialnie wyglądający zegar przymocowany wielkimi śrubami do metalowej belki. To właśnie poczuł – nie muzykę, ale to, te uderzenia sekund jak bicie serca.

I wtedy przechodzi go dreszcz. Abi, jej malutkie serduszko. Jej maleńkie, bijące serce zatrzymało się.

Jego oczy wypełniają się łzami. Jest trochę pijany, oczywiście. Nie ma co do tego wątpliwości. Jeśli wyczuwa teraz obecność Abi przy sobie, to tylko dlatego, że alkohol wyzwolił wszystkie te rzeczy, które wolał – które musiał – w sobie stłumić.

Rozdział 23

Ava

Niebieskie oczy Neila są znacznie ciemniejsze pod tym granatowym niebem. Postarzał się przez ostatni rok, myślę. Bardzo. Mam tę myśl w głowie, zanim dociera do mnie to, co powiedział.

– Co masz na myśli? – mówię, gdy zaczynam rozumieć słowa, ale nadal nie mogę pojąć ich znaczenia. – O czym ty mówisz, jak to nie zostawiłam otwartych drzwi? Jak to mógł być Matt? Nie było go tam.

Neil potrząsa głową. Widzę w jego oczach odbicie księżyca.

– Przysięgłem, że ci nie powiem – odpowiada. – Nie powinienem był ci mówić. Ale to cię zabije. Wszystkich nas to zabije. Nie zostawiłaś otwartych drzwi, skarbie. Nic z tego nie jest twoją winą.

Siada na murku przed naszym domem i chowa twarz w dłoniach. Chcę usiąść obok niego, ale nie mogę. Muszę chodzić, dwa kroki w przód, dwa kroki w tył, potrząsam rękami, jakbym chciała je wysuszyć, palce mam sztywne i rozcapierzone.

– Ale on wyszedł do pracy – szepczę. Przerazenie nadal jeszcze mnie całkiem nie dopadło, dopiero nadchodzi. – On już wyszedł.

– Pamiętasz, że padało? Wrócił po płaszcz przeciwdeszczowy.

– Po płaszcz? – Próbuję myśleć. Na rogu ulicy. Abi się wywraca. Krew na chodniku. Matt droczy się z nią Panem Leniwcem, całuje ją, całuje mnie i odjeżdża. – Jego czerwona koszulka – mówię, mając ją przed oczami, widząc poruszające się mięśnie jego ramion pod obcisłym materiałem, kiedy odjeżdża i widzę go później, gdy wrócił, kiedy stał przed naszym domem z rowerem. Próbuję, ale nie mogę przywołać jego obrazu, nie wtedy, ale później widzę go dokładnie, jego sylwetkę na podjeździe, telefon przy jego uchu. – Był w swoim czarnym płaszczu przeciwdeszczowym – mówię tak samo do siebie jak i do Neila. – Kiedy dzwonił na policję, był na czarno. Nie sądziłam...

– Wpadł tylko i zabrał płaszcz. – Ramiona Neila są zaokrąglone, a jego brzuch wylewa się z koszuli, która rozchodzi się przy guzikach. – Powiedział, że wołał „pa, pa”, ale nie słyszałaś go. Był już spóźniony, powiedział, więc kiedy zdał sobie sprawę, że zostawił otwarte drzwi, po prostu pojechał do pracy, ale tylko dlatego, że był pewien, że zaraz zejdziesz na dół. Nie zrobił tego celowo. Tak po prostu czasami bywa.

Czuję pod powiekami piasek. Mrugam, by się go pozbyć. Żeby widzieć. Żeby widzieć, żeby widzieć, żeby widzieć. Naprzeciwko trójkątne dachy domów, tak wiele trójkątów, wszystkie takie same, białe strzały kierujące się w dół ulicy. Gdzieś z oddali słychać wycie jakiegoś zwierzęcia w czasie godów.

– Dlaczego mi nie powiedział?

Neil nie patrzy na mnie.

– Nie powiedział ci, bo byłaś w stanie hysterii. Wszystko działało się tak szybko, wszyscy panikowali. On też spanikował. Myślał, że ona wróci i będzie po sprawie. Ale potem, kiedy nie wróciła, wydaje mi się, że pomyślał, że jest już za późno. Chwila minęła. I pomyślał, że jeśli ci powie, będzie jeszcze gorzej.

Grupka składająca się z czwórki sąsiadów wyszła z przyjęcia, zataczając się, śmiejąc i robiąc więcej hałasu, niż zrobiliby normalnie. Na nasz widok zaczynają się uciszać, tak jak to robią bardzo pijani ludzie, kiwają nam głowami, mówią w ten sposób „cześć”, i idą w swoją stronę, tłumiąc chichot.

– Od kiedy wiesz? – Chcę wiedzieć.

Neil patrzy w ziemię. Stuka podeszwami butów w przód i w tył po chodniku.

– Od kiedy, Neil? – pytam ponownie.

– Od tamtej nocy.

Serce mi wali. Oddech staje się szybki i płytki.

– Od tamtej nocy? – Walę go w ramię, potem jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze.

– Ava! – Łapie mnie za nadgarstek. – Ava, przestań! Ava!

– Zostaw mnie. – Szarpię się z nim.

– Ava, przepraszam – mówi. – Może nie powinienem był ci mówić, ale nie mogę znieść twojego widoku w takim stanie. Nie mogę stać z boku i patrzeć, jak się sama wyniszczasz. Ale musisz mu wybaczyć, skarbie. Kocha cię bardziej niż kogokolwiek na tym świecie.

– Kocha mnie? Nie sędę. Kto robi coś takiego komuś, kogo kocha? Pieprz się, Neil. Obaj się pieprzcie, wy zasrane tchórze. – Zaczynam biec.

– Ava. – Słyszę, że za mną woła. – Daj spokój. Proszę.

Szukam kluczy, znajduję je i wkładam do zamka. Kiedy jestem już w środku, zatraskuję z hukiem drzwi i opieram się o nie, a w głowie mi huczy.

Matt. Matt zostawił otwarte drzwi. Mój własny mąż jest odpowiedzialny za zniknięcie mojej córki...

Opadam na podłogę i delikatnie przyciskam twarz do główki mojego małego synka.

To nie byłaś ty. To był on.

Rozdział 24

Matt

Jego kieszeń wibruje. Jego telefon. Jego telefon wibruje. Nie słyszał go przez tę muzykę. Macha do Belli, którą znalazł w końcu w ogrodzie około godziny temu. Pokazuje mu wyciągnięty w górę kciuk, po czym zatacza się lekko i opiera się o Pete'a Shepherd, który z przyjemnością ją podtrzymuje. Zostawia ich na patio, które teraz stało się parkietem do tańców i udaje się na koniec ogrodu. W ciemności pod płótem jest trochę ciszej. Na wyświetlaczu widzi nieodebrane połączenie od Neila. Minutę temu. Wiadomość pojawia się w niebieskiej chmurce.

Musiałem jej powiedzieć. Próbowałem się do ciebie dodzwonić. Przepraszam.

Zaczyna go ogarniać uczucie niepokoju. Przepraszam. Powiedzieć jej. Powiedzieć jej co? Komu, co powiedzieć? Sprawdza godzinę, widzi, że jest już po dwudziestej trzeciej.

Co?

Wklepuje i naciska „wyślij”.

Jest kolejna wiadomość, wcześniejsza. Od Avy.

Poszłam do domu. Wszystko OK. Baw się dobrze. Do zobaczenia rano. Xx
Telefon się rozświecila. Neil.

Powiedziałem jej, że to ty zostawiłeś otwarte drzwi. Wszystko ci wyjaśnię, ale musimy pogadać. Przepraszam, stary. Nie miałem wyboru.

Czuje, że skręcają mu się kiszki. Opiera głowę o płótkę Lovegoodów i obawia się, że może zwymiotować. Neil musiał wyjść za Avę z przyjęcia. Powinien lepiej się nią opiekować, sam powinien być za nią pójsć. Jest jego żoną. Obiecał, że będzie przy niej i zawalił, nie stał nawet przy jej boku i nie pomógł przetrwać widoku tej małej od Lovegoodów, która machała na dobranoc.

– Kurwa – szepcze. – Kurwa, kurwa, kurwa.

Dzwoni do Neila.

– Neil. – Zatyka dłonią ucho, żeby przytłumić dźwięki latynoskich rytmów, które grają na cały regulator.

– Stary, musiałem – mówi Neil.

– Dlaczego?

– Stary, ona potrzebuje pomocy. Pograża się. Nie możemy jej tego robić, to nie jest w porządku.

Matt szczypie się w czubek nosa, ale muzyka jest zbyt głośna, więc ponownie musi przyłożyć dłoń do ucha, żeby coś słyszeć, żeby skoncentrować się na tym, co chce powiedzieć.

– Nie... wolałem, żebyś tego nie robił. Czy ona... Jak to przyjęła?

– Nie najlepiej. Musisz wracać do domu, stary.

– Jak to się w ogóle stało, że rozmawialiście? Byliście sami?

– Kiedy wyszedłem, była już na zewnątrz. Płakała, więc... porozmawiałem z nią, to naturalne. Nie rozmawialiśmy, odkąd... no wiesz, i próbowałem ją uspokoić. Ale widziałem, że to ją psychicznie dobija, wiesz? Poczucie winy zjada ją od środka. Jeśli trwałoby to nadal, nic by z niej nie zostało. Więc jej powiedziałem. Powiedziałem jej, że ty jej nie powiedziałaś, bo ją kochasz. Wyjaśniłem jej to. Naprawdę, zrobiłem co w mojej mocy. Przepraszam, stary. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić.

Matta zaczyna boleć głowa. Nagle czuje się zupełnie trzeźwy.

– Przepraszam, stary – powtarza Neil żałośnie.

Ktoś klepie go w ramię. Odwraca się i widzi Bellę, która wykonuje jakieś pijackie podrygi, a ruchem warg mówi do niego, żeby wracał na parkiet, gestem pokazuje, by skończył połączenie.

Unosi jeden palec i odwraca się od niej.

– Nie, to ja przepraszam – mówi do Neila. – Powinienem był jej powiedzieć.

– Wracaj do domu. Czy Bella nadal tam jest?

Matt się odwraca. Bella siedzi teraz na podłodze i śmieje się histerycznie. Podnosi do góry ramiona i Pete Shepherd pomaga jej stanąć na nogi. Przy barze Johnnie pali coś, co wygląda na jointa, i śmieje się jak czternastolatek na weselu. Wokół jego szyi owinięty jest sznur bajkowych lampek. Nigdzie nie ma śladu Jennifer.

– Jest tutaj. Dobrze się bawi, nie martw się. Słuchaj, muszę iść.

– Jasne. Przepraszam, okej?

Neil się rozłącza.

Bella jest już na nogach i tańczy. Matt okrąża trawnik, wślizguje się do kuchni i przechodzi do holu. Przy drzwiach wejściowych ogląda się przez ramię i patrzy na kompletny chaos, jakim jest kuchnia Lovegoodów – idealne przyjęcie leżące teraz w gruzach, jakby wybuchła bomba i rozwalila wszystko na kawałki.

*

Jego własny dom jest cichy, wolny od dudniącej po sąsiedzku muzyki.

Ściąga buty i na paluszkach przechodzi przez hol, spodziewając się, że znajdzie Avę w kuchni, z zaczerwienionymi oczami, czekającą na niego. Ale nie ma jej tam.

Wchodzi na górę i słyszy głuchy brzęk zamykanych drzwi od prysznic. Musiała wziąć prysznic. Będzie się suszyć. Jeśli słyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, będzie się przygotowywać na spotkanie z nim, na konfrontację. Wzbiera w nim dawno uśpiony strach. Ma sześć lat. Jego ojciec otwiera drzwi do pokoju, a jego twarz jest czerwona z powodu jakiegoś przestępstwa, które popełnił Matt, ale o którym jeszcze nie ma pojęcia. Zamiera w połowie schodów.

Skrzypnięcie podłogi w korytarzu, zmiana światła i Ava stoi w cieniu w progu drzwi sypialni.

– Ava?

Kobieta wchodzi do sypialni. Po chwili Matt zmusza się, by ruszyć się z miejsca i podążyć za nią.

Siedzi na brzegu łóżka, tyłem do niego. Owinięta jest w turkusowy ręcznik, mokre włosy ma zaczesane do tyłu.

– Ava, przepraszam. – Stoi po swojej stronie łóżka, niepewny, co jeszcze może zrobić.

– Za co? – Nie odwraca się.

– Wiesz za co. Neil do mnie dzwonił. Przepraszam, że ci nie powiedziałem. Bardzo przepraszam. Ale tamtego dnia... wszystko działało się tak szybko. Chciałem ci powiedzieć, ale policja tu była i wszyscy zadawali pytania, a ty byłaś w hysterii i... rzecz w tym, że nigdy nie pomyślałem... nie sądziłem, że jej nie znajdziemy. Nie sądziłem... a potem minął dzień i nie... nie znaleźliśmy jej, a potem były tu psy i helikopter, i mówili o rzece, potem pamiętam, że było ciemno, i ja i Neil...

– I wtedy powiedziałaś Neilowi. Wtedy powiedziałaś przyjacielowi, ale nie swojej żonie.

Czuje, że jest mu niedobrze. Chce wejść na łóżko i dotknąć jej, ale wie, że nie może.

– Musiałem komuś powiedzieć – przyznaje. – A było już za późno, żeby powiedzieć tobie. A kiedy znaleźli jej płaszcz i wiedziałem już, że nie żyje, po prostu wiedziałem, i pomyślałem, że jeśli będziesz wiedziała, że to moja wina, to... pomyślałem, że ode mnie odejdziesz. Nie sądziłem, że mogłabyś mi kiedykolwiek wybaczyć.

Ava wyciąga koszulę nocną spod poduszki i zakłada ją na siebie, nie zdejmując ręcznika. Nie umyka to jego uwadze.

– Ava? Porozmawiaj ze mną. Przepraszam.

Podnosi się gwałtownie z łóżka i obciąża koszulę nocną. Nadal na niego nie patrzy.

– Przepraszam – powtarza łamiącym się głosem.

– Powinnam mieć nadzieję, że mnie przeprosisz – mówi cicho Ava. – Ale „przepraszam” nie wystarczy, prawda?

Czuje ucisk w piersi.

– Wiesz, czym jest manipulacja? – pyta go.

– Co? No przestań. Nie manipulowałem tobą.

Unosi rękę, uciszając go. Nadal stoi tyłem do niego, a kiedy się odzywa, mówi do ściany naprzeciwko.

– Manipulacja jest wtedy, kiedy każesz komuś wierzyć w coś, o czym wiesz, że jest nieprawdą, że szkodą dla czyjś zdrowia psychicznego.

To, że widzi tylko tył jej głowy, dekoncentruje go. Chce jej powiedzieć, żeby się odwróciła, żeby przynajmniej porozmawiała z nim twarzą w twarz, ale zdaje sobie sprawę, że stracił prawo głosu.

– Jak na przykład, powiedzmy – kontynuuje, nadal tym niepokojąco spokojnym tonem – kiedy wmawiasz komuś, że nie wysłał listu, choć on jest przekonany o tym, że to zrobił albo, że w pokoju nie jest ciemniej niż poprzedniego dnia, chociaż wiesz, że sam wykręciłeś żarówkę. Albo, niech no pomyślę... kiedy wmawiasz komuś, że zostawił otwarte drzwi, że popełnił błąd, który kosztował go życie jego córki, gdy w tym samym czasie doskonale wiesz, że on tego nie zrobił. Że tak naprawdę, to byłeś ty. Ty zostawiłeś otwarte drzwi. To jest właśnie manipulacja.

– Ava, proszę cię. Nie miałem wcale takiego zamiaru. Nie zrobiłem tego, by cię kontrolować czy doprowadzić do szaleństwa. Zrobiłem to, by nas

ocalić. Nie było w tym żadnej złej woli, żadnych złych zamiarów. Myślałem, że jeśli dowiesz się, że to ja, odejdiesz ode mnie i że stracę ciebie i Freda, tak jak straciłem Abi. I że ty też stracisz naszą rodzinę. Stawka była zbyt wysoka. Oboje już tak dużo straciliśmy. Ava, kocham cię.

W końcu odwraca się powoli, opiera jedno kolano o łóżko. Tym razem nie tylko patrzy na niego – ona patrzy wprost na niego. Matt wolałby, żeby tego nie robiła. Jej oczy są małe i pełne pogardy.

– Być może nie chciałeś doprowadzić mnie do utraty zmysłów. Ale fakt jest taki, że to zrobiłeś. Zrobiłeś to, Matt. Stałeś z boku i patrzyłeś na to. A powód, dla którego mi nie powiedziałeś, jest dużo mniej skomplikowany, niż ci się wydaje. Jesteś tchórzem. To jest powód. Wiedziałam, że jesteś tchórzem, zanim się pobraliśmy, ale myślałam, że z czasem staniesz się silniejszy. Myślałam, że moja miłość doda ci odwagi, ale nie stało się tak. Nie jest tak. Skłamałeś, bo za bardzo bałeś się wzięcia za to odpowiedzialności. Wiem, że tak właśnie postępujesz w życiu, ale nigdy nie przypuszczałam, że mógłbyś zrobić to mnie. Patrzyłeś na to, jak pogrążam się w poczuciu winy, wiedząc, że mógłbyś mnie uchronić przynajmniej od tego. Patrzyłeś na to przez rok. Przez rok mnie okłamywałeś, patrzyłeś na mój obłęd, obserwowałeś, jak walczę, by przejść przez te przekłete ruchome piaski i ani razu nie podałeś mi pomocnej dłoni. – Zaczyna płakać. – Nie rozumiesz tego? To koniec. Nie ma już nas. Nic z nas nie zostało. Już nigdy ci nie zaufam, w żadnej sprawie. Więc... nie ma nic, nic nie zostało.

– Nie mów tak. – Jego serce zaciska się z przerażenia. To nie jest kłótnia. To coś dużo, dużo poważniejszego. Powinien był wiedzieć, że do tego dojdzie. Być może wiedział.

– Proszę, Ava. Nie skłamałem, nie w ten sposób. Możemy to omówić. Może ja też potrzebuję pomocy. Mogę poprosić o pomoc.

– To twoja sprawa. Ja miałam pomoc, Matt. Dużo pomocy. Nie przetrwałam jednego dnia, by nie sięgnąć po błyskotliwe techniki terapii, aby wyjść z kryzysu. Moje życie jest warte dwadzieścia miligramów dziennie. Radzę sobie bardzo dobrze. – Jej głos aż ocieka sarkazmem. Wchodzi na łóżko i opiera się o ścianę.

– Ava...

– Nie mamy nad czym pracować. – Poprawia sobie poduszkę pod plecami, siada i krzyżuje ramiona. – Przez ten cały czas, przy tej całej pomocy, którą otrzymałam, czy choć raz pomyślałeś o tym, że to właśnie ty

mógłbyś pomóc mi bardziej niż ktokolwiek inny? Nienawidzę cię, rozumiesz to? Nienawidzę cię. W pewnym momencie musisz wziąć na siebie odpowiedzialność i być mężczyzną, jakim obiecałeś sobie, że będziesz. Ale nie zrobiłeś tego. Neil ukrywał twój wstydlivy sekret, ale to było takie mroczne, takie trudne, że nawet nie umiał mi spojrzeć w twarz. Nie mógł spojrzeć mi w oczy. W chwili, kiedy to zrobił, jego współczucie było zbyt silne, jego miłość była zbyt silna, i po prostu musiał mi powiedzieć. – Wybuchła krótkim, pełnym pogardy śmiechem. – Nie okłamałeś mnie? Mówisz poważnie? „Och, skarbie, nie obwiniaj się. Wszyscy popełniamy błędy. Musimy żyć dalej”. Ty musisz żyć dalej, Matt – ty musisz. To twoja wina. Nic dziwnego, że jesteś taki chętny, by ją pochować. Oczywiście, że skłamałeś. Jasne, że to zrobiłeś. Jesteś w stanie zrobić to drugiej osobie, osobie, którą miałeś kochać, podczas gdy Neil... Neil spojrzał na mnie tylko raz i nie mógł tego znieść, a to nie on miał mnie kochać bardziej niż ktokolwiek inny, prawda? – Łza spływa po jej policzku. – On nie powinien kochać mnie bardziej niż ty.

Rozdział 25

Ava

Fred kwili, słyszę miękkie „ehe, ehe”. Oczy mnie boją, głowa mnie boli, plecy mnie boją. Zakładam, że mam dla siebie jeszcze maksymalnie minutę. Dzieci wyczuwają, kiedy źle spałaś w nocy. Są jak Darth Vader i karzą cię za to.

Jego kwilenie staje się coraz bardziej niecierpliwe. Zwlekam się z łóżka i podnoszę go z jego łóżeczka. Moje kończyny są ciężkie, a powieki ciążą mi jak kamienie. Pamiętam śpiew ptaków, ale nie mogę sobie przypomnieć, czy było to w momencie, gdy zasypiałam, czy kiedy się budziłam. Ale niezależnie od tego jak pusta się czuję, widok mojego syna każdego ranka napawa mnie ulgą. Miłość kojarzy mi się z ulgą. On żyje, dzięki Bogu. Dziś jest żywy i mogę go widzieć, słyszeć, tulić, wachać i czuć jego ciepło. Przetrwiał noc. Oddycha. To właśnie jest ulga – miłość – nawet teraz.

Miejsce na łóżku obok mnie jest puste.

Pamiętam.

Moje małżeństwo jest skończone. Mój, teraz już były, mąż jest w pokoju gościnnym.

Przyciągam Freda do siebie i wdycham zapach jego miękkich włosów. Nie mam pojęcia, co robić, co będzie dalej. Jediną osobą, z którą chcę rozmawiać, zwierzyć się z tej okropnej sprawy, jest Matt, ale on nie jest mój, już nie.

Biorę Freda ze sobą do łazienki i trzymam go w ramionach nawet wtedy, gdy siusiam. Widok mojej twarzy w łazienkowym lustrze mnie szokuje. Moje powieki są zapuchnięte, różowe i świecące jak czyraki. Wyglądam tak samo jak tamtego ranka. Zero snu. Godziny płaczu. Tak wygląda rozpacz – jest wstrętna. Nie pachnie najlepiej. Zatrzymuje wodę w organizmie.

Na dole, w kuchni z Fredem przewieszonym przez ramię, robię sobie mocną herbatę. Mam niskie ciśnienie, co poznaję po zawrotach głowy

i mroczkach, które pojawiły mi się przed oczami, kiedy pierwszy raz wstałam z łóżka. Zeszłej nocy nie zjadłam nic poza garścią chipsów. Za dużo wypiałam. Gryzę herbatnika i czuję natychmiastowy wzrost poziomu cukru we krwi. Siadam na sofie w salonie i karmię Freda. Front naszego domu wychodzi na wschód, więc lubię go tu karmić i obserwować, jak wschodzi słońce, ucząc się na nowo czerpać radość z małych rzeczy.

Czy tak to właśnie będzie teraz wyglądało? Tak ma to działać? Jak źle musi być, zanim świadomość stanie się niewarta funta kłaków, żeby użyć jednego z określeń mojej matki?

Zastanawiam się, co powie Barbara na ten nowy zwrot wypadków, jak przeprowadzi mnie przez stratę męża, mojej bratniej duszy, mojego najlepszego przyjaciela, rok po utracie mojej córki.

Postaraj się zwolnić. Czy tak właśnie powie? Spróbuj cieszyć się małymi przyjemnościami. Naładuj nimi swoje baterie, nawet tymi najmniejszymi, najlepiej jak potrafisz. Myśl tylko o tym co tu i teraz. Naprawdę to wystarczy?

Po dwudziestu minutach Fred odwraca główkę opity mlekiem, otumaniony. Kładę go na dywaniku z owczej skóry na podłodze, kupionym specjalnie dla niego, i podchodzę do gramofonu. Do moich myśli powraca Neil. Jakżeby inaczej? Ta jego intensywność. Jego udręczona twarz. Nasze czoła stykające się na opustoszałej ulicy. Jego wytrwałość. Jego współczucie.

Przeglądam płyty winylowe świadoma tego, jakie to wszystko jest nierzeczywiste. To, to teraz, jest czymś, co dobrze znam: ludzka zdolność do kontynuowania najbardziej przyziemnych rytuałów – parzenia herbaty w środku zbombardowanego domu.

Pewnego dnia wróciłam do grania na pianinie po długiej przerwie. Utwory łatwe dla moich palców, które wyszły z wprawy. Pierwsza część Sonaty Księżycowej, Clair de Lune Debussy'ego, klasyka, którą wszyscy znają. To mnie uspokoiło. Muszę wierzyć, że ukoji mnie ponownie.

Dziś, w pierwszym dniu ponownego bycia singielką, mam zamiar posłuchać nagrania. Jest niemalże okazja, jakby nie wystarczyło włączyć radia. Dawno już nie słuchałam muzyki. Zrezygnowałam z tego razem z nauczaniem, wieczorami poza domem, kawą z przyjaciółmi, jedzeniem dla przyjemności, szczęściem. To, co zaczęło się jako odroczenie, stało się wszystkim, z czym nie mogę się zmierzyć.

Być może ten nowy kryzys sprawi, że tamte przyjemności powrócą. Być może teraz, kiedy jestem kompletnie sama, pojawi się jakiś rodzaj odrętwiałej, lecz koniecznej psychozy, która zwyczajnie pozwoli mi zachować spokój i żyć dalej.

Matt zawsze powtarzał, że potrzebuję czasu. Że czas mnie uzdrowi. Ale nie uzdrowił, to moja prywatna opinia. I nawet jeśli faktycznie potrzebowałam czasu, prawdy potrzebowałam bardziej. Nadal jej potrzebuję. Nadal jest jeszcze tyle niewypowiedzianych słów. Jedyna różnica pomiędzy wczoraj i dzisiaj jest taka, że wiem o kłamstwie, z którego nawet nie zdawałam sobie sprawy. Więc tak naprawdę nie ruszyłam naprzód. Zdrada Matta jest dla mnie szokiem, z którego będę otrząsała się latami, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie miałam żadnego przeczucia – skąd miałam mieć? Nie miałam pojęcia. To rzuca nowy cień, podejrzewam, i teraz muszę siedzieć w jeszcze ciemniejszym pokoju, sama ze sobą, słuchając tego niespokojnego, ciężącego, fałszywego, diabelskiego akordu, czekając na rozstrzygającą nutę, której wydaje się, że nikt nie jest w stanie zagrać. Nic dziwnego, że w osiemnastym wieku był kojarzony ze złem, myślę, wysuwając z opakowania płytę Kate Bush i od razu decyduję, że jednak nie, to nie to. Nic dziwnego, że był zakazany. Nierozwiązana sprawa to wieczna tortura.

Myślałam, że to dlatego Matt wolał wierzyć w to, że nasza mała córeczka utonęła, a tak naprawdę chodziło o to, że w ten sposób próbował sobie poradzić z poczuciem winy. Żyć dalej, opłakiwać ją. Potrzebował zakończyć ten nieustający rytm. Rozumiem to, naprawdę. Nie muszę widzieć ciemnej sieci, żeby wiedzieć, co się tam dzieje, nie muszę nawet o tym myśleć. Matt, żeby o tym nie myśleć, wolał wybrać śmierć. Łatwiej jest opłakiwać stratę naszego dziecka, gdy wierzy się, że jej śmierć była wypadkiem. On wiedział, że ja zamknęłam drzwi, że była bezpieczna, że to on je otworzył i naraził ją na niebezpieczeństwo. Więc tak, łatwiej było mu myśleć, że jej ostatnia świadoma myśl była tak mglista i ulotna, i pełna łagodnej radości, jak samo spadanie, krótka chwila podniecenia na myśl o spotkaniu z kaczkami, które tak kochała, a potem uderzenie, koniec, nic.

Rwąca rzeka. Takie małe ciało.

Muszę wybrać płytę. Mam się przecież uspokajać, tak mi radzono. Bóg jeden wie, że sama będę musiała się tego nauczyć.

From Sleep Maxa Richtera.

Odkładam ją z powrotem na stos. Jest jak samoukojenie, z drugiej strony jak świadomy wybór, by się rozsypać.

Tak samo Prélude E minor Chopina.

Tak samo Prélude à l'après-midi d'un faune Debussy'ego.

Tak samo The Carpenters.

Tak samo Vesperine Björk.

Szum.

Bille Holiday: największe przeboje, które Matt sprezentował mi na początku znajomości. Pewnie będzie liczyła się jako moja, gdy będziemy dzielić majątek. Przygnębiająca jak wiszące nisko chmury, ale oczyszczająca; smutek – tak, żal – absolutnie, ale wszystko jest jakieś takie szorstkie.

Pewnie będziemy musieli sprzedać dom. Nie możemy sobie pozwolić na dwie nieruchomości.

Kładę igłę na płycie.

Ciekawe, jak podzielimy się opieką nad Fredem?

Billy Holiday śpiewa. Muzyka nie do końca pasuje do mojego nastroju, ale spowalnia galopujące w mojej głowie myśli. Zeszła noc wydaje mi się jak puzzle, których nie umiem poskładać. Jak gdyby był puzzel i nie ma puzzla. Ja jestem puzzlem. Jestem w rozsypce. Mniejszej niż wcześniej, ale nadal w rozsypce. Przestań. Słuchaj muzyki, Avo. Zamknij oczy. Słuchaj. Bądź tą chwilą. Tym łagodnym jazzowym brzmieniem. Tym doborem słów. Kiedy wszystko inne zawodzi, jest jeszcze muzyka. Jest słońce, które wschodzi, jest Fred, jest herbata, jest kanapa z miękkimi poduszkami za moimi plecami. Jestem ja.

Powinnam wrócić do uczenia. Chrzanić to. Nie, tym razem to właściwe „powinnam”. Może tylko kilkoro dzieci po szkole, raz w tygodniu, tak na początek. Skupienie się na dzieciach może pomóc mi w ucieczce od samej siebie. Zanim pojawiła się Abi, byłam zastępcą dyrektora w szkole podstawowej. Wtedy odpowiadałam za szkolny chór, za grę na pianinie na apelach i za szkolne przedstawienia. Na początku, kiedy byłam w domu z Abi, tęskniłam za tym. Wróciłam na część etatu i planowałam wrócić na stałe, zanim... to się stało. Potem nie mogłam sobie wyobrazić, żebym kiedykolwiek mogła wrócić – do czegokolwiek. Teraz myślę, że mogłabym zacząć. Mogłabym zacząć się rozwijać. Cokolwiek się wydarzyło, gdziekolwiek jest Abi, ja zostałam sama. Fred mnie potrzebuje.

Ale nawet gdy uzasadniam to sobie w myślach, jestem świadoma, że to tylko wahnięcie metronomu, ciężar zsunięty na szczyt wahadła, najwolniejsze możliwe uderzenie. I w miarę jak ta świadomość rośnie, wahadło przechyla się z powrotem.

Straciłam Matta. Moją miłość. Mojego kochanka. Mojego najlepszego przyjaciela.

Łzy spływają mi po twarzy. Najedzony Fred drzemie na kozuszkę na podłodze. Nie chcę, wiem, że nie powinnam, ale sprawdzam, czy drzwi wejściowe są zamknięte, dwukrotnie, zanim wejdę na górę, by się przebrać. Jest prawie ósma. Uchylam ze skrzygnięciem drzwi do pokoju gościnnego. Matt śpi z otwartymi ustami, a na policzkach ma ciemny ślad zarostu. W pokoju śmierdzi przetrawionym alkoholem, potem i nieświeżym oddechem. Ból spowodowany tym, co zrobił, atakuje mnie ponownie. Przekroczone granice, który których nie naprawię. Nie mogę mu wybaczyć. Nie mogę.

Ale i tak przynoszę z łazienki paracetamol i szklankę wody, zanoszę je do pokoju gościnnego i zostawiam na szafce nocnej.

Czuję potrzebę działania, więc myję twarz i związuję włosy w kucyk. Biorę z oparcia krzesła dzinsy i T-shirt i zakładam je, a potem wyciągam z szuflady czyste skarpetki.

Na dole staram się zwracać uwagę na to, jak świeże jest mleko, jak orzechowe jest musli, jak kremowy jest jogurt, jak cudownie słowo „kremowy” brzmi w mojej głowie. Zauważam te wszystkie rzeczy, wiem, że to ja poza mną, patrzę na siebie, „ja” staje się „nią”. To nie działa. Kawa bezkofeinowa zaparzona w ekspresie. Ona wdycha jej aromat, podziwia piankę w kolorze palonego karmelu, wzory, jakie na niej powstały. Tak, tak, Avo, dobra robota.

To nie działa. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby kiedyś mogło działać.

Zabieram kawę ze sobą do salonu. Siadam na kanapie i wystawiam twarz do słońca. Czuję słońce. Zamykam oczy i czuję jego ciepło. Żadnych mediów społecznościowych, żadnych innych rozpraszaczy, żadnego życia poza chwilą obecną. Już nie korzystam z iPhone'a. Nawet go już nie mam, a jedynie jakiś tańszy model do połączeń i SMS-ów. Przyzwyczałam się do tego, że jestem sama. Jak teraz, zupełnie sama. Nie mam już przyjaciół. Odcięłam się od większości spraw. Teraz muszę odciąć się od wszystkiego.

Tak będzie łatwiej. To będzie mój wybór. Żadna kobieta nie jest samotną wyspą. Chcesz się założyć?

O dziewiątej pakuję Freda do wózka. Jeden kocyk powinien wystarczyć, jest pierwszy dzień września. I Pan Leniwiec oczywiście.

To był pomysł Matta, by dać Pana Leniwca Fredowi.

– Czy to nie jest chore? – pytałam wtedy zbulwersowana. Teraz oczywiście cała ta sytuacja okrywa się większym cieniem. Czuję, że to manipulacja. Nadużycie.

– To może być prezent – powiedział. – Od jego starszej siostry. Będzie nam przypominał, żeby opowiadać mu o Abi od samego początku. W ten sposób z czasem przyswoi sobie tę wiedzę i zaakceptuje ją bez traumy.

Już nie ufam jego słowom. Nigdy nie chciałam zatrzymać tej maskotki. Powinłam była ją spalić, tak jak tego chciałam, razem z tym cholernym wózkiem.

Kładę Pana Leniwca na daszku wózka. Przed drzwiami biorę głęboki oddech i kładę rękę na klamce. Jedno spojrzenie w lustro w holu i chowam się za okularami przeciwsłonecznymi. Wyglądam, jakbym przetrwała dziesięć rund na ringu bokserskim.

Założ okulary. Dasz radę, Avo. Już raz spotkałaś się z sąsiadami, dasz radę zrobić to ponownie. A poza tym jest jeszcze wcześniej jak na niedzielę. Nikogo tam nie będzie.

Stoję obiema nogami na chodniku i ze zdenerwowania czuję w żołądku gorąco, kiedy słyszę dźwięk zatraskiwanych drzwi. Ku mojej uldze, to tylko Jen wychodzi z domu, obie córki razem z nią.

– Ava! – woła i macha do mnie. Ona również ma okulary przeciwsłoneczne. Jej są duże, drogie. – Muszę przyznać, że też nie najlepiej się dziś czuję. – Śmieje się. Ma taki zaraźliwy, gardłowy śmiech, któremu chciałabym dorównać.

Popycham przed sobą wózek do ich podjazdu.

– Bardzo ci dziękuję za wczorajszy wieczór – udaje mi się wydusić. – Naprawdę, cudownie spędziłam czas. Lepiej niż myślałam, jeśli wiesz, co mam na myśli. Dziękuję ci. Cześć, dziewczynki.

Uśmiechają się, każda trzyma mamę za jedną rękę.

– Przepraszam, że wyszłam bez pożegnania – dodaję.

– Och, na litość boską – mówi, zbywając mnie machnięciem ręki. – Nawet o tym nie myśl. To było dobre posunięcie, by wyjść wtedy, kiedy to zrobiłaś. Ostatnich gości pozbyliśmy się dopiero o czwartej rano.

– O czwartej? O mój Boże. Kto?

– Louise, znasz Louise Parker? I Pete z końca ulicy, i twoja przyjaciółka, Bella.

– Bella została do czwartej rano?

Jen potakuje.

– Była... powiedzmy, że była dobrze naoliwiona.

– Jasna cholera. Założę się, że Neil będzie miał coś do powiedzenia na ten temat.

– Wydaje mi się, że usiłował ją wyciągnąć około pierwszej, ale nic sobie z tego nie robiła.

– O nie. Pokłócili się?

Jen potrząsa głową.

– Jakaś niewielka pijacka sprzeczka na schodach przed wejściem, ale nie wydawała się zdenerwowana ani nic, kiedy wróciła. Pete odprowadził ją do domu. Ależ z niego dżentelmen.

Obie się uśmiechamy. Zastanawiam się, czy wyczuła we mnie coś dziwnego. Bo czuję się bardzo dziwnie.

– Mogę cię o coś zapytać? – Słowa padają, zanim zdążyłam zastanowić się nad sensem ich wypowiedziania.

– Pewnie.

– Chodzi o Abi.

Marszczy brwi. Rzuca szybkie spojrzenie na swoje córki.

– To nic takiego, naprawdę – mówię. – Zastanawiałam się tylko, o której wyjechaliście tego ranka? Wybacz, chodzi mi o ten ranek, kiedy Abi...

Za jej plecami z domu wychodzi Johnnie. Drzwi garażu się otwierają i wchodzi do środka.

– Hmm – mówi Jen, unosząc brew. – Coś koło ósmej. Czemu pytasz?

– Bez powodu. Zastanawiałam się, czy widziałaś wtedy Matta na rowerze? – Chcę powiedzieć coś więcej, dodać, że wracał do domu po płaszcz przeciwdeszczowy, ale nie ośmielam się.

– Nie, przykro mi. Myślałam, że przyjechał trochę później? Nie złapał gumy tego dnia?

Kiwam głową, zbyt szybko, zbyt wiele razy.

– Tak. Tak, złapał.

Porsche wyjeżdża z pomrukiem, Johnnie w okularach siedzi za kierownicą. Zatrzymuje się i wysiada. Znowu jest ubrany na czarno, choć zmienił koszulę na lnianą z krótkimi rękawami, ma luźne długie lniane

spodnie i modne klapki. Po jego czole spływa strużka potu, ale poza tym jest okazem beztroski.

– Ava – wita mnie, podnosząc Cosimę i otwiera tylne drzwi auta.

– Johnnie. Dzień dobry. – Odwracam wzrok, ale znowu czuję ukłucie na ten widok – ta łatwość, z jaką ją podnosi, jak kocha tę dziewczynkę, jak nawet nie zauważa tego, jak bardzo ją kocha, jak dobrze jest czuć ciężar dziecka w swoich ramionach. Oczy mnie szczypią. Dobrze, że mam okulary, dobrze, że Jasmine krzyczy teraz:

– Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry!

Odpowiadam na jej promienny uśmiech moją własną nieudolną próbą. Skupiam się na jej radosnej ekspresji.

– Dzień dobry ponownie, Jasmine.

– Dzień dobry ponownie, Jasmine – mówi z uśmiechem. – Dzień dobry ponownie, Jasmine.

Nie wiedząc, jak powinnam się w stosunku do niej zachować, uśmiecham się tylko, biorę do ręki Pana Leniwca i macham nim. Konieczność unikania widoku Cosimy sprawia, że ściska mnie w piersi. Czuję, że zaczynam się pocić pod pachami. Johnnie zapina ją w foteliku i mówi coś do niej. Jej piskliwy, dziecięcy głosik dźga mnie tysiącami ostrzy prosto w serce.

– Pan Leniwiec! – Jasmine podchodzi do mnie, na jej twarzy maluje się czysta radość. – Pan Leniwiec, Pan Leniwiec! – Wyciąga do mnie obie ręce.

– Jasmine! – woła do niej Johnnie. – To nie twoje. To dziecięca zabawka, Jasmine.

– Dziecięca zabawka, Jasmine – odpowiada. – Dziecięca zabawka, Jasmine, dziecięca zabawka, Jasmine.

– Pan Leniwiec jest Freda – informuję ją. – Ale możesz się przywitać. – Ciągłe się uśmiecham i zastanawiam się, czy nie dać tej zabawki Jasmine, czy się jej nie pozbyć. Nagle zdaję sobie sprawę, że jej nie znoszę. Nie mogę znieść widoku tej maskotki.

Jasmine klaszcze w dłonie.

– Kieszenie – mówi. Wyciąga przednią kieszeń jej luźnych spodni. – Kieszenie Pana Leniwca.

Włosy jeżą mi się na głowie. Nie mam pojęcia dlaczego. Powraca to zapomniane, niewygodne wrażenie, to samo, które poczułam, gdy Jasmine rozpoznała Neila na przyjęciu. Dopiero teraz dociera do mnie, dlaczego. Neil powiedział, że nigdy nie poznał dzieci Jen. A może, że ich nie znał. W każdym razie to najwyraźniej nie jest prawda.

Jasmine gestykuje, w jednej chwili ciągnie za kieszeń, a w następnej sięga po zabawkę.

– Pan Leniwiec – mówi. – Kieszenie Pana Leniwca, kieszenie Pana Leniwca. – Klaszcze w dłonie jak szalona, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Chodź, Jazzy – ponagla ją ze śmiechem Johnnie. – Wsiadaj do samochodu, no już.

Ale Jasmine jest zbyt zachwycona zabawką, a ja, nie wiedząc jak się zachować, daję jej ją. Nie zaszkodzi pozwolić jej na chwilę przyjemności. Jest niedziela, nie ma pośpiechu.

– Co się mówi? – odzywa się Johnnie. Jest taki dobry dla niej, taki cierpliwy. Uprzejmy. A jednak...

– Co się mówi, co się mówi, co się mówi. – Jasmine wpycha sobie zabawkę do kieszeni, jej twarz promienieje. Wyciąga ją ponownie, a potem z wyrazem takiej nieskrywanej złości na twarzy, że muszę się roześmiać, chowa ją z powrotem, po czym jeszcze raz ją wyciąga i nieśmiało mi ją oddaje.

– Kieszenie Pana Leniwca – mówi znowu, teraz ciszej. – Kieszenie Pana Leniwca, kieszenie. – Wyraz jej twarzy się zmienia, teraz jest poważny. – Kieszenie. – Rozgląda się dookoła, jakby czegoś lub kogoś szukała. – Kieszenie? Kieszenie?

– Chodzi ci o Neila? – pytam ją. – O niego ci chodzi?

– Kieszenie – szczebiocze dziewczyna, szeroko się uśmiechając. – Kieszenie.

– Jasmine. – Johnnie łapie ją za ramiona i kieruje w stronę samochodu. – Chodź, skarbie, czas już iść. Pożegnaj się z Avą. Pożegnaj się, Avo. – Patrzy na mnie i przechyla lekko głowę na bok. – Jedziemy do parku wcześniej, żeby uniknąć tłumów, rozumiesz?

– Pożegnaj się, Avo – powtarza Jasmine, zanim zdążę odpowiedzieć. – Pożegnaj się, Avo, pożegnaj się, Avo.

– Cześć, Jasmine – mówię i odkładam Pana Leniwca z powrotem na daszek wózka. – I jeszcze raz dziękuję za przyjęcie! – wołam do nich. – Cudownie się bawiłam. Naprawdę cudownie.

Jennifer posyła mi całusa.

– Do zobaczenia w tygodniu – mówi. – No dobra, pewnie w przyszły weekend. Może wpadniesz do mnie na kawę późnym porankiem w niedzielę? Poplotkujemy sobie. – Ach, cóż to będą za plotki.

– Pewnie – zgadzam się. – Dzięki, przyjdę. Koło jedenastej?

Pokazuje mi uniesiony kciuk, po czym wsiada do auta.

Johnnie zapala silnik.

Idę z pochyloną głową, spieszę się, by przejść, zanim odjadą. Jestem na końcu drogi, gdy zauważam łzy ciekące po moich policzkach i zdaję sobie sprawę, że serce wali mi w piersi.

Rozdział 26

Matt

Promienie słońca wpadają przez szczelinę w żaluzjach niżej, jaśniej, cieplej, niż powinny – jest późno, już od bardzo dawna się tak późno nie budził. Oni nie mają żaluzji. Owszem, mają. W pokoju gościnnym. O Boże. Siada. Rozsadza mu głowę.

– O Chryste.

Na stoliku nocnym stoi szklanka wody i leży blister tabletek przeciwbólowych. Ava musiała je tam położyć. Zastanawia się, co to oznacza, czy może odważyć się pokładać w tym jakąkolwiek nadzieję.

Bierze dwie tabletki i popija je wodą, po czym stękając i jęcząc jak staruszek, wlecze się pod prysznic.

Unosi twarz i pozwala wodzie po niej spływać. Później, wycierając się ręcznikiem do sucha, widzi swoje odbicie w lustrze. Żebra wystają mu jak sztabki cymbałków; oczy ma czerwone; włosy wymagają podcięcia, a twarz aż prosi się, by ją ogolić. Wygląda okropnie, jak wynędzniały, wygłodniały wilk.

Zakłada wczorajsze dżinsy i świeży T-shirt oraz dwukrotnie szczotkuje zęby, po czym schodzi na dół, by znaleźć Avę. Nie ma jej tam, a kiedy zauważa, że jest już po jedenastej, zalewa go poczucie winy. Poszła na spacer bez niego. Dobrze wie, ile musiało ją to kosztować. Ale kiedy szykuje sobie kawę, słyszy, że drzwi wejściowe się otwierają.

Nie ma pojęcia, co powiedzieć. Nie wie nawet, czy nadal są razem. Wczorajsza rozmowa wydawała się ostateczna, ale może...

– Hej – odzywa się, chcąc, żeby wiedziała, że już wstał, że jest w kuchni. Zajmie się dziś po południu Fredem, a ona sobie odpocznie, myśli. Wynagrodzi jej to. Porozmawiają.

Stoi w drzwiach kuchni. Nie wygląda na rozgniewaną, myśli.

Ale nie patrzy na niego.

– Gdzie jest Fred?

- Śpi w wózku.
- Kawy? – proponuje. – Bezkofeinowej?
- Właściwie nie, napiję się zwykłej dla odmiany.

Oschle, ale w cywilizowany sposób. To więcej niż na to zasługuje. Stawia dzbanek i dwa kubki na ladzie. Ma zamiar postawić również karton mleka, ale po namyśle nalewa go do dzbanuszka.

- Cóż za elegancja – mówi Ava.

Matt próbuje zignorować uczucie dyskomfortu, które wywołują w nim te słowa. Zawsze miała skłonności do sarkazmu, ale to były epizody, nie działo się to tak często jak teraz. Poza tym to było bardziej dowcipne niż złośliwe. Nie może się zdecydować, czym to ostatnie było.

- Tosta?
- Chętnie.

Mieszánina strachu i niepewności narasta. Nienawidzi tego, nienawidzi, że to zauważa, wie, że nie powinien tak się czuć w związku. Wie, że nigdy tak nie było. I coś więcej. Wie, że to jego wina. Doprowadził ich oboje do zakłopotania.

– Słuchaj, przepraszam – mówi, stawiając talerz z tostami pomiędzy nimi.

– Kiedyś wiedzieliśmy, jak się bawić, prawda? Dawniej. Tak się to wszystko zaczęło. – Brzmi nostalgicznie, jakby ich wcześniejsze wspólne lata były tylko melancholijnym wspomnieniem, częścią przeszłości, którą musi zostawić za sobą. Czy to właśnie zrobiła?

Nie mogąc na razie odpowiedzieć, bierze kęs tosta, potem kolejny. Nie ma pojęcia, co ona ma na myśli. Miał nadzieję, że wczorajsza noc nie rozciągnie się na dzisiejszy poranek, a raczej wiedział, że do tego dojdzie, ale miał cichą nadzieję, że będą mogli spróbować jeszcze raz ostrożnie zacząć budować swoje małżeństwo. Nie ośmiela się odezwać. Wie, że powinien znaleźć odpowiednie słowa, ale nie potrafi i widzi, że jej twarz się zachmurzyła i pociemniała.

– Ava. – Tyle udaje mu się z siebie wydusić. – Przejdziemy przez to, wiesz o tym. Poprosimy o pomoc.

– Nie sądzę – mówi, szybko spoglądając na niego. Ma najpiękniejsze oczy. Z duszą, inteligentne, spostrzegawcze, a teraz przesiąknięte niezgłębionym smutkiem. – Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mielibyśmy to zrobić.

Czuje, że żołądek mu się zaciska.

– Ava, daj spokój. Proszę cię. Jest mi bardziej przykro, niż umiem to wyrazić słowami. Nigdy sobie nie wybaczę.

– Wiem, że jest ci przykro. – Jej oczy wypełniają się łzami, które po chwili spływają po jej policzkach. Pochyla głowę i ukrywa twarz w dłoniach. – Mnie też jest przykro. Jest mi przykro i jestem smutna. Wiem, że nigdy sobie nie wybaczysz, ale kłopot w tym, że ja też ci nigdy nie wybaczę.

– Ava. – Okręża ladę i obejmuje ją ramionami. Jakimś cudem pozwala mu na to. – Nie płacz. Napijmy się kawy, co? Wiem, że mamy dużo do obgadania, ale posiedźmy po prostu przez chwilę bez wzajemnego obwiniania się.

– Zawsze chciałeś żyć dalej. – Szlocha. – Ale tylko dlatego, że nie mogłeś znieść własnego poczucia winy. Nie mogę żyć dalej, jeśli nie wiem, co się z nią stało i nie mogę być z tobą, wiedząc, że skłamałeś na tak ważny temat, najważniejszy, że powtarzałeś to kłamstwo każdego dnia, podczas gdy w dowolnym momencie mogłeś mi po prostu powiedzieć prawdę.

Drapie go w gardle. Obawia się, że może wybuchnąć płaczem. Zabiera swoje ręce z jej ramion i powoli wraca na krzesło.

– Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć. Nie rób tego.

– Czego? Ja nic nie zrobiłam. To nie ja zniszczyłam nasze małżeństwo. – Wyciera nos grzbietem dłoni. – Przez cały poranek spacerowałam, próbując nadać temu wszystkiemu sens; nam, przyjęciu.

– Przyjęciu? A co to ma wspólnego z nami? – Tabletki przeciwbólowe nie pomogły. W głowie nadal go łupie, w ustach czuje nieświeży posmak.

– To wszystko jest powiązane, czyż nie? Abi, Neil, Bella. Lovegoodowie. Widziałam się z nimi. Na ich podjeździe. – Wzdycha i kręci głową. – Są pewne rzeczy, które mi się nie zgadzają, Matt.

– Jakie rzeczy?

Milczy. Cisza ciąży mu na sercu.

– Nieważne – mówi w końcu.

– Powiedz – naciska.

– Na przykład to, że Jasmine rozpoznała Pana Leniwca, a potem wołała: „kieszenie”. Kieszenie, tak nazywa Neila, prawda? Tak na niego mówi.

– Co? – Czuje, że robi grymas na twarzy. Ale nie ma pojęcia, o czym ona, do cholery, mówi, i przeraża go to. – Najpierw mówisz, że nasze małżeństwo jest skończone, a teraz chcesz rozmawiać o przytulance Abi

i łączyć ją jakoś z moim najlepszym przyjacielem? Serio? To chcesz teraz robić?

Pociągając głośno nosem, podnosi głowę.

– Kłopot w tym, że chcesz, żebym z tobą rozmawiała, a potem nie słuchasz. Po tym wszystkim co zrobiłaś, myślałam, że zaczniesz brać mnie na poważnie. Może to właśnie dlatego nie umiemy ze sobą rozmawiać. Rozmawianie ze sobą nie jest już tym, co możemy robić razem, prawda? Nie powinnam była nawet próbować, a poza tym nie masz prawa siedzieć sobie i rozmawiać ze mną przy kawie, jak gdyby nigdy nic. Nie jestem już twoją partnerką do rozmowy. – Z holu rozlegają się pojękiwania Freda.

– Ava, proszę cię. Zaopiekuję się tobą. Razem się sobą zaopiekujemy.

– Nie, nie możemy. Jak moglibyśmy? Nie ufam ci już. Chcę ci zaufać, ale nie mogę. Przykro mi, bardziej niż umiem wyrazić to słowami. – W jej oczach widzi takie cierpienie, że musi odwrócić wzrok. Miał rację. Wczoraj wieczorem to nie była kłótnia. To był koniec. Nie rób tego, chce powiedzieć, chce powtarzać to w kółko, aż mu ulegnie, ale nie robi tego.

– Powinieneś spakować swoje rzeczy – dodaje Ava, nie patrząc na niego.

– Posłuchaj – próbuje. – Odejdę jutro rano, dobrze? Wezmę Freda dziś po południu, żebyś mogła się przespać. Mam kaca i muszę dojść do siebie. Nie mogę...

Wyrzuca w górę ręce.

– W porządku. Dobrze. Jeszcze jedna noc. Ale jeśli myślisz, że zmienię do tego czasu zdanie, to się mylisz. Nie zmienię. Masz jeszcze jedną noc, żeby sobie to wszystko poukładać, ale jutro rezerwuj sobie hotel albo śpij na czyjejś kanapie. Kompletnie mnie to nie obchodzi. Mówię poważnie. Zmienię zamki, jeśli będę musiała. A przez resztę dnia trzymaj się ode mnie z daleka.

Rozdział 27

Ava

Jest północ. Stoję w drzwiach do pokoju gościnnego i obserwuję mojego śpiącego męża. Nie mam pojęcia, dlaczego to robię. Jestem dziwna, myślę. Stałam się dziwna.

Matt śpi ostatnio cicho. Kiedyś chrapał. Teraz wydaje się, że nie ma go już na tyle, by produkować tak głośne dźwięki, a rytmiczne oddechy to wszystko, na co może sobie pozwolić ten wychudzony mężczyzna. Przyglądanie się mu, bez możliwości przytulenia do niego, sprawia, że czuję się bardziej samotna, niż gdyby wcale go tutaj nie było. Ale nie mogę go dotknąć. Nie ma już nas. Zawsze bałam się tego, że się rozstaniemy. Oprócz Freda był wszystkim, co miałam. A teraz już go nie mam. Dzisiaj krążyliśmy wokół siebie jak duchy. Został mi tylko Fred.

Schodzę na dół, nalewam sobie szklanek zimnego mleka i piję je, stojąc przy oknie w salonie. Naprzeciwko widzę krzew magnolii Pete'a i Shirley, wyciąga swoje gałęzie w stronę nie całkiem czarnego nieba. Nie ma tu żywej duszy. Podczas takich samotnych późnych wędrówek zawsze zadziwia mnie to, jak bardzo opustoszałe są nocne ulice na przedmieściach. Jakby nikt tu nie mieszkał, zupełnie nikt.

Przez cały dzień przetwarzam w głowie słowa, które wypowiedział do mnie Matt – że może mi to wynagrodzić, że w jakiś sposób, razem, oboje się ulecymy. Ale jeśli nie mogę porozmawiać z własnym mężem o tym, co mnie gnębi, jaka jest na to szansa? Czuję się naga. Żal porozpinał mi guziki, a zdrada zdarła ze mnie ubrania i teraz nie ma nikogo, kto by mnie przytulił, okrył kocem i uchronił przed zimnem.

I pomimo tego wszystkiego, pomimo tej samotności, którą sama świadomie wybrałam, wciąż z głębi duszy dobiega mnie dokuczliwy głos. Czuję to całym ciałem, tak jak czuję muzykę. Wyłapuję fałszywą nutę w piekielnie trudnym akordzie nie do opanowania.

Uderzona widelcem szklanka nawet z najmniejszym pęknięciem nie brzmi jak dzwonek.

Wiem, że każdy z nas może odczytywać rzeczy na różne sposoby. Nie jestem głupia. I wiem, że jestem wykończona, przewrażliwiona i niedospana. Ale nie jestem paranoiczką. Gdybym była paranoiczką, zaczęłabym podejrzewać Neila tamtego dnia. Ale nie zrobiłam tego. Aż do wczorajszej nocy widziałam w Neilu tylko kogoś, kto nas kochał, kto kochał nasze dziecko, kogoś, kto poruszyłby niebo i ziemię, by ją znaleźć. Dobry Boże, nie jestem nawet pewna, czy teraz go podejrzewam, tyle tylko, że żadnym sposobem nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego Jasmine rozpoznała zabawkę Abi. Coś tu jest nie tak, coś jest na rzeczy.

Pętla tamtego poranka została zastąpiona pętlą Matta, Belli i Neila. Czy to nie jest szalone? Czy ja jestem szalona? Czy widzę rzeczy, których nie ma? Neil kochał Abi. Wiem o tym. I wiem, że moje załamanie było prawdopodobnie przyczyną, przez którą się z nimi nie widywaliśmy. Ale dlaczego wyszedł za mną z przyjęcia, skoro przez rok prawie ze mną nie rozmawiał? Wyglądało to tak, jakby musiał ze mną porozmawiać, jakby samo przyjęcie sprawiło, że jego uczucia wzięły górę.

I Bella. Bella była bardzo przywiązana do Abi. Teraz wydaje się to takie dziwne, bo Freda nie traktuje w ten sam sposób. I tak samo jak Neil, po niemal roku milczenia, ta bolesna pogawędka w salonie, a potem, jakby dla kontrastu, na przyjęciu, tak jakby próbowała mi coś powiedzieć. Czuła taką samą potrzebę jak Neil, nie mogła przestać mówić o tym, jak bardzo był załamany, jak go to zmieniło. Być może było to spowodowane wypitym alkoholem, ale chciała, abym wiedziała, że Neil kochał Abi niezależnie od wszystkiego. „Niezależnie od wszystkiego” sugeruje, że coś się stało. To inny sposób, by mimo wszystko coś powiedzieć. To, i cała reszta, jest tym, czego nie jestem już w stanie dłużej roztrząsać z moim mężem. Bo on już nie jest moim mężem, nie całkiem, i niezależnie od tego, jakie argumenty i kontrargumenty padną jeden po drugim, to, że Jasmine rozpoznała zabawkę Abi, jest rysą na szkle, fałszywą nutą w akordzie. Ale wygląda na to, że tylko ja ją słyszę, ja, matka Abi, moje kości, moje ciało, moje serce związane z nią na zawsze.

Bezwiednie wracam do kuchni. Jeszcze rok temu mój telefon leżałby tu, na ladzie, ładowałby się i wypełniałby się powiadomieniami: Facebook, Instagram, WhatsAppowa grupa mamuszkowa Come-and-Play, która doprowadzała mnie do rozpaczyny niekończącymi się powiadomieniami

„odpowiedz wszystkim”: X nie da rady w ten dzień, bo ma Monkey Music; Y ma w ten dzień imprezę, jakaś szansa na inny termin? Niekończący się strumień informacji, których nie potrzebowałam, zwykła wymiana wiadomości wymagana tylko do tego, by utrzymać jakieś pozory życia towarzyskiego. Jeśli mam być szczerą, mój telefon doprowadzał mnie do szału. Dezorganizował mi życie, sprawiał, że stawało się niemal niemożliwe do przetrwania. Ale z drugiej strony to było moje jedyne połączenie ze światem w mojej macierzyńskiej samotni. W nocy, w tych ciemnych i cichych godzinach, gdy karmiłam Abi, bezmyślnie przewijałam posty na Facebooku, a później, kiedy budziłam się tak po prostu, żeby napić się mleka lub zjeść przekąskę o północy, gdy moje ciało nadrabiało własne żywieniowe zaległości, kiedy potrzeby Abi zostały już zaspokojone, siedziałam przez dziesięć minut w blasku Facebooka, śmiałam się z dowcipów, żartowałam z czyjegoś komentarza, odpowiadałam z otuchą komuś, kto miał wątpliwości, i tak, w tych chwilach czułam, że dzielę się czymś, co ma znaczenie.

Teraz nie mogę tego zrozumieć, jak moje życie mogło kiedykolwiek być zapisane w poście czy w komentarzu. Komentowanie pod czyimś postem było najprawdopodobniej tym, co robiłam, kiedy straciłam córkę. Teraz mam zwykły telefon, prawdziwą gangsterską cegłę. Nieczęsto na niego patrzę. Jest gdzieś w kuchni... ach, tu jest, w tej zabałaganionej szufladzie obok pojemnika z haczykami na zdjęcia, książkami ze znaczkami i wstążkami, które musiałam zachować z jakiegoś prezentu.

Włączam go i wyszukuję jego imię, zanim zdążę się zastanowić nad tym, co robię. Kiedy je znajduję, dociera do mnie, że to właśnie po to szukałam telefonu.

Cześć, wpisuję. Śpisz?

Cisza się przeciąga. Myję szklankę i odkładam ją do góry dnem na suszarkę. Już mam odpuścić i wracać do łóżka, gdy telefon zaczyna wibrować.

Wszystko OK? N

Nie, wszystko jest nie OK. Palec mi drży. Jestem bardzo zmęczona, ale wiem, że nie zasnę, dopóki nie porozmawiam z Neilem i muszę to zrobić twarzą w twarz, żebym mogła go obserwować, widzieć jego reakcję. Więc odpisuję:

Możesz się ze mną spotkać? Teraz?

Czekam. Kuchenny zegar tyka. Dwadzieścia po dwunastej. Lodówka buczy. Telefon wibruje.

OK. Gdzie?

Przed domem – za 5 min?

OK.

*

Neil idzie w moim kierunku z pochyloną głową, ręce ma wsunięte głęboko w kieszenie płaszcza. Ma gołe nogi, z wyjątkiem kraciastych spodenek od piżamy wystających spod kurtki. Na stopach ma swoje białe niki.

– Cześć. – Zatrzymuje się i drży. – Wszystko okej?

Patrzę w jego niebieskie oczy. Nie mam pojęcia od czego zacząć. To, co powiem, może zrujnować naszą przyjaźń na zawsze. To zdrada nas wszystkich, naprawdę, ale to, czego muszę się dowiedzieć, jest ważniejsze niż przyjaźń, ważniejsze niż małżeństwo, ważniejsze niż cokolwiek innego w moim życiu.

– Może się przejdziemy? – proponuję.

Wzrusza ramionami.

– Pewnie.

Mijamy dom Lovegoodów i idziemy w kierunku końca drogi.

– Nie spałam od czasu przyjęcia – zaczynam. – To znaczy, nie spałam zeszłej nocy i dzisiaj też nie mogłam zasnąć.

– Dlaczego?

Skręcamy w lewo, w Thameside Lane. Docieramy aż do kortów tenisowych, zanim dociera do mnie, że on czeka na moją odpowiedź.

– Matt i ja jesteśmy w separacji – mówię.

– O nie. – Zatrzymuje się. – Niemożliwe. Kochanie, jestem pewien, że teraz tak się czujesz, ale...

Podnoszę dłoń, uciszając go.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, i wiem, że chcesz dla nas dobrze, ale to sprawa pomiędzy mną i Mattem. Nie mogę być z kimś, komu nie ufam, nie po tym wszystkim przez co przeszliśmy. Potrzebuję kogoś, w kim mogę mieć oparcie. – Idę dalej, zmuszając go, by do mnie dołączył. – Myślę o wyprowadzce na północ. Nie rozmawiałam jeszcze z mamą, ale sądzę, że wprowadzę się do niej niedługo. Nie mogę tutaj zostać.

– Pewnie wiesz, co dla ciebie najlepsze – odpowiada po chwili, choć ani przez chwilę nie wierzę, że zaakceptował to, co powiedziałam, bardziej chodzi o to, że uważa kłótnię ze mną, w moim obecnym stanie, za bezcelową, co jest dla mnie jednocześnie frustrujące i przygnębiające. – To o tym chciałaś porozmawiać?

Przechodzimy na drugą stronę ulicy przy centrum sportowym.

– Myślałam o tamtym dniu – zaczynam ponownie. – Dniu, w którym Abi... Szczerze mówiąc, nigdy nie myślę o niczym innym. To tkwi w mojej głowie, wciąż i wciąż, nieustannie, wiesz? Nie wiem, czego się spodziewam. Może, że jeśli będę myśleć o tym wystarczająco dużo razy, sprawy przybiorą inny obrót. Abi nie zaginie albo zostanie znaleziona przez jakiegoś sąsiada, albo nie dotrze do rzeki, sama nie wiem. – Zdaję sobie sprawę, że gadam głupoty. Ale Neil nie okazuje zniecierpliwienia.

Dochodzimy do pubu o nazwie Fisherman Arms. Rzeka jest tuż za rogiem – niewidzialna siła, która nas do siebie przyciąga. Zastanawiam się, czy on też to zauważył. Jeśli tak, nie daje nic po sobie poznać.

– Przepraszam, że cię obudziłam – mówię w końcu. Muszę od czegoś zacząć.

– W porządku. Ja też nie najlepiej śpiam, jeśli mam być szczery.

Mówi to tak po prostu. Nie ma pojęcia, jak ja mogę zinterpretować jego bezsenność – jako podtekst poczucia winy.

– Chciałabym ci zadać kilka pytań.

Skrećamy za róg. W cieniu widać mały sklepik, na końcu uliczki, gdzie Abi rzekomo szła do kaczek i to tam spotkała się twarzą w twarz ze śmiercią. Siadamy na murku obok ścieżki i wpatrujemy się w płyciznę.

To tutaj umarła moja córka, myślę.

– Pewnie – zachęca mnie. – Możesz pytać mnie o wszystko, wiesz o tym. Biorę głęboki wdech.

– Tamtego ranka. Byłeś w domu, kiedy do was przyszłam. Dlaczego?

– Jak to, dlaczego? Dlaczego byłem w domu?

– Tak. – Wstyd pali mnie w policzki. Nie mogę na niego patrzeć. Ważność mojego pytania się rozplywa, ale jest już za późno, aby je cofnąć.

– Byłem u dostawców, żeby odebrać parę rzeczy. Czemu o to pytasz?

– Chyba... chyba odkrycie tego, że Matt mnie okłamał, przewróciło mi w głowie. Obawiam się, że pamięć może płatać mi figle, to wszystko, i pomyślałam, że może mógłbyś rzucić trochę światła na rzeczy, na które pewnie miałam wtedy jakieś wytłumaczenie, ale teraz nie pamiętam już

jakie, wiesz, o co mi chodzi? – bełkoczę, wiem to, ale naciskam dalej. – Po prostu... nie mieliśmy jeszcze okazji o tym porozmawiać. Aż do poprzedniej nocy. Dopiero na tym przyjęciu, kiedy Johnnie wspomniał, że zawsze przychodziłeś do nich bardzo wcześnie. Powiedział, że codziennie przychodziłeś, zanim wyjechali do pracy, więc to naturalne, że zastanawiam się, dlaczego akurat tamtego dnia nie przyszedłeś. – Przerzywam. Nie odważę się powiedzieć nic więcej.

Neil nie odpowiada, a ja pogrążam się dalej.

– Chodzi o to, że gdyby Abi zaginęła po tym, jak wyszli do pracy... – Głos mi drży. – A ty zawsze byłeś tam, zanim wychodzili... nie wiem... ja...

– Zastanawiasz się, dlaczego mnie tam nie było? Rozumiem. No cóż, teraz już wiesz. Pojechałem do dostawców, na Apex Corner. – Mówi bezbarwnym tonem. – Chcesz, żebym odszukał rachunki?

O Boże.

– O nic cię nie oskarżam, Neil. Próbuję tylko poskładać to w całość w świetle tego, że mój własny mąż... – Zapieram się w sobie, zdecydowana nie pozwolić, by przemówiły przeze mnie emocje, nie chcąc powiedzieć czegoś, czego będę żałowała bardziej, niż żałuję tego, że tutaj przyszłam. – Dlaczego powiedziałaś, że nie znałeś dzieci Lovegoodów?

– Tak powiedziałem?

– Tak. Zanim wyszliśmy na to przyjęcie.

Kąciki jego ust opadają, jakby nie miał najmniejszego pojęcia, do czego zmierzam.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam, żebym to mówił – przyznaje. – Ale nie znałem ich, naprawdę. Nie było ich przez cały dzień, a kiedy wracały z nianią, ja praktycznie już wychodziłem. Droczyłem się ze starszą kilka razy...

– Chodzi o to, że na przyjęciu tak gwałtownie zareagowałeś, kiedy Jasmine nazwała cię „kieszenie”...

– Nie, zareagowałem na to, kiedy Johnnie „Wrzód na tyłku” Lovegood nie mógł się powstrzymać przed powiedzeniem wszystkim, że dla niego pracowałem. I byłem już przewrażliwiony, bo w ogóle nie chciałem iść na tę pieprzoną pokazówkę, a Bella truła mi o tych wszystkich instalacjach i wyposażeniu... a my... jesteśmy teraz pod ogromną presją... zaprzętała mi głowę. Ale do czego ty tak w ogóle zmierzasz?

– Proszę, nie złość się. Matt mówi, że powinnam zaakceptować fakt, że Abi tamtego dnia umarła. Że utonąła. Prawdopodobnie właśnie tutaj. Ale to

takie trudne. – W oczach zbierają mi się łzy, czuję ten ból i kiedy znowu się odzywam, mój głos jest słaby, drżący. – To takie trudne, kiedy nie ma ciała. Trudno mi uwierzyć, że nikt, zupełnie nikt jej nie widział. Wiem, że zajęłoby jej to tylko pięć czy dziesięć minut, aby dojść tutaj, i wiem, że to było jeszcze, zanim ulice zaroily się od mam z dziećmi i tego wszystkiego, wiem, że jest to „prawie” możliwe, ale to wszystko. To jest „prawie” możliwe. A bez ciała to jest cholernie niesatysfakcjonujące.

– Myślałem, że ktoś ją widział.

– Nie mieli stuprocentowej pewności. Ten trop nic nie wniósł.

– Wiem, ale mogli ją widzieć i pomyśleć, że została w tyle albo że ty idziesz za nią. Czy to wszystko? Masz jeszcze jakieś pytania? Bo wiesz, rano muszę wstąpić. – Podnosi się.

Opieram się o murek i zmuszam do tego, by na niego spojrzeć. Ma uniesione brwi. Wygląda jak człowiek, który czuje, że zaraz straci ciepłotę, ale stara się to ukryć.

– Widziałam Jasmine dziś rano – mówię.

– Tak?

– Ona... rozpoznała Pana Leniwca. No wiesz, tę pluszową zabawkę, którą daliście...

– Wiem, o czym mówisz. Chryste, Ava, nie musisz mi tego wyjaśniać. – Jego ton się zmienił. Jest twardszy. – Powiedziałem Mattowi, że powinien był ją wyrzucić albo włożyć do pudełka z pamiątkami czy coś. Nie wiem, dlaczego chce, żeby miał ją Fred. Powiedziałem, że kupimy mu nową. To... nie wiem... trochę chore, jeśli chcesz znać moje zdanie.

– Wiem. Też tak uważam, ale... dlaczego Jasmine go rozpoznała? Skąd znała jego imię? Tamtego dnia... Lovegoodowie wyjechali z domu wcześniej, niż zaginęła Abi. Gdzie ona mogła go w ogóle widzieć?

Zamyka się w sobie. Kiedy wraca do mnie spojrzeniem, patrzy na mnie w sposób, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam – w taki sposób, w jaki patrzysz na kogoś, gdy całe uczucie do niego zniknęło.

Prawie niezauważalnie potrząsa głową.

– Wyciągnęłaś mnie z łóżka, żeby mnie o coś oskarżyć? – Niemal szepcze. – O to chodzi? Co, do diabła, myślisz, że zrobiłem? Porwałem moją własną chrześnicę? Uważasz, że ukrywam ją w swojej szopie? Chryste, Ava, myślisz, że jestem...

– Nie! Boże, nie! – Krew pulsuje mi w głowie.

– Myślisz, że ją sprzedałem? Tak myślisz? Bo dobrze byłoby, gdybym wiedział, wiesz, o co mi chodzi? Żebyśmy mieli jasność, że chociaż wszystko przeszukano i psy obwąchały mój dom, moją szopę i moją furgonetkę, wzięto ode mnie odciski palców jak od jakiegoś kryminalisty, chociaż policja o nic mnie nie podejrzewała, chociaż zrobiłem wszystko, co mogłem. Ty, jedna z moich najlepszych przyjaciółek, myślisz, że miałem z tym coś wspólnego. Chryste, Ava.

Zalewam się łzami.

– Przepraszam. Jestem w rozsypce, wiem o tym, ale muszę sobie to po prostu poukładać w głowie, jeśli mam mieć jakąkolwiek szansę, żeby odpuścić, żeby dać jej odejść, rozumiesz? Muszę zaakceptować to, że odeszła na zawsze, ale problem w tym, że nawet pójście na to przyjęcie odczułam jako zdradę, jakbyśmy byli gotowi choćby rozważyć dobrą zabawę bez niej, rozumiesz? Czuję, jakbym ją opuściła. Jak mogłabym to zrobić? A potem Bella powiedziała, że szukałeś jej przez całą noc. A to nieprawda. Przyjechałeś do domu o północy. Z Mattem. Nie szukałeś jej przez całą noc, więc dlaczego ona tak powiedziała?

– Przyprowadziłem Matta o północy. – Ma zachrypnięty z irytacji głos i wyciąga przed siebie dłonie z rozcapierzonymi palcami. – Przyprowadziłem go do domu i wiesz, co zrobiłem potem? Wiesz? Zgadnij, no dawaj. Znowu poszedłem jej szukać. Wróciłem tam i szukałem jej. – Z ust wylatuje mu ślina. Im więcej mówi, tym bardziej robi się nerwowy, jak gdyby z każdym słowem docierało do niego to, o co go pytam. – Sam. Sam, tak? Ostatni wojownik, to ja. Nikt nie starał się bardziej niż ja, Avo, nikt. Starałem się bardziej niż jej własny, pieprzony ojciec.

Piekące uczucie przepływa przez całe moje ciało, ale jest już za późno, za późno, za późno. Nigdy nie powinnam była do niego pisać. Jest naszym najbliższym przyjacielem. Mój Boże, co ja zrobiłam?

– Szukałem jej całą pieprzoną noc – mówi, wyrzucając w rozżaleniu rękę do góry. – Rozpaczliwie chciałem ją znaleźć, okej? Nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę, że mnie o to pytasz. Jasmine prawdopodobnie widziała tę zabawkę jakiegoś innego dnia albo tego popołudnia, albo coś. Nie wiem. Nie wiem, skąd go znała, okej? Ale to nic nie znaczy. Ta dziewczyna jest niepełnosprawna umysłowo, na litość boską. Zastanów się nad tym, co ty mówisz, Avo!

Moje serce wypełnia się głębokim żalem. Nigdy nie powinnam tak myśleć. Nigdy nie powinnam wypowiadać tych myśli na głos.

Szlocham w dłonie. Z nosa mi cieknie, nic nie widzę przez łzy.

– Po prostu nie mogę przestać o tym myśleć. Nie mogę tego znieść, Neil. Nie mogę znieść tej niewiedzy. A teraz straciłam Matta i oskarżyłam ciebie, naszego przyjaciela, naszego najlepszego przyjaciela i po prostu chciałam.... chciałam nie mieć Freda. Nie zasługuję na niego. Kocham go, ale on nie powinien być zmuszony do posiadania kogoś takiego, jak ja, za matkę. Jestem wrakiem. Nie zasługuję na niego. Nie jestem wystarczająco dobra, nie jestem wystarczająco dobrą matką dla niego... dla żadnego dziecka. Gdzie jest Abi, Neil? Gdzie ona jest? Gdzie jest moja córeczka? Chcę moją małą dziewczynkę.

Gapię się na wodę. Widzę siebie i Neila na tym murku. Widzę ulice, wszystkie ulice, którymi chodziłam z Abi, szkołę, do której ją zabierałam, parki, które odwiedzałyśmy, sklepy, do których wpadałyśmy po drodze do domu. Widzę pochylnię, teraz, tuż przede mną. Widzę śluzę. Widzę księżyc odbijający się w czarnej wodzie jak biały jedwabny szalik. Czy to jest grób mojej córki? Ta czarna rzeka? Czy ona jest właśnie tutaj?

A potem biegnę. Biegnę w stronę rzeki.

Rozdział 28

Ava

Mokry uścisk rzeki. Woda wpełza na moje kostki, moje łydki, moje kolana. Wsiąka w brzeg mojej koszuli nocnej.

– Ava!

Ramiona Neila zaciskają się na mojej klatce piersiowej. Chwieję się. Wpadamy do głębszej wody. Moja głowa się zanurza. Podnosimy się, kaszląc i prychając. Neil mnie trzyma, trzyma mnie blisko siebie, wciąga mnie na pochylnię, na płyciznę. Sapiemy, dyszymy. Niebo ciemnieje, księżyc chowa się za chmurą. Woda łagodnie chlupocze przy brzegu.

Odsuwamy się od siebie, oboje siedzimy przemoczeni w zimnej wodzie.

– Ava, na litość boską. – Mocno chwyta mnie za dłonie.

– Puść mnie! – Próbuję się mu wyrwać. – Puszczaj!

– Nie ma szans.

– Puść. Już po wszystkim. Nie mam nic. Nic mi nie zostało. Chcę moją córkę. Chcę do niej iść.

Zapieram się całą sobą i odsuwam się od niego, wbijam pięty w grząskie, śliskie podłoże. Udaje mi się uwolnić jedną rękę. Sięgam do rzeki, ale w tym dziwnym tańcu, Neil przyciąga mnie znowu do siebie i trzyma mnie mocno w ramionach, zbyt mocno. Bolą mnie zębra.

– Ava, daj spokój. Nie bądź głupia. Masz Freda. Masz Matta. Wiem, że tak nie myślisz, ale to prawda. On cię kocha. Nadal masz rodzinę, to więcej niż... to więcej niż wystarczająco. Matt cię kocha. Kocha cię bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Siecie, myślę. Tak Neil wymawia słowo „świat”. Jestem przemoczona. Siedzę w Tamizie. Najlepszy przyjaciel mojego męża mówi siat, nie „świat”. May siat. Mały świat.

Zaczynam się śmiać.

– Ava? – Puszczą moją rękę, ale trzyma mnie za przedramię. Wygląda na przerażonego. Mną.

– Walczyłeś ze mną jak prawdziwy zawodnik rugby – mówię i śmieję się, śmieję się, śmieję się. Śmieję się ze wszystkich sił i nie mogę przestać. Moje kości zamieniły się w galaretkę. Jestem jak szmaciana lalka rzucona w ką. Jestem Panem Leniwcem w błocie, a zgniłe liście pokrywają moją głowę.

Chcę się położyć na wodzie. Chcę odpłynąć.

– Ava. – Błagalny szept. – Ava, wyjdź, kochana. Wyjdź z wody. Proszę. Pozwalam mu wziąć się za rękę. Pozwalam mu się podnieść.

Otrzeźwiona szokiem siadam na murku. Założył mi na ramiona swoją kurtkę. Jest sucha. Musiał ją zdjąć, zanim wbiegł za mną do wody. Śmiech. Płacz. Jestem jednym i drugim. Nie jestem żadnym z nich.

Neil stoi przede mną. Podaje mi rąbek swojej koszulki. Pod spodem sterczy jego piwny brzuch, jego gruby, masywny tors.

– Proszę.

Zanurzam twarz w jego koszulce, wycieram nią nos i oczy.

Po chwili siada obok mnie.

– Świruska – mówi.

Zapada między nami cisza. Nie mam pojęcia, co czuję, poza wkradającym się we mnie poczuciem zażenowania, koniecznością zapomnienia o tym, co się właśnie stało. Zachowałam się niedorzecznie. Paranoja sprawiła, że zachowałam się jak wariatka. Neil jest naszym najlepszym przyjacielem, na litość boską.

Grupka nastolatków przechodzi hałaśliwie przez kładkę. Powietrze wypełnia się zapachem trawki. Czekamy, aż przejdą, żadne z nas nie chce zwracać na siebie uwagi.

– Jen powiedziała, że wróciłeś po Bellę w nocy – mówię, jakbyśmy wracali do zupełnie normalnej rozmowy, którą prowadziliśmy kompletnie przemoczeni, siedząc w miejscu publicznym, na murku, o północy.

– Pokłóciliśmy się – odpowiada. – Była wściekła. Ostatnio ciągle się cholernie wścieka.

Wzruszam ramionami.

– Zawsze lubiła imprezować. Dlatego ją kochamy.

– Wiem, ale to... ona... ostatnio ona... my... – Unosi dłoń do czoła.

– Neil? Co?

– Pije, żeby sobie z tym poradzić.

– Poradzić? Z tym, co stało się z Abi?

Potrząsa głową.

– My... mieliśmy in vitro. Nikt nie wie. Nawet Matt.

W głowie mi dudni. Czuję, że brakuje mi tchu.

– Och, Neil – wyduszam z siebie. – Tak mi... Tak mi przykro. Czy wy... to znaczy, dawno to było?

– Pierwszą próbę mieliśmy w zeszłym roku. Niedługo przed tym, kiedy zniknęła Abi, straciliśmy... straciliśmy... Bel... ona nie mogła tego znieść, wiesz? Była w rozsypce, a ja nie mogłem... nie mogłem nic z tym zrobić.

– Och, Neil, tak mi przykro. Kiedy... kiedy straciliście...?

Wzdycha.

– W sobotę. U was byliśmy w niedzielę.

– W sobotę? O mój... a my wam powiedzieliśmy, że się spodziewamy... Och, Neil. – Próbuję go do siebie przyciągnąć, ale wykręca się z mojego uścisku. – To musiało być strasznie trudne.

Teraz ich reakcja na nasze nowiny staje się zrozumiała. Nie było nic, żadnej przesłanki, ale wyczułam to.

– Potem mieliśmy jeszcze jedną. Kilka miesięcy temu.

Obejmuję go ramionami, najlepiej jak potrafię, moje myśli wypełniają się wspomnieniami tego, jaki był zeszłej nocy, taki nieobecny – chodziło o Abi, tak, ale miał o wiele więcej spraw na głowie niż to.

– Biedna Bella – mówię.

Nic dziwnego, że trzymała się na dystans. Widok Freda musiał rozdzierać jej serce. Wszystko, wszystko w ich zachowaniu w ciągu tego ostatniego roku nie było takie, jak myślałam.

– Nic jej nie mów, dobrze? – mówi Neil, wstając i szcękając zębami. – Powiedziałyby ci, ale miałaś już dość swoich spraw na głowie. Nie chcieliśmy was jeszcze tym obarczać.

Ja też wstaję. Chcę mu oddać kurtkę, ale potrząsa głową.

– Mogliście nam powiedzieć – odzywam się. – Nie odebralibyśmy tego w ten sposób. Jesteśmy przyjaciółmi. I wiem, że to, co przydarzyło się nam jest... ale to nie znaczy, że nie mamy miejsca dla...

– Wiem, ale... wiesz, o co mi chodzi. A poza tym powiedziałem ci teraz. Chodźmy do domu, zanim zamarzniemy na śmierć, co?

Idziemy do domu wolnym, cichym krokiem, trzęsiemy się na opuszczonej, oświetlonej ulicy. Neil zarzuca na mnie ramię. Mówi. Mówi i mówi, snuje narrację o moim życiu w ostatnim czasie. Podejrzewam, że chce, bym wróciła do swojego życia, żeby wróciła mi chęć do tego, aby żyć.

– Matt to dobry facet – mówi. – Najlepszy. Wiem, że to, co zrobił, było złe, ale jesteś dla niego wszystkim, ty i Fred. Abi też była dla niego wszystkim. – Jest dobrym rozmówcą, biznesmenem, zwykłym chłopakiem. Wiem, że mną manipuluje. Słyszę to w jego spokojnym, niemal hipnotyzującym tonie głosu. – Nie osądzaj go przez to, co zrobił tamtego dnia, Avo. Co się stało, to się nie odstanie, a wszyscy panikowali, nie? Wszyscy. On tylko chciał chronić to, co miał. Wszyscy chronimy to, co mamy, czyż nie? Musimy dbać o to, co nasze. To wszystko, co każdy z nas może zrobić. Budujemy swoje zamki i musimy ich bronić, nie? Proce i strzały, bez względu na wszystko. On jest taki jak ja, nie dostał wszystkiego na złotym talerzu, wiesz? On ma wiedzę, a ja uliczny spryt, ale obaj ciężko pracowaliśmy na to, co mamy, więc co on ma z tym zrobić, rzucić to wszystko? Zrób to dla mnie i wybacz mu, Avo. Jaką masz alternatywę? Zrobił, co zrobił, jesteśmy, gdzie jesteśmy, a rozstanie się z nim nie przywróci Abi.

Nawet jego chód jest twardy, myślę, próbując dotrzymać mu kroku i zastanawiam się, jak to musi być, chodzić takim mocnym krokiem, być takim facetem. Facetem, który troszczy się o wszystkich, który naprawia rzeczy i znajduje rozwiązania. Ale co się stanie, gdy nie będziesz mógł zadbać o wszystkich? Kiedy nie będziesz mógł tego naprawić, znaleźć rozwiązania? Co wtedy? Co się wtedy stanie?

Rozdział 29

Matt

Pojedyncze łóżko jest niczym dziwny kaftan bezpieczeństwa. Widzi biały klosz na tle białego sufitu, powyginany jak origami. Nie powinien był tu zostawać. Miał nadzieję na pojednanie, ale nie nadeszło. Powinien był się wyprowadzić zeszłej nocy. Musi wyjść, jeśli kiedykolwiek ma wrócić; teraz o tym wie. Ale jak zwykle nie zrobił tego, co powinien. Nie działał uczciwie. W ogóle nie działał. A teraz jest tutaj, w pokoju gościnnym, myśląc o czerwonej twarzy swojego ojca, jego wzroście, jego ściskającym wnętrzości ryku.

– Po prostu się przyznaj, chłopcze! – krzyczy w jego pamięci ojciec, prosto do ucha, swoim nosowym manchesterskim akcentem. – Kłamstwo tylko pogorszy sprawę. Przyznaj się, na litość boską!

Ma sześć lat. I choć minęło tyle czasu, Matta zaczynają szczypać oczy, jego ciało również pamięta i zaczyna płonąć. W wieku sześciu lat być zakrzyczanym w ten sposób przez dorosłego mężczyznę. I za co? Nie pamięta. Nie może sobie przypomnieć. Zostawił rower na deszczu. Nie pomógł matce przy sprzątanii. Dostał słabą ocenę w szkole.

Rzecz w tym, że nie może tego pamiętać, bo nie ma takiej rzeczy, którą sześciolatnie dziecko mogłoby zrobić, co mogłoby uzasadnić aż taką furję, trwające tygodniami ciche dni, całkowite odrzucenie i ignorowanie, które ciągnęło się przez wiele dni, w których jego żołądek był boleśnie ściśnięty, aż w końcu jego ojciec odezwał się do niego jakimś miłym słowem lub zażartował, i Matt poczuł, że jego płuca robią się lekkie, w jego żyłach na nowo zaczyna krążyć krew, jego serce zwalnia, że w końcu skończyły się kłopoty.

Dlatego właśnie powiedział to Neilowi tamtej nocy. Po prostu musiał to komuś wyznać, podzielić się tym i poczuć ulgę. Teraz myśli, że prosił wtedy o rozgrzeszenie.

– Po prostu wpadłem i zdjąłem go z wieszaka – powiedział, gdy stali tam w blasku księżyca w ulewnym deszczu. – Byłem tam dwie czy trzy sekundy. Dosłownie sekundy. Wziąłem go, no wiesz, i potem... potem pomyślałem, że Ava zaraz zejdzie na dół. Nie zastanawiałem się nad tym. Pomyślałem, że za dwie sekundy zejdzie, więc nie warto było wracać z powrotem.

Ten okropny moment, kiedy Neil zdawał się to rozważać, kiedy jego los ważył się na szali, jakby jego przyjaciel miał wydać druzgocący, ostateczny wyrok, po którym Matt byłby zmuszony wrócić do domu, do swojej żony i powiedzieć jej, że jest za to odpowiedzialny, powiedzieć jej i patrzeć, jak całe jego życie obraca się w ruinę. Mógł tylko czekać z zapartym tchem, gdy jego przyjaciel usiłował mruganiem powiek osuszyć wielkie krople deszczu, które wciąż spływały mu z czoła na twarz. Miał ochotę mu wykrzyknąć, żeby coś powiedział, cokolwiek, aby poczuł się mniej nieszczęśliwy, ale wtedy, w końcu, o Boże, w końcu Neil położył swoją dłoń na jego ramieniu i potrząsnął głową.

– Okej, stary – powiedział. – Wszystko jest w porządku.

– W ogóle o tym nie myślałem. – Matt nie mógł powstrzymać słów, które cisnęły mu się na usta. – Ale kiedy zadzwoniła i powiedziała, że Abi zaginęła, już wiedziałem. Po prostu wiedziałem. A potem, kiedy wróciłem, ona była przekonana, że to jej wina, a ja nic nie powiedziałem. Nie przyznałem się wtedy, Nee, wtedy, kiedy powinienem. Chciałem, ale to wszystko było... było takie... a potem ta chwila minęła. To była moja szansa. Chciałem powiedzieć jej później, kiedy znajdziemy Abi. Myślałem, że zaraz ją znajdziemy, naprawdę tak myślałem, ale potem to wszystko... no i nie znaleźliśmy jej, nie znajdziemy jej, jest już za późno. Jest za późno, żeby jej powiedzieć, prawda? Jak mam jej to kiedykolwiek powiedzieć? Nie mogę jej stracić, wiesz, o czym mówię? Ona ode mnie odejdzie. Wszystko stracę. Stracę i ją, i dziecko.

– Dziecko? – Na twarzy Neila malowała się dezorientacja, ale po chwili zrozumiał. – Ach, chodzi ci o ciążę?

Matt poczuł, że nogi ma jak z waty. Już po chwili Neil musiał go podtrzymywać.

– Posłuchaj mnie – powiedział zachrypniętym głosem. – Więc zostawiłeś otwarte drzwi. I tak, powinieneś być jej powiedzieć. Ale wypadki się zdarzają, również takie gówniane jak ten. Nic nie powiedziałeś, okej. Nic. Wszyscy robimy bezmyślne rzeczy. To się nazywa być człowiekiem, tak?

Popelniamy błędy. I żałujesz tego, oczywiście, że żałujesz. Ale przyznanie się do tego nic ci nie da. Nie zmieni tego, co się stało. I ktokolwiek zostawił otwarte drzwi, nie porwał Abi, więc o co chodzi?

– Myślisz, że ktoś ją porwał? Tak właśnie myślisz? Tak?

Neil potrząsnął głową.

– Wcale tak nie twierdzę, stary. Mówię tylko, że to nie ty ją porwał, jeśli została porwana. Ty jej nie skrzywdziłeś. Ty nic jej nie zrobiłeś. Czy nie powiedziałeś Avie, żeby się nie obwiniała?

– Tak, ale tylko dlatego, że ja wiem, że ona zamknęła te cholerne drzwi. Bo musiałem je otworzyć, żeby wziąć płaszcz... O mój Boże, co ja mam zrobić? Zabiłem naszą córeczkę, Neil. Zabiłem ją.

– Dobra. Dobra. Przestań. Nie wiesz tego i to, co mówisz... to jest zbyt mocne. Posłuchaj mnie. Kochasz Avę, tak? I masz rację. Nie będziesz mógł się nią zająć, nią i dzieckiem, jeśli jej powiesz, nie teraz. Ona odejdzie albo może odejść, i co ci to da? Nic. I dla niej to też będzie okropne. Zostanie sama. Będzie zdruzgotana. Więc nie rób tego. Nie mów jej. Nie mów jej, stary. Niczego tym nie osiągniesz. Słuchasz mnie? Co się stało, to się nie odstanie i nikt z nas nic nie może na to poradzić. A kiedy to wszystko się skończy, kiedy będzie już po wszystkim, będziecie mieć to dziecko i we dwoje będziecie najbardziej zakochaną parą na tej planecie. – Neil ścisnął go mocno za ramiona. – Spójrz na mnie. Popatrz na mnie, stary. – Matt zmusił się, by podnieść wzrok. – Posłuchaj. – Oczy Neila były jasne i czyste. Skupione. – Powiedziałeś mi i to wystarczy. Na tym koniec. Nie ma policji, nie ma Avy, nikogo. To koniec. Nasz sekret. Będę cię krył. Rozumiesz mnie? – Usprawiedliwienie. Rozgrzeszenie.

Światło z plastikowego origami rozplywa się na suficie. Pakt, który zawarli tamtej nocy, nie zadziałał. To było złe, a teraz i tak wszystko wyszło na jaw. Jego córka nadal jest zaginiona, prawdopodobnie utonęła, a przede wszystkim jego małżeństwo jest skończone i choć nie obwinia o to Neila, bo doskonale rozumie, dlaczego musiał jej w końcu powiedzieć, to stare poczucie niesprawiedliwości spala go od wewnątrz. Po prostu się przyznaj, chłopcze. Kłamstwo tylko pogorszy sprawę. To nie jest i nigdy nie było fair. Jak w wieku sześciu lat mógł się przyznać do czegoś, do czegokolwiek, wiedząc, że kara będzie sroga, że już została na niego nałożona? Tak, tak, jego ojciec miał rację – gdyby tylko się przyznał do... cokolwiek to było, gdyby wziął odpowiedzialność i przeprosił, obiecał, że więcej tego nie robi, dużo szybciej wyszedłby z kłopotów – tak, tak, tak.

Ale był dzieckiem. I co najważniejsze – bał się. Panikował, zawsze panikował. Panika stała się jego nawykiem, zakorzeniła się w nim, stała się tak instynktowna, jak ucieczka przed niebezpieczeństwem. Odruch.

Nieważne jak bardzo Ava starała się pomóc mu to zrozumieć, nie potrafił powstrzymać się od powtarzania tego schematu. I w końcu, w najważniejszym momencie jego dorosłego życia, instynkt wygrał. Nie potrafił wziąć odpowiedzialności. Powtórzył ten wzorzec, kłamiąc przez zaniechanie, pozwalając żonie brać winę na siebie i to każdego dnia, nawet wtedy, gdy widział, że się rozpada. Kłamiąc, miał nadzieję, że uniknie gniewu Avy i wreszcie, jej odrzucenia. Kłamiąc, miał nadzieję na zachowanie życia, bo przecież nad jego zbudowaniem tak bardzo się napracował – jego zamku, jak powiedziała by Neil. Ale kiedy leży teraz tutaj, w ciemności, Matt wie, że pod tym wszystkim kryje się najprostsza prawda, że wszystko sprowadza się do jednego – w obawie przed karą, odruchowo chciał chronić przede wszystkim... siebie.

Rozdział 30

Matt

Wychodzi wczesnie do pracy, żegnając się zdawkowo z Avą, która przebiera Freda na przewijaku. Po południu dzwoni do niej na telefon stacjonarny i trzy razy na komórkę, ale żona nie odbiera. Próbuje ponownie, co godzinę, ale nic z tego. Jej milczenie jest okropne. To oczekiwanie jest straszne. To koszmar, niespokojny stan zawieszenia.

O wpół do piątej łapie się na tym, że nic dzisiaj nie zrobił, nie wykonał żadnej pracy, mimo że nie miał przerwy na lunch, nie trwonił czasu na czczych pogawędkach przy ekspresie do kawy. Wiedząc, że Ava musi być w domu, pisze SMS-a:

Hej. Możemy pogadać? Xx

Nic.

Czuje, że spada, w ostatniej chwili powstrzymuje się przed uderzeniem głową w biurko. Podpierając się rękami, kładzie czoło na twardej, szklanej powierzchni. Cieszy się, że ma swój prywatny gabinet. Powinien zostać i dokończyć szkice fasady sklepu w Aldgate, żeby jutro z samego rana przekazać je zespołowi, ale nie ma sensu, by nawet próbował. Jego mózg wije się niczym larwy, jego serce to masa trzeszczących odłamków. Ava straciła zmysły i to jego wina – on jej to zrobił. Wie, że jej serce będzie tak samo złamane jak jego i przede wszystkim on jest za to odpowiedzialny. W tych długich godzinach rozmyślań dotarło do niego, że zdradził ją nie tylko tamtej nocy, lecz każdego dnia, który po niej nastąpił. Za każdym razem, gdy walczyła, mógł podać jej pomocną dłoń. Mógł ją wyciągnąć z tych ruchomych piasków. Ale nie zrobił tego. Nie zadziałał. Nie to, co zrobił, ale to, czego nie uczynił, jest niewybaczalne. Gdyby się nad tym zastanowił, wiedziałby o tym. Neil nigdy nie powinien się na to godzić, nie mówiąc już o zaoferowaniu mu wsparcia. Neil, w którego domu będzie musiał dzisiaj nocować.

Wibracja. W końcu odpisała, ale słowa dźgają go prosto w serce.

Nie mamy, o czym rozmawiać. Proszę, nie utrudniaj tego. Skontaktuję się z adwokatem. Im wcześniej się z tym pogodzisz, tym mniej bolesne to będzie dla nas obojga.

Jak szybko przeszli od tego, gdzie byli – dwoje ludzi, którzy się kochają – do tego co teraz, cokolwiek to jest.

Odpisuje:

Przepraszam. Mogę chociaż przyjść i zabrać parę rzeczy? X

Oczywiście. Powinniśmy zachować neutralną relację dla dobra Freda. Musimy myśleć o jego przyszłości.

Brakuje mu tchu. Boże, formalności. Czyta w kółko tę wiadomość i czuje wielki ciężar w sercu. To tak, jakby ona była kimś, kogo chciałby poznać, ale kto jest dla niego nieosiągalny. Pamięta, jak myślał o niej, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, na imprezie w Islington, w domu klienta. Spotykała się wtedy z kimś innym. Była trochę wstawiona i grała na pianinie, a kiedy do niej zagadał, był zaskoczony, że ona, podobnie jak on, pochodzi z okolic Manchesteru.

– Świetnie grasz na pianinie – powiedział jej, gdy tylko zamknęła z hukiem klawiaturę, wywołując tym falę pijackich okrzyków domagających się bisu. Znaleźli się w zadymionej kuchni. – Mogłabyś dawać występy w salach koncertowych.

Potrząsnęła głową.

– Trema. Strach przed sceną. Jestem nauczycielką w szkole podstawowej. Postaraj się nie okazywać rozczarowania.

– Nie ma w tym nic rozczarowującego. Grasz dla dzieci? Założę się, że cię uwielbiają.

– Powinieneś pogadać z moją matką. – Przewróciła oczami. Głowa jej się lekko kiwała, a policzki zarumieniły. – Marnotrawstwo. Marnowanie talentu.

– Dzielenie się swoim talentem, nie oczekując uznania, nie jest marnotrawstwem.

Tydzień później klient dał mu jej numer. Kolejny tydzień później zadzwonił do niej, nie mając wielkiej nadziei na sukces, i był zachwycony, gdy się zgodziła – tak, pewnie, pójdzie z nim na kolację.

Zabrał ją do małej, ciemnej restauracji w Soho. Wydawała się taka wyrafinowana i on też chciał na takiego wyglądać, ale przy kolacji przyznał się, że nie wie nic na temat muzyki klasycznej.

– Moi rodzice pochodzą z klasy robotniczej – powiedział jakby gwoli wyjaśnienia.

– A czy muzyka klasyczna jest zarezerwowana tylko dla klasy średniej? – zapytała, błyskając oczami. – Według kogo?

Poczuł, że się rumieni i cieszył się, że w pomieszczeniu panuje półmrok.

– No nie, ja, to znaczy...

Roześmiała się.

– Mój dziadek był robotnikiem, jak to mówią, ale zapisywał nuty na kawałku tektury i sam uczył się grać na pianinie po ojcu. Uprawiał jabłka i rabarbar w ogródku przed swoim domem i strugał z drewna mebelki dla moich lalek. Wszyscy ze strony mojego ojca grali na pianinie. Zawsze gromadzili się wokół niego w święta Bożego Narodzenia i śpiewali. Jeden z moich wujków dostał ataku serca i padł na klawisze. Wszyscy się śmiali, bo myśleli, że on żartuje. To taka rodzinna anegdota. – Uśmiechnęła się z miną, która wskazywała na to, że jeszcze nie skończyła. – Moja mama też pięknie grała, często grywała mi Sonatę Księżycową do snu. Mój tata lubi gotować, robi swoje własne pesto, piecze chleb. Oboje skończyli szkołę w wieku szesnastu lat. Zaraz po ślubie nie mieli nic poza maleńkim mieszkankiem, a jedli na pralce, bo nie mieli stołu. Ale muzyka klasyczna zawsze mnie otaczała, gdy dorastałam. Naprawdę, ludzie mają dziwne spojrzenie na to, jacy w rzeczywistości są ludzie z klasy robotniczej. Spójrz na siebie. Chodziłeś do państwowej szkoły, prawda? A teraz jesteś architektem, na miłość boską. Co za dziwak, co nie?

– Nie, ale mój najlepszy przyjaciel już tak. – Roześmiał się i dolał wina do kieliszka, zastanawiając się nad tym, co powiedzieć. – Przepraszam. – Tylko to przyszło mu do głowy. – Źle założyłem. Chyba bałem się, że nie będziemy mieli ze sobą za dużo wspólnego.

– Nie musimy mieć dużo wspólnego. Musimy tylko mieć to, co najważniejsze. Wartości. Rozróżnienie tego, co jest dobre, a co złe. I oboje się boimy, więc to już coś.

– Boimy się?

– Ja boję się sceny, a ty boisz się... no cóż, mnie, w tej chwili. – Wybuchnęła śmiechem. – Żartuję. W każdym razie słucham też innej muzyki. Uwielbiam Bruce'a Springsteena.

– Ja też. – Oparł się na krzesło. Już wiedział, że jest w tarapatkach. Zakochiwał się.

Nie zasługuję na nią, myślał wtedy.

Nie zasługiwał. Nie. I udowodnił to.

Teraz wsłuchuje się w jej zimne słowa, przeczesując włosy palcami. Miała rację. Zawsze się bał. Bał się ojca, bał się szkolnych rozrabiaków, bał się sukcesu. Jest tchórzem. Ale ona o tym wiedziała, a i tak za niego wyszła. Miała nadzieję, że się zmieni, to właśnie powiedziała mu podczas tej strasznej kłótni po imprezie. Jak to się mówi? Mężczyźni poślubiają kobiety, mając nadzieję, że one się nie zmienią, ale one się zmieniają. Kobiety wychodzą za mąż, mając nadzieję, że oni się zmienią, ale oni się nie zmieniają. I on się nie zmienił.

Odpisuje:

Oczywiście. Przyjadę po rzeczy po pracy. Przepraszam, Avo. Naprawdę.

Nie odpowiada.

Matt czeka.

Nic. Nie ma nic do powiedzenia. „Przepraszam” nie wystarczy.

Rozdział 31

Matt

Ava siedzi w salonie i ogląda telewizję, Fred śpi w kołysce u jej stóp. Przez te ostatnie kilka miesięcy nienawidził jej widoku w takim stanie, siedzącej bez życia przed telewizorem zamiast bycia dynamiczną, bycia dawną Avą, kobietą, którą poślubił, która grała Scott Joplin na pianinie, a Abi tańczyła wokół salonu ubrana w różową spódniczkę i ze skrzydełkami zamocowanymi na plecach.

– Patrz, tatusiu. – Kręciła się w kółko z rozpostartymi ramionami, święcie przekonana, że jest baleriną. Przebiegała w podskokach przez całą długość salonu, okrążała pianino i wracała w okolice kanapy. To tam usadziła ich detektyw Farnham, by im powiedzieć, że znaleźli płaszczyk Abi. Teraz śpi tu Fred, u stóp swojej matki. Ava, jego ukochana Ava...

– Cześć – wita się, bębniąc palcami we framugę.

– Cześć. – Szybki rzut oka i od razu wraca do ekranu telewizora.

Czeka dłuższą chwilę, ale w końcu dociera do niego, że nic więcej się nie wydarzy.

– Pójdę i spakuję kilka koszul – mówi w końcu. Proszę, nie każ mi tego robić. Proszę.

– Dobrze.

Jak długo stał tam jeszcze, wpatrując się w tył jej głowy, modląc się, by się odwróciła i ze łzami w oczach powiedziała, że mimo wszystko może mu wybaczyć? Tak bardzo chciałby rzucić się do jej stóp, obiecać jej, że razem przejdą przez to wszystko, ale instynkt podpowiada mu, ona też mu to powiedziała, że to nie jest dobry moment, że może nigdy nie nadejść. Prośenie teraz o wybaczenie byłoby poniżeniem.

Więc zostawia ją. Na górze pakuje trochę koszul, bielizny, skarpetek, zapasową parę spodni i kilka przyborów toaletowych – na myśl o tym, jak banalne są te przedmioty, wzbiera w nim gorycz, gdy pakuje je do sportowej torby – do torby, na litość boską. Wraca na dół do swojej

nieruchomej jak posąg żony – zapatrzonej lub, co bardziej prawdopodobne, wpatrzonej w ekran z determinacją, by nie musieć patrzeć na swojego żalosnego męża i jego płacziwe wymówki.

– No to idę – mówi pogodnie.

I wtedy w końcu się odwraca. Ale to, co ma do powiedzenia, szokuje go do głębi.

– Wiedziałaś, że Bella i Neil starają się o dziecko?

– Co? – Matt upuszcza torbę na podłogę. – Kiedy się dowiedziałas?

– Wczoraj w nocy.

– Jak to wczoraj w nocy?

Unosi podbródek. Lekko opuszcza powieki.

– Byłaś w łóżku. Ja nie mogłam spać. Napisałam SMS-a do Neila koło północy.

– Dlaczego?

– Bo musiałam zapytać go o to, dlaczego Jasmine rozpoznała Pana Leniwca.

– Och, Ava. – Przepełnia go smutek.

– Przestań to ciągle powtarzać. – Jej głos jest twardy jak stal.

– Neil mówił, że czekają, aż rozkręci biznes – mówi, usiłując odciągnąć ją od tematu tego przeklętego Pana Leniwca, zabawki, której żałuje, że nie wyrzucił.

– No cóż, zdecydowali się na in vitro.

– Co? – dziwi się Matt. – Od kiedy? Czekaj, wróc, o północy? SMS-owałeś z Neilem o północy?

– Właściwie to się spotkaliśmy. Poszliśmy na spacer do śluzy.

Wgapia się w nią. Podbródek nadal ma uniesiony wysoko, powieki nadal półprzymknięte. Jest jego żoną, ale teraz nie ma pojęcia, kim ona jest.

– Spałeś – mówi, a w jej głosie słyszy nutę przekory.

Potrząsa głową, zmusza się do tego, by zachować spokój, a przede wszystkim nie krzyczeć.

– Neil nie ma nic wspólnego z Abi, dobrze o tym wiesz. Wiesz o tym, Ava.

– Myślałam, że znam ciebie, ale myliłam się, prawda?

Dobrze powiedziane. Zamyka oczy i trzyma je zamknięte przez kilka sekund.

– Dzień przed zniknięciem Abi – kontynuuje jego żona, cała spięta – pamiętasz, tamtej niedzieli, kiedy powiedzieliśmy im, że jestem w ciąży?

No więc dzień wcześniej oni stracili dziecko. To znaczy ciężę, rozumiesz? Mieli in vitro. I to samo powtórzyło się kilka miesięcy później.

– O mój Boże. – Matt dotyka ręką czoła. Przez chwilę nie może mówić. Neil. Jego najlepszy przyjaciel, którego zna od jedenastego roku życia. – Dlaczego nam nie powiedzieli? Nie rozumiem, dlaczego się tym z nami nie podzielili.

Ava wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Myślałam dzisiaj o tym, że tamtego dnia Bella nie wyglądała najlepiej, no wiesz, jak na nią. Myślałam, że ma kaca. Myślałam, że uraziliśmy ich tym, że im nie powiedzieliśmy, że poczuli się urażeni, że musieli się domyślać, jakby byli dla nas obcy. No a potem, po wszystkim nie mogli już nam powiedzieć, nie po tym, jak przekazaliśmy im naszą radosną nowinę – to byłoby okropne. A później, po zaginięciu Abi, podejrzewam, że sądzili, że mamy już dość własnych problemów. No wiesz, pewnie nie okazałabym im zbyt wiele wsparcia.

– Ale mnie mógł powiedzieć.

– Może czuł, że jeśli zacznie obarczać cię swoimi problemami, to... no nie wiem... zaburzy twoją równowagę.

Dociera do niego podtekst, godzi go w samo serce. Jest słaby, to właśnie mówi mu żona. Neil jest silny, potrafi słuchać, naprawiać i budować. To jest dynamika, na którą wskazuje mu jego zbyt spostrzegawcza żona. Matt pakuje się w kłopoty, z którymi nie umie sobie poradzić, ale Neil umie to wszystko wyprostować. W pewnym sensie Ava też to robi – prostuje go. A czy Neil nie zrobił tego samego z Johnniem? Nie naprawił jego błędów? A teraz on, Matt, musi iść ulicą, na której mieszkał przez większość życia, do mężczyzny, który przez ten cały czas był jego przyjacielem, i udawać, że nie wie, co go wyniszcza kawałek po kawałku, ponieważ to odwróciłoby ich role tak dramatycznie, że żaden z nich nie wiedziałby, jak ma ją odegrać. Zamiast tego pójdzie tam po to, by zostać wysłuchanym, naprawionym i podbudowanym po tym, jak po raz kolejny wszystko spieprzył.

– ... a potem rozmawiałam z Neilem po przyjęciu, on płakał – mówi dalej Ava, a Matt się zastanawia, ile mu umknęło.

– Szkoda mi go. – Matt widzi Neila w ulewnym deszczu tamtej nocy, gdy zniknęła Abi. Tyle się działo, a on tam dla niego był twardy jak skała. – Szkoda, że mi nie powiedział.

Ava się odwraca.

– Nadal uważam, że jest wiele innych rzeczy, o których nam nie mówi.

Wnętrznosci mu się zaciskają. Niemożliwe, żeby nadal mówiła o Neilu. Wchodzi powoli do salonu i siada na kanapie naprzeciwko. Ava nie protestuje. Ale też nic nie mówi.

– Jakich rzeczy? – pyta po chwili, czując się nagle niesamowicie zmęczony.

Ava potrząsa głową.

– Z przyjęcia. Ale co to ma za znaczenie. Uważasz, że bredzę.

– Nie! Wcale... wcale nie. Proszę. Słucham cię.

Ava ponownie potrząsa głową i nakłada dolną wargę na górną jak nadąsana. Ale po chwili wypuszcza głośno powietrze.

– Wczoraj w nocy, przy śluzie, rozmawiałam z nim. Było ostro. W końcu skończyliśmy w rzece.

– Co? Jak, do cholery...

Unosi do góry rękę.

– Nie będziemy się w to teraz zagłębiać.

Matt bierze drżący oddech. Jest gorzej, niż myślał. Ona jest chora, bardzo chora. Chce mu się płakać, chce nią potrząsnąć, przytulić ją, ale nie może, i nie może jej przerywać. Musi to dobrze rozegrać, bardzo ostrożnie.

– Okej – odpowiada.

– Uwierzyłam mu – mówi dalej Ava. – Wczoraj. Ale dzisiaj cały dzień o tym myślałam i rzecz w tym, że nie wiem, czy mu jeszcze wierzę. Z Neilem się tak łatwo rozmawia. Ale dotarło do mnie, kiedy to przemyślałam, że gdy zapytałam go o Pana Leniwca, nie odpowiedział mi, zbył mnie. Zaczął się bronić i pytać mnie, co ja sobie, do cholery, myślałam, że go oskarżam.

– Oczywiście, że tak zareagował, on... – Matt przytomnie sam sobie przerwał, położył lewą dłoń na prawej, by przypomnieć sobie, że miał być cicho.

Ava zamyka oczy – znajoma oznaka irytacji – po czym otwiera je ponownie.

– Nie znasz całej historii – mówi. – Kiedy spotkałam wczoraj Jen i dziewczynki, Jasmine rozpoznała Pana Leniwca po imieniu. Po imieniu, Matt, nazwała go. Zastanów się nad tym. Jedyna możliwość, żeby poznała imię tej zabawki, to przez Neila. Ja nigdy nie spotkałam Jasmine i ty też nie. A potem, wiem, że nie chcesz tego słuchać, zaczęła mówić: „kieszenie, kieszenie, kieszenie”, a dokładnie tak nazwała Neila na przyjęciu. To

właśnie próbuję ci powiedzieć, rozumiesz to? Kieszenie to według Jasmine imię Neila. – Patrzy na niego, jakby mówiła „proszę”.

Unosi dłoń.

– Mogę coś powiedzieć?

Ava kiwa głową.

– Mogę to wyjaśnić. Na przyjęciu Jennifer powiedziała mi, że Neil bawił się z nią w taką zabawę. Chował jej zabawki w swoich kieszeniach, a potem je wyciągał – to ją rozśmieszało. I to wszystko. Ona pewnie nazywa wszystkie swoje zabawki Pani i Pan.

– Więc czemu on mi tego nie powiedział?

– Bo rzuciłaś mu prosto w twarz oskarżenie, że ma coś wspólnego ze śmiercią Abi, w środku nocy, w miejscu, gdzie prawdopodobnie utonąła. Jak to się, do cholery, stało, że skończyliście w wodzie?

Powieki drżą jej z powstrzymywanej irytacji. Matt zaciska palce na nadgarstku drugiej ręki.

– Nieważne – odpowiada Ava. – Są jeszcze inne sprawy, które bardzo dobrze przemyślałam. Jak to, że Neil się tak bardzo zdenerwował, kiedy Jasmine go rozpoznała. Wiem, że zaraz mi powiesz, że to nie o to chodziło, że chodziło o Johnniego, Neil mówił to samo, ale widziałam cię z nim wtedy pod tą wierzbą na przyjęciu i on wyglądał, jakby panikował. Jego reakcja była sporo przesadzona, nie uważasz? – Podnosi wzrok. Jej oczy są przekrwione. – Nie uważasz tak?

– Avo – próbuje. – Posłuchaj tego, co mówisz. Czepiasz się pierdół. To nie ma żadnego związku, żadnego. Mówisz, że chociaż Neil daje ci dobry powód, ty i tak mu nie wierzysz. On jest naszym najlepszym przyjacielem, skarbie. Daj spokój.

– Proszę. – Ponownie zamyka oczy, ewidentnie próbując zachować kontrolę nad wściekłością, która krąży tuż pod powierzchnią, dokładnie tak samo jak przez cały poprzedni rok. – Wiem, że chcesz mu wierzyć i na początku też nie umiałam połączyć kropek. Ale rzecz w tym, że ona wczoraj szukała Neila, wołała go jego przezwiskiem, nie widzisz tego? Przed przyjęciem, w naszej kuchni, Neil powiedział, że nie zna dzieci Lovegoodów. Ale Jasmine rozpoznała go przed całą ulicą, a on fatalnie na to zareagował, tak? A potem rozpoznała zabawkę Abi, chociaż nigdy wcześniej jej nie widziała, tak? No wybac, że zaczęłam myśleć, że coś się tu nie zgadza. I... to Neil znalazł tamtego dnia Pana Leniwca. Przyszedł do naszego domu i powiedział, że znalazł go na drodze, pamiętasz? Ale skąd

mamy wiedzieć, że to prawda? Nie widziałam, jak ją podnosił. Ty widziałeś? I ja wiem, że to twój najlepszy przyjaciel i wiem, że pomagał...

Matt warczy. Uderza pięścią w stolik kawowy.

– Na litość boską, Ava! Przestań tak mówić! Nawet nie próbuj tak myśleć! Mój Boże, przecież rozmawiamy o Neilu!

Ava sapie, przygryza z furią wargę i wygląda... wygląda jak karykatura szaleństwa – wybałuszone oczy, zarumieniona, ogarnięta szałem. Taka właśnie teraz jest. To jest to, co zrobił z nią nieukojonny żal. On jej to zrobił. Swojej żonie.

– Okej – mówi Ava, starając się uspokoić. – Więc o co w takim razie chodzi? Wyjaśnij mi. Bo kiedy wczoraj zapytałam o to Neila, najwyraźniej nie potrafił, zamiast tego zaczął cię wychwalać i przekonywać mnie, jakim jesteś świetnym facetem.

Gwałtowność jej słów, sposób, w jaki je wypowiada, zaskakuje go. Patrzą na siebie, oboje drżą, oboje są zszokowani i to właśnie ten szok, który tak ich przeraża, momentalnie ich uspokaja.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć – mówi po dłuższej chwili, ale nawet teraz czuje, że musi wkładać wielki wysiłek w to, żeby nie zacząć krzyczeć.

– Poza tym, że na pewno jest jakieś dobre wytłumaczenie.

– Powiedział, że nie zna tych dzieci!

– Powiedział tylko, że nie zna ich zbyt dobrze! One go widziały, a to nie znaczy, że on je dobrze znał, tylko że one potrafiły go rozpoznać! Jeśli Neil droczył się ze starszą, to pewnie było wszystko, co miał na myśli. To, że Jasmine go zapamiętała i się ucieszyła, o niczym nie świadczy. Neil zrobił na niej wrażenie, co nie jest niczym niezwykłym, bo jest miły i świetnie sobie radzi z dziećmi. A ponieważ Jasmine jest chora, pewnie był dla niej tym bardziej miły, bo on taki właśnie jest. Jest dobrym facetem, jest miły i uczciwy, i wiem, że może wydawać się twardy, ale nie jest taki. W środku jest miękki, przecież właśnie dlatego zostaliśmy przyjaciółmi, bo stanął w mojej obronie, kiedy byliśmy dziećmi. Chryste, on mnie prawie adoptował. Ava, to przecież ty uświadomiłaś mi, dlaczego robię to, co robię. Myślałem, że masz na tyle rozbudowaną inteligencję emocjonalną, aby zdawać sobie sprawę, że Neil ma serce na dłoni.

– Zawsze tak myślałam. – Ona również mówi cicho. Drży z wysiłku, by nie zacząć krzyczeć, a może wreszcie do niej dociera, jak szalone rzeczy wygaduje. – Kocham Neila. Jak przyjaciela. Ale wczoraj rano z Jasmine... i jakim cudem udało mu się znaleźć zabawkę Abi?

– O mój Boże, Ava, znalazł ją na drodze! Na drodze! Policjant mógł widzieć, jak ją podnosi. Było ich wtedy na ulicy przynajmniej czworo, jeden z nich stał przed domem. Jak sobie to wyobrażasz, że jak to zrobił, szedł krokiem Charliego Chaplina, pogwizdując, i upuścił ją na widoku? Nie wytrzymam tego, Ava! Ty tego nie wytrzymasz! Doprowadzisz się do szaleństwa. Już się to dzieje. Znowu wylądujesz w szpitalu, kochanie! – Oczy szczypią go od łez, a gorąca para wściekłości skrapla się w pot na jego czole. Przede wszystkim jest mu jej tak cholernie żal. To on jej to zrobił. Zniszczył ją.

– Skarbie – próbuje jeszcze raz, łagodnie. – Ava, miłości moja. Proszę. Musisz zacząć od nowa. Cokolwiek stanie się z nami, nie możesz pozwolić, by jakieś głupie przyjęcie, na którym wszyscy byliśmy trochę wstawieni i zestresowani, zamieniło się w to... w to polowanie na czarownice. Myliłem się, zmuszając cię do pójścia tam. Nie byłaś gotowa. Nie jesteś gotowa. Przepraszam.

Wzdycha.

– Jest tyle rzeczy, których nie zauważyłeś. Jak to, że wczoraj był taki spięty. I to, że po tym, jak nie rozmawiał ze mną przez rok, nagle musiał ze mną pogadać, a kiedy to zrobił, był... nie wiem, jak to określić, ale wydawał się zbyt zdenerwowany...

– Zbyt zdenerwowany? Co to niby znaczy? On i Bella mają problemy – stracili dziecko, i to nie jedno. Dlatego taki był.

Ava prychnęła, kręci głową. Nie patrzy na niego i Matt zastanawia się, czy w końcu dotarło do niej, jak bardzo się myli.

– Nie rzucam żadnych oskarżeń. – Jej głos jest łzawy. – Próbowałam rozmawiać z nim zeszłej nocy, ale dzisiaj nie jestem przekonana, czy odpowiedział mi właściwie. Potrafi być bardzo przekonujący. Na przyjęciu Bella powiedziała, że tamtej nocy nie było go w domu przez całą noc, a kiedy go o to zapytałam, powiedział, że wrócił i nadal szukał Abi, co pewnie jest prawdopodobne. Ale kolejna rzecz, która mi nie pasuje, to, że Johnnie i Jen powiedzieli, że Neil zawsze przychodził do pracy, zanim oni wyszli z domu. Poza tym jednym rankiem. Dlaczego był w domu, skoro zawsze o tej porze był już w pracy?

Matt otwiera usta, by coś powiedzieć, ale to jest jak próba wejścia na pokład jadącego pociągu.

– Kiedy go o to zapytałam, wymyślił jakąś wymówkę o dostawie materiałów budowlanych z Apex Corner, ale nie sądzisz, że to trochę za

dużo zbiegów okoliczności? – Mówi teraz szybciej, głośniej. – Ciągle powracam w myślach do rozmów z przyjęcia, Jen, Johnnie, Bella, Neil, i pytam sama siebie, dlaczego mam takie odczucia i przypominam sobie, jak Bella bardzo starała się mnie przekonać, że Neil kochał Abi niezależnie od wszystkiego. „Niezależnie od wszystkiego” – co to znaczy?

– Tak się po prostu mówi.

– Wszystko się tak po prostu mówi! To wszystko właśnie są takie małe rzeczy. Dlaczego poszedł i szukał Abi przez całą noc, i nigdy ci o tym nie powiedział? – Jej oczy są okrągłe. Nawet nie robi przerw na zaczerpnięcie powietrza. – To nie ma sensu. To nie jest coś, co trzyma się w sekrecie, nie sądzisz? Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? Rozumiesz to?

Matt czuje, że pieką go oczy. Jego serce łamie się na tysiące kawałeczków, dokładnie tak samo jak tamtego dnia. Starał się jej nie stracić, ale dokładnie to się dzieje. Traci ją. Ona traci samą siebie. Musi się zastanowić, ostrożnie dobierać słowa. To ważne, żeby poczuła się wysłuchana, ale jednocześnie nie można dawać wiary jej teoriom.

– Rozumiem – odpowiada powoli. – I rozumiem też, jak do tego doszłaś. Ale problem polega na tym, że filtrujesz to wszystko poprzez swoją traumę. Pójście na to przyjęcie było dla ciebie traumatycznym przeżyciem. Przebywanie w towarzystwie Neila i Belli sprawiło, że powróciły te wszystkie okropne wspomnienia i nie powinienem był cię zmuszać... nie powinienem był cię prosić, żebyś tam szła. Było za wcześnie.

– Nie o to chodzi! – krzyczy, a potem potrząsa głową, jakby chciała powstrzymać swoje emocje.

– Nie mówię, że tak jest – próbuje. – Nie mówię, że ci nie wierzę albo że te rzeczy nie zostały wypowiedziane, ale to wszystko jest całkowicie wytłumaczalne. Neil nie chciał widzieć się z Johnniem, bo go nienawidzi. Wściekł się, bo został potraktowany protekcyjnie. Mieli ze sobą na pieńku przez parę spraw, o których nie wiedzieliśmy i wszyscy byliśmy nieco przewrażliwieni, bo to było nasze pierwsze spotkanie od śmierci Abi...

– Śmierci? Więc co, teraz to już pewne, tak?

– Nie, ja.. ale Ava... my... Policja powiedziała, że nie zamykają sprawy, ale w zasadzie ją zamknęli, nie uważasz? Nie ma żadnych innych dowodów niż to, że poszła w kierunku rzeki, próbowała karmić kaczki i wpadła. To tragedia, skarbie, okropna tragedia, ale...

– Ale jej płaszcz został znaleziony następnego ranka – co jeśli po tym jak rozstaliście się z Neilem, poszedł i wrzucił go do rzeki w Richmond?

– Och, na miłość boską, przestań! – Zaciska dłonie w pięści. Zrywa się na równe nogi, stoi nad nią i krzyczy. Czuje pulsujące na szyi żyły, żar w swojej głowie. Podnosi pięści, czuje, że na jego twarzy gwałtownie pojawia się grymas. Zatrzymuje się, opuszcza pięści, przyciska je teraz do skroni. Mój Boże, to nie on – przysięgał, że taki nie będzie.

– Ava – szepcze. – Skończysz w szpitalu.

– Nie możesz nie stawać po jego stronie. – Jej głos jest cichy i jest tak samo rozogniona jak i on. – Nie możesz nie stawiać go ponad mną. To ja jestem twoją żoną, Matt, nie on. I może to właśnie jest problem. Może to zawsze był problem.

Cisza, która zapada, cięży jak ołów. Słyszy ich oddechy w cichym pokoju.

– Ava – mówi łagodnie.

– Idź, proszę. – Niemal szepcze. – Po prostu... idź. Powiedziałam ci o ich problemach, to wszystko, co chciałam powiedzieć, więc teraz już wiesz. Żałuję, że wyskoczyłam z tą całą resztą. Wiedziałam, że nie posłuchasz. Nie chcesz słuchać.

Oczy wypełniają mu się łzami. Słyszy odgłosy lodówki z kuchni, miękki oddech synka. Nie odzywaj się, Matt. Po prostu nic nie mów.

– Będę u Neila – mówi.

– Oczywiście, że tam będziesz. – Wyczuwa sarkazm. Odwróciła się od niego, będzie myślała o nim, że jest wygodny, że nie postarał się nawet o hotel. I w duszy będzie zdegustowana ich męską lojalnością.

– Może porozmawiamy jutro?

– Wątpię. – Nie odwraca się.

Matt przełyka formującą mu się w gardle gulę.

– Ava...

– Matt. Błagam cię. Idź. Proszę.

Rozdział 32

Matt

– Wchodź, stary. – Neil otwiera przed nim drzwi.

Matt wchodzi do rozświetlonego domu, który kiedyś był mu znajomy, a teraz wydaje się zupełnie obcy. Nie był tutaj już od roku. Lipiec, grill w niedzielne popołudnie. W jego umyśle pojawia się wspomnienie, które odbiera jak kopniaka prosto w serce – Neil obraca Abi wokoło za rączki, robiąc samolot, ona się śmieje i piszczy. Wydaje się, że to było lata temu, a jednocześnie jakby wczoraj. Ava miała rację. Neil i Bella się od nich odsunęli. Dużo bardziej niż zdawał sobie z tego sprawę.

– Wszystko okej? – Neil marszczy brwi.

– Tak, sorry, po prostu czuję się trochę dziwnie. Sam nie wiem, jak przetrwałem dzisiejszy dzień w pracy.

– Jasne, rozumiem.

Cisza, która następuje jest niezręczna.

– Bel przygotowała ci łóżko w pokoju gościnnym – mówi Neil po chwili.

– Dała też czyste ręczniki. Możesz tam rozpakować swoje rzeczy, jeśli chcesz. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

– Nie, jest okej. Pójdę rozpakować torbę. Na razie.

Matt wchodzi po schodach, nogi mu ciężą, jakby były z ołowiu. Pokój gościnny jest czysty i pachnie świeżo wypraną pościelą. Na ścianie w ramce wisi rysunek architektoniczny – jego własny, przebudowa magazynu w South Bank, jego pierwsze duże zlecenie. Neilowi bardzo podobał się ten rysunek.

– To jest sztuka – powiedział, potrząsając z dumą głową.

– Budowanie jest sztuką – odpowiedział Matt.

Neil poprosił o kopię rysunku, upierając się, że mówi poważnie. Więc na jego trzydzieste urodziny Matt zlecił oprawienie go w ramki. Teraz przygląda mu się przez chwilę, po czym siada na łóżku i opuszcza głowę, chowając ją w dłoniach. Głowa mu ciąży, boi się, że może się przewrócić.

Kiedy wypuszcza powietrze, jego oddech jest urywany. Ostatnie dwadzieścia minut należało do najgorszych w jego życiu, nie licząc oczywiście tamtego dnia.

– Stary! – woła Neil, stojąc u stóp schodów. – Biorę sobie piwo, chcesz też?!

– Tak! – odkrzykuje. – Zaraz zejść!

Ciężko wzdycha w swoje wilgotne dłonie. Ma spocone stopy. Jego garnitur od firmy Marks & Spencer klei mu się do nóg, koszula jest mokra pod pachami. Siedzi sam w pokoju gościnnym swojego przyjaciela, a torba sportowa stoi u jego śmierdzących, spoconych stóp w półbutach Church's, które kupiła mu Ava, kiedy wygrał duży przetarg jakieś trzy lata temu. Kup sobie lepszy garnitur, doradziła mu, cholernie dobrze mu doradziła. Idź do Aquascutum, powiedziała. Albo do Armaniego. Ale on tego nie zrobił, nie wydał pieniędzy, bo w gruncie rzeczy, w głębi serca wiedział, że jego zwykły garnitur jest wystarczająco dobry. Kiedy kupiła mu te piękne buty, wyczytał promieniującą z niej dumę, ale teraz wie, że to była nadzieja, jej nadzieja na to, że kiedyś porzuci tę małostkowość, którą zawsze w nim widziała, otrząśnie się z przeciętności i dzięki jej miłości urośnie, stanie się większym człowiekiem. Lepszym człowiekiem.

Próżna nadzieja, jak się okazuje.

Ma ochotę zdjąć buty, ale nie może znieść smrodu własnych stóp, nie mówiąc już o tym, że miałyby narażać na to kogoś jeszcze.

Wstaje i wygląda przez okno na ogród na tyłach posiadłości Neila i Belli, usiłując zebrać się w sobie. Tamto słoneczne niedzielne popołudnie trochę ponad rok temu wydaje się niemożliwą idyllą. Ava siedziała w cieniu i wachlowała się matą stołową. Pamięta, że narzekał na ból głowy, kiedy wrócili do domu. Biegał z rana i nie wypił wystarczająco dużo wody – to Ava zwróciła mu na to uwagę z matczyną wręcz troską, jaką okazywała mu za każdym razem, gdy nie zachowywał podstawowych zasad dbania o siebie. Sposób, w jaki na niego popatrzyła i powiedziała: „Jesteś taki dziecinny, ale kocham cię”.

Kochała go. Pomimo jego ułomności, kochała go. A teraz już nie.

Ale on ją kocha. Kocha ją, nawet w jej kiepskim stanie, ponieważ ona była niezwykła i Matt wie, że znowu może taka być. Jego miłość do niej nadal jest obecna. Jej natomiast została w przeszłości. Skończyła się wczoraj.

Tak wiele miłości zostało utraconej. Było jej tutaj tak cholernie dużo, tutaj, w tym ogrodzie. Miłość pomiędzy parami, pomiędzy rodzinami, pomiędzy przyjaciółmi – wtedy nie wydawało się to dużo, ale teraz... teraz ten prosty fakt, że byli po prostu razem, jest wszystkim. Abi piszczy: „Nie, NeeNee, nie!”, kiedy Neil obraca ją w kółko, a później śmieje się, nie umiając, zachować równowagi. Neil łapie ją, kiedy upada, łaskocze, gdy leży na ziemi.

– Neil – odezwała się Ava, przerywając rozmowę z Bellą. – Ona mówi „nie”. Prosi cię, żebyś przestał. – A on robi to dalej. „Nie, NeeNee, nie!”.

I Ava wstaje z krzesła.

– Neil, poważnie. Jeśli mówi „nie”, to musisz przestać, okej?

Dopiero wtedy przestał, zdmuchnął sobie włosy z czoła, a jego twarz była czerwona z wysiłku.

Abi uciekła, chichocząc, upadła, wstała i pobiegła do mamusi. Ava uśmiechnęła się i wzięła ją na kolana, a potem dała jej się napić wody w cieniu.

Jasmine rozpoznała zabawkę Abi. Ava nigdy nie spotkała Jasmine, aż do tamtego wieczoru na przyjęciu. Jasmine połączyła zabawkę z Neilem. Czy Neil widział Abi tego ranka? Czy to możliwe, że ją widział, bawił się z nią, może ją gonił, chcąc tylko by się roześmiała, ale...

– Stary? – Jedno słowo Neila sprawia, że płoną mu policzki.

– Sorry! – krzyczy, odchodząc od okna. – Już idę!

Rozdział 33

Ava

Drzwi zamykają się z cichym kliknięciem. Wypuszczam z ust długi, ciężki oddech. Czuję się zmęczona. Zmęczona i niewyobrażalnie smutna.

Fred budzi się i zaczyna płakać. Podnoszę go, przystawiam do piersi i pozwalam sobie odpłynąć myślami. Jeszcze więcej wspomnień z przyjęcia pojawia się w mojej pamięci niczym migawki z filmu. Miłe spojrzenie Jen, jej naturalność, współczucie. Była moim jedynym punktem oparcia poza rodziną – stała w oddali jak stały punkt na horyzoncie. Kiedy prasa przestała się już nami interesować, kiedy śledztwo zostało ograniczone, kiedy skończył się zalew sąsiedzkich lasagne i casseroles, i ciast cytrynowych, ona wciąż tam była, zawsze z ręcznie zebranymi kwiatami albo małym opakowaniem eleganckich czekoladek, czasami zostawała na kawę, a czasami nie – dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi zawsze wiedziała, co robić. Nigdy nie unikała pytań o to, jak sprawy się mają, nigdy nie uciekała od okropieństwa tego wszystkiego. Niejeden raz siedziała ze mną w milczeniu i trzymała mnie za rękę przez długie minuty, aż bezgraniczny smutek stał się pewnym rodzajem ukojenia.

Myślę o tym, jak ona i Johnnie stali razem. Wszechmocna para, jak pewnie można by ich nazwać. Nie potrafię dopasować jej do niego, ale przypuszczam, że związki innych ludzi są zawsze tajemnicą dla tych, którzy są poza nimi.

W moim cichym domu powracają do mnie słowa Johnniego: Zawsze punktualny i wcześniej zaczynał, nawet jeszcze przed naszym wyjściem do pracy, prawda, Jen?

Ale nie zawsze. Tego dnia, tego jedyne dnia, kiedy moja córka zniknęła, właśnie wtedy nie był. Pojechał po dostawę. Czyżby? To możliwe. Był w domu. Waliłam do jego drzwi. Tamtego ranka. Tamtego ranka napędzanego tykaniem metronomu. W tym przyspieszającym crescendo paniki. Wybiegłam na ulicę. Biegłam rozhisteryzowana, serce waliło mi

w piersi. Abi, Abi, Abi. Czy dzwoniłam do Lovegoodów? Może. Wtedy albo później. Nie pamiętam. Szkoda, że nie znałam wtedy Jen. Pomogłaby mi. Wiedziałyby, co robić.

Zabawka Abi. Pan Leniwiec.

Czy Jasmine mogła zobaczyć ją jakiegoś innego dnia? Może jakaś jej szkolna koleżanka takiego miała? Czy jest tak, jak powiedział Matt, że ona nazywa wszystkie swoje zabawki Pan lub Pani?

Ava, przestań. Jesteś zdesperowana, widzisz znaki tam, gdzie ich nie ma. Neil jest twoim przyjacielem. Jest przyjacielem z dzieciństwa Matta, jego najlepszym kumplem. Neil jest solidny. Pracowity. Sumienny. Neil naprawia problemy.

Próbuję skupić się na miękkich, czarnych rzęsach Freda, ledwo wyczuwalnym rytmie jego ssania. Usiłuję zachować czystość tej chwili, ale nadal poczucie czegoś mnie przygniata. Jakże trudna musiała być ta niedziela dla nich obojga. A potem następnego ranka, tego ranka, wykrzywiona paniką twarz Neila, kiedy otworzył mi drzwi. Tak jakby już wiedział.

Ava, przestań.

Zabieram Freda od piersi i wciskam twarz w jego miękkie śpioszki. Przestań. Przestań. Nic tam nie ma, zupełnie nic. Odwróć wzrok. Neil i Bella mieli wtedy swoje problemy, problemy, o których wiesz, problemy, z którymi nadal się borykają. Daj spokój. Oczywiście, że był zatroskany, kiedy otworzył drzwi. Waliłaś w nie pięściami, na miłość boską, krzyczałaś przez wrzutkę na listy. Otworzył z dokładnie takim wyrazem twarzy, jaki i ty byś miała, gdyby ktoś walił pięściami w twoje drzwi i wołał o pomoc.

Znalazł jej zabawkę.

Przestań.

Był poza domem przez całą noc.

Przestań, Ava.

Czy Jasmine w ogóle znałaby takie słowo jak „leniwiec”?

Przestań, przestań, przestań.

Co powiedziałyby Barbara? Myśl logicznie. Nie chodzi o ciebie. To, jak zachowują się inni, rzadko ma coś wspólnego z tobą.

Przytulone do mojego ramienia maleńkie ciało synka unosi się i opada z każdym oddechem. Spokój małego człowieczka w błogiej nieświadomości tego koszmaru, przez który przechodzą jego rodzice. Jakie to musi być uczucie, być takim spokojnym? Czy Abi zaznała spokoju? Czy wypełniają

mi się łzami. W mojej głowie pojawia się twarz Belli. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że Neil zrobił wszystko, naprawdę wszystko. Kochał Abi, naprawdę, bez względu na wszystko.

To jedno zdanie – a nawet mniej, pół zdania „bez względu na wszystko”. To jakby powiedzieć, że zrobił wszystko, pomimo... czegoś.

– Nie. – Wstaję i zaczynam chodzić po salonie, okrężnymi ruchami gładząc Freda po plecach. – Nie, nie, nie.

Fred uroczo beka. Na zewnątrz latarnie uliczne rozświetlają się na żółto pod ciemnoniebieskim niebem. Gdyby Abi wróciła do mnie teraz, dokładnie w tej sekundzie, jakie szkody musielibyśmy naprawić? Czy zdołalibyśmy ją naprawić? Kim byłaby teraz? Kim, u licha, mogłaby teraz być? Czy poznałaby mnie?

– Gdzie jesteś? – szepczę, łkając cicho w tym dziwnym spokoju, jaki przynosi samotność. – Gdzie oni cię zabrali, moja kochana córeczko? Co ci zrobili?

Neil i Bella są naszymi przyjaciółmi. Nie mogę czepiać się przypadkowych komentarzy wypowiedzianych w stanie upojenia alkoholowego. Zaczynam czuć się tak samo jak po tamtym dniu. Matt może mieć rację. Mogę znowu potrzebować pomocy. Ta impreza była dla mnie traumą, Neil stał się moim punktem zaczepienia, moją obsesją, piorunochronem dla mojego własnego, nieukojonego żalu. Nasze czoła zetknęły się na pustej ulicy. Wyciągnął mnie z wody. Jest między nami więź. Czuję ją, ale jej nie rozumiem. Podejrzewanie go jest szaleństwem. Widzę to, a jednocześnie wierzę w te podejrzewania. Ale nasze domy zostały przeszukane, na litość boską. Przeszukano każdy dom na ulicy i każdy ogród. Złożyliśmy oficjalne oświadczenia na komisariacie, ale nie było żadnego dowodu, żadnego, by ktokolwiek z nas mógł zrobić coś złego. Nasze zeznania się pokrywały. To, że Bella miała najnowsze zdjęcia naszego dziecka na swoim telefonie, wynikało tylko z tego, że zrobiła je podczas niedzielnego lunchu dzień przed zniknięciem Abi. Możliwe, że ukrywała się za aparatem, gdy zdała sobie sprawę ze swoich uczuć, chociaż wtedy nie miałam o tym pojęcia.

To Matt. To jego należy winić. Wtedy i teraz. To, że zostałam zdradzona przez najbliższą mi osobę, dobiło mnie. Nic mi nie zostało, nie mam nic, czego mogłabym się uchwycić i przez to jestem niestabilna. Ale... ale... nadal jest coś, czego nie mogę poskładać. Zagubione dziecko. Zabawka. Neil i Matt pod wierzbą. Pijackie łzy Belli. Wszystko wydaje się łatwo

wytlumaczalne. A jednak... niczym sekundy małe sprawy się kumulują. Sekundy stają się minutami, minuty stają się godzinami. Małe sprawy stają się większe, a większe sprawy stają się... informacjami?

Dzwońcie do mnie, jeśli pojawi się coś nowego. Kolejny szept w ciszy mroku. Detektyw inspektor Farnham. Mam jej numer w telefonie.

Ale najpierw muszę porozmawiać z Bellą. Zadzwoiłam do niej dziś rano i powiedziałam, że potrzebuję pogadać. Powiedziała, że spotka się ze mną dziś wieczorem w Starbucksie. Znajduję telefon w kuchni i piszę:

Jadę.

Rozdział 34

Matt

Neil jest w kuchni, a w powietrzu unosi się przyjemny aromat. Curry. Matt uświadamia sobie, że to ten zapach czuł, kiedy wchodził do domu kilka minut temu. Drzwi na taras są otwarte i wpada przez nie lekka bryza. Wkrótce pogoda się zmieni i zrobi się zimno. Wkrótce będzie rocznica.

– Gdzie Bel?

– Wyszła na miasto z kilkoma dziewczynami z salonu. – Neil podaje mu piwo.

Stukają się butelkami i piją. Neil już prawie skończył swoje. Matt zastanawia się, czy to jego pierwsze.

– Kurczak tikka masala – informuje go Neil. – Ryż będzie gotowy za kilka minut.

– Super. Zdrówko. – Matt nie ma najmniejszej ochoty na jedzenie.

Neil gotuje ryż. Matt siada za stołem, który jest już nakryty – tak jak należy, z podkładkami pod talerze i szklankami oraz, jakże optymistycznie, dzbankiem wody. Ten widok go porusza. Neil się nim opiekuje, tak jak robił to zawsze. Ich kuchnia nadal jest urządzona w starym stylu – niewielka przestrzeń na tyłach domu ze skromnym, sosnowym stołem, bez baru, bez wysokich stołków, bez wiszących lamp, bez kuchenki mikrofalowej, bez wielkich drzwi tarasowych. Pamięta mamę Neila w tej kuchni, kiedy przychodził tu po szkole, jak zawsze pytała go, czy zostanie na obiedzie. Czuje się tu jak w domu. Autentycznie. Jak w czasach, kiedy ludzie wpadali do siebie, kiedy wybór był tylko pomiędzy kawą a herbatą. W tej okolicy herbatę nazywano „herbatą budowlańców” – zastanawia się, co Neil o tym myśli, czy prosi swoich klientów o earl grey albo rooibos, albo ziołową, żeby to podkreślić.

Wkrótce, tak samo jak wszyscy, on i Bella również wyburzą ścianę działową w centralnym punkcie domu i zrobią otwartą kuchnię. Wyburzą również większość tylnych ścian. „Ile tu światła!”, powiedzą, otwierając

dwuskrzydłowe drzwi, stukną się kieliszkami z szampanem, świętując. Tak właśnie robią wszyscy. Tak zrobili on i Ava w zeszłym roku. Naturalnie to Neil zrobił im remont. Czy czuł się u nich jak „personel” tak jak u Johnniego? Czy irytowało go to, że jest w ubraniu roboczym, podczas gdy Matt wychodził do pracy w garniturze, z gładkimi dłońmi i czystymi paznokciami? Matt tak nie uważa. Neil uwielbia działać. Nienawidzi stać z boku i rozprawiać. I to był niemal wspólny projekt – Neil zmienił wstępny szkic Matta (poprawił go), a Matt w weekendy pomagał mu przy robocie – ładował piasek i cement do betoniarki Neila, pomagał mu przesunąć pralkę, parzył niezliczone ilości kaw i herbat dla niego, jego elektryka i hydraulika, biegał do sklepu na rogu po dziesiątki paczek herbatników czekoladowych.

Ale jeśli Neil potrafił ukryć przed nim ogromny ból, jaki nosił w sercu, czy potrafił ukryć również inne rzeczy? Urazę? Zazdrość? Jak to powiedział na przyjęciu? „Myślą, że tylko dlatego, że spędzili kilka lat na uniwerku, są lepsi”. Oni.

Czy Matt jest jednym z nich?

– Chcesz o tym pogadać? – Neil stawia dwa talerze z kurczakiem curry na stole. – Jesteś zagubiony w swoim świecie, stary. – Wraca do lodówki, wyciąga słoik z ostrym sosem z mango i pojemnik z jogurtem greckim, po czym przynosi obie te rzeczy do stołu. – To nie Maharajah – mówi, siadając. – Zwyczajny, ze słoika. Wybacz, że nie ma papadów. – Gestem wskazuje na stojące na stole przeróżne dodatki, po czym wkłada sobie porcję jedzenia do ust. – Bella zrobiła je przed wyjściem. Nagadałaby mi, że nie wyłożyłem ich do małych miseczek.

– To miłe z jej strony.

Bella jest miła, myśli, podczas gdy Neil zajada szybko jak to on, tak jakby bał się, że ktoś mu zabierze jedzenie sprzed nosa. I Neil też jest miły. Nie jest typem zazdrośnika. Bella jest materialistką, oboje są, ale nie w ten sposób, nie do tego stopnia, by się tym przejmować. Neil jest przeciwieństwem osoby uprzywilejowanej, zawsze ciężko pracował na to, co ma, i zawsze był dumny z osiągnięć Matta zarówno tych na uczelni, jak i w pracy. Woli być swoim szefem, to wszystko, i odnosić sukcesy na własny rachunek – to głównie brak czasu nie pozwolił mu na modernizację własnego domu do tej pory. Nieprawdaż? A w ogóle co to wszystko ma wspólnego z czymkolwiek?

– Wszystko będzie dobrze, rozumiesz? – mówi Neil.

Matt potrząsa głową. Neil wysprzątał już połowę talerza, Matt zaś wygląda, jakby jeszcze nic nie zjadł. Bo nie zjadł.

– To koniec – odpowiada.

– Nieprawda. Wróci. Ludzie otrząsają się z tragedii, z dużych tragedii.

Matt odchyła się od stołu i bierze długi łyk piwa.

– Powinienem był jej powiedzieć – mówi, obserwując, jak jego przyjaciel zmiata ostatnie kęsy posiłku z talerza, posiłku, którego on nie jest w stanie tknąć.

Neil wzrusza ramionami.

– Co się stało, to się nie odstanie. Nie możesz osądzać swoich decyzji podejmowanych pod wpływem emocji. Chciałeś tylko chronić, co twoje.

– Mój zamek – odpowiada Matt, a jego słowa zabarwione są ironią.

– Dokładnie. Zrozumie to, kiedy trochę ochłonie. Ona potrzebuje po prostu trochę więcej czasu, to wszystko.

– Mam nadzieję, że masz rację.

Neil się szczerzy.

– Ja zawsze mam rację.

– Więc niedługo zabierasz się za własną kuchnię? – zmienia temat Matt, patrząc ponad ramieniem kumpla na sosnowe meble i zużyte linoleum na podłodze.

Neil przetyka ostatni kęs i odsuwa talerz. Bierze łyk piwa i opiera się na krześle.

– Szczerze powiedziawszy, myślimy o przeprowadzce – odpowiada.

– Przeprowadzce? – dziwi się Matt. – Od kiedy?

Neil wzrusza ramionami i głęboko wzdycha.

– Może wyjedziemy gdzieś dalej. Kupię coś większego za te pieniądze, no wiesz. Są piękne miejsca w okolicy Guildford – wielkie ogrody, parkingi, garaże, działki. Jedno z miejsc, które oglądaliśmy miało nawet szopę.

– Już szukaliście? Nigdy nic nie wspominałeś.

– Tylko w internecie. To jeszcze nie jest ostateczna decyzja, na razie tylko o tym myślimy. Szczerze mówiąc, nie było o czym mówić. Ale nie mam ochoty władować tu masy pracy tylko po to, żeby to potem sprzedać. Wolałbym się raczej wyprowadzić już gdzieś do domu na stałe.

Dom na stałe. To nie on mówi. To słowa Belli.

– Więc... wyprowadzisz się z tej okolicy?

– Przecież nie wyjeżdżamy do Australii.

– Wiem, ale... – Ale co? Matt walczy z poczuciem zdrady. Dusi je w sobie. – Zawsze chciałeś mieć szope, co nie?

– No.

– I pewnie... pewnie to dobre miejsce na wychowywanie dzieci. – Cholera. To było słabe.

Jakby na potwierdzenie tego Neil gwałtownie wstaje i przechodzi przez kuchnię.

– Jeszcze jedno piwo?

– Pewnie.

Neil przynosi butelki i siada. Kaszle w dłonie, przyciska pięści do klatki piersiowej, jakby chciał rozmasować ból lub jakby utknął mu jakiś kęs jedzenia.

– Więc Ava ci powiedziała, co?

Matt potakuje. Znowu zalewa go poczucie winy.

– Wybacz – mówi.

Neil wzrusza ramionami.

– To nie twoja wina. To dlatego jeszcze nie wyremontowaliśmy domu. Zabieg kosztuje kupę kasy. Jeszcze jedna próba i będziemy myśleć o adopcji. I jeśli to zrobimy, to będzie nowe miejsce, nowa okolica, nowy start. – Wypowiada słowa szybko, jakby chciał się ich pozbyć za jednym zamachem.

– Rozumiem.

Z ogrodu dobiega niesamowity świergot wieczornych ptasich treli. Matt usiłuje przypomnieć sobie czas, gdy nie mieszkał z przyjacielem na tej samej ulicy. Nie potrafi w żaden sposób.

– Zeszłej nocy słyszeliśmy sowę – zauważa Neil. – Światła latarni ogłupiają ptaki. Dużo z nich odlatuje daleko stąd.

Kolejna przerwa. Matt skubie etykietę na swojej butelce, aż w końcu Neil stuka w nią swoją.

– Hej – mówi. – Nadal będziesz mógł nas odwiedzać.

*

Później, kiedy leży już w łóżku, a sen nie ma zamiaru przyjść, Matt odtwarza sobie w głowie to, co już zawsze będzie znane jako tamten dzień. Przestał już to robić, ale od czasu przyjęcia nie może się powstrzymać. Te dni, tygodnie, które nastąpiły później. Utajone podejrzenia policji,

policjantka, której imienia nie pamięta, wskazująca na kamerę na klapie swojego munduru, mówiąca mu, że to nie jest formalne zeznanie, żeby się nie martwić, że po prostu muszą to nagrać. Och, ale czuł ich wzrok na sobie i na Avie. Kamery nagrywały każde ich słowo i każdy gest, a Lorraine Stephens udawała, że nie słucha. Nawet gdyby chciał im powiedzieć, że to on zostawił otwarte drzwi, nie mógłby – musiałby być głupcem, żeby zmieniać swoje zeznania i ryzykować wzbudzenie podejrzeń z powodu tak drobnego szczegółu. Było już wystarczająco źle, kiedy zaczęli interesować się krwią na chodniku.

W stosunku do Neila policja też była nieufna. Jednak ta ledwo zauważalna warstwa lodu, którą obserwował Matt, stopniała, gdy Neil otulał ich swoją pewnością siebie, sprawnością, otwartością. Swym urokiem.

Ale nie był taki znowu otwarty, czyż nie? Ukrył swoje problemy tak głęboko, że Matt nie miał najmniejszych podejrzeń.

„Ja zawsze mam rację”, powiedział Neil przy kolacji.

I owszem, zawsze miał rację, zawsze był obdarzony pewną przyziemną mądrością, z której Matt czerpał wzorce. Neil był kompasem moralnym Matta, zanim jeszcze poznał Avę.

Ale tamtej nocy nie miał racji, czyż nie? Jego kompas moralny zgubił północ. Tamtej nocy, w ulewnym deszczu, upierał się, by przypieczętować kłamstwo. To był pierwszy i ostatni raz, kiedy doradził mu bycie nieszczerym. Kiedy tak teraz o tym myśli, to był jedyne raz, gdy zaproponował przypieczętowanie czegoś uściskiem dłoni. I kiedy myśli o tym teraz, w świetle tego wszystkiego, co powiedziała Ava, zastanawia się, po co było wprowadzanie jakiejś dżentelmeńskiej umowy, skoro w aktach ich przyjaźni już dawno zapisano, że Neil nigdy nie zawiódłby jego zaufania. To rozumiało się samo przez się, prawda? Więc po co ten uścisk dłoni? Po co te naciski? Neil zawsze wiedział, jak postąpić. Ale nie tym razem. Tym razem źle mu doradził. Jakby coś wypaczyło jego osąd.

Jakby to jemu bardziej zależało na dotrzymaniu tajemnicy niż Mattowi.

Rozdział 35

Ava

Wrześniowy wiatr owiewa moją twarz ciepłą bryzą. Idę okrężną drogą, żeby nie przechodzić obok domu Neila i Belli i nie ryzykować spotkania z Mattem. Na końcu Thameside Lane skręcam w lewo i mój żołądek kurczy się, jak zawsze, gdy zbliżam się do rzeki. Nadal mam świeżo w pamięci scenę z Neilem z ostatniej nocy – nasza dwójka wpadająca do wody, dziwna, dzika intymność tego aktu. Wiem, że muszę zaakceptować to, że Abi utonęła. Jestem już bliska tego, co oczywiście może być powodem, dlaczego jestem tak nabuzowana – ostatnie szalone podrygi przed nieuniknioną akceptacją.

Ale to, jak znalazła się w rzece, to już zupełnie inna sprawa. W tej kwestii moje nerwy nadal są napięte jak postronki. Przeczucie mówi mi, że jeśli utonęła, jeśli tak właśnie skończyło się jej życie, to nie był to wypadek.

Nie mam żadnej pewności. Jedyne rzecz, której jestem pewna, to że jej zniknięcie – jej śmierć – nie jest moją winą.

Nigdy nie była.

Na widok Belli, którą widzę przez szybę Starbucksa, pali mnie w żołądku. Strach – to właśnie czuję. Postanowiłam sobie, że podejść do tego spokojnie, ale szczerze mówiąc, mam ochotę chwycić ją za szyję, zbliżyć się do jej twarzy i zapytać, co wie.

Wchodzę tyłem i ciągnę za sobą wózek. Cała ta sytuacja jest niezręczna. Siedząca w jednym z dwóch foteli Bella, jest jedyną osobą w całej kawiarni, nie licząc pryszczatego, chudego nastolatka za barem. W przesiąkniętym aromatem kawy powietrzu unosi się muzyka z umieszczonych pod sufitem głośników. Ululany kołysaniem wózka i pełnym brzuszkiem Fred zapadł w sen. Wskazuję na kubek Belli i unoszę brwi. Potrząsa głową i unosi go: „Mam, dzięki”.

– Imię? – Nastolatek ma już przygotowany marker.

Rozglądam się wokół po pustej kawiarni, po czym wracam spojrzeniem do niego.

– Serio?

Rumieni się, a ja od razu czuję się jak suka, którą jestem. Mam ochotę na gorącą czekoladę, chce mi się czegoś słodkiego, ale zamiast tego zamawiam bezkofeinową latte. Kiedy mi ją podaje, dziękuję mu wylewnie w ramach przeprosin.

– Cześć. – Podchodzę do przyjaciółki, zastanawiając się, czy teraz nadal jest moją przyjaciółką. Zastanawiam się, czy Neil opowiedział jej o wydarzeniach zeszłej nocy. I co jej powiedział.

Ma na sobie czerwono-pomarańczową sukienkę, krótką dzinsową kurteczkę i pełny makijaż, pije herbatę miętową. Paznokcie ma pomalowane na czerwono, żadnego odprysku, żadnej odstającej skórki. Patrzę w dół na moje luźne bojówki, zaniedbane conversy, ślad po wymiocinach na szarym swetrze. Nie mam zrobionego makijażu, a włosy związałam w kucyk. Czuję się niemodnie, nie na miejscu i trochę niechlujnie.

– Cześć. – Nie wstaje. Nie będzie całusów w policzek i przytulania.

Blokuję koła wózka i siadam.

– Przypuszczam, że Neil opowiedział ci o zeszłej nocy.

Powoli kiwa głową. Kiedy pytam, czy wspominał o incydencie z rzeką, ponownie potakuje.

– Trochę mnie poniosło – mówię. – Wybacz. Nie powinnam była tego robić.

– Był nieźle roztrzęsiony. – Pije swoją herbatę. – Wszystko z tobą w porządku? Słyszałam o... tobie i Matcie.

– Wiedziałaś? – Pytanie rozbłyska niczym płomień. Zmieniam ton. – To znaczy, czy wiedziałaś o tych drzwiach?

Potrząsa głową.

– Nie. Neil nigdy o tym nie wspomniał. Ani słowa, przysięgam na Boga.

Wsypuję całą saszetkę cukru do swojej kawy, zastanawiając się, czemu nie zamówiłam tej gorącej czekolady, a potem myślę, jak mogę, do cholery, myśleć o czymś tak trywialnym, tak nieistotnym, skoro w moim mózgu wisi przeświadczenie, że gdzieś ktoś coś wie na temat śmierci mojej córki. Myśl, że sama Bella może coś wiedzieć. Ale nie mogę złapać jej za język. Nie tutaj.

– Matt jest u was, prawda? – Takie słowa wychodzą z moich ust w zamian.

– Właściwie to dobrze, że zadzwoniłaś. Miałam wymówkę, żeby się ulotnić. – Sący napój i oblizuje usta. – Mogą sobie przeprowadzić tę swoją męską rozmowę – dodaje. – Cokolwiek to znaczy.

– Nie mam pojęcia.

To niesamowite, ale uśmiechamy się do siebie.

Zza pleców dochodzą do mnie dźwięki sprzątanania przez barmana.

– No więc – mówi Bella. – O czym chciałaś pogadać?

Przyglądam się swoim dłoniom. Są przesuszone od zbyt częstego mycia, tak samo jak wtedy, gdy Abi była niemowlęciem. Bella zauważy, będzie się zastanawiała, dlaczego ich nie nawilżam. Chryste, te myśli są jak robaki.

Podnoszę wzrok, próbuję wytrzymać jej spojrzenie, choćby przez kilka sekund.

– Pamiętam, jak mówiłaś, że Neil był całą noc poza domem – zaczynam.

– Wtedy gdy Abi... zniknęła.

– Tak. – Zmienia pozycję. Prostuje kręgosłup, wyciąga szyję. – Dlaczego?

– Miałaś na myśli „całą noc” czy tylko, no wiesz, że po prostu nie było go długo?

– Myślałam, że już to sobie wyjaśniłaś z Neilem. – Jej głos staje się ostry i kiedy na nią patrzę, widzę, że wysunęła nieco szczękę i zacisnęła usta. Opowiadała mi o kłótniach z innymi koleżankami, sprawiając, że zakładałam, że ich przyjaźń się skończyła, a zaraz w następnym tygodniu wychodziła z nimi znowu, wszystko więc było wyjaśnione. Zastanawiam się, co będzie dalej, czy jestem w stanie uniknąć sceny, o której przeczucie mówi mi, że jest nieunikniona.

– Wyjaśniłam. – Staram się mówić cichym i stonowanym głosem.

– To co to ma być? Sprawdzasz, czy nasze zeznania się pokrywają?

Konfrontacja w jej tonie niemal mnie zmiata.

– Wybacz – mówię. – Ale odkąd dowiedziałam się, że to Matt nie zamknął drzwi, wszystko, co myślałam o tamtym dniu, zostało postawione na głowie. Nie chodzi o to, że to coś zmieniło w przebiegu wydarzeń, bardziej o poczucie, że ktoś, kogo tak dobrze znałam, okłamywał mnie przez tak długi czas i co to oznacza dla tego wszystkiego, o czym myślałam, że było prawdą. Wiesz, o co mi chodzi? Mam mętlik w głowie, jeśli mam być szczerą. Tak się właśnie czuję. Przechodziłam przez to tyle razy, za każdym razem mając nadzieję na inne zakończenie, ale teraz... – Podnoszę

wzrok, ale widzę w jej oczach taką hardość, że wracam do obserwowania swojej kawy, której wcale nie chciałam.

– Co teraz?

Zmuszam się, by wytrzymać jej spojrzenie, nieważne jak bardzo jest onieśmielające.

– Neil powiedział, że kontynuował poszukiwania. Pamiętasz, o której wrócił do domu?

Jej opalona skóra żółknie. Mruży swoje piękne turkusowe oczy. Zaciska szczękę. Każda z tych zmian jest ledwie zauważalna. Znikoma. Ale tak samo jak te niby nieistotne wydarzenia na przyjęciu, wszystko się sumuje.

– Bella?

Potrząsa głową.

– Nie wiem – odpowiada w końcu. – Naprawdę nie pamiętam. Chyba chodziło mi o to, że długo go nie było. Chciałam ci tylko powiedzieć, jak bardzo to przeżywał, to wszystko. Przecież byłam pijana, Avo. Te koktajle!

– Robi grymas na twarzy. Może ona też czuje, że się w niej gotuje i obawia się tego.

– In vino veritas – mówię.

– Co? – Patrzy na mnie tępo.

– Nic. Chodzi tylko o to, że odniosłam wrażenie, że chciałaś mi coś powiedzieć, ale... czy ja wiem... bałaś się? Pewnie to nadinterpretuję, ale hej, kto może mnie winić? Byłaś bardzo natarczywa, to wszystko. Mówiłaś mi, jak bardzo Neil kochał Abi. Wiem, że ją kochał. Ale ty powiedziałaś: „niezależnie od wszystkiego” i ja, no nie wiem, to było, jakby... jakby zrobił coś okropnego, a ty próbowałaś powiedzieć mi, że nie zrobił tego celowo...

Obserwuję ją. Obserwuję każdy jej ruch, każdy tik, każdą zmianę odcienia skóry. Pod opalenizną jej policzki się rumienia.

– Bella?

Jej oczy wypełniają się łzami.

– Neil nigdy nie zrobiłby nic, co mogłoby skrzywdzić Abi. Kochał ją. Tak bardzo ją kochał.

– Nie mówię, że jej nie kochał. Po prostu zastanawiam się, czy coś się stało. Może... może był spóźniony, jechał zbyt szybko...

Bella wstaje. Jej krzesło przewraca się z łoskotem na podłogę.

– Nie przejechał jej, jeśli to masz na myśli. On nic nie zrobił.

– Nie mówię, że zrobił. – Unoszę ręce skierowane wewnętrzną stroną do niej. – Nic nie mówię. Chcę tylko, żebyś była ze mną szczerą, to wszystko. Jeśli coś wydało ci się dziwne tamtego dnia, cokolwiek, to powiedz mi o tym. Chodzi o to, że Jasmine знаła imię zabawki Abi, a to jest niemożliwe. To niemożliwe, Bella, totalnie niemożliwe, chyba że widziała Neila albo ciebie z nią. Wiem, że to może brzmieć niedorzecznie, ale nie umiem tego wytłumaczyć, a dziś, kiedy wróciłam myślami do naszej wczorajszej rozmowy, zdałam sobie sprawę, że on też nie umiał. Więc jeśli jest coś, co mogłaś zauważyć, coś, co nie do końca się zgadzało, co może ci się wydawać nieistotne, dla mnie może być ważne, rozumiesz? Nie chcę nikogo obciążać, chcę tylko wiedzieć, co się stało, bo moja mała dziewczynka może nadal gdzieś tam być, a jeśli jest, chcę ją z powrotem. Jestem przekonana, że możesz to zrozumieć. – Wielkie łzy spływają mi po policzkach, ale ja ich prawie nie zauważam. I w tym wszystkim, w całym tym chaosie, ciągle martwię się, że ją zdenerwuję.

Za późno. Bierze ze stołu telefon i wrzuca go do torebki.

– Bella, proszę – naciskam. – Nie bierz tego do siebie. Przechodzę przez piekło, nie widzisz tego?

Pociąga głośno nosem i wpycha sobie opuszki palców pod rzęsy, tak samo jak tamtego dnia. Ostrożnie. Świadoma swojego wyglądu nawet teraz. Tak samo jak wtedy.

– Bella, proszę cię. – Podnoszę głos. – To moja mała córeczka. Jestem jej matką. Nie wiesz, jak to jest... – Za późno zdaję sobie sprawę z tego, co powiedziałam.

– Czego nie wiem? Nie wiem, jak to jest? Nie jestem mamą, więc co, jestem jakaś psychiczna?

– Nie. – Unoszę w jej kierunku dłonie, ledwo stojąc na nogach. – Słuchaj, wiem, że straciłaś dziecko – mówię łagodnie. – Dzieci. I bardzo mi przykro.

Otwiera szeroko oczy.

– Kto ci o tym powiedział? – Zamyka oczy, otwiera je i przewraca nimi. – Och. No tak, oczywiście.

– Neil był zdenerwowany, to wszystko. To po prostu wyszło w rozmowie. Wyraz jej twarzy twardnieje.

– Wyszło co? Jedna z waszych pogawędek? Zawsze z tobą rozmawiał, co nie? Panna z Klasą, Panna Idealna, Panna Utalentowana, z tym twoim pianinem i twoim cudownym głosem... o wiele lepsza niż tacy jak ja. Plebs.

Wstaję na równe nogi, niemal przewracam stół. Obracam się i przysiadam na brzegu krzesła.

– O czym ty, do cholery, mówisz? W życiu nie użyłabym takiego słowa.

– Po prostu uważasz się za lepszą od nas, nie zaprzeczaj – szydzi Bella, patrząc na mnie z góry. – Myślisz, że to co się stało, daje ci prawo do rzucania oskarżeń na nas, że zrobiliśmy coś okropnego? Jesteś zdenerwowana, rozumiem to. Pograżona w żalu, to też rozumiem. A wiesz dlaczego? Bo nie jestem tak tępa, jak ci się wydaje, właśnie dlatego. Jestem w stanie ogarnąć więcej niż jedną rzecz naraz moim małym umysłem. Jestem zrozpaczona z mojego powodu, oczywiście. I z powodu Neila. Ale potrafię się przejąć również tobą, wiesz? I przejmuję się, naprawdę się przejmuję. Ciężko mi patrzeć na małego Freda, ale to nie znaczy, że nie cieszę się nim razem z tobą. Nie twierdzę, że mój żal da się porównać z twoim, ale byliśmy zrozpaczeni, ja i Neil, zrozpaczeni za nas i za was. Od tamtego dnia nie był już taki sam i przechodzimy przez okropne chwile, naprawdę straszne. Nie było nas przy was, wiem i przepraszam za to, ale was też przy nas nie było i to nie jest niczyja wina. Czasami to po prostu nie jest niczyja wina, Avo. Ale nie możesz oskarżać Neila, że ma coś wspólnego ze śmiercią Abi, okej? I byłabym wdzięczna, gdybyś zaprzestała tych serdecznych rozmów z nim o północy, dobrze? To mój mąż, Avo. Mój. Nie twój.

Huczy mi w głowie.

– Co? Bella, o czym ty w ogóle mówisz? Skąd ci się to, do diabła, wzięło? Nie lecę na Neila. To szaleństwo.

– Dlaczego? Bo bardziej lubi piwo niż szampana?

– Co? – Twarz mi płonie. – To głupie! Nie patrzę na was z góry. Nigdy nie patrzyłam. Jeśli już, to ty na mnie.

– Co? Wcale nie.

– Oczywiście, że tak. Nigdy nie miałam odpowiednich ubrań, tak na początek. Nie mam odpowiednich butów i właściwej fryzury. Te wszystkie razy, gdy wychodziłaś na drinka i nigdy mnie nie zaprosiłaś, nigdy, przez cały ten czas, kiedy się znamy. Nawet przed zaginięciem Abi. Zepsułabym ci zdjęcia na Instagramie, co nie? Nie jestem wystarczająco olśniewająca.

– To nieprawda. – Oczy zachodzą jej łzami.

– To tak samo, jak ja nie jestem snobką. Jeśli kiedykolwiek ci się taka wydawałam, to dlatego, że stojąc przy tobie, czułam, jakbym rozpływała się w cieniu, jakbym była kosmitką, która nie jest w stanie dostosować się

do panujących zasad. Ty jesteś taka... taka olśniewająca przez cały czas. Spójrz na siebie! Jest wtorkowy wieczór w wyludnionej kawiarni i spójrz na siebie! A potem popatrz, w jakim ja jestem stanie! Może czasami byłam trochę zazdrosna, to wszystko. Nie jestem zainteresowana Neilem w ten sposób, a nawet gdybym była, choć nie jestem, on nigdy by niczego nie uczynił, bo jest wierny i cię kocha, i ja też nigdy bym nic nie zrobiła, bo jestem zamężna z Mattem.

– Ale nieszczęśliwie.

Opada mi szczęka.

Bella poprawia torebkę na ramieniu i unosi lekko podbródek, wydaje się gotowa do wyjścia.

– Nieszczęśliwie?! – krzyczę. Krzyczę. W kawiarni. Bella zamiera. – Byłam szczęśliwa. Byłam szczęśliwa, dopóki moja córka nie została zabita czy porwana, czy może utonęła, czy cokolwiek się z nią stało, do cholery! Wybacz, przykro mi, że moje małżeństwo trochę ucierpiało pod wpływem tego lekkiego stresu.

Łzy kapią mi z brody. Z nosa mi cieknie, ledwie widzę na oczy, ale dostrzegam, że Bella też płacze, jej podbródek drży, w jej oczach błyszczy panika i dezorientacja.

– Byłam szczęśliwa! – krzyczę do niej, choć widzę, że się wyraźnie wzdryga. – I dobrze się dogadywaliśmy, dopóki nie dowiedziałam się, że mój mąż, mój własny mąż, okłamywał mnie przez rok w takiej drobnej sprawie, która doprowadziła do śmierci naszej córki i tego, kto zostawił otwarte drzwi, drzwi, które, gdyby były zamknięte, oznaczałyby, że ona nadal byłaby tu z nami! A twój mąż, Pan Miły, Pan Ja-To-Kurwa-Naprawię, krył go w jakiejś pieprzonej dorosłej wersji konspiracyjnego „tylko nie mów mamie”. Więc wybacz mi, że trochę odchodzę od zmysłów, dobrze? – Zalewa mnie fala rozpacz, ukrywam twarz w dłoniach. – Nie uważam, że jestem lepsza od kogokolwiek, nigdy tak nie uważałam. Po prostu jestem wściekła na wszystkich i na to wszystko. Czuję się smutna, zmęczona i samotna. Są dni, kiedy nie mogę się zmusić do tego, by się umyć, a co dopiero układać włosy i naprawdę nie próbuję nikogo oskarżać, naprawdę. – Szlocham w dłonie. – No dobra, może to robię, ale nie chcę tego. Nie chcę być taką osobą i było mi przykro, gdy usłyszałam o waszych problemach, oczywiście, że tak, i oczywiście, że mam na to miejsce, nie chodzi o to, że mój żal... to znaczy, przecież to nie są zawody. O Boże, nie

chcę być taka, niczego z tego nie chcę. Nie chcę się rozpadać. Po prostu chcę moją córeczkę z powrotem. Tak bardzo chcę ją z powrotem.

Słyszę dźwięk opuszczanych żaluzji. Muzyka cichnie. Kiedy podnoszę wzrok, widzę, że Bella kiwa głową, ale nie do mnie.

– Ava – mówi cicho. – Zamykają.

– Jasne.

Ocieram twarz dłońmi. Cisza narasta. Chwilę później Bella klepie mnie w ramię i podaje chusteczkę.

– Dzięki. – Przyciskam ją do oczu, a potem wydmuchuję nos. – Przepraszam.

– W porządku.

– Naprawdę przepraszam.

– Powiedziałaś, że jest okej. Ja też przepraszam. Nie wiedziałam, że przeze mnie tak się czułaś.

– Ja też. – Ponownie wydmuchuję nos.

– Chyba obie źle się zrozumieliśmy.

– Chyba tak, ale ja ciebie zawsze lubiłam. Jesteś miła i zabawna, i jesteś... jesteś sobą, wiesz?

– A ja lubię ciebie, Avo. Nigdy cię nie zapraszałam, bo nie sądziłam, że to twoje klimaty, to wszystko.

Kiwam głową.

– Przepraszam. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Chodźmy do domu, co?

– Właściwie – mówi – wolę przejść się sama. Bez urazy. Muszę sobie to wszystko poukładać w głowie. Ale wszystko jest okej.

– Jesteś pewna? Słuchaj, chcę tylko powiedzieć, że... jeśli coś ci przyjdzie do głowy, nawet najmniejsza myśl, proszę, proszę, proszę, daj mi znać, okej? Błagam cię.

Po raz pierwszy przez to całe spotkanie patrzymy sobie w oczy. I być może jest to spowodowane tym, że ta chwila jest pełna napięcia, ale wydaje się, jakbyśmy widziały się po raz pierwszy. Jesteśmy zwykłymi kobietami, myślę, usiłującymi przetrwać w świecie, który nie jest stworzony dla żadnej z nas.

– Okej – mówi, uśmiechając się przez łzy. – Obiecuję.

Zamykam oczy, czuję nacisk jej dłoni na moim ramieniu. Po sekundzie znika. Po kolejnej sekundzie słyszę skrzypienie otwieranych drzwi, następna sekunda – szum aut z ulicy, jeszcze jedna – trzaśnięcie drzwi. Po

chwili muzyka zamiera. Jestem sama – zdeorientowana, wykluczona i samotna.

Rozdział 36

Matt

Matt zastaje Neila w kuchni. Je płatki na stojąco, ze skrzyżowanymi nogami opiera się tyłem o zlewozmywak, a miskę trzyma w jednej dłoni. Jest za piętnaście siódma rano. Ubrał się już do pracy. Ma na sobie czysty biały kombinezon, szary T-shirt i żółte buty robocze. Jest świeżo ogolony, a włosy zaczesał do tyłu.

– Dobry. – Macha niedbale ręką, dając tym gestem znać, żeby Matt sam się obsłużył. Czuć od niego świeży zapach żelu pod prysznic. – Tam są płatki. Albo tosty. Chcesz kawy albo herbaty?

– Kawy, dzięki.

Po chwili Neil podaje mu latte w kawiarnianym stylu.

– Mamy teraz ekspres – mówi z przeproszącą nutą w głosie. – Niedługo będziemy jeść suszone na słońcu pomidory.

– Już jecie suszone na słońcu pomidory. – Matt się uśmiecha. Jego twarz stawia opór, skóra jest sucha i gruba jak u słonia. Ponieważ nie spał, na myśl o jedzeniu czuje mdłości.

– Nie jedziesz rowerem? – pyta Neil, przyglądając się garniturowi Matta.

– Mam spotkanie na mieście. Na Embankment.

– Mogę cię podrzucić na stację, jeśli chcesz. Pracuję dziś w Surbiton.

– Świetnie.

Neil patrzy na zegarek.

– Za dziesięć minut?

– Jasne. Z Bellą wszystko w porządku?

Neil potakuje.

– Nic jej nie jest. Zaniosem jej herbatę, ale ona nie wstaje przed wpół do ósmej, nawet za piętnaście.

Matt kiwa głową, choć nie jest pewien, czy to wyjaśnia ten zapłakany stan, w którym wróciła wczoraj do domu o dziesiątej, mówiąc, że pokłóciła się z kimś o imieniu Shannon i idzie prosto do łóżka. Ledwie na niego

spojrzała, a on, o zgrozo, poczuł się jak intruz w jakiejś trudnej sytuacji, trudnej i prywatnej. Kilka minut później znalazł jakąś wymówkę i poszedł do łóżka, żeby Neil mógł dołączyć do żony.

– Załatwię sobie dziś hotel – mówi teraz do przyjaciela.

– Nie wygłupiaj się. – Neil odkłada miskę do zlewu. Matt w głębi serca wie, że Neil wolałby, aby zatrzymał się w hotelu, biorąc pod uwagę ich sprawy z Bellą, ale to nie są słowa, jakie kiedykolwiek mogłyby paść pomiędzy nimi.

– Nie – mówi. – Muszę pobyć sam, tak myślę.

– Spoko. Jeśli tak chcesz.

– Jasne.

Pięć minut później Matt schodzi po schodach. Drzwi wejściowe są otwarte, a Neil ładuje jakieś narzędzia na tył swojej furgonetki.

– Mam zamknąć drzwi? – woła świadomy druzgocącej ironii tego pytania, kiedy tylko je wypowiada.

– Tak. Jeszcze tylko jedna rzecz. – Neil znika z boku domu, pewnie żeby wziąć więcej narzędzi z szopy. Neil ma wypasioną szopę – posiada betonowe fundamenty, jest wzmocniona i izolowana, a drzwi zamykane są na podwójną kłódkę, co ma zapobiegać kradzieży. Bardzo w stylu Neila, myśli Matt, prawie się do siebie uśmiechając, kiedy podchodzi do samochodu i przechodzi obok otwartych tylnych drzwi. Rzuca okiem do środka i widzi elektryczny mikser do betonu, drucianą szczotkę, kilof i kilka łopat.

Wsiada na przednie siedzenie. Chwilę później Neil wychodzi z bocznej ścieżki, podśpiewując pod nosem i niosąc dużą czerwoną torbę na narzędzia wielkości małej walizki. W jednej chwili znika. Matt słyszy, że tylne drzwi auta zatraskują się za nim. Po kolejnej chwili Neil gramoli się za kierownicę.

– Dobra – mówi, odpalając silnik. Ryk muzyki. Przycisza radio. – Wszystko gotowe?

– Tak. – Matt trzyma swoją sportową torbę na kolanach, a plecak z laptopem położył sobie między stopami.

Neil wyjeżdża z ulicy. Na razie nie ma dużego ruchu. Nad nimi pomarańczowe i szare chmury ustępują miejsca białym. Nadchodzi wrzesień – chłodne poranki i ciepłe dni. Rozmawiają, później Matt myśli, że tak naprawdę to o niczym. O pogodzie, pracy Neila, pracy Matta. Neil

podrzuca go na stację i uderza w klakson, gdy odjeżdża. Matt macha do niego, ale odwraca się, zanim samochód znikną za zakrętem.

Dopiero później, w pociągu do Waterloo, ponownie pojawi się w jego myślach Neil idący ścieżką i niosący czerwoną torbę, podśpiewujący sobie. Obraz ten uwolni w głowie Matta toksyczną chmurę zarodników, które będą się namnażać w jego komórkach i tkankach, aż w końcu, kiedy weźmie na wynos białą kawę z baru przy Villiers Street, dotrze do źródła tej zgnilizny. Odkryje, że nie były to słowa, mowa ciała czy jakikolwiek niewłaściwy gest, ale przedmiot tak niewinny jak torba, a mianowicie nowa czerwona torba na narzędzia, niesiona z nonszalancją przydomową ścieżką. I dopiero wtedy, i to tylko ze względu na wszystko inne, co wydarzyło się wcześniej, wszystko, co Ava powiedziała zeszłej nocy, ten pozornie nieszkodliwy szczegół sprawi, że zacznie mu się zbierać na wymioty.

Przybywa na spotkanie za wcześnie. Na tyłach Embankment, w miejskim ogrodzie, siada na ławce i popija swoją kawę, grzejąc się w promieniach słońca. Przechodzą obok niego ludzie dojeżdżający do pracy – spieszą się, biegną do celu. Wraca myślami do tamtego dnia, do Neila pokazującego policjantowi przebudowywaną kuchnię Lovegoodów.

– Słuchaj. – Neil położył dłoń na ramieniu Matta, jego głos był niski i cichy. – Pójdziemy sprawdzić dom Johnniego.

Był taki zwyczajny, taki otwarty. Matt pamięta tego policjanta, który wyglądał, jakby miał osiemnaście lat.

Siedząc teraz w słońcu, przypomina sobie również, że on też wszedł do środka popatrzeć. Nie zastanawiał się, dlaczego to robi, dlaczego poszedł sprawdzić to, co Neil już sprawdził. Czy kierowała nim jakaś podświadoma nieufność w stosunku do niego nawet wtedy? Nie sądzi. Abi była jego córką. To było całkiem normalne, żeby oprzeć rower o murek i wejść do domu sąsiada. To było normalne, zakraść się do holu, podsłuchiwać, co mówią Neil i policjant na piętrze. To było normalne, żeby stać w drzwiach kuchennych i patrzeć przez szybę na miejsce pracy Neila.

Ale tam prawie niczego nie było – tylko mury wielkiego jak hangar pomieszczenia, sufit podtrzymywany ogromnymi stalowymi belkami i praktycznie brak tylnej ściany wychodzącej do ogrodu. Dom na palach. W stylu weneckim, pomyślał wtedy, albo jak nadmorskie posiadłości Tudorów. Pamięta, jak o tym myślał, nawet w tej chwili pełnej napięcia. Pamięta, że takie przypadkowe myśli wpadały mu do głowy tamtego dnia,

jakby z jakiejś wcześniejszej wersji jego samego. Stojąc tam i patrząc, pamiętał, jak jego i Avy kuchnia tak wyglądała – tylko mniejszy model – gdy Neil robił u nich przebudowę. Dwie miotły, dwie łopaty i kilof opierały się o ścianę z prawej strony, a u ich stóp leżała schludna kupka gruzu. Neil zawsze był bardzo czystym i porządnym robotnikiem. Torba z narzędziami leżała po drugiej stronie obok otwartego, przypominającego żabę, bębna betoniarki elektrycznej Neila, tej samej, w której Matt pomagał mu mieszać beton. Samotna pralka stała po lewej stronie podłączona do rury. Na pralce leżało zachlapane błotem radio, do połowy zjedzona paczka herbatników, czajnik – również zachlapany zaschniętą, błotnistą wodą – i trzy obskurne, białe kubki z logo Radia Jackie widocznym pod smugami zaschniętej kawy.

Słyszając głosy dobiegające z góry, pospiesznie wrócił do drzwi wejściowych, ale za późno, by nie zostać przyłapanym w holu przez Neila i gliniarza.

– Sorry – powiedział. – Musiałem sam zerknąć, rozumiesz?

Neil zgłosił się na ochotnika, że pokaże dom policjantowi. Myśli teraz, próbując poskładać to wszystko do kupy z tym okropnym, toksycznym przeczuciem. To on sprawdził wszystko ponownie. Ale to co niepokoi go teraz, to fakt, że pomiędzy miotłami, łopatami, ciężkimi narzędziami a betoniarką, pomiędzy kubkami, czajnikiem a radiem oraz do połowy zjedzoną paczką herbatników, leżącą na górze samotnej pralki, była torba Neila. Zupełnie nowa torba na narzędzia, z białymi szwami, nadal czystymi. Wielkości małej walizki. Nie myślał o tym wtedy; to nie była jedna z tysiąca przypadkowych myśli, które zaprzętały jego głowę tamtego dnia, ale teraz pamięta, że Neil powiedział mu, że była droga. Kosztowała dwieście funtów. Rolls-Royce wśród toreb na narzędzia.

Ale była czarna z białymi przeszyciami, czystymi. Była nowa. I nie była czerwona.

A potem Neil zasugerował, żeby się rozdzielili.

– Pójdę do Kingston – powiedział. Powiedział, że sprawdzi Bushy Park. Zrobił to?

Nagłe mdłości sprawiają, że ma ochotę zwrócić kawę, którą właśnie wypił. Pochyla głowę i wkłada ją między kolana. Czuje promienie słońca na karku. Na czole pojawiają mu się krople potu i jedyne, co widzi, to ta torba. Jej rozmiar. Jej nowiutki stan. Jej rozmiar. Jej rozmiar, jej rozmiar, jej rozmiar.

Kiedy Ava zapukała do Neila, był w domu, co było niezwykle, ale nie alarmujące. Później, kiedy na nich i ich najlepszych przyjaciół padły nieprzyjemne podejrzenia, psy obwąchały również ich dom i niczego nie znalazły. Niczego. Bo Abi tam nie było – nigdy nie było. Później on i Neil znowu się rozdzielili. Spotkali się dopiero wieczorem, a przyjaciel powiedział, że był aż w Barnes, pokazując zdjęcia i przyklejając plakaty do latarni ulicznych od Strawberry Hill do Richmond.

Naprawdę to robił?

Nie ma pojęcia. Matt wie tylko, że szukali do północy. Płaszcz Abi został znaleziony następnego dnia rano.

Ale Bella powiedziała Avie, że Neil był poza domem przez całą noc, co oznacza, że nie poszedł do domu, nie wtedy.

Kiedy znaleziono płaszcz, zaprzestano przeszukiwania domów. Do Tamizy weszli nurkowie, ale nic nie znaleźli. Neil, Bella, Ava i on sam, wszyscy złożyli zeznania. Inne tropy prowadziły donikąd – BMW, świadek, który nie był pewien, dane z telefonu komórkowego, kamery monitoringu. Dochodzenie zostało zawieszono, odroczone. Detektyw inspektor Farnham zostawiła im swój numer telefonu: „Gdyby pojawiły się nowe informacje, dajcie mi znać”.

Nie ma żadnych nowych informacji.

Sama w sobie torba na narzędzia nie jest informacją.

Samo w sobie rozpoznanie przez Jasmine Pana Leniwca nie jest informacją.

Sama w sobie nieobecność Neila w domu przez całą noc nie jest informacją.

Każdy z tych szczegółów sam w sobie nie jest informacją.

Ale razem...

Dzwoni do Avy.

Rozdział 37

Ava

Jestem sama, sama z moim synkiem i z czymś, co się krystalizuje, co nabiera kształtów. Obserwuję budzącą się do życia ulicę, obserwuję otwierające się drzwi wejściowe, moich sąsiadów zmierzających w kierunku stacji, samochody dojeżdżające do lokalnych miejsc pracy. Obserwuję ich i myślę o niedzielnym poranku, o rozmowie z Jen na ulicy. Drzwi garażowe otwierają się za nią. Johnnie wyprowadza swój samochód.

Myślę o tym poranku dyktowanym uderzeniem serca za uderzeniem serca, o Matcie wracającym do domu po swój płaszcz przeciwdeszczowy tuż przed ósmą rano.

Około ósmej, powiedziała Jen, około ósmej ona i Johnnie wyjeżdżają do pracy.

Jego samochodu nie było na podjeździe.

Ale Johnnie trzyma auto w garażu.

Jeśli ich samochód był w garażu, nie było go widać.

Jeśli samochodu nie było widać, ich dom mógł wydawać się zamknięty, pusty.

Jeśli wyjechali o ósmej i jeśli Matt wziął płaszcz tuż przed, jest możliwe, że Lovegoodowie nadal byli w domu.

Co oznacza, iż jest możliwe, że nadal tam byli, kiedy zostawił otwarte drzwi.

Jeśli Abi wyszła chwilę później, niosąc Pana Leniwca, to możliwe, że ją widzieli i że powiedziała im, jak on się nazywa.

Jasmine podchwyciłaby to imię i połączyła w głowie z Neilem, ponieważ Neil bawił się z nią jej maskotkami.

Neila tam nie było. Był w domu. Co oznacza, że to Lovegoodowie, a nie Neil, byli tam tamtego ranka.

Musieli z nią rozmawiać.

Musieli ją widzieć.

Widzieć ją i nic nie powiedzieć.

Dzwoni mój telefon. Znajduję go w kuchennej szufladzie i widzę to, co już wiem – dzwoni Matt, bez wątpienia cały czas załamując ręce i przeprasząc po fakcie. Nie mam ochoty z nim rozmawiać. Muszę przemyśleć to, nad czym się zastanawiam i jestem naprawdę wkurzona, że nie chce mnie zostawić w spokoju. Ale jeśli nie odbiorę, będzie dzwonił do skutku. Więc odbieram.

– Matt.

– Ava. Ava, nie rozłączaj się. To nie... nie dzwonię w naszej sprawie.

Coś porusza się we mnie. Coś, co nie całkiem jest przecuciem.

– Chodzi o Abi – mówi Matt znękanym głosem. – Chodzi o Neila.

Instynktownie wracam do salonu, by sprawdzić, co dzieje się z Fredem. Siedzi w bujaku i gaworzy do zawieszonych na pałaku zabawek, które dyndają nad nim.

– Mów. – Wyglądam na ulicę, która budzi się o tej porze, tak samo jak tamtego dnia, o kilka minut za późno.

– Nie wiem, co o tym myśleć. – Brzmi niepewnie.

– Co? Co masz konkretnie na myśli? Dowiedziałeś się czegoś jeszcze?

Wzdycha.

– To pewnie nic takiego. Ale może jest tak, jak powiedziałaś. Te wszystkie małe rzeczy, no wiesz.

– Matt, słyszę, że jesteś zdenerwowany, ale jeśli zadzwoniłeś do mnie, żebym bawiła się w zgadywanki, to obawiam się, że...

– Przestań! – Jego oddech po drugiej stronie linii jest urywany. – Przestań... pozwól mi...

Kiwam głową, choć nie może mnie widzieć.

– Myślałem – mówi nadal bez tchu. – Myślałem o Neilu i o tym, jak zawsze doradzał mi w życiu, wiesz? Chodzi mi o to, że zawsze wiedziałem, że mówił prosto z mostu. Nigdy nie miał żadnego ukrytego motywu. I z tego powodu jego rady zawsze były dobre. Zero planu, rozumiesz?

– Co to ma wspólnego z... – wtrącam, ale sama sobie przerywam.

– Ale tamtej nocy – ciągnie Matt – poradził mi, żebym nie mówił ci o tych drzwiach. To była zła rada. Nie winię go. To moja wina, że ci nie powiedziałem. Nie musiałem słuchać jego rady, chociaż zawsze to robiłem. Powinienem być ci powiedzieć. Powinienem mieć siłę, by go zignorować i zrobić to, co właściwe.

– Matt...

– Nie, czekaj. Daj mi skończyć. Chcę powiedzieć, że to był pierwszy raz, kiedy dał mi złą radę. I to był pierwszy raz... nie, to był jedyny raz, kiedy poradził mi, żebym był nieszczerzy. Na jakikolwiek temat.

– No i?

– Naciskał na to, żeby to zostało pomiędzy nami. To było jak jakiś pakt. Ale... wszystkie nasze paktły pochodziły z czasów dzieciństwa. To były takie... niewypowiedziane umowy. A tamtej nocy upierał się na uścisk dłoni, Avo. Nie chodzi o to, że zachowywał się dziwnie czy podejrzanie, ale po prostu nie zachowywał się jak on, to wszystko. Więc zacząłem się zastanawiać, czy miał jakiś interes w tym, żebym skłamał, ale nie mogę sobie wyobrazić, co by to mogło być. I na dodatek ten Pan Leniwiec. – Wzdycha. – A potem dziś rano zobaczyłem, że ma nową torbę na narzędzia.

– Co masz na myśli? Co nowa torba na narzędzia ma wspólnego z tym wszystkim?

Kolejne ciężkie westchnienie. Widzę go, widzę jego pochyloną głowę, smutek w jego oczach.

– Tamtego ranka. Kiedy Abi... zniknęła. Zajrzałem na jego miejsce pracy, na tę dobudówkę u sąsiadów, gdy on był na górze. I jego torba tam była, i była czarna. I była nowa. I pamiętam teraz, że była naprawdę droga. Tylko chodzi o jej rozmiar.

– Rozmiar. – Jest mi niedobrze. – Co to znaczy jej rozmiar?

– Była duża, wiesz? Wystarczająco duża.

Wymyka mi się szloch. Siadam na kanapie, zakrywam oczy dłonią.

– A dziś rano – kontynuuje Matt – miał czerwoną torbę. Nową czerwoną torbę. Nie wiem nawet, co to oznacza. Czy ma jakiegokolwiek znaczenie. Wpadam w paranoję. Jego czarna torba pewnie została w szopie. Jestem paranoikiem. Wybacz... Ava? Jesteś tam?

– Jestem. – Jestem i cała drzę.

– Ja... słuchaj, muszę to powiedzieć, okej? Zabrzmi to jak szaleństwo, ale wiesz, na tym przyjęciu... Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale czułem, jakby ona tam była. Opierałem się o tę stalową belkę i czułem jej puls. Jakby pulsował przez cały dom. To znaczy, zdałem sobie sprawę, że to był zegar, a ja byłem pijany, ale przez te kilka sekund miałem wrażenie, że czuję jej obecność. Jej serce. Jego uderzenia.

Jestem świadoma tego, że oddycham – regularnie, ciężko, jakbym sama przed sobą udawała, że śpię. Ale nie śpię.

– Czy my oszaleliśmy? – pyta. Słyszę drzenie w jego głosie.

– Być może – odpowiadam, pamiętając niemożliwy do zniesienia widok Cosimy w ramionach Johnniego, kiedy nie mogłam pozbyć się Abi z mojej głowy. – To była ciężka noc, trudno się z niej otrząsnąć. Słuchaj, wpadnij wieczorem, to pogadamy. Nie mówię, żebyś został, okej? Ale też mam parę przemyśleń. Mam bajzel w głowie.

– Okej – mówi. – Ale Ava?

– Tak?

– Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że ci wierzę, dobrze? Nie wierzyłem i przepraszam, ale teraz wierzę. Nie wiem, o co chodzi, ale masz rację, coś jest na rzeczy. Coś jest nie tak.

– Dziękuję.

Kiedy godzinę później wkładam Freda do wózka, przychodzi SMS. Bella. Możesz rozmawiać?

Jak olej pod zapaloną zapałką moje ciało wypełnia palący strach. Natychmiast do niej dzwonię.

– Bella?

Słyszę tylko odgłosy w tle – radio, rozmowy, szum suszarki do włosów.

– Bella?

Odgłosy cichną. Słyszę trzask zamykanych drzwi.

– Ava? – odzywa się. – Cześć, to ja.

– Wiem. Jesteś w pracy?

– Tak. Poszłam do kibelka.

Czekam. Mija sekunda, dwie. Słyszę pociągnięcie nosem.

– Bella? Wszystko w porządku?

Szloch. Milczę – to wszystko, co mogę zrobić, by nie zacząć panikować.

– Powiem to tylko raz – szepcze. – I nigdy więcej tego nie powtórzę, słyszysz?

– Okej.

– I nie mówię, że to cokolwiek znaczy, okej?

– Okej.

– I nie możesz powiedzieć nikomu, że ci powiedziałam.

– Dobrze.

Wzdycha. Czekam, oddech zamiera mi w piersi.

– Dobra – mówi po dłuższej chwili. Kolejne głębokie westchnienie. – Kiedy wróciłam z salonu tego ranka, kiedy Abi... tamtego ranka, pojechałam do domu, żeby zmienić buty na tenisówki, abym mogła pomóc

w poszukiwaniach. – Potakuję i zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. – No i... ubrania Neila były w pralce. Jego kombinezon i cała reszta. Nie zastanawiałam się nad tym, po prostu przełożyłam je do suszarki i poszłam się przebrać. Ale następnego dnia rano znalazłam tam kolejny zestaw ubrań, które wyprał w nocy. I wtedy też się nad tym nie zastanawiałam. Wiedziałam, że był na poszukiwaniach i pomyślałam, że musiał się ubłocić, to wszystko. Przysięgam na Boga, że nie myślałam o tym wtedy. – Kolejne pociągnięcie nosem.

– Bella? – szepczę, chcąc ją pocieszyć, ale boję się jej przerwać, żeby nie przestała mówić.

– W porządku – mówi drżącym głosem. – Nie myślałam o niczym, może byłam tylko trochę zaskoczona, że sam sobie wyprał ubrania robocze, no wiesz. Ale powiedziałaś, że wszystko, nawet najmniejszy szczegół ma znaczenie, i teraz... to znaczy, przez cały ten rok on nie był sobą. Nigdy wcześniej na mnie nie krzyczał ani nic, zawsze był kochany. Nigdy nie pił w ciągu tygodnia. Myślałam po prostu, że to przez stres, przez te zabiegi in vitro...

Słucham, unosząc się nad własnym ciałem, nie mogąc uwierzyć w to, że mówi mi to wszystko, i to niecałą godzinę po telefonie Matta. To nie jest przypadek – oczywiście, że nie. Chodzi po prostu o to, że to przyjęcie wyciągnęło korek z dziwnej, stojącej wody w stawie naszego życia, woda opadła i ukazała w połowie zanurzone szczegóły leżące teraz na płyciźnie, na widoku.

– Nie był sobą – powtarza Bella, a jej słowa są przesiąknięte jakimś znaczeniem. – To było zrozumiałe, ale teraz... – Jej głos jest niewiele głośniejszy od szeptu; reszta jej słów rozmywa się w łzawym pośpiechu. – Rzecz w tym, że tamtego ranka, zanim wyszłam do pracy, w koszu na pranie nie było żadnych brudnych ubrań. Żadnych. Pranie robię w weekend, zawsze. A nawet gdyby jakieś były, Neil nigdy nie robi prania. Nigdy. Zawsze ja to robię. Nie mówię, że on coś zrobił, okej? Ale jeśli nie powiem ci tego, co wiem, a potem okaże się, że on coś wiedział, no cóż, nigdy bym sobie nie wybaczyła. Nigdy.

– Bella?

Cisza na linii. Siadam oszołomiona, a moje myśli galopują. Uwierzyłam albo myślałam, że mogę uwierzyć, że Neil nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Zaczęłam nawet podejrzewać Lovegoodów. Ale nawet kiedy o nich myślę, mam wrażenie, że chwytam się brzytwy. To była dzika

hipoteza, która powstała z desperackiej potrzeby, by nie zaakceptować o wiele straszniejszej, niewyobrażalnej możliwości. Neil.

Dzwonię do Matta.

– Ava?

– Właśnie dzwoniła Bella. Musisz natychmiast przyjechać do domu. Dzwonię do Sharon Farnham. Dzwonię na policję.

Rozdział 38

Ava

Matt wklepuje wszystko do swojego telefonu, podczas gdy ja prowadzę. Jedziemy na komisariat. Staram nie denerwować się za kierownicą. Zaczynamy rozsądnie, robiąc sensowną listę – pluszowy leniwiec, dziwne zachowania, pranie Neila, torba na narzędzia. Ale histeria narasta w nas miarowo, coraz bardziej i bardziej, aż do gorączkowych teorii godnych późniejszych sezonów telewizyjnych dramatów świeżo po wyczerpaniu pomysłów. W jednej z nich Abi jest pod opieką kogoś od Belli w odległym kraju, a Neil i Bella czekają, aż sprawa ucichnie, po czym postarają się o wizy i odlecą, by żyć pod pseudonimami z nią jako ich własnym dzieckiem. W tej teorii przebudowa ich kuchni nie została wstrzymana z powodu narastających kosztów zabiegów leczenia niepłodności, ale z powodu oszczędzania pieniędzy na ten lot w środku nocy w stronę zapomnienia.

– Chyba że... – mówię.

– Chyba że co?

– Znasz ten eksperyment z małpami?

Potrząsa głową. Przejeżdżam przez światła, skręcam w lewo.

– Czytałam o nim kiedyś. Wsadzają małpę i jej młode do klatki, a potem powoli podnoszą temperaturę podłogi. Matka unosi dziecko, żeby chronić je przed gorącem. Trzyma je w górze, z daleka od podłogi, podczas gdy ciepło narasta i parzy ją w stopy. Przeskakuje z nogi na nogę, aż w końcu...

– Kładzie się?

– Nie. W tym rzecz. Kładzie dziecko na podłodze i staje na nim.

– Och, na litość boską. – Matt wygląda na wstrząśniętego. – Po jaką cholere mi o tym opowiadasz?

– Bella. – Rzucam na niego okiem.

– Bella?

– Pomyśl o tym. Bella jest jedyną pozostałą osobą, która знаła imię tej zabawki. I kiedy Abi zaginęła, nigdzie jej nie było. Co, jeśli... co, jeśli zrobiła coś w szale zazdrości i Neil ją krył? I co, jeśli teraz, kiedy atmosfera robi się zbyt gorąca, rzuca go na podłogę, żeby chronić samą siebie?

Kręci głową.

– Nie. Przestań. Musimy przestać.

Kiwam głową. Zachowujemy się jak szaleńcy. Podejrzenia doprowadzają nas oboje do obłądu.

– Fakt jest taki – mówię – że kompletnie nic nie wiemy.

– Wiemy. Tylko że nic z tego, samo w sobie, nie jest warte wspomnienia o tym. Ale nie chodzi tylko o jedną informację, prawda?

– Prawda. Ale nie chcemy wyjść na wariatów. Więc żadnych teorii spiskowych, same fakty. I może nie wspominajmy o tym, że czuliśmy jej obecność na parapetówce?

To niesamowite, ale rozśmiesza nas to – mroczna iskra ponurego porozumienia.

Detektyw inspektor Sharon Farnham prowadzi nas do pokoju przesłuchań, który wygląda jak salon w domu mieszkalnym, i zaprasza nas, byśmy usiedli na beżowej kanapie. Przez telefon zaproponowała, że to ona do nas przyjedzie, ale nie zgodziłam się – woleliśmy przyjechać tutaj. Nie chciałam, żeby Neil albo Bella zobaczyli radiowóz przed naszym domem.

Matt pozwala mi mówić, co zresztą robię, karmiąc jednocześnie Freda. Przepenia mnie paskudne poczucie zdrady. Potem włącza się Matt, a ja słucham w przerażającym bezruchu, w środku wszystko mi się zaciska. Jeśli się mylimy, wszystko, co pozostało z naszego życia, zostanie utracone. Zasłużymy na wykluczenie przez naszych najbliższych przyjaciół i każdego, kto nas kiedykolwiek kochał.

A jeśli mamy rację, jest jeszcze gorzej.

Detektyw Farnham słucha, dyktafon leżący na stole nagrywa każde słowo.

– A potem zobaczyłem torbę – mówi teraz Matt. – Pamiętam, że tamtego dnia mało co się z nim widziałem. To znaczy, tak to jest, jak wszyscy skupiają się na konkretnym zadaniu... to skupienie jest wszędzie. Ja myślałem, że on był z innymi sąsiadami. Ava myślała, że był ze mną. Nawet nie zastanawiałem się, gdzie może być Bella. – Spogląda na mnie. – Nie myśleliśmy o tym, prawda? Nie mieliśmy żadnego powodu, żeby ich podejrzewać.

Rzucam okiem na Farnham, której wyraz twarzy niczego nie zdradza. Pewnie myśli, że oszaleliśmy. Albo że jesteśmy szczurami, które zdradzają najbliższych przyjaciół, nie mając właściwie żadnych dowodów tylko strzępki informacji. Cokolwiek myśli, nie zdradza tego. Być może po prostu nam pobłąza. Może jest wyszkolona, aby uważnie słuchać w nadziei, że prędzej czy później ktoś powie coś, co doprowadzi do rozwiązania, do aresztowania, do skazania. Może to na nas właśnie czeka – na fatalne przejęzyczenie, które pozwoli jej zatrzasnąć kajdanki wokół naszych nadgarstków.

– Rzecz w tym – kontynuuje Matt – że psy nigdy nie weszły do kuchni Lovegoodów, prawda? Więc jeśli ona była w tej torbie... – Zakrywa dłońmi usta i zamyka oczy.

– Nie było żadnego powodu, żeby wprowadzać tam psy – odzywa się Farnham. – Nie traktujemy ludzi jak przestępców, chyba że mamy ku temu jakieś podstawy. Okolica i ogród zostały sprawdzone tamtego dnia i nie było żadnych dowodów sugerujących, że Abi mogła być w środku, żadnego punktu dostępu do posesji. Pan Johnson był w domu, sami to potwierdziliście, a Lovegoodowie już wyjechali. Jeśli tak było, nadal trudno mi zrozumieć, jak Abi mogła dostać się do tego domu. Zeznania pana Johnsona wskazują na jego pobyt w domu aż do późniejszego momentu, kiedy pani go wezwała... – Gładzi się po podbródku, po czym spogląda najpierw na Matta, a potem na mnie. – Czy któreś z was pamięta, że widziało Lovegoodów, kiedy za pierwszym razem wychodziliście z domu? Czy jest możliwe, że oni byli jeszcze wtedy w domu?

– Tak – mówię.

– Jestem niemal pewna, że wyjechali około ósmej – Farnham zagląda do swoich notatek, po czym raz, drugi i trzeci pociera dłońią podbródek. – W czasie, kiedy Abi wyszła z domu pomiędzy pięć a piętnaście po ósmej, powinno ich już nie być.

– Rzecz w tym – mówi Matt, zerkając na mnie, a potem z powrotem na Farnham – że to mogło być wcześniej. Że Abi mogła wyjść wcześniej. Nie powiedziałem tego tamtego dnia, wiem, że powinienem był. Ale wróciłem tego ranka do domu po płaszcz przeciwdeszczowy.

Farnham wpatruje się w niego, jakby stracił zmysły.

– Powinienem był to powiedzieć i przepraszam. Nie wiedziałem, że to mogło mieć znaczenie, ale wszystko działo się tak szybko, a kiedy wróciłem, Abi nadal tam była, w holu, i była też tam, kiedy wychodziłem.

– Bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze. Ma mokre oczy, a moje serce ściska się na myśl o tym, ile musi go to kosztować. – Ale to ja zostawiłem otwarte drzwi. Nie Ava. Ja. – Zachłystuje się i zakrywa usta dłonią. – O Boże, teraz myślę, że to mój widok, widok otwartych drzwi sprawił, że wyszła z domu. Mogła chcieć pójść za mną. Nigdy o tym nie myślałem. O Boże, ona wybiegła za mną. – Chowa twarz w dłoniach i szlocha.

Kładę mu rękę na plecach. Jeśli jest ktoś, kto wie, co on czuje, to właśnie ja.

Detektyw Farnham notuje wszystko beznamiętnie.

– A więc to było przed ósmą?

Matt odejmuje dłonie od twarzy i potakuje.

– Trochę przed, tak.

– A czy Lovegoodowie byli wtedy w domu?

– Nie, już wyjechali.

– Niekoniecznie – mówię.

Matt patrzy na mnie i unosi brwi.

Farnham przenosi na mnie swoją uwagę.

– Myślałam o tym wcześniej – dodaję – ale porzuciłam tę teorię, kiedy zadzwoniła Bella. Chodzi o to, że Lovegoodowie mogli być wtedy jeszcze w domu. Matt myślał, że wyjechali, bo na podjeździe nie było samochodu, ale mógł być w garażu. Trzymają go tam. A jeśli pojawienie się Matta skłoniło Abi do pójścia za nim, poszłaby za nim natychmiast, więc jest możliwe, że wyszła z naszego domu, zanim Lovegoodowie opuścili swój.

– To nam daje nowe ramy czasowe. – Farnham notuje dalej, przygryza wargi, stuka końcówką długopisu o zęby. Mijają długie chwile. Opiera się na krześle i czyta notatki, trzymając je przed sobą w wyciągniętej ręce. – Oboje wyszliście o siódmej czterdzieści pięć. – Patrzy na mnie. – Avo, pani wraca tuż po siódmej pięćdziesiąt, opatruje pani kolanka córki i idzie na górę, jest około pięć przed ósmą, mniej więcej w tym samym czasie pani mąż wraca po płaszcz. Ale nie słyszy go pani, bo jest w toalecie; może trzaśnięcie drzwi, może odgłos splukiwania wody, cokolwiek. Kiedy wychodzi pani z łazienki, Abi nie wydaje żadnych dźwięków, więc zakłada pani, że jest spokojna. Czy to ma sens?

Potakuję.

Zerka na Matta, po czym kontynuuje.

– Pan odjeżdża, Abi wybiega za panem, ale pana już nie ma. Potem albo zauważa waszego przyjaciela Neila, albo któregoś członka rodziny Lovegoodów, ale kogokolwiek spotyka, ma ze sobą zabawkę, leniwca. Zanim pani schodzi na dół piętnaście po ósmej, Abi już nie ma.

Żadne z nas nie mówi ani słowa.

– Pytał pan Neila, gdzie jest jego stara torba? – Farnham zwraca się w końcu do Matta.

Potrząsa głową.

– Nie myślałem o tym aż do dzisiaj. Ale z pewnością była wtedy na miejscu jego pracy. I od tamtej pory nigdy jej już nie widziałem. I tak jak mówiliśmy, wiele rzeczy się nie zgadza.

Czuję, że potrzebuję prysznic. Muszę umyć cholerne zęby. Żal i zdrada stworzyły kwaśno-gorką mieszanekę w moich ustach. Zastanawiam się, czy Matt też czuje ten smak.

– Według mnie chodzi o zabawkę – dodaję beznadziejnie. – Pan Leniwiec i Jasmine. Owszem, Abi mogła powiedzieć Lovegoodom, jak nazywa się jej zabawka, ale ona ich w ogóle nie знаła. Nie sądzę, żeby tak po prostu sobie z nimi gawędziła. Ale wiedziała, że Neil pracuje w ich domu, a tylko my oraz Neil i Bella nazywają tę zabawkę Pan Leniwiec. – Zmuszam się, by przestać mówić i kładę stopę płasko na podłodze, żeby powstrzymać jej podrygiwanie.

Jakby dla kontrastu detektyw Farnham siedzi zupełnie nieruchomo, a jedną rękę przytyka do ust. Po chwili, która wydaje mi się wiecznością, odejmuje rękę od twarzy i pochyla się do przodu.

– Możemy jedynie wezwać ich na przesłuchanie – mówi. Otwiera usta, by powiedzieć coś więcej, ale się rozmyśla.

Matt zerka na mnie. Oddaję mu spojrzenie i zdaję sobie sprawę, że nie czuję w sobie już tej nienawiści do niego, którą czułam wcześniej. Wiem, że tam jest, ale teraz dostrzegam tylko mojego towarzysza w tej ogromnej niedoli, kogoś, kto wierzy mi absolutnie, kogoś, kto w pełni przyznał się do swojej winy w tym wszystkim. Bez niego jestem zupełnie sama. Mój mąż, który tak bardzo mnie zawiódł, ale który jest tu teraz ze mną.

– Przepraszam – mówi.

Wyciągam rękę i ściskam jego dłoń.

– Wiem.

Ociera oczy i odwraca się do pani detektyw.

– Jeśli jest jakiś sposób, żeby nas w to nie mieszać – mówi – byłbym wdzięczny. Ale jeśli koniecznie musi pani podać nasze nazwisko, biorę na siebie całą odpowiedzialność.

*

Prowadzę samochód do domu w milczeniu. Parkuję. Odpinam pas i wyciągam Freda z fotelika. Jest po siedemnastej. Na ulicy jest cicho, tak bardzo cicho. Zastanawiam się, czy będziemy musieli się przeprowadzić. Niezależnie od tego, co stanie się teraz, nie mogę sobie wyobrazić dalszego mieszkania tutaj.

Idziemy krótką ścieżką prowadzącą do domu. Stojąc przy drzwiach, Matt zerka w dół ulicy, w kierunku domu Neila i Belli.

– Myślisz, że już ich wezwali? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia. Myślisz, że to zrobili?

– Nie wiem. – Ma napiętą twarz. Robi grymas. – Nigdy wcześniej nie donosiłem na mojego najlepszego kumpla. Nie jestem pewien, jak to działa.

Dotykam jego ramienia.

– Postaraj się o tym nie myśleć.

– Ach, no jasne, nie ma sprawy.

Odwracam się od niego i jego sarkazmu. Otwieram drzwi wejściowe. Wchodzimy razem do środka. Nie mam pojęcia, co będzie dalej. Jestem w jakimś dziwnym stanie zawieszenia. Innym niż wcześniej. Oboje w nim jesteśmy. Jesteśmy w tym razem, ale zarazem osobno. Dryfujemy, ale jesteśmy przywiązani do tego samego haka. Robimy herbatę. Przygotowujemy kanapki. Nalewamy sok owocowy, po czym o nim zapominamy. Otwieramy butelkę czerwonego wina, które wypijamy. Tak samo jak tego dnia, kiedy zniknęła nasza córka, pozostało nam tylko to – czekanie, czekanie i drobne czynności dnia codziennego.

Około dwudziestej trzydzieści dzwoni telefon. Słyszę go z góry. Zostawiam Freda w łóżeczku i biegnę na dół. Matt jest w salonie, rozmawia przez telefon.

– Nie – mówi. – Tak, dziękuję.

Rozłącza się. Mija długa chwila. Otwieram usta, by wypowiedzieć jego imię, ale on przykuca, opada na kolana i jęczy. Podnosi ręce i obejmuje nimi tył głowy. Kostki na jego dłoniach zbieleły.

– Matt? – Moje ciało wypełnia się znajomym stanem przerażenia.
– O Boże. – Zaczyna płakać. – O Boże, o Boże, o Boże.
– Co? – mówię z sercem dudniącym mi w piersi. – Czy to była Farnham?
– Tak.
– I? – Zaciska mnie w klatce. – Matt? Możesz mi coś powiedzieć? Matt, skarbie?
– O Boże, o Boże, o Boże. – Powoli się prostuje, wstaje, podchodzi do okna, po czym wraca do mnie. Jego twarz jest czerwona i błyszcząca od łez, jego oczy są malutkie. Rękami nadal trzyma się za głowę.
– Co? To nie on, prawda? To nie Neil?
– To on. – Patrzy mi w oczy, wyrywa mu się szloch. – Przyznał się. Neil zabił naszą córeczkę.

Rozdział 39

Neil

Jego ulica przesuwa się za oknami radiowozu; miejsce, gdzie zbudował swoje życie, migocze jak prymitywna kreskówka narysowana na rogu zeszytu. Domy stają się jednym i tym samym domem, nakładają się na siebie raz za razem – różnokolorowe drzwi, różne krzewy, różne zasłony.

To jest mój dom, myśli. To moje miasto.

I kiedy to miasto umyka mu tak szybko jak pstryknięcie palcem, wie, że nie jest jego, już nie. To miejsce, gdzie się urodził i wychował, miejsce, gdzie położył fundamenty i cegła po cegle zbudował swój zamek, i to tylko po to, żeby puścić stalową kulę i zburzyć to wszystko. Tamten dzień. Tamten okropny, przerażający poranek. Przez trzydzieści pięć lat żył jako dobry człowiek, zajmował się swoimi sprawami, poznał Bel, oświadczył się jej podczas wakacji na Seszalach, ożenił się z nią, ciężko pracował, nigdy od nikogo niczego nie wymagał, pragnął tylko tyle, ile każdy inny człowiek, bez robienia nikomu krzywdy, starał się być dobrym kumplem dla Matta, zachęcał go, sprawiał, by uwierzył w siebie...

To nie ma znaczenia. On nie ma już znaczenia. Jest niczym. Robiąc to, co zrobił, zniszczył nie tylko swój zamek, ale też siebie i wszystko, na co przez całe życie zapracował, nie miało już znaczenia to, co dobrego zrobił.

Próbuje określić, kiedy dokładnie stał się zerem. Pierwszą sekundę można tłumaczyć paniką. Świadoma część, myśli, to był ten moment, kiedy zasunął zamek nad jej bladą, martwą twarzą. Ale może nie. Może wtedy nadal był w szoku. Ślepy. Głuchy. Otepiały. Tak, może był. Może to było później, kiedy wyszedł z domu w świeżym kombinezonie i zaczął wielkie udawanie.

To nie ma znaczenia. On nie ma znaczenia. Kogo, do diabła, obchodzi, co on myśli.

Zamyka oczy, słysząc trzaski policyjnego radia, narastający warkot silnika, szuranie pieszych przechodzących przez ulicę i widzi samego siebie

stojącego nad torbą w tej częściowo zbudowanej przybudówce kuchennej. Nie ma nad tym kontroli. Nic już nie może zrobić, żeby to naprawić. Nie ma odwrotu. Nigdy nie było. To niemal ulga. Zabijało go to każdego dnia, wyniszczało od środka. Lepiej już niech to się wyda, za kilka godzin będzie po wszystkim, raz na zawsze. Matt i Ava dowiedzą się, co zrobił. Wszyscy się dowiedzą, co uczynił.

Zastanawia się, co wiedziała Bella. Czy cokolwiek podejrzewała. Zeszłej nocy, gdy wróciła taka zdenerwowana i kiedy przyszedł do łóżka, siedziała oparta o zagłówek i czekała na niego.

– Dlaczego Matt i Ava cię podejrzewają?

– Co?

– Ava powiedziała, że ty i Matt wróciliście o północy, wtedy kiedy zniknęła mała Abi. Ale ty nie wróciłeś do domu o północy. Gdzie byłeś?

– Wróciłem jej szukać. – Rozebrał się i wszedł do łóżka. – Myślałem, że dam radę ją znaleźć. Powiedziałem jej to.

– Dlaczego robiłeś pranie tamtego ranka?

– Pranie? Co? Do czego zmierzasz?

– Musiałam przez ciebie skłamać – powiedziała. – To było okropne.

– Ale ja nic nie zrobiłem. Oni po prostu mają paranoję. Coś im się poprzestawiało w głowach na tej parapetówce. Zwłaszcza Avie. Mówiłem ci. Ona wpadła w obłęd i potrzebuje profesjonalnej pomocy, to wszystko. Chodź tu. No, chodź. Przytulę cię.

– Zawsze ją bronisz.

– Chodź tutaj.

Zagadał ją jak zawsze. Lubiała, gdy ją przekonywał, gdy była w takim złym nastroju, często udawała, że się o coś gniewa – był prawie pewien, że robiła to celowo, żeby mogli skończyć tak, jak zeszłej nocy, jedno prowadzi do drugiego. To był najlepszy seks, jaki mieli od lat – spontaniczny, zamiast tej całej zabawy z termometrami, testami owulacyjnymi i tym całym gównem. To był, myśli, ich ostatni seks. Zastanawia się teraz, czy ona wiedziała, że to było pożegnanie.

Radiowóz zatrzymuje się przed komisariatem. Czeka, aż policjant otworzy drzwi. Wierzył, że uda mu się przejść nad tym do porządku dziennego. Myślał, że z czasem stanie się to tylko złym wspomnieniem. Ale wie – zawsze wiedział – że kiedy to się wyda, to właśnie to go zdefiniuje. I teraz ten dzień nadszedł. Za chwilę stanie się Neilem Johnsonem, facetem, który zabił dziecko najlepszego przyjaciela.

Rozdział 40

Ava

– Jego historia była wiarygodna – mówi Farnham siedząca na jednym końcu kanapy, podczas gdy Lorraine Stephens siedzi na oparciu z drugiej strony. – Pasowało do tego, co mówił wtedy i nie było niczego, do czego można by było się przyczepić. Kiedy rozmawialiśmy z panią Lovegood, powiedziała nam, że nie było go w ich domu, gdy wyjeżdżali do pracy i że napisał do niej SMS-a, że będzie później, bo musi jechać po dostawę do magazynu. Żona pana Johnsona potwierdziła, że nie było go w domu, gdy wychodziła do pracy, ale niekoniecznie musiał być u Lovegoodów. Dane z jego telefonu wskazują, że przez cały czas był w domu.

Matt przyciska swoją nogę do mojej, a nasze palce splatają się w uścisku.

Farnham pochyla się do przodu i składa ręce razem.

– Ale nie umiał wyjaśnić sprawy zabawki – mówi. – Zapytałam panią Lovegood, czy Jasmine byłaby w stanie rozpoznać leniwca i nazwać go tym imieniem, gdyby nigdy wcześniej nie wiedziała tej zabawki, albo czy sama miała takiego leniwca. Zdecydowanie zaprzeczyła przy obu pytaniach i powiedziała, że najbardziej zbliżona byłaby małpka. Nie ma żadnej operacji na koncie bankowym pana Johnsona, która potwierdzałaby zakup sprzętu tego ranka, na co on pierwotnie odpowiedział, że nie mieli na magazynie tego, czego potrzebował. Przycisnęliśmy go w sprawie zabawki i w końcu przyznał, że był w posiadłości Lovegoodów o siódmej rano. Pracował w kotłowni, podczas gdy rodzina szykowała się do wyjścia. Lovegoodowie nie wiedzieli, że tam był.

– Był w ich kotłowni? – wtrącam się.

– Tak. Ale nie potrafił nam wyjaśnić, dlaczego skłamał w tej sprawie. Potem oczywiście mamy zaginioną dużą torbę z narzędziami i zaginioną... osobę.

Małe ciało, myślę. Duża torba.

Farnham kontynuuje. Wsłuchujemy się wszyscy razem w rytm innej melodii, sekunda po sekundzie, uderzenie serca za uderzeniem serca. Tyle tylko, że ta melodia nie skończy się na kuszeniu i nęceniu, ale na jednej przeraźliwej nucie końcowej.

– Przekazaliśmy mu, że według pani Lovegood jedynym wyjaśnieniem, dlaczego Jasmine mogła znać tę zabawkę po imieniu, jest to, że ktoś przy niej ją tak nazwał. Avo, powiedziała pani, że Jasmine nazwała tę zabawkę nie leniwiec, ale Pan Leniwiec. Ten pseudonim podobno był używany tylko przez was samych i waszych przyjaciół Johnsonów. Powiedzieliśmy o tym panu Johnsonowi.

– I nie umiał tego wyjaśnić – odpowiadam za nią.

– Nie, nie umiał. Zmiana ram czasowych miała ogromne znaczenie. Jeśli Abi wyszła z waszego domu bliżej ósmej, a pan Johnson przyjechał do domu Lovegoodów trochę po siódmej, możliwe było, że Abi widziała go w środku i że nie tylko Jasmine widziała zabawkę Abi, lecz także pan Johnson użył jej imienia. Prawdopodobnie Jasmine była jedynym członkiem rodziny Lovegoodów, który go tam widział. A później tego ranka on wręczył pani tę zabawkę, Avo. Znalazł ją na drodze, co oczywiście oznacza, że mógł ją tam wcześniej podłożyć.

– Więc on się przyznał? – przerywa Matt.

Farnham znajomym gestem przejeżdża ręką po podbródku.

– Czasami można odnieść wrażenie, że bez względu na to, jak bardzo podejrzani się opierają, tak naprawdę chcą się przyznać. Jest w tym jakaś nieuchronność, tak jakbyśmy i my, i oni wiedzieli, że do tego zmierzamy. Niewinna osoba będzie się bardzo upierać. Może nawet odejść od zmysłów. Ale pan Johnson przez cały czas sprawiał wrażenie, jakby wykonywał tylko konieczne ruchy, jakby stracił ochotę, nie mógł lub nie chciał już kłamać. A kiedy już przyparliśmy go do muru, przyznał, że Jasmine go widziała i pokazał jej zabawkę... i wtedy się załamał.

Podnosi wzrok i patrzy najpierw na Matta, a potem na mnie.

– Więc on na pewno ją zabił? – Niedowierzenie Matta jest wręcz namacalne. – To znaczy, powiedział to własnymi słowami, nie pod przymusem czy coś?

Farnham przytakuje.

– Niestety. Bardzo mi przykro, wiem, że to musi być dla państwa okropne. Dwóch detektywów jest teraz u państwa sąsiadów, wyjaśniają sytuację. A jutro rano będziemy robić przekop na miejscu zbrodni.

– Na miejscu zbrodni? Myślałam, że była w rzece?

– Taka była pierwotna teoria. Za chwilę przekażę państwu pełną sekwencję wydarzeń, tak, jak je rozumiemy, ale jutro będziemy musieli przekopać podłogę w kuchni waszych sąsiadów, żeby uzyskać dostęp do wykopu bezpośrednio na tyłach wejścia do kuchni.

– Nie – mówię. – Nie, nie, nie, nie, nie.

Wzdycha ciężko i patrzy na nas.

– Bardzo mi przykro.

Rozdział 41

Neil

Przychodzi wcześniej, jak zawsze. Lovegoodowie są na górze: brzęk naczyń w prowizorycznej kuchni, którą urządzili na piętrze, spuszczenie wody w toalecie na górze, piski i śpiewy dziewczynek. Samodzielnie montuje bojler, bo Rick, jego hydraulik, wystawił go w ostatniej chwili. Adam ma przyjść później, wtedy zabetonują belki. Znajduje się w kotłowni, zajmuje się swoimi sprawami, jest skupiony. Prawdę mówiąc, nie ma kwalifikacji do montażu bojlera, ale Rick sprawdzi wszystko potem, tuż przed oddaniem pracy. W pomieszczeniu jest cicho. Pracuje spokojnie, ale po chwili cisza zaczyna mu ciążyć. Wkurza go to. Przydałaby się jakaś muzyka. Klepie się po kieszeniach kombinezonu i uświadamia sobie, że musiał zostawić telefon na placu budowy. Albo w domu – tak, widzi go, jak się ładuje na stole kuchennym. Trudno. Jest tu radio, może je włączyć – wpadnie po telefon, jak skończy z bojlerem.

Kładzie śrubokręt na spłuczce i otwiera drzwi od kotłowni.

I od razu to widzi – zostawił otwarte te przeklęte drzwi do dobudówki.

Gwiżdże cicho, przewraca oczami i zerka na klatkę schodową.

Ale Lovegoodowie nadal są na górze. Słyszy buczenie szczoteczki elektrycznej.

Jennifer kazała mu zamontować zamek w drzwiach do budowywanej kuchni w dniu rozpoczęcia prac budowlanych. Nie pozwoliła na rozpoczęcie prac, dopóki nie zostało to zrobione. Powiedziała mu z uśmiechem, pewnym tonem, do którego przywykł u swoich klientów, że jeśli kiedykolwiek zostanie te drzwi otwarte, gdy dzieci będą w domu, zwolni go od razu. Czy rozumie? Oczywiście, że tak. Rozumie.

Ale teraz, stojąc w korytarzu, słyszy Jennifer i dzieci na piętrze, więc na szczęście może wkurzać się tylko na siebie. Był roztargniony. Bella była bardzo zdenerwowana zeszłej nocy, tak samo jak dzisiejszego ranka, i nie może przestać o tym myśleć. Powiedział jej, że w końcu im się uda, że będą

próbować tyle razy, ile będzie trzeba, ale jej widok w takim stanie łamie mu serce za każdym razem.

Z podjazdu dobiega gardłowy ryk porsche Johnniego. Czasami trąbi, żeby pospieszyć Jennifer i dzieci, ale Neil wie, że to nie o to chodzi – chce się pokazać sąsiadom, upewnić się, że go dostrzegli i zobaczyli, jaką jest szyczą. Idiota.

Przechodzi pospiesznie przez teren budowy i kopniakiem zamyka za sobą drzwi. Niebezpieczeństwo zażegnane. Koniec z zaniedbaniami. Ta robota jest warta fortunę. Spłaci im kolejny zabieg in vitro, a jeśli Johnnie będzie zadowolony, powiedział, że będzie polecał Neila wszystkim swoim klientom. Ta praca da mu przyszłość.

Radio stoi na pralce.

Podchodzi tam, stawiając ostrożnie kroki. Ostatnie, czego potrzebuje, to wpaść do wykopu.

Czas zwalnia.

Na ziemi leży przytulanka Abi. Ta, którą on i Bella kupili i zanieśli do szpitala, gdy się urodziła. Co ona tu, do cholery, robi?

Przełyka, robi jeszcze jeden krok i zerka do wybetonowanego wykopu.

Czuje w ustach posmak wymiotów, ale przełyka to. Przewraca się. Upadek wywołuje ból w kolanach.

– Nie – szepcze. – Nie, nie, nie, nie, nie.

Abi. Mała Abi. Jego kochana mała dziewczynka. Układ jej kończyn, zwiotczałe usta, skóra. Foliowa torebka leży koło jej głowy, tuż obok jej małej piąstki, a w niej dwie kromki chleba. Dwa wielkie plastry są naklejone na obu jej kolankach.

Nie żyje. Czuje to w kościach, jeszcze zanim tam wskoczy, zanim wskoczy tam i przycisnie palce do jej miękkiej, małej szyjki, do jej niesamowicie delikatnych jasnych nadgarstków, jęcząc i płacząc nad nią, krzycząc, żeby żyła.

– Nie, Abi. Nie, nie, nie, nie. No dawaj, malutka. Oddychaj. Oddychaj dla swojego wujka Nee. No dalej, kochanie, dawaj.

Nie ma pulsu. Jej malutkie serduszko nie bije. W głowie mu dudni, skóra mu płonie, kiedy ją podnosi. Przyciska twarz do jej niebieskiego płaszczyka, trzyma ją w ramionach.

– Abi, skarbie. Kochanie, nie.

Ledwie widzi na oczy. Ale rozgląda się, widzi pod ścianą swoją torbę na narzędzia i wie z przerażającą jasnością, która będzie powracać do niego

do końca jego dni, że jest wystarczająco duża. Zmieści ją.

Tutaj, w tej celi, gapiąc się w szary sufit w swojej bezdennej niedoli, wie, że zaślepiła go panika – moralnie ślepa, bezmyślna, była rodzajem głuchego, rozbrzmiewającego brzęczenia zagłuszającego wszystko poza działaniem. Wie, że to się właśnie stało. Chciałby rozegrać to jeszcze raz, zupełnie inaczej, ale nie może. Nie może. Wtedy nie mógł, nawet dziesięć minut później, i nie może teraz, i w tym właśnie rzecz.

Ale nie powstrzymuje go to od ciągłego rozpamiętywania. Myśli o tym, jak z radością, bez chwili wahania, oddałby wszystko, co posiada, żeby cofnąć czas, żeby to naprawić. Bella, tak, nawet jeśli chodzi o Bellę. Zaczęłyby swoje życie na nowo, od zera. Wie, jak to zrobić, wie, że potrafi. Zamek, który zbudował, leży w gruzach u jego stóp. Nie był, nigdy nie był tego wart. Za każdym razem, gdy zamyka oczy, wraca tam, do tamtego okropnego poranka, do tego zakurzonego pomieszczenia, podnosi małe ciało Abi, biegnie, tuli ją i układa delikatnie w torbie. Jej blada twarzyczka bez życia; dotyk jej powiek pod opuszkami palców. Najgorsze jest zaciąganie suwaka nad nią, niemal się dławi, jej twarz się rozmywa. Ten okropny, okropny poranek.

– O mój Boże. Moje małe kochanie, moja piękna mała dziewczynka.

Wstaje, ociera oczy, oddycha płytko raz za razem, łaknąc powietrza. Przechodzi przez teren budowy i ogląda się za siebie. Widzi jedynie miejsce pracy, narzędzia, torbę. Za chwilę wymyśli, co robić dalej. Niech tylko Lovegoodowie wyjadą.

Podnosi zabawkę, opuszcza budowę i zamyka za sobą drzwi na klucz. Z jedną ręką na klamce drzwi od kuchni opiera czoło o szybę i wypuszcza długi, urywany oddech.

– Kieszenie.

Odwraca się zaskoczony. Jasmine, jej twarz rozjaśniona uśmiechem w ten charakterystyczny dla niej, psotny sposób. Ma do niej słabość, rozbraja go to, że powtarza wszystko, co powie, to, że tak niewiele potrzeba, by ją rozbawić. To wszystko, co może teraz zrobić, żeby się pozbierać. Serce obija mu się o żebra. Ma wrażenie, że zaraz wyskoczy mu z piersi.

– Cześć, Jasmine – udaje mu się wydusić z siebie.

– Cześć, Jasmine, cześć, Jasmine. – Przepiękuje z nogi na nogę, macha do niego rękami i uśmiecha się.

Słyszy z podjazdu głos Jennifer wsadzającej małą Cosimę do fotelika samochodowego.

– Kieszenie! – Jasmine wskazuje na zabawkę.

– To jest Pan Leniwiec – powtarza beznadziejnie, a łzy spływają po jego twarzy. – Przywitaj się z Panem Leniwcem.

– Przywitaj się z Panem Leniwcem, przywitaj się z Panem Leniwcem, przywitaj się z Panem Leniwcem.

Zna określenie na to. Jennifer powiedziała mu w zeszłym tygodniu – echolalia.

– Pan Leniwiec. Pan Leniwiec. Kieszenie. – Jasmine odrzuca głowę do tyłu i śmieje się.

– Jasmine?! – woła Jennifer z podjazdu.

Neil kładzie palec na ustach.

– Ciii – mówi. – Nie mogę się dziś pobawić Panem Leniwcem i kieszeniami, skarbie, przykro mi. – Macha ręką. – Kiedy indziej włożymy Pana Leniwca do kieszeni. – Wślizguje się po cichu do kotłowni i zamyka się w środku. Przyciska ucho do drzwi i nasłuchuje.

– Pan Leniwiec. Kieszenie. – Jasmine niemal śpiewa, powtarzając, a jej głos coraz bardziej się do niego zbliża.

W ostatniej chwili łapie za klamkę. Czuje, że rusza mu się w dłoni, kiedy dziewczyna próbuje otworzyć drzwi z drugiej strony.

– Pan Leniwiec. Kieszenie – mówi, szarpiąc za klamkę. – Kieszenie, kieszenie, kieszenie.

Na jego czole pojawiają się kropelki potu.

– Kieszeni tu nie ma, skarbie. – Głos Jennifer rozlega się w pobliżu. Wróciła do domu. Jest tuż po drugiej stronie drzwi. Neil zaciska usta i mruży mocno oczy.

– Kieszenie, kieszenie – powtarza Jasmine. Klamka drży, wyślizguje mu się z dłoni.

– Później się z nim zobaczymy, kochanie. – Jennifer brzmi, jakby wróciła już do drzwi wejściowych, zachęcając swoją córkę do wyjścia na zewnątrz. – Chodź, skarbie, wsiadaj do auta. Tatuś czeka.

– Kieszenie. – Głos Jasmine też jest już cichszy. Wychodzi z domu.

Drzwi wejściowe się zatrząskują. Z ulgą wypuszcza długi oddech. Wydaje mu się, że słyszy, jak Jasmine w kółko wyśpiewuje jego przydomek, dopóki drzwi samochodu nie zamkną się z hukiem. Jeszcze kilka sekund i głuchy ryk kilkuset koni mechanicznych całkiem cichnie.

Wzdycha głęboko i szlocha, opierając się o drzwi. Co on zrobił? Co on zrobił? Co on zrobił?

Zaniedbanie zawodowe, zabójstwo, koniec długoletniej przyjaźni, żona nie będzie chciała go znać, interes zrujnowany, reputacja legnie w gruzach, jego miejsce na ziemi, gdzie przeżył całe życie, zniknie na zawsze.

Jego zamek. Straci wszystko, co zbudował.

Straci Belle.

Straci Matta, kumpli, mamę, siostrę, siostrzeńca i siostrzenicę.

Straci wszystko.

Teraz może jedynie przejąć kontrolę.

Teraz może jedynie to naprawić.

Teraz może jedynie... co?

Skrada się po korytarzu, uchyla drzwi wejściowe i wygląda na zewnątrz.

Nikogo nie ma. Patrzy w górę, sprawdza okna na piętrze. Nie, nikogo.

Biegnie aż do krawężnika, wrzuca zabawkę do rowu i biegiem wraca do środka. Zamyka drzwi, przyciska dłonie do kolan i osuwa się na podłogę. Nie może złapać oddechu, płacze i wzdryga się. Proszę, Boże, żeby nikt mnie nie widział, jak to zrobiłem. Proszę, Boże, niech to nie będzie mój koniec. Mała Abi, jego kochana mała Abi. To niemożliwe, to nie mogło się zdarzyć, to nie może się dziać. Przez chwilę w jego głowie ona nadal żyje. Źle to ocenił. Kiedy tam wróci i sprawdzi, ona się obudzi i spojrzy na niego zdezorientowana.

– NeeNee – powie. Będzie się zastanawiała, co tutaj robi.

Weźmie ją w ramiona i zanieś do mamy. Spójrz, Avo, popatrz, kogo znalazłem, małą małpeczkę. Nie. Nie, nie robi tego, bo ona odeszła. Wie, że to niemożliwe, bo zdaje sobie sprawę, że to prawda. Ale z ujawnienia się nie może wynikać nic dobrego. Nic... nic... nic... dobrego nie wyniknie z ujawnienia się... nic dobrego nie wyniknie... nic dobrego... nic... nic... o Boże... o Boże... o Boże.

– Abi!

Ava. Ava jest na ulicy. Patrzy na zegarek. Jezu Chryste, jest tutaj już od dziesięciu minut w jakimś stanie oszołomienia.

– Abi? Abi, kochanie, gdzie jesteś?

Z czoła spływa mu strużka potu, szczypie go w oczy. Jego oddech przyspiesza, staje się coraz szybszy. Powietrze robi się rzadsze.

– Abi? Abi!

To jest piekło. To jest piekło, a on jest w samym jego środku. Nie ma odwrotu. Teraz może to jedynie naprawić. Teraz może jedynie przejąć nad tym kontrolę. Musi działać szybko.

Wraca na plac budowy, jednym ruchem oczyszcza wykop i przygląda się torbie. Musi ją stąd wynieść, ale ulica to spore ryzyko. Tył domu jest otwarty. Ogrody na tej ulicy są długie. Ma teraz wziąć tę torbę? Nieważne, nie może tu zostać. Nikt oprócz Jasmine nie wie, że on tu jest.

Torba.

Podnosi ją, waży w dłoniach. Jest ciężka. Duża. Nie ma mowy, żeby dał radę zanieść ją do swojego domu, a jeśli pójdzie tyłem, będzie musiał skradać się za szopami, tam jest bardzo ciasno, a to niemożliwe, żeby przerzucił ją przez płot. Nie ma szans. Sam pewnie dałby radę wrócić do domu. Niejeden raz robił to jako chłopak, przeskakując przez płoty w ogrodach o wiele mniejsze niż te.

Kładzie torbę na betonowej podłodze, początek planu formuje się w jego głowie.

Wkrótce pojawi się tu policja. Ava zacznie panikować. I dopiero teraz zaczyna się zastanawiać, jak, do cholery, Abi dostała się do domu Lovegoodów.

Drzwi wejściowe, no jasne. To nie był on. To był pieprzony Johnnie, cholerny idiota. Pewnie zobaczyła otwarte drzwi i musiała wiedzieć, że on tu jest, bo widziała go, jak tu wchodził i wychodził przez te ostatnie tygodnie. Musiała tu zawędrować w poszukiwaniu jego. Za nim, o Boże. Szukała swojego wujka NeeNee. To wszystko musiało stać się w ciągu kilku sekund, ułamków sekund. Ale jak udało jej się wyjść ze swojego domu, chyba że... chyba że Ava też zostawiła otwarte drzwi wejściowe.

To nie jedne otwarte drzwi. Nie dwoje. Ale aż troje.

A jego można winić tylko za jedno z nich. Skąd miał wiedzieć. Jeśli to jego błąd, to Avy również. I Johnniego.

Dość.

To nie ma znaczenia.

Liczy się tylko to, co robi teraz.

Myśl. Myśl, Neil.

Przygląda się torbie. Zbiera się w sobie. Twardnieje. Otwiera ją i ściąga czapkę z głowy Abi. Potem, wzdrygając się, rozbiera ją z płaszczyka. Musi zostawić trop. W głowie krystalizuje mu się plan. Zawija płaszczyk w brudną szmatę z budowy i wciska go do pralki. Jest za duży, zbyt

niebieski, żeby ukryć go w kieszeni. Wróci po niego później. Czapeczka. Może podłożyć czapczkę. Ale musi działać szybko.

Biegnie przez otwarty plac budowy, wspina się przez płot Lovegoodów i ląduje na klombie należącym do mieszkania z tyłu. Serce mu wali. Jeśli Johnnie z jakiegoś powodu wróci, żeby go sprawdzić...

Przestań myśleć. Po prostu działaj.

Pochyla się i biegnie, ciągle zerkając w okna mieszkań. Po kilku sekundach jest już na Thameside Lane, niemal naprzeciw Oasis. Mógłby rzucić tutaj tę czapkę i wracać. Ruch jest niewielki. Zauważa młodą matkę pchającą przed sobą wózek, a jej synek w szkolnym mundurku zasuwa na hulajnodze jakieś pięć metrów przed nią. Idą za wcześniej. Może ma jakieś dodatkowe zajęcia przed lekcjami. Czeka.

Kiedy oddalają się już wystarczająco daleko w kierunku szkoły, przechodzi spokojnie przez ulicę. Siada na murku przy centrum sportowym. Przejeżdża samochód. A potem nic. Potrzebuje jedynie tej sekundy. Upuszcza czapczkę i już wraca, wraca na drogę, wraca przez zarośnięte ogródki. Przeskakuje przez płot. Już jest z powrotem w ogrodzie Lovegoodów i przygląda się miejscu budowy. Wygląda zwyczajnie, jakby nic się tam nie wydarzyło, jednak wątpliwość dotycząca torby zmusza go do wbiegnięcia do środka. Jest zamknięta. Zamknął ją. Będzie musiał ją ukryć na widoku. Nie ma mowy, żeby ryzykował teraz, że ktoś go z nią zobaczy.

Właśnie ma wziąć płaszcz i wynosić się stąd, kiedy zerka jeszcze do wykopu. Powinien go umyć, wie o tym. Jeśli przyjadą tu śledczy, mogą znaleźć jakieś ślady, których on nie dostrzeże. Tak. Powinien go umyć. Szybko.

Odłącza rurę od pralki i nalewa nią wody do wiadra, a potem wlewa też tam jakiś detergent Lovegoodów. Opada na kolana i mocno szoruje, mając nadzieję, że woda wyschnie, zanim ktoś tam zajrzy. Nie widzi żadnej krwi – pewnie musiała tylko mocno uderzyć się w głowę i to wystarczyło. Myje podłogę w całym pomieszczeniu, myje korytarz aż do drzwi wejściowych.

Mocno się pocąc, opróżnia wiadro na rabatkę z kwiatkami i odstawia je z powrotem za pralkę. Detergent ostrożnie odkłada, wydaje mu się, że dokładnie na to samo miejsce, z którego go wziął. Podłącza na nowo pralkę, wstaje i po raz ostatni rzuca okiem.

Wygląda w porządku. Mógłby teraz wyjść, ale nie, ktoś może go zobaczyć. Lepiej, gdyby go tutaj wcale nie było. Jeśli pójdzie tyłem, będzie

mógł wrócić po nią później, wchodząc normalnie przez frontowe drzwi, jakby zabierał swoje narzędzia. Ma nadzieję, że uda mu się, zanim policja tu przyjedzie. Nie jest idealnie, ale to wszystko, co może zrobić.

Biegnie z powrotem na tył, do płotu, ukrywa się przez chwilę za zniszczoną szopą. Zerka szybko na okna sypialni – nikogo nie ma, o ile może się zorientować. Nie ma czasu na czekanie. Musi wykorzystać swoją szansę.

Wspina się, skacze i ląduje w ogrodzie Avy i Matta. Jest za ich szopą, dyszy, kiedy ponownie słyszy Awę, tym razem bliżej.

– Abi? Jesteś w ogrodzie?

Jest tylko kilka metrów od niego. Słyszy trzask czegoś pod stopami, gdy Ava idzie przez trawnik.

– Abi? – Jest jeszcze bliżej.

Wstrzymuje oddech, kładzie dłonie płasko na lepkiej od żywicy ścianie szopy. O Boże.

– Abi? – Jej głos jest głośniejszy, gdy przyciska twarz do okna szopy. Jest tak blisko. Przepęnia go chęć ujawnienia się, rzucenia się do jej stóp i wyznania, co się stało. Wymyka mu się jęk. Zaciska mocno powieki, jakby w ten sposób chciał stać się niewidzialny. Jej kroki się oddalają, a nawoływania stają się cichsze. Chwilę później tylne rolety opuszczają się powoli z cichym szumem.

– O Boże – jęczy.

Kolejna sekunda, sapiąc i dysząc, pokonuje następny płot. Znowu ukrywa się za szopą, ciasną przestrzenią usianą pajęczynami i opadłymi sosnowymi igłami. Miał rację. Te przestrzenie są małe, zbyt ciasne, żeby przenieść torbę. Nie może czekać do zmroku. Będzie musiał wynieść ją później na widoku, jakby po prostu zabierał swoje narzędzia. Nie ma wyboru. Będzie musiał ją gdzieś ukryć, dopóki cała sprawa nie ucichnie. Ją. Abi. Jego małe kochanie.

Jeden, dwa, trzy, siedem, osiem, dziesięć płotów. Płacze, poci się, jego koszulka jest przepocona, a kombinezon podarty, bo wcześniej zaczepił nim o gwóźdź. W końcu dociera do swojego ogrodu – jego wypasiona szopa na idealnie wypoziomowanym betonowym podłożu, jego meble ogrodowe, murowany grill, który sam wybudował.

Bella musiała już wyjść do pracy.

Ma nadzieję.

Szuka kluczy w kieszeni kombinezonu, otwiera tylne drzwi, uchyla je. Dom jest cichy, nieruchomy. Ale i tak woła imię żony.

Brak odpowiedzi.

Jego telefon leży na stole. Pisze SMS-a do Adama, jego pracownika, mówi mu, że dostawa betonu nie dojechała, żeby nie przychodził aż do środy. Dwa dni dla pewności.

Przychodzi mu do głowy kolejny pomysł. Przeszukuje WhatsAppa, znajduje grupę, którą założyła Jennifer.

Cześć, J i J. Chciałem tylko dać znać, że będę dziś trochę później – muszę odebrać parę rzeczy z magazynu dostawcy. Miłego, N.

Przygląda się temu przez chwilę. Brzmi jak on, tak; na pewno brzmi jak on. Naciska „wyślij”.

Rozbiera się do naga i wkłada wszystko do pralki, sprawdza, gdzie Bel trzyma proszek do prania i wsypuje do odpowiedniego pojemnika w pralce. Biegnie po schodach, po trzy stopnie naraz. Pod prysznicem szoruje się niemal do krwi, przygryzając mocno dolną wargę, zmuszając się do zachowania spokoju. Nie może się rozkleić. Musi pozostać skupiony.

Wyciera się i zakłada świeże ubrania, czysty biały kombinezon. Nadal sapie jak koń wyścigowy, nadal płacze i próbuje powstrzymać szloch. Wszystko jest głośne, wszystko huczy mu w głowie. Nie ma pojęcia, co robi, ale zmysły ma wyostrzone jak snajper. Jego skupienie go przeraża. Wypuszcza długi oddech, zaciska szczękę.

Walenie do drzwi.

– Neil? Bella? Tu Ava. Pomocy. Potrzebuję pomocy.

Zamiera. Sekunda, dwie. Dajesz, Neil. Musisz to zrobić.

Biegnie na dół, bierze wdech i otwiera drzwi.

– Jest u was Abi? – Na twarzy Avy maluje się przerażenie.

To lustro.

Rozdział 42

Ava

Lorraine Stephens i Sharon Farnham stoją przed drzwiami. Farnham delikatnie kiwa głową w stronę sąsiedniego domu. Matt łapie mnie za dłoń.

– Dobrze – mówi pani detektyw. – Wasi sąsiedzi pojechali do hotelu. Jesteście pewni, że nie zdołam was przekonać, żebyście spędzili ten dzień gdzie indziej?

– Nie – odpowiadam. – Chcemy tu być. Chcemy tu być, kiedy ją znajdą.

– Tak, dziękujemy. Wolimy zostać. – Matt podnosi nasze splątane dłonie do swoich ust. Czuję na palcach jego łzy. Nie mogę go objąć, bo trzymamy się za ręce.

– Możemy wejść na chwilę? – pyta Farnham.

Idą za nami do kuchni. Nikt z nas nie siada.

– Wiemy, że była w tamtym domu – odzywam się. – Na przyjęciu. Oboje wyczuliśmy, że ona tam była.

– To zrozumiałe – wtrąca się Lorraine. – Często jest tak, że to czego jesteśmy niemal pewni, pochodzi z wielu małych rzeczy, których nie udaje nam się połączyć. Możliwe, że zawsze podejrzewaliście, że wasz przyjaciel miał coś wspólnego ze zniknięciem Abi, nawet to, gdzie mógł ją ukryć. Niektóre rzeczy są tak niewyobrażalne, że... nie chcemy lub nie możemy o nich myśleć, więc ujawniają się w postaci naszych odczuć.

– Będą ostrożni? – pytam.

– Tak jak mówiłam wczoraj, możecie być pewni, że zachowają najwyższą ostrożność – zapewnia nas Farnham. – To eksperci, a poza tym proszę pamiętać, że jest chroniona torbą.

– Ale skąd będą wiedzieli, gdzie ona jest? To znaczy, gdzie dokładnie?

– Pan Johnson...

– Neil tam będzie? – przerywa Matt. Czuję, że jego ciało się napina. Jego ręka zaciska się wokół mojej.

Farnham potrząsa głową.

– Nie, narysował nam plan kuchni i zaznaczył miejsce. Proszę, postarajcie się nie myśleć o tym zbyt dużo. Będziemy tak ostrożni, jak to tylko możliwe, dobrze? – Patrzy na swoje stopy, po czym odwraca się do wyjścia.

– Pani detektyw – odzywa się Matt. – Czy mogę porozmawiać z Neilem? Mogę do niego zadzwonić?

Potrząsa głową.

– Nie, przykro mi. To... to byłoby niewłaściwe.

Kiwa głową. Zbyt gwałtownie.

– Oczywiście. Przepraszam. Tak. I nie będzie go tutaj na żadnym etapie?

Ponownie potrząsa głową i uważnie się mu przygląda.

– Tak jak mówiłam, mamy jego szkice, na których zaznaczył...

– Miejsce. Oczywiście. Właśnie to pani powiedziała. Przepraszam. Dzięki. Dziękuję.

– Pójdę już, dobrze? Będziemy w kontakcie.

Lorraine podchodzi do czajnika, jakby działała na autopilocie.

Matt zakrywa oczy. Ma ranę w kąciuku ust. W ogóle nie spaliśmy – całą noc leżeliśmy w łóżku i rozmawialiśmy bez końca, usiłując dostrzec jakiś sens w tych surrealistycznych i makabrycznych wydarzeniach, które zrelacjonowała nam wczoraj detektyw Farnham. Nie znajdziemy w tym sensu. Bo to jest bezsensowne. Tragiczny wypadek spowodowany zaniedbaniem naszego przyjaciela, ręczny granat, który usiłował rzucić tylko po to, by stworzyć bombę zegarową. Ta bomba teraz oczywiście eksplodowała. Zniszczyła nas wszystkich i wszystko, czym byliśmy dla siebie nawzajem.

Mój wzrok wędruje do czarnego worka na śmieci stojącego na kuchennej podłodze. A w nim moja wczorajsza wściekłość – połamane ozdoby, podarta sukienka Abi, pluszowy miś z serduszkami pocięty nożyczkami na kawałki, rozbita butelka szampana, której zawartość z sykiem i bulgotem wylałam do zlewu. Wszystkie prezenty od Neila i Belli. Jest tam też pęknięta ramka na zdjęcia – fotografia sobowtóra Elvisa, który obejmuje ramionami naszą czwórkę, zrobiona w restauracji w Twickenham, podarta na kawałki.

To wszystko moja robota.

Gdybym miała powiedzieć, jak się teraz czuję, powiedziałabym, że nie wiem. Najbliżej jesteśmy dryfowania, znoszenia przez prąd. Nie ma już

naszej córki. Nie żyje. A razem z nią straciliśmy przyjaciół i całe nasze życie tutaj.

Wczoraj wieczorem, kiedy Matt szedł do pokoju gościnnego, zawołałam go.

– Hej – powiedziałam. – Śpij tutaj.

– Oczywiście. – Wszedł do łóżka i przytulił mnie.

– To nie znaczy, że jesteśmy razem. – Szlochałam w jego ramionach. – Nadal cię nienawidzę.

– Wiem – wyszeptał w moje włosy. – Rozumiem to.

– Najlepsze, co możecie teraz zrobić, to usiąść wygodnie i czekać – mówi teraz do nas Lorraine, kiedy siedzimy na wysokich stołkach, spalając się na popiół. – Przejdźmy do salonu, dobrze?

Idziemy na przód domu, ponieważ każde z nas jest świadome, że hałasy będą dochodziły z tyłu. Przez okno widzimy, że podjeżdża furgonetka. Mężczyźni w kaskach i ubraniach roboczych, ze słuchawkami ochronnymi zawieszonymi na szyi, niosą wiertarki elektryczne. Matt zaciąga zasłony. Nie powstrzymuję go.

– Sąsiedzi musieli wcześniej wyjechać – mówi. – Pewnie zatrzymali się w ładnym, wygodnym hotelu.

Nikt nie odpowiada.

Kiedy dochodzi do nas huk maszyn, zamykamy oczy. Fred jest nadzwyczaj spokojny. Zupełnie jakby przeczuwał, jakie okropności mają być odkopane. Przytulam go mocno i przystawiam do piersi.

Później przyjeżdża kolejny radiowóz. Matt zerka przez szparę w zasłonach jak wścibski sąsiad. Odwraca się do mnie i informuje mnie o tym z westchnieniem. Wiem, jaki bezradny się czuje, bo ciągle mi o tym mówi, a ja czuję się tak samo. Nigdy nie doświadczyliśmy takiej bezradności. Nawet tamtego dnia byliśmy pochłonięci przez strach, przez nadzieję. Byliśmy rozproszeni działaniem. Teraz pozostała nam beczynność. Czekanie.

– Farnham – raportuje Matt. – Wysiada z samochodu. Musiała odjechać i teraz wróciła.

Idę za nim do holu. Otwiera drzwi i właśnie ma wyjść, ale z jakiegoś powodu cofa się, a Farnham podchodzi do nas. Nie kładzie ręki na jego piersi, nie popycha go, ale cała akcja wygląda, jak akt poddania się. Chwilę później drzwi za nią się zamykają i pani detektyw prowadzi nas do naszego salonu, emanuje z niej asertywny spokój.

– Poczekajmy tutaj – mówi. – Zróbmy swoje i sprawmy, żeby było to tak znośne, jak to tylko możliwe dla nas wszystkich, dobrze?

– Okej.

Jesteśmy gośćmi. Jesteśmy obcy. Jesteśmy marionetkami.

Po chwili słysząc kolejne hałasy z domu sąsiadów. Zmieniłam zdanie. Powinniśmy stąd dziś wyjechać. Powinniśmy pójść do parku, do kawiarni, gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Ale siedzimy. Nie włączamy telewizji. Godziny zamieniają się w minuty, minuty w sekundy, aż w końcu Farnham dostaje wezwanie i opuszcza nas.

Chowam się w ramionach Matta.

– Moje dziecko. Moja mała dziewczynka.

Farnham wraca, choć nie mam pojęcia, jak długo jej nie było. Poprzez łzy widzę, że nie chce dać niczego po sobie poznać, ale najdelikatniejsze skinienie głowy do Matta i cały ten rok, który przeżyliśmy w agonii, kurczy się do jednego rozbłysku.

– Znaleźli ją? – Staję na równe nogi.

– Wiem, że to trudne. – Farnham próbuje podejść mnie delikatnie. Lorraine sadza mnie z powrotem. Farnham przykuca przede mną, tak jak kuca się przed dzieckiem, które się zraniło.

– Proszę. – Szlocham.

– Bardzo mi przykro – mówi. – Znaleźli ją.

– Muszę ją zobaczyć.

Farnham siada na kanapie obok mnie. Lorraine trzyma mnie za rękę.

– Niech oni się nią teraz zajmą – mówi pani detektyw. – Dobrze się nią zaopiekują, obiecuję.

Słyszę, że Matt płacze. Leżący na dywaniku z owczej wełny Fred kopie nóżkami i rączkami, gaworzy.

Po chwili Farnham wstaje.

– Zadzwoń do was, kiedy tylko pojawią się jakieś ustalenia. Najlepsze, co możecie teraz zrobić, to zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i wypełnić czymś ten czas. Macie mój numer. Będę sprawdzać telefon tak często, jak tylko będę mogła, okej? Będziemy w kontakcie.

Rozdział 43

Neil

Neil wkłada ręce pod głowę, a łopatki wbijają mu się w cienki, twarde materac. Z zewnątrz dolatują do jego celi nocne odgłosy komisariatu. Zapach środka dezynfekującego do podłogi sprawia, że kręci go w nosie. Przez otwarte okno wpada dym papierosowy. W innej celi ktoś wykrzykuje jakieś wyzwiska. Ale żadna z tych rzeczy nie jest w stanie oderwać go od tortury, jaką są jego własne myśli – Bella, Matt i Ava, jego mama, koledzy z klubu rugby, jego siostra Bev, jej mąż, jego rodzina, szkolni nauczyciele, jego klienci... całe jego miasto. Wszyscy.

Jest tak wiele okropnych momentów. Zasuwanie zamka, Jasmine wołająca go przez zamknięte drzwi, oprowadzanie policjanta po budowie, usiłowanie utrzymania tego wszystkiego w ryzach. Sprawdzanie wagi torby tamtego popołudnia, kiedy psy wreszcie odjechały i znalazł chwilę na powrót tam, ćwicząc w głowie wymyśloną wymówkę o zabezpieczeniu swoich narzędzi. Czuje ciężar tej torby, czuje go nawet teraz, jakby uchwyt nadal wrzynał się w jego rękę. Może nieść ją bez wysiłku, tak myśli; nie, z odpowiednim wysiłkiem, w tym rzecz. Tamto okropne popołudnie. Jest piętnasta. Psy obwąchały już jego dom, jego szopę, samochód, a teraz jest znowu tutaj, w miejscu, do którego wołałyby już nigdy nie wracać. Teraz albo nigdy. Jeśli uda mu się zanieść ją do samochodu i wsadzić tam jeszcze swój rower, może pojechać do Richmond pod pretekstem rozdawania ulotek trochę dalej. Wtedy wszystko, co musi zrobić, to pojechać do domu i później jakoś załatwić resztę.

Nad głową słyszy warkot helikoptera. Myśli o Belli i zaczyna płakać. Nie wie, czy da radę to zrobić. Nie wie, czy ma to w sobie, a jeśli tak, co to mówi o nim samym, ale nigdy nie będzie w stanie dać jej dziecka, rodziny, domu, jeśli nie doprowadzi tego do końca. Straci ją. Straci swoje życie. Nic nie może zrobić, żeby przywrócić życie Abi. Kochał ją. Kochał ją jak własną

córkę. Ale nie może jej ocalić. Nie może tego naprawić. Naprawienie tego oznaczałoby zepsucie wszystkiego innego.

W korytarzu staje przed lustrem i zbiera się w sobie, zaczesuje ręką włosy do tyłu, wypuszcza krótkie oddechy raz za razem.

– Dawaj. – Prostuje ramiona i próbuje spojrzeć sobie w oczy. – No, dalej.

I w tej chwili, w całkowitej samotności, gorzko i gorąco żałuje, że nie znał swojego ojca. Chciałby teraz do niego zadzwonić i zapytać, co ma robić. Nigdy nie miał nikogo, kogo mógłby poprosić o radę. Do wszystkiego musiał dojść sam. Wie, że to, co robi, jest złe, jest poza skalą zła, ale co innego, do cholery, może zrobić? Jeśli on tego nie poukłada, nikt inny tego nie zrobi, nikt.

Zaciska zęby.

– No dawaj.

Jeszcze jeden urywany, drżący oddech. Otwiera drzwi. Wychodzi na ulicę. Nadal pada deszcz, chociaż teraz już nie tak mocno. Zamyka za sobą drzwi domu Lovegoodów i bardzo powoli, na ile starcza mu odwagi, przechodzi obok domu Matta i Avy. Patrzy przed siebie, nie obraca głowy, kieruje się w stronę swojego domu. Nie ma śladu po psach. Musi tylko trzymać torbę z daleka od ziemi.

W połowie drogi, nie więcej niż dwadzieścia metrów od swojego domu, zaciskają mu się wnętrzności na widok dwóch policjantów wychodzących spod numeru 58.

Rozpoznaje posterunkowego Peaka, uśmiecha się do niego i unosi wolną rękę w geście powitania.

– Wrzucam tylko narzędzia do auta – tłumaczy się. – Cały tył jest otwarty, nie chcę, żeby ktoś je sobie przywłaszczył.

Ze zdawkowym skinieniem głowy idą dalej, pod numer 56.

Chęć ucieczki jest zbyt silna. Zaciska usta, jakby chciał zagwizdać, ale powstrzymuje się. Przy furgonetcie podnosi swój breloczek i klika. Centralny zamek odblokowuje się, a tylne światła migają. Tyle może zrobić, żeby się nie rozglądać. Tyle może zrobić, żeby wsadzić Abi do tej ponurej, metalowej skorupy. Jakby była niczym więcej jak to – torbą pełną narzędzi, kosztownościami, które trzeba chronić przed kradzieżą.

– Tak mi przykro, maleńka – szepcze. – Tak bardzo cię przepraszam.

A później, dużo później, jego śliczna córka chrestna nadal jest w zimnej furgonetcie, a twarz jego najlepszego przyjaciela góruje nad nim

w ciemności i pustce na placu budowy. Jego oczy są zażawione z bólu, gdy wyznaje:

– To byłem ja. To ja zostawiłem otwarte drzwi.

Szczupłe, mokre ciało mężczyzny w jego ramionach szlocha nad swoim fatalnym w skutkach błędem.

– Nie mów jej – słyszy samego siebie zadziwiony tym, jak łatwo te słowa wychodzą z jego ust, zupełnie jakby wypowiadał je ktoś inny. – Niczego tym nie osiągniesz. – I dalej w to brnie – sztuczka, dzięki której przenosi ciężar winy, aby mógł uwolnić się od większego potępienia i ocalić swoje życie. – Nie ma policji, nie ma Avy, nikogo. To koniec. Nasz sekret. Będę cię krył.

To był ten moment, w którym stałem się potworem, myśli. W otchłani rozpaczy swojego najlepszego przyjaciela widzi tylko swoją szansę – wkroczyć jako strażnik cudzego sekretu, aby jego własny mógł zostać pogrzebany. A potem, później, kiedy w dzikiej panice przypomina sobie, że zostawił płaszcz Abi w pralce Lovegoodów, kiedy żegna się z Mattem pod pretekstem pójścia do łóżka, tylko po to, żeby w szalonym pośpiechu biec przez mrok z powrotem przez pełne pajęczyn płoty, kiedy ukrywa się w ciemnych zaroślach ogrodu wymarzonego domu Johnniego Lovegooda i widzi znienawidzonego przez siebie człowieka w oknie na poddaszu, wychylającego się, palącego jointa, unoszącego się ponad tym wszystkim, rozkoszującego się swoim życiem jak luksusowym rejssem, podczas gdy on, Neil, kuca brudny, spocony i zapłakany w mroku nocy, zobaczy wyraźnie niesprawiedliwość tego wszystkiego. Johnnie, który również jest temu winien, pali sobie przekłętą jointa, ciesząc się spokojem w swoim wkrótce najnowocześniejszym domu w okolicy, domu, który Neil dla niego zbuduje. Ma ochotę pobiec tam i walnąć go z całej siły w tę jego zadowoloną, parszywą gębę. Ale nie.

Przemoc go nie ocali. Tylko ostrożność. Musi wrzucić płaszcz do rzeki. Musi jakoś przetrwać tę noc. A jutro położy torbę w wykopie i zaleje betonem stalowe belki. Tylko o tym może myśleć. Tylko to mu pozostało.

Chwyta płaszczyk i ucieka raz jeszcze przez tylne ogrodzenie. Biegnie do śluzy, płuca płoną mu z wysiłku, w ustach ma metaliczny posmak krwi. Spiesznie podąża przez most w kierunku Ham. Nie ma śladu policji. Na wodzie nic się nie porusza – nawet kaczki nie mącą czarnej wody. Domki na rzece są w większości ciemne, jeden czy dwa są oświetlone od środka ciepłym światłem lampy olejnej. Z wody unosi się wilgotny, zimny zapach.

Wiatr szeleści w cienkich gałęziach nadrzecznych drzew. W końcu przestało padać.

Richmond jest trzy kilometry stąd. Nie jest pewien, czy da radę przebiec trzy metry. Bola go kości, zamarza. Jest strasznie zmęczony. Jest tak cholernie zmęczony. Ale reszta jego życia zależy od tego, co zrobi teraz. Wszędzie dookoła jest cicho. Głośne, szybkie, płodowe bicie serca, które słyszy, rozlega się wyłącznie w jego głowie. Wspomnienie z wczesnego USG, twarz Belli rozświetlająca się w zachwycie. Szybki dźwięk życia, rodziny, którą prawie już miał, tylko po to, by ten błogosławiony hałas ustał. Aż do teraz. Teraz postanowił mu o sobie przypomnieć, torturować go.

I właśnie taki, skatowany i zapłakany, przemarznięty i zdruzgotany, biegnie kilometry do Richmond, gdzie upuszcza płaszcz swojej ukochanej chrześniaczki i łka, gdy widzi, jak wpada, taki jasnoniebieski, do głębokiej, czarnej wody.

Kiedy dociera do domu, jest już trzecia nad ranem. Nigdy nie czuł się taki zdruzgotany, taki samotny. Wszystko go boli, wewnątrz i na zewnątrz. I, zupełnie jak dziecko, nie może przestać płakać. Rozbiera się w ciemnym korytarzu. Pralka jest pusta. Jego serce niemal eksploduje na ten widok. Gdzie jest jego kombinezon z tego poranka? Biegnie nago na górę, sprawdza szafkę w łazience i niemal płacze z ulgi, gdy go tam znajduje złożonego razem z innymi ubraniami na schludnej kupce. Bella musiała opróżnić pralkę, kiedy wróciła z pracy i włożyła jego rzeczy do suszarki. Nie będzie się nad tym zastanawiała. Wraca na dół, wrzuca zabłocone dzinsy, T-shirt, płaszcz przeciwdeszczowy, skarpetki i majtki do pralki, a potem nastawia program. Nadal drżąc, teraz już szcękając zębami, bierze długi prysznic, co chwilę podkręcając temperaturę, próbując się w ten sposób rozgrzać.

W łóżku przytula się do ciepłego, nagiego ciała Belli. Wciska nos pomiędzy jej łopatki i wdycha jej zapach. Pachnie perfumami i olejkiem, którego używa na noc. Aromaterapia. Potrzebuje jej. Ona jest wszystkim, czego potrzebuje.

– Hej – szepcze, wierząc się, po czym obraca się i siada.

– Nie znaleźliśmy jej – mówi i to wystarczy, by zalała się łzami.

– O mój Boże – mówi poprzez palce. – Moja biedna kochana Abi. Nie wierzę, nie mogę w to uwierzyć. Biedni Matt i Ava, o mój Boże.

Gładzi ją po plecach.

– Wiem. Wiem.

Nie może zrobić nic więcej, jak tylko pozwolić jej płakać. Przeczekuje to, aż w końcu Bella wyciąga pełną garść chusteczek z pojemnika stojącego na szafce nocnej i przyciska je do oczu.

– Nie było cię wieki – mówi, wydmuchując nos. – Która jest godzina?

– Późno. Słuchaj, nic więcej nie możemy zrobić. Chodźmy spać, co? Będziemy szukać dalej rano.

Potakuje, jej oddech nadal jest drżący, a ona, oszołomiona i posłuszna ze zmęczenia, kładzie się, odwraca plecami do niego i przyciąga jego nogi do siebie, trzymając go za duży palec u nogi.

Nie mogę tego stracić, myśli, obejmując ją w talii i chowając z powrotem twarz w to miejsce pomiędzy jej łopatkami. Cofnąłbym czas, chętnie bym to zrobił, ale nie mogę tego stracić. Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla niej. Dla nas.

– Kocham cię – szepcze w jej szyję. I czuje to, o Boże, czuje to.

– Ja też cię kocham – mamrocze. – Jesteś moim bohaterem, wiesz o tym.

Rozdział 44

Matt

Lorraine Stephens wraca następnego dnia, by potwierdzić, że ciało należy do Abi. Nie będą wzywani na identyfikację. Policja wykorzysta próbki jej DNA. Matt nie pyta, dlaczego. Wie dlaczego.

– Postawili mu już zarzuty? – pyta Ava. Matt zdaje sobie sprawę, że w ciągu tych ostatnich dni to ona stała się silniejszą z ich dwojga.

– Oskarżyli go o uniemożliwienie właściwego pochówku i o utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości, ale na razie nic więcej. Wciąż czekamy na wyniki sekcji zwłok, ale rozważamy nieumyślne spowodowanie śmierci w efekcie zaniedbania zawodowego.

Ich córka. Sekcja zwłok. Takie małe ciało.

– Postarajcie się o tym nie myśleć – mówi Lorraine.

Zostaje z nimi jeszcze godzinę czy dwie, po czym zostawia ich w pozornym spokoju ich nowej rzeczywistości. Abi nie żyje. Nie ma teraz co do tego wątpliwości, zostaje jedynie przerażenie i nadzieja. Przerażenie tym, co zrobił ich najlepszy przyjaciel. Nadzieja na to, że Abi nie cierpiała. Neil zabił ich małą córeczkę i ukrył jej ciało. Ten fakt jest co najmniej zdumiewający. Nie do pomyślenia, ale jednak taka jest prawda. Neil. Matt ledwo pamięta czas, kiedy nie znał tego mężczyzny, kiedy nie byli przyjaciółmi. Ale teraz to, kim stał się dla niego Neil, nawet nie zbliża się do przyjaźni – nawet najlepszy przyjaciel nie jest w stanie przekazać tego, kim był dla niego, kim byli dla siebie nawzajem. Był. Byli. Już nie są przyjaciółmi, tak po prostu – zerwanie, cięcie laserem tak precyzyjne, że ból nie zdążył się jeszcze przebić przez mgłę szoku. Najlepszy przyjaciel będzie cię krył, kupi ci piwo, pocieszy cię. Ale Matt zawierzył temu przyjacielowi swoją córkę, tak samo jak swoje życie, a teraz, czując, że upada, co odczuwa niemal namacalnie, odkąd odebrał telefon, w jego głowie zaczynają krystalizować się myśli. Neil być może nie zamordował Abi, ale Matt wie z całkowitą jasnością, że nigdy nie może mu wybaczyć

tego, co zrobił, że już nigdy się z nim nie spotka, dopóki żyje, ale jednocześnie będzie o nim myślał i tęsknił każdego dnia do końca życia.

*

Nieco po siódmej wieczorem na ich kanapie znowu siedzi Sarah Farnham. Zapada zmrok. Ava trzyma w ręce szklaneczkę z brandy. Jego własna stoi nietknięta na stoliku kawowym.

Farnham przysłała, aby opowiedzieć im o wynikach sekcji zwłok. Zwraca się do nich, jakby nadal byli parą i nie ma powodu, by wyprowadzać ją z błędu – że tylko dzielą ze sobą dom, żałobę, syna; że przetrwali i nic więcej. Spoza całej tej burzy Matt zauważa, jak delikatni byli ci wszyscy ludzie dla nich przez ten czas i zastanawia się, jak mogą odnaleźć się tutaj, w samym środku czyjś koszmaru, usiłując dotrzeć do prawdy, jakakolwiek by ona nie była.

W tej dziwnej, wymuszonej zażyłości Lorraine przynosi im trzy kubki z kawą i dużą szklanekę wody dla Avey, która karmi Freda. Robi to przez większość dnia. Ciągłe powtarza, że mały potrzebuje pocieszenia, ale Matt wie, że tak naprawdę to Fred jest ukojeniem dla niej.

– Wszystko w porządku? – pyta ich pani detektyw.

– Jesteśmy gotowi – odpowiada Ava.

Farnham wyciąga z kieszeni notatnik, poprawia się na miejscu i wydaje się, że nie może sobie znaleźć wygodnej pozycji. Ciężko wzdycha i z widocznym wysiłkiem zaczyna:

– Sekcja zwłok wykazała, że Abi zmarła na skutek urazu głowy. Pokrywa się to z upadkiem do wykopu na budowie. Uraz spowodował krwawienie do mózgu, które okazało się śmiertelne.

Powietrze gęstnieje. Ava otwiera usta, ale natychmiast zamyka je z powrotem.

– Czy bardzo cierpiała? – pyta Matt, zerkając na Awe, która dziękuje mu wzrokiem.

– Skutki uderzenia w głowę są szybkie – odpowiada Farnham. – Na betonie, na którym leżała torba, zachowało się trochę tkanek i resztki jej ubrań. Z tego wywnioskowaliśmy, że została pochowana około dwudziestu czterech godzin po śmierci, co pokrywa się z relacją pana Johnsona. Mówi, że wrócił na miejsce pracy, przeniósł ciało Abi z placu budowy w dużej torbie na narzędzia i przetrzymywał je w swojej furgonetce, tak jak

mówiłam wam już przez telefon. Powiedział nam, że zaparkował na podjeździe Lovegoodów następnego ranka, a gdy wyjechali do pracy, wniósł Abi do domu w torbie i włożył ją, nadal w torbie, do pierwszego wykopu od strony wejścia na teren kuchni. Tam mógł ją pogrzebać pod pozorem zalewania stalowych belek, zgodnie z harmonogramem prac na budowie. Chłopak, który dla niego pracował, przesłuchiwany ponownie zeszłej nocy, uwierzył panu Johnsonowi, gdy ten powiedział mu, że plac budowy będzie zamknięty przez kilka dni z powodu dochodzenia policyjnego.

– Więc kiedy my patrzyliśmy na zdjęcie jej płaszcza – mówi powoli Matt, przetwarzając w głowie to, co właśnie usłyszał – on był tuż obok i zalewał ją w...

– Bardzo mi przykro.

Matt tłumi krzyk dłonią, robi mu się ciemno przed oczami.

– Sharon. – Głos Avy brzmi jak skrzek. – Mogę zadać ci pytanie?

– Oczywiście.

– Czy to oznacza, że aresztujecie go za morderstwo?

W pokoju zapada cisza. Matt zmusza się, by podnieść wzrok. Farnham i Lorraine nie wymieniają spojrzeń, nie do końca. To coś mniej niż to. Poprawiają się na kanapie. I robią to dokładnie w tym samym momencie.

– Miałam do tego dojść – mówi w końcu Farnham. – Uraz głowy nie zgadzał się z kątem, pod jakim doszłoby do niego, gdyby po prostu wpadła do tego wykopu. Miała również inne urazy wewnętrzne, które nie mogły powstać w wyniku upadku. Znaleźliśmy także mały odprysk farby na jej bransoletce – to chyba była bransoletka z chrztu?

– Tak – pospiesznie odpowiada Ava. – Robiła się już za mała.

– Wysłaliśmy ją do laboratorium, ale nie mamy jeszcze wyników. Będziemy w kontakcie, kiedy tylko je dostaniemy.

Rozdział 45

Ava

Dzień pierwszy, siedzimy na tyle domu, oglądamy filmy na laptopie Matta, unikamy prasy. Palec drży mi nad numerem telefonu Farnham, ale nie dzwonię. Moja mama zaproponowała, że przyjedzie, jak wtedy, gdy Abi zaginęła, ale powiedziałam jej, żeby została w domu. To zbyt trudne. I tak nic nie może zrobić. Kiedy się dowiemy, zadzwonimy do niej.

Wieczorem, gdy dziennikarze już odjeżdżają, zamawiamy curry na wynos, żeby sobie dogodzić. Większość ląduje w koszu. Jemy chipsy, lody. Pijemy czerwone wino, żeby zagłuszyć otaczający nas świat.

Dzień drugi, świrujemy, potrzebujemy świeżego powietrza, wychodzimy wcześniej rano, żeby uniknąć dziennikarzy. W Bushy Park siadamy na ławce w ogrodzonych, odosobnionych ogrodach wodnych, z dala od wszystkich i od wszystkiego. Nadal jest dość ciepło, by wyjść na zewnątrz w dżinsach i swetrze. Bierzymy kanapki.

– Powinniśmy coś zjeść – mówimy do siebie.

– Na pół?

Targujemy się. Jeśli zjesz połowę, dostaniesz później kieliszek wina. Skubimy rogi chleba. Pijemy kawę z termosu. Nie odważyliśmy się wejść do lokalnej kawiarni.

– Musisz jeść dla Freda – mówi Matt.

– Szantaż emocjonalny to oszustwo – odpowiadam, a uśmiech, który to wywołuje na naszych twarzach, jest małym cudem.

Pochłaniamy dużą tabliczkę czekolady mlecznej.

Wczesnym wieczorem Farnham wraca do nas, żeby porozmawiać. Bez słowa przeciska się przez tłum dziennikarzy i wchodzi do naszego domu. Robimy dla niej herbatę, nie pytając, jaką pije, i siadamy w kuchni, na wysokich stołkach przy barze. Robi pauzę, z tą charakterystyczną dla siebie powolną dramą.

– Dostaliśmy wyniki z laboratorium – zaczyna. – Tej farby.

Biorę wdech. Matt prostuje plecy. Zegar na kominku wybija pół godziny.

– To był ciemnopomarańczowy kolor – mówi. – Jak palona pomarańcza można powiedzieć.

W głowie mi huczy. Płonę od środka. Farnham pyta, czy wszystko ze mną w porządku.

– Pieprz kajeński – mówię na wdechu.

Farnham marszczy brwi.

– Słucham?

– Porsche cayenne – mówię, a wszystko, co wiedziałam do tej pory cofa się, przewija i ponownie łączy jak eksplozja. – Porsche cayenne jak pieprz kajeński. Samochód Johnniego Lovegooda.

Farnham potakuje. Ma zagadkowy wyraz twarzy.

– Zgadza się. Oficjalnie ten odcień nazywa się Lava Orange. Jest używany na modelach porsche wyprodukowanych pomiędzy 2013 a 2019 rokiem, czyli w tym roku. Można go znaleźć na 911, na boxterze. – Wylicza je na palcach. – 718 boxter, 718 cayman i cayenne.

Matt głośno wciąga powietrze.

– O mój Boże.

– Zabraliśmy samochód – kontynuuje. – Tak samo jak waszego sąsiada oczywiście. Auto ma małe zadrapanie z przodu pod spodem, które zostało zalakierowane. Z jego wyciągów bankowych wynika, że kupił zestaw naprawczy w sklepie internetowym we wtorek po śmierci Abi, więc nie ryzykował. Biorąc pod uwagę dowody z farby, zadrapanie na jego aucie, wyciągi bankowe, obrażenia zgodne z jego samochodem, jego własną córkę, która umiejscowiła ich w domu w tym samym czasie, w którym Abi mogła wyjść – no cóż, wiecie to wszystko – pan Lovegood w końcu się przyznał. Ale nawet wtedy próbował zrzucić winę na was, za to, że zostawiliście otwarte drzwi.

– Nie mogę się z tym pogodzić – mówię.

– Przykro mi, wiem, że to zbyt wiele.

– Johnnie Lovegood zabił ją swoim autem – mówi Matt jakby do siebie.

– Zabił ją – zgadza się Farnham – ale nie swoim autem.

Rozdział 46

Johnnie

Jasmine marudzi coś na temat butów. Johnnie czuje, że rośnie mu ciśnienie, tępe ukłucie bólu w przetyku.

– Wyprowadzę samochód – mówi, zostawiając to Jen. Ona jest lepsza w radzeniu sobie z takimi rzeczami. Są już spóźnieni – no dobra, będą spóźnieni, jeśli Jasmine się nie uspokoi, a on ma klienta w Sunbury o dziesiątej, dla którego jeszcze nie skompletował rysunków. Będzie potrzebna gładka gadka i trochę sprytnych sztuczek; marynarka od Armaniego powinna załatwić sprawę.

W łazience łyka dwie pigułki omeprazolu, po czym schyla głowę i pije wodę prosto z kranu. Szybkie spojrzenie w lustro. Dasz sobie radę, Johnnie Boy, dasz sobie radę. Pod presją pracujesz lepiej. Delikatne postukiwanie z kotłowni na dole mówi mu, że Neil przyszedł z samego rana, jak zwykle. Ale nie ma czasu, żeby się z nim teraz witać. Przyjechały stalowe belki – najgorsza część za nimi. A po tej żenującej wpadce z pomiarami w piątek i raczej mało przyjemnej kłótni, która potem nastąpiła, Johnnie woli go unikać, jak tylko może.

Wychodzi na zewnątrz i klika przycisk na pilocie. Drzwi garażu się unoszą. Jest trochę przed ósmą rano i na ulicy jest zupełnie pusto. Wskakuje do samochodu i odpala silnik. Radio budzi się do życia, dźwięki wypełniają przestrzeń ze wszystkich stron. Radio 6 Music. Leci jakiś wykonawca muzyki grime. Ma jego nazwisko na końcu języka, ale zaraz powinno pojawić się na cyfrowym wyświetlaczu. Sprawdza fryzurę w lusterku wstecznym, zaczesuje włosy do tyłu i wyciąga jeden kosmyk na czoło, po czym przejeżdża palcem po zębach. Zastanawia się, czy powinien powiedzieć Jen, żeby dołożyła pastę wybielającą do zamówienia na Ocado. Zaczyna wyjeżdżać tyłem z garażu, obserwując wyświetlacz radia w nadziei odczytania nazwiska wykonawcy. Może rzucić nim potem w rozmowie z młodym grafikiem, z którym dzieli biuro, może zwyczajnie...

Bum. Uderzenie. Zatrzymuje się, ale mija kolejna sekunda czy dwie, zanim to do niego dociera.

Wyskakuje na podjazd. Widzi mały czerwony bucik do kostki. Chwilę później stoi nad ciałem dziecka sąsiadów z domu obok.

– Kurwa. – Rozgląda się po ulicy. Nie ma nikogo. Nikogo. Podnosi ją. Schyla się raz jeszcze. Bierze reklamówkę z chlebem, którą upuściła na chodnik. Wbiega do otwartego domu, serce dudni mu w piersi, w głowie huczy. Z góry dobiega go głos Jen uspokajający Jasmine, przekupujący ją.

– Okej, jeszcze dwie minuty. Wsadzę Cosimę do samochodu i wrócę po ciebie, masz być wtedy gotowa, dobrze? Nie, Jasmine, nie te buty, proszę...

Zarówno drzwi do kotłowni, jak i do dobudówki są zamknięte. Te kuchenne na klucz.

Przerzuca sobie ciało przez ramię. Jest takie małe, takie lekkie. Maca po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. Chryste, no dawaj, gdzie one są, dzięki Bogu, są, klucze do drzwi kuchennych. Otwiera miejsce budowy, rozgląda się badawczo, drapie się po głowie. Pralka? Nie, zbyt ryzykowne. Może się nie zmieścić. Nie, zdecydowanie się nie zmieści. No dalej, dawaj, Johnnie Boy. Masz dwadzieścia sekund. Ogród? Robi krok, obraca się w lewo, potem w prawo. Coś upada na ziemię – jakaś pluszowa zabawka. Małpka? Kto to wie. Chryste, nawet nie zna imienia tego dziecka. Ale teraz nie ma na to czasu. Nie ma pieprzonego czasu.

Wykop.

Podeszła tam. Wpadła.

Dobre. Musi wystarczyć.

Nikt nie wie, że on tu jest. Nikt.

*

Wrzuca ją tam, dławi się, gdy jej głowa uderza o kant betonu, zanim upada, obraca się i ląduje na plecach. Okropny widok, powykęcane kończyny. Patrzy na niego, oczy ma szkliste jak u lalki. Wrzuca za nią jeszcze torbę z chlebem. Ląduje obok jej głowy, obok ręki. Wygląda, jakby tam wpadła. Tak, wpadła tam. Reklamówka wypadła jej z ręki. Nowa prawda już zakorzenia się w jego umyśle. Tragedia.

Drzwi kuchenne wołają go: „Wychodź stąd, Johnnie Boy. Idź już. Biegnij”.

Drzwi do kotłowni nadal są zamknięte. Nie słyhać żadnego dźwięku. Nikt nie wie, że on tu jest. Nikt nie wie, co właśnie zrobił. Jeśli zostawi otwarte drzwi do kuchni, nie będzie nikogo, kto będzie mógł poświadczyć, że to był on. Neil wyjdzie i... Tak, Neil wyjdzie i pomyśli, że to był okropny wypadek. To był okropny wypadek. Wpadła tam. Reklamówka wypadła jej z ręki. Tragedia.

To będzie wina Neila.

Zaniedbanie zawodowe.

Nikt nie uwierzy w słowo budowlańca przeciw jego słowu. A w piątek Neil zachowywał się w stosunku do niego bardzo agresywnie, tak bardzo chciał zrzucić na niego winę za błąd z obliczeniami, jakby chciał coś udowodnić.

Wypadek. Tragedia. Zaniedbanie. Ona tam wpadła.

Nie jest idealnie. Ale musi zadziałać. Johnniego nie może być nigdzie w pobliżu tego. Za ciężko pracował, żeby stracić to wszystko. Kredyt hipoteczny na to miejsce to prosta droga do zawału, który tylko czeka, aby go dopaść, a to wszystko jeszcze bez dobudówki, oświetlenia, ręcznie robionych urządzeń i Cayenne. Od całego tego stresu, który musi znieść, zżera go już refluks żołądkowy. Jeśli przyzna się do przejechania dzieciaka, to go zrujnuje. A jeszcze trzeba myśleć o zapewnieniu opieki Jasmine. Neil nawet nie ma dzieci. Jest młody. Dostanie dwa lata, góra trzy, podczas gdy on, Johnnie, nigdy by się już z tego nie wygrzebał. Nie może zrobić tego swoim dzieciom. Kocha te dzieciaki. I kocha Jen.

Z nowej prawdy wyrasta kolejna – robi to dla swojej rodziny.

Na jego czole pojawiają się kropelki potu.

Wychodząc z domu, zwalnia kroku. Facet z naprzeciwka ciągnie swój kosz na odpady zielone po ścieżce. Chryste. Minuta wcześniej i mógłby go zobaczyć.

– Witam – woła Johnnie, machając do niego, choć zazwyczaj tego nie robi. Ten facet może być jego świadkiem, świadkiem tego, że nic nie zrobił, nic niestosownego. Dobrze mi się przyjrzyj. – Chyba zaczyna padać.

– Na to wygląda. – Sąsiad unosi dłoń w powitalnym geście, po czym odstawia kubek i wraca bocznym wejściem do ogrodu na tyle.

Zanim Jen wychodzi z domu, Johnnie jest już w aucie, silnik pracuje. Wciera pot z czoła we włosy, twarz osusza chusteczką, którą wyciągnął ze schowka na rękawiczki i bębni palcami po kierownicy w rytm muzyki.

Jen klunie na fotelik samochodowy. Jasmine nadal jest w pieprzonym domu. Na litość boską, wychodź, kobieto, chce powiedzieć, ale zaciska mocno usta. Radio dudni. Ma ochotę je ściszyć, ale nie ośmiela się zrobić niczego, czego nie zrobiłby normalnie, w razie gdyby na niego spojrzała. Gdyby spojrzała na niego i powiedziała: co jest z tobą, do cholery? Ale nie patrzy na niego, jest zajęta zapięciem fotelika, które w najlepszym razie można nazwać kłopotliwym. Nie sprawdził podjazdu. O Boże, nie sprawdził, czy nie ma tam krwi. Nie krwawiła. Nie krwawiła, prawda? Nie żyła, tak – prawdopodobnie. Nie da się udupić za głupi wypadek, który nie był... dopiero teraz dociera do niego ta myśl... nie był nawet jego winą. Racja. To nie jego wina. Nie można go winić. Kto, do jasnej cholery, pozwala dwuletniemu dziecku wałęsać się bez opieki? Rodzice. To była wina rodziców, nie jego.

– No wreszcie – mówi Jen i wraca do domu.

Zamyka i otwiera oczy. Zamyka, otwiera. Boże, co za męczarnia. Przeciągająca się tortura. No chodź już, Jen. Chodź, chodź, chodź.

Minutę później Jasmine w końcu wychodzi z domu. Nadal nikogo nie ma na ulicy. Ciągle jeszcze nie przyzwyczyił się do przedmieść. Czasami ma wrażenie, że nikt tutaj nie mieszka.

Po kolejnej minucie czy dwóch Jen wsiada na fotel pasażera obok niego.

– Dobra – mówi, dmuchając zabawnie w swoją grzywkę. – W końcu.

– Widziałaś Neila, tak na marginesie?

– Właściwie to nie.

– Okej.

Rusza. Drzwi garażu zamykają się powoli. Zaczyna się najdłuższy dzień jego życia.

*

W ogóle nie pamięta spotkania o dziesiątej. Reszta dnia rozmywa mu się – kolory, hałasy, atak paniki w kabinie łazienkowej. Rozwolnienie. Przez cały dzień, cały pieprzony dzień czekał na telefon z policji.

Pan Lovegood? Obawiam się, że w pańskiej posiadłości doszło do wypadku.

Ale nic. To nie ma sensu. Długie godziny pełne napięcia, oczekiwania, czekania, czekania, czekania. Powtarzania swojej wersji. Nie ma żadnej wersji. Teraz to już prawda. Wstał, wyprowadził samochód. Jen

i dziewczynki wychodziły z domu ostatnie. Nic nie widział. Nic nie słyszał. Myśli, że Neil mógł tam być, ale nie może być pewien – tak, najlepiej być nieprecyzyjnym, nie chce wyglądać, jakby chciał to komuś przypiąć. Jen nie widziała Neila. Najlepiej trzymać się od tego z daleka. Nie wie. Pojechał do pracy. Dosłownie nic nadzwyczajnego. Nie ma pojęcia. Im mniej powie, tym lepiej. Mój Boże, to okropne, powie. Jak to się mogło stać? Mówił temu budowlańcowi, mówił mu... jego żona kazała założyć zamek, dała mu klucz. Zupełnie nieodpowiedzialny.

Ale żadne połączenie nie nadeszło. Przez cały dzień zero telefonów. Nie ma pojęcia, co to oznacza. Wie, że się nie dowie, dopóki nie wróci do domu. Nie może wrócić do domu wcześniej niż normalnie.

Przed siódmą odbiera Jen z dworca, nerwy ma napięte jak postronki.

– Johnnie? John? – Jen patrzy na niego zaniepokojona, zapinając pas. – Wszystko w porządku?

– Właściwie trochę źle się czuję – mówi. – Chyba zjadłem nieświeże sushi na lunch.

– O nie.

Pozwala Jen mówić, jadąc do domu. Dzisiejszy dzień nie był taki zły. Prawdopodobnie będzie musiała jednak pracować w weekend – prowadzi dość skomplikowaną sprawę z udziałem...

– Czy to... – Przerywa. – Czy to policjant na końcu naszej drogi?

Tak. Tak, to policja. Przez chwilę Johnnie myśli o tym, żeby zawrócić, przyspieszyć, odjechać daleko, daleko stąd, zanim z nerwów zwalnia. Policjant macha na nich, żeby się zatrzymali.

– Co się dzieje? – pyta Jen.

– Nie mam pojęcia. – Pot pojawia się na jego brwi. Opuszcza szybę i macha do policjanta.

– Coś się stało?

– Czy pan tu mieszka?

– Tak. Właśnie wracamy z pracy do domu. Co się stało?

– Zaginęła mała dziewczynka. – Wyciąga notatnik. – Mogę zadać państwu kilka pytań? Rozmawiamy ze wszystkimi sąsiadami.

– Oczywiście – odpowiada. – Jasne. Ale nie było nas przez cały dzień. Byliśmy w pracy.

– Mała dziewczynka – włącza się Jen. – O mój Boże, to okropne. Może nam pan powiedzieć, o kogo chodzi?

Policjant wręcza Johnniemu ulotkę: CZY WIDZIAŁEŚ TĘ DZIEWCZYNKĘ?

Tak. Tak, widział. Ale ona nie zaginęła.

Nazywa się Abi Atkins. Wszelkie informacje proszę przekazywać na numer...

Trzęsie mu się ręka. Podaje ulotkę Jen.

– Znasz ją? – pyta.

– O Boże, to chyba córeczka naszych sąsiadów! – Natychmiast zaczyna szlochać w dłonie. Jak kobiety to robią? – Och, biedactwo. – Chryste, ona płacze. – O mój Boże, nie mogę w to uwierzyć. – Odejmuje rękę od ust i Johnnie czuje, że odwróciła się do niego. – To córeczka sąsiadów z domu obok – powtarza natarczywym tonem. – Nie znałam jej imienia, ale wydaje mi się, że jest w wieku Cossie. O Boże, co za tragedia, co za okropna tragedia.

– Pytamy wszystkich sąsiadów, czy coś widzieli. Według naszych informacji zaginęła około ósmej piętnaście dziś rano. Widzieli państwo cokolwiek w okolicach tej godziny?

– Wtedy nas już nie było – odpowiada Johnnie, szybciej niżby sobie tego życzył.

– Tak, wtedy już wyjechaliśmy, przykro nam – dodaje Jen, dzięki Bogu. – Wyjechaliśmy o ósmej czy jakoś tak, prawda? – Patrzy na niego, a na jej twarzy już maluje się zaniepokojenie. – Widziałeś coś?

Potrząsa głową.

– Nie. Nic. Zupełnie nic. Kompletnie nic. – Zamknij się. Zamknij się, Johnnie.

– Proszę potwierdzić, czy wasz budowlaniec, pan Neil Johnson, był wtedy w waszym domu?

– Mógł być – mówi Johnnie. – Prawdopodobnie był.

– Nie. – Ku jego natychmiastowej irytacji Jen mu zaprzecza. – Wysłał wiadomość, że będzie później. Miał odebrać jakieś towary z magazynu. – Ponownie odwraca się do niego. – Wysłał to na WhatsAppie, nie dostałeś tego?

Nie. Nie, nie dostał. To domena Jen – organizacja dnia codziennego. Szczegóły.

Rozważa słowa Jen: Wysłał wiadomość, że będzie później. Miał odebrać jakieś towary z magazynu. To nieprawda. Neil tam był. Johnnie go słyszał. Może przysiąc, że go słyszał. A jeśli dziecko uznano za zaginione, to

znaczy, że Neil nie wziął na siebie winy. Budowlaniec, uważając się za winnego, posprzątał bałagan. To jeszcze lepiej niż mógł przewidzieć.

– Potrzebujecie jeszcze czegoś? – pyta Jen gliniarza. – Jeśli tak, to śmiało.

– Poproszę o wasz numer domu.

– Jasne. Dziewięćdziesiąt. Mieszkamy obok.

Wymieniają podziękowania. Johnnie zamyka szybę. Policjant zwalnia ich machnięciem ręki. Johnnie dziękuje skinieniem głowy.

Jen płacze już teraz w najlepsze, a on czuje, że jeży mu się włos na karku. Przesadne współczucie aż do nerwicy. Szczerze mówiąc, to trochę przesada.

Ale kiedy wjeżdża na podjazd, mężczyzna, którego córka zaginęła, wraca do domu na swoim rowerze.

– O mój Boże – mówi Jen. – To on. Sąsiad z domu obok. – Wybiega z auta, jakby ją ktoś gonił, zanim on zdąży zatrzymać samochód.

– Cześć! – słyszy jej wołanie, zanim jeszcze zatrześnie drzwi.

Zaciska palce na kierownicy. On też będzie musiał wysiąść. Będzie musiał jakoś przetrwać tę rozmowę. Zbiera się w sobie i otwiera drzwiczki auta.

Jen rozmawia z tym facetem. Johnnie przekazuje wyrazy współczucia, powtarza to, co usłyszeli przed chwilą od tamtego gliniarza. To wszystko, co przychodzi mu do głowy. Więcej współczucia – może wydrukować więcej plakatów, jeśli są potrzebne.

– Dzięki. – Facet wygląda jak marionetka, której odcięto sznurki. To wszystko jest takie niefortunne. To naprawdę okropne, naprawdę.

– Nie będziemy cię zatrzymywać – mówi Jen i proponuje, że poda im swój numer, jakby miała za dużo czasu.

Nie będąc w stanie znieść tego ani sekundy dłużej, Johnnie odchodzi w kierunku domu, czoło mu się poci. Opiera się chęci otarcia potu grzbietem dłoni w jakimś karykaturalnym geście ulgi. Neil się nie zgłosił. Nie podniósł ręki i nie przyznał się do tego. Musiał ukryć ciało, pozbyć się go gdzieś. Ale gdzie?

Chyba że ono tam nadal jest?

Dobry Boże.

Wsuwa klucz do zamka. Skrada się przez korytarz. Tak samo jak tego ranka słyszy swoje dzieci na górze, ale teraz rozmawiają z opiekunką. Otwiera drzwi na budowę niczym włamywacz. Gdy jest już w środku, idzie

na palcach i zagląda do wykopu. Nie ma jej tam; oczywiście, że jej tam nie ma. Czuje delikatny kwiatowy zapach – mydło? Czy policja sprawdziła dom? Musiała. Neil musiał ją stąd zabrać, zanim tu weszli. Ogarnia go znużenie, ogromna fala ulgi. Niemal uginają się pod nim kolana. Gdzie on ją przeniósł? Gdzie on ją, do diabła, ukrył?

To pytanie pulsuje w jego głowie do późnej nocy. Długo po tym, jak tulił swoje dzieci dużo mocniej niż zazwyczaj przed położeniem ich do łóżek, z dodatkową bajką i dodatkowym całusem. Długo po tym, jak Jen wyszeptala do niego, że nie może spać i trzymał ją w ramionach, aż jej oddech zrobił się długi i spokojny. Długo po tym, jak wypalił dziękczynnego jointa, stojąc w oknie swojego loftu, zaskoczony na chwilę przez lisa skradającego się przez tylne ogrodzenie, podczas gdy czekał, aż marycha zacznie działać.

Dopiero następnego dnia rozumie. Drukuje właśnie plakaty z atrakcyjną żoną Neila w swoim biurze, kiedy Jen wysyła mu SMS-a z informacją, że znaleźli kurtkę tej małej w rzece.

Rzeka. No jasne.

Jestem twoim dłużnikiem, Neilu Johnsonie, myśli, nadal wpatrując się w wiadomość od Jen. Jestem twoim cholernym dłużnikiem.

Rozdział 47

Ava

– Nie zabił jej autem? – rzucam z narastającą niecierpliwością. – Co to znaczy, że nie zabił jej swoim autem?

Farnham wypija resztę herbaty i bardzo powoli odstawia kubek na blat.

– Wyniki sekcji ujawniły, że Abi zmarła wskutek urazu głowy, którego doznała podczas upadku do wykopu – mówi. – Została potrącona przez auto Johnniego Lovegooda i straciła przytomność, ale nie zabił jej. – Podnosi wzrok, na jej twarzy maluje się łagodność, ból i współczucie. – Nie cierpiała. Nie była niczego świadoma. – Kolejna przerwa, jakby mówiąc to, odczuwała fizyczny ból. – Ale musicie wiedzieć, że wtedy jeszcze żyła. Gdyby pan Lovegood zgłosił to potrącenie i wezwał pogotowie, prawdopodobnie nadal by żyła. Ale on tego nie zrobił. – Potrząsa głową. – Nie zrobił tego.

– Jeszcze wtedy żyła – powtarzam.

– Bardzo mi przykro. Okazuje się, że w sumie cała sprawa sprowadza się do kilku sekund. Dosłownie.

Matt przyciąga mnie bliżej siebie, obejmując ramieniem.

– Czy te auta nie mają sensorów? – Chce wiedzieć.

– Mają – odpowiada Farnham – ale jeśli słuchasz głośno muzyki, jesteś roztargniony... Nie zwracał uwagi, w tym sęk. Nie prowadził z należytą uwagą. Wiele wypadków jest spowodowanych nie tyle nadmierną prędkością, co zbyt szybkim manewrowaniem pojazdem podczas drobnych czynności, takich jak zawracanie na trzy, parkowanie tyłem czy, jak w tym przypadku, wyjeżdżanie z garażu. Szczerze mówiąc, nie ma znaczenia, jakie auto prowadzisz, jeśli nie jesteś ostrożny.

Zamykam oczy. Wyobrażam sobie Johnniego Lovegooda w jego stylowych ubraniach, siedzącego skulonego na tylnym siedzeniu radiowozu. Otwieram oczy i widzę mężczyznę, który nadal według prawa jest moim mężem i panią detektyw, która w końcu dopadła swojego

przestępcę. Zastanawiam się, czy czuje się usatysfakcjonowana. Rozmyślałam nad tym, jak bardzo trzeba się zdystansować od czyjś bólu, żeby poczuć coś tak nieskomplikowanego jak satysfakcja.

– Chroniąc to, co nasze – mówię.

– Co? – Matt marszczy brwi.

– To o to w tym wszystkim chodzi. – Patrzę na niego, na człowieka, który wciąż jest moją drugą połówką, pozwalając, by łzy skapywały z mojego podbródka. – Ty skłamałeś, bo martwiłeś się, że stracisz mnie i Freda. Neil skłamał, żeby ocalić siebie i Belle, a Johnnie skłamał, żeby chronić to, co jego. Tak naprawdę to jedynie kwestia skali. – Zerkam na Sharon, która słucha z nabożnym szacunkiem lub współczującym pobłażaniem, trudno powiedzieć. – Nasza córka została zamordowana, a jej śmierć utrzymana w tajemnicy, ponieważ przestaliśmy dbać o siebie nawzajem. A kiedy nie dbamy o siebie, po prostu ukrywamy się w naszych zamkach i wypuszczamy strzały w kierunku sąsiadów, nieprawdaż? Kiedy widzisz leżącą na ziemi czapkę, wieszasz ją na płocie, tak samo jak ty chciałbyś, żeby ktoś tak zrobił z twoją, gdyby ją znalazł. Kiedy potrącisz małą dziewczynkę, wzywasz karetkę, bo też chciałbyś, żeby ktoś tak zrobił, gdyby potrącił twoją córkę, rozumiesz? Tamtego dnia nikt nie zatrzymał się i nie pomyślał, że to mogła być córka każdego z nas... Wszyscy jesteśmy powiązani, to wszystko, to wszystko, co... – Szlocham w dłonie, łkania stają się coraz głośniejsze.

– Hej – mówi Matt, masując mnie po plecach. – Nie denerwuj się.

– Nie denerwuję się. To jest denerwujące. Gdzieś po drodze byliśmy tak zajęci zdobywaniem i posiadaniem, i zdobywaniem coraz więcej i więcej, aż mieliśmy już tak wiele, że musieliśmy tego strzec za wszelką cenę. Zapomnieliśmy – zupełnie zapomnieliśmy – dbać o siebie nawzajem.

Matt obejmuje mnie ramieniem. Czuję, że przyciska usta do czubka mojej głowy.

– Co my teraz zrobimy? – Szlocham w jego pierś.

– Wszystko będzie dobrze – odpowiada. – Wszystko będzie dobrze.

Epilog

Ava

Cztery miesiące później

Dwa dni temu, w czasie zacinającego deszczu ze śniegiem, wprowadziliśmy się do domku na wsi, niedaleko moich rodziców. Nie będąc w stanie znieść życia na naszej ulicy, Fred i ja mieszkaliśmy z nimi od czasu znalezienia Abi i teraz jesteśmy szczęśliwi, że możemy znowu zamieszkać pod jednym dachem z Mattem. Matt podjął się mniej płatnej pracy w firmie w Manchesterze, ale zamierza się rozwijać. Tutaj domy są tańsze, więc mogę sobie pozwolić na to, by mieć osobny pokój na moje pianino. Po cichu mam nadzieję, że to będzie nowy początek. Mogę żyć tu spokojnie, wiedząc, że nie będę co pięć minut wpadać na ludzi, którzy wiedzą, co się stało, nie wspominając już o Belli i Jen, i ta myśl przynosi mi ukojenie.

Po rozprawie Bella napisała do mnie SMS-a, mówiąc, jak bardzo jest jej przykro i zapewniając mnie, że o niczym nie wiedziała, aż do tamtego przyjęcia. Odpowiedziałam, że jej wierzę i że uważam ją za odważną i wyjątkową osobę. Życzyłam jej powodzenia. I naprawdę tak myślę. Jest jedyną, która zrozumiała, gdzie biegnie linia pomiędzy ochroną samej siebie a tym, co należy zrobić, i zawsze będę ją za to podziwiała. To, czego nie powiedziałam, choć podejrzewam, że oboje – i ona, i Neil – rozumieją, że nigdy nie chcemy już widzieć żadnego z nich. To samo tyczy się Jen, która wysłała mi długi i ujęty w czułe słowa, odręcznie napisany charakterystycznym dla niej fioletowym tuszem list, a który przywiózł mi Matt podczas jednej ze swoich wizyt. Ona i Johnnie się rozwodzą. Była zażenowana i upokorzona tym, co się stało i miała nadzieję, że głęboko w swoim sercu uwierzę, że ona nic nie wiedziała o „haniebnych czynach jej byłego męża”. Odpisałam – papierowa korespondencja jest nieco przestarzała, ale dziwnie pasująca do tej sytuacji – że oczywiście jej wierzę. Pomińłam, że dopiero po przeczytaniu jej listu, bo do tego momentu nie

byłam pewna, ale na tym kontakt między nami musi się skończyć. Lubiłam ją i tęsknię za nią, ale potrzebuję nowego początku. Jak my wszyscy.

Neil został oskarżony i skazany za uniemożliwienie zgodnego z prawem pochówku oraz spisek mający na celu utrudnianie śledztwa. Skazano go na dwa lata, ale najprawdopodobniej odsiedzi tylko rok, jak nam powiedziano. Podobno on i Bella nadal są razem i planują przeprowadzkę do Guildford, co przekazał Mattowi jego stary szkolny kolega.

Johnnie Lovegood został oskarżony i skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci i spisek mający na celu utrudnianie śledztwa. Obecnie odsiaduje maksymalny wyrok w więzieniu Jej Królewskiej Mości w Wormwood Scrubs. Zastanawiam się, jak odnajduje się w szarych dresach i czy kuchnia przypadła mu do gustu. Wiem, że uzna swoją karę za oburzającą, za parodię.

– Widziałaś gdzieś lampki nocne? – pyta Matt, bębniąc palcami w futrynę drzwi do salonu.

– W kuchni. W jednym z tych pudeł na stole. Jest chyba podpisane „sypialnia”. Może napijemy się herbaty?

– Okej – odpowiada. – Ja zrobię.

– W szafce obok czajnika powinny być jakieś ciasteczka – wołam za nim.
– Kubki też tam gdzieś są.

Z pudła stojącego na podłodze wyciągam oprawione w ramkę zdjęcie Abi, przesuвам po nim dłoń, po czym stawiam je na kominku. Miesiąc po jej znalezieniu wyprawiliśmy kameralną uroczystość pogrzebową tylko dla najbliższej rodziny. I choć koniec jej życia wybrzmiał w najsmutniejszy możliwy sposób, była to nuta mniej obłąkana niż ten wiszący nade mną diabelski akord, a ja jestem w stanie wreszcie usiąść i go usłyszeć. Moje serce należy do Matta i do mojego syna, ale nadal należy również do mojej córki, wciąż splecione z jej serduszkim, tak samo jak jej z moim. Nadal jest częścią mnie – mojego ciała, moich tkanek i moich kości. Zawsze będzie częścią mnie. Jej śmierć nie może tego zmienić. Nic nie może tego zmienić.

– Możesz stąd na nas patrzeć, małpeczko – mówię do niej teraz, nie zwracając uwagi na spływające mi po policzkach łzy.

Kiedy się już urządzimy, zamierzam uczyć gry na pianinie. Być może wrócę do szkoły – zobaczymy, jak się ułoży. Codziennie od miesiący grywałam na pianinie mojej mamy. Razem z moim cudownym synkiem, muzyka ma moc przynoszenia mi chwil radości. Nadal nie udało mi się

osiągnąć perfekcji w Balladzie nr 1 Chopina, ale sama sobie wybrałam tę torturę.

Już nie sprawdzam, czy mam zamknięte drzwi cztery czy pięć razy za każdym razem, gdy wracam do domu. Moim celem jest całkowite zaprzestanie robienia tego w tym nowym miejscu. Moje spotkania z Barbarą skończyły się, kiedy przeprowadziłam się na północ, ale jeśli kiedyś uznam, że potrzebuję pomocy, dopilnuję, żeby ją otrzymać. Wiem, że muszę dbać o siebie pod każdym względem, aby móc opiekować się małym Fredem. Nasz syn ma teraz siedem miesięcy, siedzi – w tej chwili właściwie drzemie – w swoim nowym wózku w przedpokoju. Zaczyna pokazywać charakterek, czasami krzyczy „Oj!”, kiedy chce zwrócić na siebie naszą uwagę, a nas to rozśmiesza. Nadal miewam koszmary dotyczące jego i Abi, ale pojawiają się już coraz rzadziej.

Więc tak oto jesteśmy, Matt i ja. Przetrwaliśmy. Jesteśmy razem. To, co zrobił, było niewybaczalne, ale miłość tak łatwo się nie kończy. Okropny czyn może nas zdefiniować lub fundamentalnie zmienić. W to właśnie zaczęłam wierzyć – w egzystencjalizm, z pewnym wyjątkiem. Wierzę, że czyny Johnniego Lovegooda zdefiniowały go. Był w stanie przejść nad tym, co zrobił, do porządku dziennego i żyć dalej jak gdyby nigdy nic. Wierzę, że działania Neila nie świadczą o tym, kim on jest i dlatego nie był w stanie potem żyć jako prawdziwa wersja samego siebie. Wierzę, że Matt rozumie konsekwencje tego, co uczynił, że zrozumiał je tamtej nocy, gdy powiedziałam mu, że nie ma dla nas przyszłości. Wierzę, że ten szok przełamał w nim pewien schemat i tamtej nocy stał się człowiekiem na tyle silnym i odważnym, by w końcu wziąć na siebie odpowiedzialność. Nie wiem dokładnie, skąd ta pewność, ale wydaje mi się, że się zmienił.

Wszyscy się okłamujemy przez cały czas. Tamten dzień, tamten poranek naznaczony uderzeniami serca, kiedy sekundy wyznaczały cienką linię pomiędzy życiem a śmiercią, kłamstwa latały wokół nas jak pszczoły. Ja też jestem winna i wiem to lepiej niż ktokolwiek inny. Gdybym nie poszła na górę po telefon, widziałabym, że Matt wrócił i powstrzymałabym Abi od wypięcia się z wózka. Gdybym nie przeglądała Facebooka, być może nadal dałaby się radę rozpiąć, żeby pobiec za tatusiem, ale może udałoby mi się uchronić ją od wpadnięcia pod auto Johnniego Lovegooda. Gdybym nie była tak zadowolona z tego, że siedzi cicho, gdybym nie zrobiła sobie przerwy, której wydawało mi się, że potrzebuję, być może nadal zostałaby potrącona przez auto Johnniego, ale mogłabym – być może – uratować ją

przed jego bezdusznym i śmiertelnym pozbyciem się jej, przed jego niezdolnością do dostrzeżenia, że równie dobrze to mogła być jego własna córka, że w pewnym sensie nią była. Ale, jak powiedziałyby mi Barbara, żadna z tych rzeczy nie oznacza, że nie kochałam swojej córki.

Kiedy znaleziono jej płaszcz, roztrzaskałam swojego iPhone'a młotkiem na drobne kawałeczki. Ale ostatnio zaczęłam myśleć, że śmierć mojej córki nie jest tak do końca winą zaślepiających nas dóbr materialnych, drogich telefonów, wielkich samochodów, rozbudowy kuchni, symboli statusu. Obwinianie tych rzeczy jest zbyt łatwe. Według mnie chodzi jedynie o to, jak zachowujemy się wobec siebie. Tamtego dnia wielu ludzi nam pomogło i w kolejnych tygodniach okazało wiele życzliwości. Teraz, po czasie, to widzę. Jeśli chodzi o nas, Matt i ja planujemy opiekować się sobą i tymi, którzy nas otaczają, najlepiej jak potrafimy. To wszystko, co mamy – sekundy i minuty naszego życia.

To wszystko, co tak naprawdę ma każdy z nas.

List od Autorki

Drodzy Czytelnicy,

bardzo dziękuję Wam za przeczytanie Przyjęcia. Jestem przeszczęśliwa, że to zrobiliście. Jeśli to pierwsza książka mojego autorstwa. Dziękuję Wam za danie mi szansy i mam nadzieję, że spodobała Wam się na tyle, że sięgniecie po inne moje pozycje! Jeśli jesteście ze mną od początku lub też wcześniej czytaliście to, co napisałam, dziękuję, że wróciliście, dziękuję, że jesteście ze mną – naprawdę to doceniam!

Moja kolejna powieść jest już w przygotowaniu i mam nadzieję, że będziecie chcieli do niej zajrzeć. Jeśli chcecie jako pierwsi otrzymywać informacje o moich nowych publikacjach, możecie zapisać się pod poniższym linkiem:

www.bookouture.com/se-lynes

Ta historia zaczęła dojrzewać we mnie latem 2016 roku. Byłam wtedy początkującą pisarką i pojechałam na spotkanie TBC w Leeds (TBC to taki nie do końca tajny facebookowy klub książki – The Book Club – prowadzony przez znaną i niezwykłą miłośniczkę książek, Tracy Fenton). Właśnie przeprowadzałam badania do mojej drugiej powieści Matka i połączyłam wyjazd z uczestnictwem w imprezie, aby móc spotkać się z niektórymi Czytelnikami poznanymi online. Tam zapoznałam się z Lorraine Tipene i jej córką Rachel, która ma zespół Angelmana. W tamtym okresie, świeżo po moim debiucie, nie znałam zbyt wielu ludzi z branży, więc byłam trochę zestresowana, a Lorraine była dla mnie tak miła (zresztą jak wszyscy, jeśli mam być szczerą) i pod koniec rozmowy zapewniłam ją, że umieszczę Rachel w książce i zrobię z jej postaci klucz do rozwiązania zagadki.

Od tamtej pory Lorraine wraz z wieloma innymi przemiłymi ludźmi gorąco wspierała moją pracę, a ja nigdy nie zapomniałam naszej rozmowy. Kłopot był z wątkiem. W końcu na początku tego roku zakiełkował we mnie nowy pomysł. Stworzyłam kilka notatek, napisałam streszczenie

i kilka rozdziałów, a następnie przeprowadziłam z Lorraine rozmowę telefoniczną – po pierwsze, aby zapytać, czy jest gotowa, a po drugie, aby dowiedzieć się więcej o Rachel. Efektem tego jest Przyjęcie – tajemnica, której rozwiązanie zależy od słów młodej dziewczyny z zespołem Angelmana. Gdyby nie Jasmine Lovegood, nie jestem pewna, czy Abi zostałaby kiedykolwiek odnaleziona i pochowana jak należy. Gdyby nie Lorraine i Rachel Tipene, nie jestem pewna, czy taki pomysł kiedykolwiek przyszedłby mi do głowy.

Bardzo staram się pisać thrillery, które pozostają w pamięci na długo po skończonej lekturze, więc mam nadzieję, że Przyjęcie dało Wam do myślenia, a także zapewniło emocjonalne i trzymające w napięciu doświadczenie czytelnicze. Zaczęłam tę książkę w styczniu 2020 roku, a skończyłam w czasie lockdownu, więc moja praca była już dość zaawansowana, kiedy okazało się, że Covid-19 stanie się bezprecedensowym i głęboko traumatycznym momentem w naszej globalnej historii. Historia Matta i Avy pierwotnie osadzona była późnym latem 2020 roku, ale włączenie koronawirusa do narracji wydało mi się kiepskim pomysłem – zarówno dla mnie, autorki, jak i dla moich Czytelników. Na dodatek, biorąc pod uwagę skalę wirusa, niemożliwe byłoby wplecenie go w wątek tak, aby nie przejął nad nim całkowicie kontroli – tak ogromny był jego wpływ. Postanowiłam więc przenieść akcję o rok wcześniej i zakończyć narrację, zanim wpływ koronawirusa dał o sobie znać.

Jednak tematy w mojej pracy zazwyczaj wynikają z tego, co czuję podświadomie, a Przyjęcie nie jest wyjątkiem. W czasie pisania książki bardzo mocno odczuwalna była izolacja Avy, jej niepokój i poczucie, że jej ból jest jak choroba zakaźna. Historia ta jest również oparta na pomysłach dotyczących odpowiedzialności indywidualnej i społecznej – w skrócie chodzi o to, jak ważne jest dbanie o innych, nawet jeśli samemu nie jest się zagrożonym. Nawet przed wprowadzeniem oficjalnego lockdownu stało się jasne, że ochrona słabszych członków społeczeństwa jest obowiązkiem każdego z nas. Ta myśl znalazła odzwierciedlenie w książce. Abi była małą córeczką nas wszystkich, w tym sensie, że wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni – globalna pandemia pokazała nam, że bez względu na to, kim jesteśmy, wszyscy w pewnym stopniu polegamy na sobie nawzajem.

Chociaż fabuła skupia się wokół ludzi opiekujących się swoimi najbliższymi w momencie skrajnego stresu, zależało mi na tym, by

zrównoważyć to z szerszym poczuciem wspólnoty i życzliwością innych. Akcja osadzona jest w fikcyjnej wersji Teddington, gdzie mieszkam (proszę wszystkich, którzy tam mieszkają, o wybaczenie mi mojej artystycznej wizji przekazu, jeśli chodzi o lokalną geografę), a jednym z moich najgłębszych wspomnień z wczesnych lat spędzonych tutaj jest telefon od znajomej kobiety z informacją, że jest w miejscowym szpitalu z moją córką, wówczas jedenastoletnią, która upadła w parku i złamała rękę. Kobieta ta nie dzwoniła z parku, ale ze szpitala, dokąd zawiozła moją córkę. Byłam wzruszona tym aktem dobroci, więc chciałam przekazać, że ludzie przeważnie postępują właściwie... ale to nie byłby zbyt dobry thriller psychologiczny, gdyby wszyscy moi bohaterowie postępowali właściwie, prawda?

Muszę przyznać, że inspiracją do napisania tej książki, była najśłynniejsza historia zaginięcia naszych czasów, historia Madeleine McCann. Podobnie jak wielu ludzi, byłam bardzo poruszona tą historią, mając wówczas dwie małe córki, i podobnie jak w przypadku innych zaginięć dzieci, zawsze bardzo mocno odczuwałam, jak straszne to musi być uczucie, gdy twoje dziecko zostaje uprowadzone i nigdy nie dowiadujesz się, co się z nim stało. Chciałam zgłębić tę niewiedzę, trudność związaną z brakiem możliwości przeżywania żałoby, a jednocześnie codzienną żałobę. Nie zagłębiałam się zbyt w to, jak to jest, kiedy podejrzenia padają na ciebie jako rodzica, ponieważ bardziej interesowała mnie egzystencjalna strona naszych czynów, które nas określają – kiedy przekraczamy granicę i z powodu jednego czynu stajemy się kimś zupełnie innym. Czy w ogóle możliwe jest zachowanie potem poczucia własnego ja? Przyjęłam narrację rok po zaginięciu Abi, ponieważ pracowałam bardziej nad zamknięciem sprawy i rozwiązaniem dla Matta i Avy niż nad szczęśliwym zakończeniem. Mam nadzieję, że Matt i Ava urządzą teraz swój dom razem i rozpoczynają nowe życie pełne miłości, szczerości i względnego spokoju.

Dość gadania! Jeśli podobało się Wam Przyjęcie, byłabym wdzięczna, gdybyście poświęcili parę minut na napisanie recenzji. Wystarczy zdanie czy dwa, każda opinia ma znaczenie. Jeśli macie pytania o jakikolwiek aspekt mojej pracy, zawsze chętnie porozmawiam z Wami za pośrednictwem mojego konta na Twitterze lub Instagramie albo mojej strony autorskiej na Facebooku. Każdy autor wie, że pisanie może być czasami samotną podróżą, więc kiedy Czytelnik zwraca się do mnie i mówi,

że moja praca go poruszyła lub że ją pokochał, jestem naprawdę zachwycona. Uwielbiam nawiązywać nowe znajomości online poprzez wszystkie moje powieści i mam nadzieję, że będzie ich jeszcze więcej przy okazji Przyjęcia.

Z najlepszymi życzeniami,

Susie

@selynesauthor S E Lynes Author @SELynesAuthor

Podziękowania

Na samym początku składam ogromne podziękowania mojej nowej redaktorce Ruth Tross, która widziała, co próbowałam zrobić, a także wiedziała, że nie do końca mi się to udało i dzielnie mi w tym pomogła. Dziękuję Ci Ruth za twoją cierpliwość i wrażliwość, za Twoją ogromną wiedzę redaktorską i za to, że podoba Ci się to, co w końcu osiągnęliśmy! Jestem Ci winna gin z tonikiem i dużą paczkę Tyrrellsów.

Dziękuję mojej najlepszej agentce Veronique Baxter za cudowne pogawędki w czasie lockdownu i za e-mail o tytule: OMG, TO JEST CUDOWNE! To najlepszy moment w życiu pisarza.

Wielkie brawa i przeogromne podziękowania dla Lorraine Tipene (z domu Stephens... jeśli pamiętacie pewną oficer łącznikową w tej powieści). Lorraine, dziękuję Ci za Twoją otwartość, za Twój czas, Twoje wsparcie, za przeczytanie szkicu Przyjścia i upewnienie się, że nie zepsułam zbytnio mojego portretu Jasmine Lovegood.

Dziękuję mojej mamie, Catherine Ball, która pozwoliła mi nieco zapożyczyć ze swojej pracy magisterskiej z zakresu sztuk pięknych, wyjaśniła mi diabelski akord i pomogła mi go rozwinąć jako metaforę okropnej, nierozwiązanej natury niewyobrażalnej straty Avy. Pomagała mi też przy utworach fortepianowych Avy i, co trzeba zaznaczyć, grała dla mnie Sonatę Księżycową, kiedy byłam mała i miałam problemy z zasypianiem. Jest żywym dowodem na to, że można pochodzić z klasy robotniczej, opuścić szkołę w wieku piętnastu lat i zostać magistrem sztuk pięknych w wieku siedemdziesięciu pięciu lat.

Krótko mówiąc – legenda.

Dziękuję Jayne Farnworth za nieocenione rady na temat procedur policyjnych i za przeczytanie naprawdę fatalnego pierwszego szkicu – nie powinnaś tego czytać, przepraszam.

Dziękuję moim lokalnym RNLI, zwłaszcza Paulowi Stallardowi i Jonowi Chapmanowi za dostarczenie mi cennych informacji dotyczących Tamizy

i tego, w jakich okolicznościach RNLI jest wzywane. Pomijając badania do książki – chłopaki, robicie naprawdę dobrą robotę.

Dziękuję nieustannie niesamowitemu zespołowi Bookouture, w szczególności Kim Nash i Noelle Holten, niezwykle duetowi marketingowemu, dwóm fenomenalnym kobietom, przyjaciółkom i fantastycznym autorkom. Dziękuję redaktorce Jane Selley i korektorce Laurze Kincaid, a szczególne podziękowania kieruję do Jenny Geras, mojej byłej redaktorki, która przekazała mnie Ruth, jakbym była wydmuszką przepiórczego jaja, a która teraz jest nową, najlepszą szefową Bookouture, hura!

Dziękuję Tracy Fenton i całemu zespołowi The Book Club – Helen Boyce, Claire Mawdesley, Juliet Butler, Charliemu Pearsonowi, Charliemu Fentonowi, Kel Mason i Laurel Stewart – bez których nigdy nie poznałabym Lorraine, nie wspominając o wielu innych wspaniałych Czytelnikach, którzy przez lata stali się moimi przyjaciółmi – do zobaczenia w Harrogate w 2021! Dziękuję Wendy Clarke i zespołowi The Fiction Cafe na Facebooku, Laurze Pearson z Motherload Book Club, Anne Carter z Book Connectors, Markowi Fearnowi z Bookmark oraz Ianowi Grantowi z klubu książki Stay-at-Home. Dziękuję właściwie wszystkim internetowym klubom książki i ludziom, którzy się tam zbierają, aby podzielić się swoją miłością do czytania. Jeśli kogoś pominęłam, przepraszam, mój błąd. Jestem zestresowana tym, nawet zanim zdałam sobie sprawę, że to zrobiłam, więc napisz do mnie, a ja zapewniam, że wspomnę o Tobie w następnej książce, którą już będę pisała w czasie, gdy to przeczytasz.

Ogromne podziękowania dla moich flagowych czytelników, takich jak: Sharon Bairden (która również jest autorką, polecam!), Teresa Nikolic, Philippa McKenna, Karen Royle-Cross, Ellen Devonport, Frances Pearson, Jodi Rilot, CeeCee, Isobel Henkelmann, Bridget McCann, Moyra Irving, Karen Aristocleus, Alessandra Nolli, Anne Burchett, Audrey Cowie, Alison Turpin, Theresa Hetherington, Donna Young, Mary Petit, Donna Moran, Ophelia Sings, Gail Shaw, Lizzie Patience, Fiona McCormick, Alison Lysons, Sam Johnson i wielu innych niewymienionych tutaj. Dziękuję Wam. Czytam absolutnie każdą recenzję, dobrą czy złą. Jeśli nie widzisz tutaj swojego nazwiska, proszę, daj mi znać, nadrobię to w kolejnej książce.

Ogromne podziękowania, jak zawsze, dla niesamowitych blogerów, którzy robią to bezpłatnie, a którzy bardzo ciężko pracują, by szerzyć słowo o książkach i ukochanych autorach. Chciałabym podziękować

następującym blogerom, posługując się nazwami ich blogów, w razie gdybyście chcieli poczytać ich recenzje: Chapter in my Life, By The Letter Book Reviews, Ginger Book Geek, Shalini's Books and Reviews, Fictionophile, Book Mark!, Bibliophile Book Club, Random Things Through my Letterbox, B for Book Review, Nicki's Book Blog, Fireflies and Free Kicks, Bookinggoodread, My Chestnut Reading Tree, Donna's Book Blog, Emma's Biblio Treasures, Suidi's Book Reviews, Books from Dusk till Dawn, Audio Killed the Bookmark, Compulsive Readers, LoopyLouLaura, Once Upon a Time Book Blog, Literature Chick, Jan's Book Buzz oraz Giascribes... Ponownie, jeśli kogoś pominęłam, proszę o kontakt, na pewno wymienię Cię w następnej książce.

Dziękuję ogromnie wspierającej społeczności pisarskiej, zwłaszcza: Emmie Robinson, Judith Baker, Annie Mansell, Barbarze Copperthwaite, Pam Howes, Patricii Gibney, Jennie Ensor, Carli Buckley, Joelowi Hames-Clarke'owi, Angeli Marsons, Zoe Antoniades, Evie Jordan, Vikki Patis, Marilyn Messik, Heide Goody, Iainowi Grantowi, Julie Cohen, Kate Simants, Louise Beech, Isabelli May, Ronie Halsall, Fionie Mitchell, Claire McGlasson, Callie Langridge, Tarze Lyons, Paulowi Burstonowi, Nicoli Rayner, Emmie Curtis, Lisie Timoney, Catherine Morris, Hope Caton, Robinowi Bell, Samowi Hanson oraz moim przyjaciołom i mojej pierwszej nauczycielce pisania, która zawsze otrzymuje specjalne podziękowania, wykładowcy i autorce dr Sarze Beiley. Z pewnością kogoś pominęłam i już za to przepraszam, ale proszę o kontakt i nadrobię to następnym razem.

Dziękuję moim cudownym przyjaciołom – wiecie, o kogo mi chodzi. Nie mogę uwierzyć w to, jak wielu z Was nadal czyta moje książki, kiedy tylko pojawiają się na rynku. Spodziewałam się, że przeczytacie tylko pierwszą.

Wreszcie dziękuję mojemu tacie Stephenowi Ballowi, który naprawdę robi własne pesto i piecze chleb, i który nie jest Czytelnikiem, jeśli nie liczyć „The Fisherman Magazine”, ale dla mnie zrobił wyjątek. Tato, piszę je tak szybko, jak tylko potrafię i dziękuję za to, że przez lata ciągle zaopatrywałeś mnie w pstrąga tęczowego. Moim dzieciom Alistair, Maddie i Franci Lynes – dziękuję, że byliście najlepszym gangiem na świecie w czasie lockdownu i za to, że nie wchodziliście do salonu, kiedy pracowałam.

Na koniec, jak zawsze, podziękowania dla niego samego – Paula Lynesa. Nie ma nikogo, z kim wolałabym być zamknięta, i tak, okej, jeśli wynajmiesz kampera, pojedę z Tobą na następny festiwal muzyczny.

Ale przestań już o tym gadać...

[1] Brytyjski odpowiednik polskiego numeru alarmowego 112 (przyp. tłum.).

[2] CBT (cognitive-behavioral therapy) – psychoterapia poznawczo-behawioralna, zwana także terapią kognitywno-behawioralną, jest metodą leczenia zaburzeń psychicznych, trudności emocjonalnych oraz problematycznych zachowań (przyp. tłum.).

[3] RNLI (Royal National Lifeboat Institution) – organizacja pozarządowa zajmująca się ratownictwem wodnym w Wielkiej Brytanii i Irlandii (przyp. tłum.).

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Epilog

List od Autorki

Podziękowania

Przypisy